



Zamek Penwyth wciąż nie ma dziedzica.
Pozostał tu tylko stary lord z żoną i wnuczką
- rudowłosą i zielonooką Merryn.
Wielu śmiazków chciało zdobyć dziewczynę
wraz z zamkiem, jednak za sprawą starej
druidzkiej klątwy żaden z nowo poślubionych
małżonków Merryn nie doczekał nocy poślubnej.
Aż wreszcie pojawił się sir Bishop, urodziwy,
mężny i bystry, który nie zamierzał
dzielić losu poprzedników.
Czyżby naprawdę był czarownikiem,
jak obwieścił? Z pewnością nie jest zwyczajnym
rycerzem żadnym majątku i z jego przybyciem
związane są nadprzyrodzone zjawiska w okolicy,
a i on sam doświadcza niezwykłych doznań
- wizyt w innym czasie i innym świecie
lub dziwnych snów, w których jest zupełnie
kimś innym. Jedno jest tylko takie samo
- pożądanie nie do opanowania, dla którego światy
i czas nie mają granic.

CATHERINE
COULTER

KLATWA
PENWYTH

Rozdział 1

Cztery lata wcześniej...

Zamek Penwyth

Kornwalia, Anglia

14 maja 1274 roku

Sir Arlan de Frome ściągnął wodze bojowego rumaka i uniósł dłoń w stalowej rękawicy, by zatrzymać jadących za nim trzydziestu dwóch zaprawionych w boju niezłomnych wojowników. Konie parskały, drobiąc kopytami, kurz wirował w powietrzu. Sir Arlan wyczuwał wszechobecny zapach strachu. Dobrze go znał i lubił, zwłaszcza gdy był o krok od zdobycia celu.

De Frome widział przerażenie na twarzach mężczyzn okrążających szaniec zamku Penwyth - zwartej budowli, która już niedługo będzie należała do niego. Miasteczko Penwyth ukryte w cieniu zamkowych kamiennych murów szybko opustoszało, gdy tylko jego oddział pojawił się na horyzoncie. Nie zezwolił swoim ludziom grabić i palić. W końcu za parę chwil zamek i miasteczko będą jego własnością. Mury warowne wydawały się równie mocne i solidne jak granitowe kornwalijskie klify, wznosiły się na wzgórzu, spoglądając w stronę morza ponad Land's End - ostatnią rubież oddzielającą Penwyth od najeźdźców nadciągających od morza. Zamek miał ogromne znaczenie strategiczne, lecz sir Arlan wiedział doskonale, że król

Edward z radością uczyni go panem i dziedzicem, jeśli tylko zdoła utrzymać zamek w garści.

Zamek Penwyth stanie się jego własnością, kiedy tylko go zdobędzie. Gdy tylko poślubi tę dziewczynę, jakżeż ona ma na imię... Jakoś dziwacznie. Lady Merryn, tak jest! Dziwne imię, romantyczne i zapewne doskonale pasujące do strof tych łapserdaków bardów. Ślub z dziewczyną będzie jeszcze jednym powodem, dla którego król nie zawaha się przed ustanowieniem go panem na Penwyth. Nikt nie waży się mu go odebrać ani zakwestionować jego praw. Otrzyma tytuł lorda de Gaya z Penwyth, a czemuż by nie? Nazwisko, które odziedziczył po znenawidzonym ojcu, nie ma ni znaczenia, ni potęgi. Lecz Arlan de Gay... to brzmi wspaniale i niesie ze sobą świetną reputację co najmniej czterech generacji. I pasuje do niego. Sir Arlan uśmiechnął się do siebie. Stary lord nie może przecież żyć wiecznie, nieprawdaż? Pewnie nawet nie chciałby tu zostać i przyglądać się nowym rządóm.

Nie miał zamiaru mordować ani równać Penwyth z ziemią. Nie chciał zabijać zamkowych żołnierzy, służby ani kupców pracujących na co dzień w zamku. Straci tylko tyłu, ilu będzie musiał, by reszta uznała go za nowego pana i władcę i była mu wdzięczna za pozostawienie przy życiu.

Ogarnął wzrokiem żyzne ziemie i falujące na wietrze zboża zapowiadające obfite plony. Uśmiechnął się.

W głębi serca miał nadzieję, że staruszek siedzący w fotelu pana zamku ukrywa gdzieś całe stopy złota. Zapewne nie wszyscy rycerze z oddziału będą chcieli przy nim pozostać. Będzie zmuszony sownie wynagrodzić

tych, którzy postanowią odejść, bądź zabić ich, by zapobiec grabieżom i niepotrzebnej przemocy.

Och, tak. W zamku pozostali tylko staruszek, staruszka i młódka. Słyszał, że ma dopiero czternaście lat. Doskonały wiek do zamążpójścia. Wystarczająco dojrzała do małżeńskiego łoża i na tyle młoda, żeby po kilku solidnych klapsach nawet mc miała odwagi pomyśleć o jakichkolwiek sprzeciwach wobec pana małżonka. Wspaniale.

Zerknął w górę i zobaczył długi rząd twarzy przyglądających mu się z wyżyn zamkowych blanków. Słyszał wiele plotek o licznych zastępach żołnierzy kryjących się w Penwyth, ale nie miał zamiaru tego roztrząsać. Wkrótce sam się przekona.

Wysłał porucznika Darrika, by przedstawił mieszkańcom zamku warunki pokoju. Darrik ma wspaniały głos - głęboki, donośny i ostry. Jego orędzie będzie słyhać aż na brzegu morza.

Arlan skinął głową.

- Lordzie Penwyth, żołnierze i wszyscy mieszkańcy zamku - ryknął Darrik. - Penwyth wciąż pozostaje bez dziedzica. Sir Arlan de Frome zgadza się poślubić lady Merryn de Gay i objąć dziedzictwo, otaczając je opieką, dbając o nie i chroniąc, dopóki lord Vellan de Gay pozostanie przy życiu. Wtedy panem zamku i lordem Penwyth zostanie sir Arlan. Jeśli otworzycie bramy i pozwolicie nam wjechać w pokój, nikomu nie stanie się krzywda.

- Dobra robota, Darrik - powiedział Arlan, uśmiechając się promiennie, jakby nie słyszał dzikich wrzasków i obelg padających z zamkowych murów. Żołnierze zaczęli znikać z blanków. Zapewne w podskokach pobiegli powiadomić pana zamku o najeźdźcy u bram.

Minęła chwila, dosłownie kilka minut, lecz Arlan nie należał do cierpliwych. Czując narastające podekscytowanie pana, ogier zaczął się niepokoić.

Arlan powiedział coś cicho do Darrika.

- Otwórzcie bramy albo wasza krew splami tę ziemię! - wrzasnął Darrik.

Po chwili rozległ się głośny trzask grubych łańcuchów. Nad szeroką fosę wypełnioną słoń, zamuloną wodą zaczął opadać zwodzony most. Wszystko szło zgodnie z planem. Tak jak sobie Arlan wymarzył. To zapewne znak z niebios.

Nigdy jeszcze nie zdobył żadnego zamku bez wysiłku. Sir Arlan poprowadził swój oddział szerokim drewnianym mostem, zerkając na żelazną bronę, która w każdej chwili mogła jeszcze spaść, wbijając ostre szpikulce głęboko w ziemię lub w ciała najeźdźców.

Wjechali na pierwszy dziedziniec, wąski i otoczony grubymi murami, potem przez dwie potężne bramy dostali się w obręb miejskich murów. Na dziedzińcu zgromadziły się tłumy mieszkańców. Wszyscy stali nieruchomo, wpatrując się w sir Arlana i jego ludzi. Dzieci czepiały się ubrań rodziców, nawet zwierzęta zastygły z wzniesionymi do góry łbami, jakby wietrzyły niebezpieczeństwo. Wszystko wydawałoby się zupełnie normalne, gdyby nie przejmująca cisza. Cóż, cisza nie jest zła. Zapewne oznacza głęboki szacunek dla nowego pana.

Wewnętrzny dziedziniec był brukowany, więc końskie kopyta nie wzniosły tumanów kurzu. Arlan uśmiechnął się na widok lorda Vellana de Gaya stojącego u stóp kamiennych schodów. Jego wnuczka stała tuż za nim, kryjąc się za plecami dziadka, niemal niewidoczna, lecz de Frome dostrzegł, jak ciekawie zerknęła na mężczyznę,

który z taką łatwością podbił zamek. Na swojego przyszłego męża. Doskonale.

Lord Vellan wpatrywał się bez mrugnięcia powiek w rosłego, zakutego w zbroję rycerza jadącego wprost ku niemu. Sir Arlan zatrzymał rumaka w ostatnim momencie, dosłownie o krok od starca.

- Mój panie, nazywam się sir Arlan de Frome i pochodzę z Keswick. Przybyłem, by chronić was przed maruderami i bandami rzezimieszków, które zapewne będą chciały splądrować zamek i zabić twoich ludzi.

Zapadła chwila mrożącej krew w żyłach ciszy.

- Bez wątpienia same niebiosa zesłały cię do mnie, sir Arlanie - odezwał się wreszcie lord Vellan.

Arlan puścił mimo uszu jawną impertynencję. Lord Vellan jest starym człowiekiem, a starcy mają swoją dumę, nawet gdy nie pozostanie im już nic innego.

- Potrzebujesz dziedzica, mój panie - stwierdził Arlan - a twoja wnuczka męża. Chętnie przyjmę obie te role.

- Mój syn zmarł zaledwie dwa tygodnie temu - westchnął lord Vellan. - Musiałeś nieźle wyciągać nogi, skoro dotarłeś tu pierwszy.

- Owszem. Jestem wytrwały, gdy czegoś pragnę. Gdzie moja przyszła żona?

- Zanim przedstawię ci moją wnuczkę - powiedział lord Vellan - i zanim ogłosisz moim ludziom, że przybyłeś tu jako dziedzic, uważam, że uczciwie będzie, jeśli cię ostrzeżę.

Sir Arian roześmiał się w głos.

- Ostrzeżesz mnie? Przed czym?

Lord Vellan ściszył głos:

- Przez całe wieki okolicznych ziem i stojących na nich fortec strzegła starożytna klątwa druidzka. Celtyccy kapłani szanowali i kochali tę ziemię. W ciągu setek lat zamek Penwyth nigdy nie został zdobyty przez wroga. Żadna z twierdz stojących w okolicy nie ukorzyła się i nie upadła pod ciosami człowieka. Owszem, czasami opustoszałe zamki popadały w ruinę i obracały się w pył, lecz nigdy żaden człowiek im nie sprostał. Tego miejsca strzeże druidzka klątwa.

- Celtowie? Druidzi? Te krwawe potwory poginęły setki lat temu, starcze. Nie boję się żadnych kapłanów ani ich klątw. Wiesz tylko, że żadna z okolicznych twierdz nigdy nie została zdobyta. Nie masz jednak dowodu, iż stało się tak za sprawą klątwy. Uważam, że okłamujesz mnie, starcze, i zacznym się na ciebie gniewać.

- Nie kłamie ani nie opowiadam ci bajek. Mówię o klątwie. Nie ma potężniejszych zaklęć niż druidzkie.

Sir Arlan usłyszał za plecami nerwowe poruszenia. Któryś z rycerzy okazał się zabobonnym głupcem. Odezwał się donośnym, podszytym groźbą głosem:

- Nigdy nie słyszałem o żadnej klątwie. Klątwa celtyckich druidów? To jakiś nonsens i dobrze o tym wiesz, mój panie. Nie wystraszy mnie pierwsza lepsza bajeczka.

- To prawda, że niewielu słyszało o klątwie - odparł lord Vellan. - Lecz to nie sprawia, że moc zaklęcia osłabnie lub że utraci ono swoją moc. Chciałbyś może ją usłyszeć? Przechowała się niezmienną przez wieki wojen i chaosu.

Sir Arlan zeskoczył z konia, wręczając wodze jednemu ze swoich ludzi.

- Nie chcę słuchać żadnych bluźnierstw. Nie dbam o klątwy istniejące zapewne wyłącznie w twoim starczym umyśle. Teraz wejdziemy do zamku, bym mógł nacieszyć oczy nowym dziedzictwem. Wezwij księdza, gdyż zamierzam się ożenić, zanim zajdzie słońce. Gdzie jest dziewczyna?

Zza pleców lorda de Gaya wysunął się chudy dzieciak ubrany w spodnie i luźną wełnianą koszulę, z włosami ciasno splecionymi w grube warkocze. Stary lord chwycił dziewczynkę za ramię, jakby chciał ją powstrzymać, lecz ona strząsnęła dłoń dziadka i stanęła śmiało przed sir Arlanem.

- To ja jestem Merryn de Gay.

- Ja zaś będę twoim mężem, zanim zapadnie noc — odparł, w duchu napominając samego siebie, że przecież to jeszcze dziecko i z pewnością z wiekiem nabierze ogłady. Podszedł, by przyjrzeć się jej z bliska.

Nie była ani trochę apetyczna. Jednak nie dość odstręczająca, by nie był w stanie umościć się między patykowatymi nogami i odebrać jej wianka, a tylko to się liczyło. Sir Arlan w najmniejszym stopniu nie dbał o ten załazek człowieka mieniący się jego przyszłą żoną. Wątpił, by odziana w suknię stała się bardziej pociągająca, skoro nie ma piersi ani bioder. Jej szczupłe, dziecięce ciało nie obiecywało żadnych rozkoszy. Z drugiej strony, mógł się pocieszać myślą, że gorzej już nie będzie.

- O, tak - powiedział, gdy się jej dobrze przyjrzał. - Nim nadejdzie zmrok, będę twoim mężem. Możesz zwracać się do mnie: „sir Arlanie” albo też „mój panie”.

- Nie zamierzam zwracać się do ciebie żadnym z tych imion. Jesteś zwykłym najeźdźcą. Gdybyśmy cię nie wpuścili, z radością zabiłbyś wszystkich. Przyjechałeś

tylko po to, by odebrać mi to, co należało do mojego ojca, teraz zaś powinno należeć do mnie. Odejdź, zanim zabije cię klątwa. Druidzcy kapłani, którzy nałożyli ją na te ziemie, mieli ogromny dług wdzięczności wobec moich przodków.

Sir Arlan słyszał przyciszone rozmowy, które za jego plecami prowadzili rycerze.

- Nie obchodzą mnie te bzdury - warknął. - Nie ma żadnej klątwy, a gdyby nawet była, jest równie mocna jak drewniany mieczyk w rękach dziecka.

Pochyliła się ku niemu, zbliżając twarz do jego twarzy, i powiedziała cicho:

- To naprawdę bardzo prosta klątwa, sir Arlanie. Jeśli nie odejdziesz i nie zostawisz mnie w spokoju, umrzesz.

- Ach, i całe wieki temu druidzi przewidzieli moje nadejście, lady Merryn? Może zobaczyli również i ciebie w martwych oczach jednej ze swoich ofiar?

- Być może - spokojnie odpowiedziała Merryn.

Lord Vellan chwycił ją za rękę i brutalnie odepchnął na bok. Potrząsnął bujnymi, siwymi włosami i wspaniałą brodą sięgającą aż do pasa.

- Słuchajcie wszyscy - krzyknął. - Sir Arlan może nie wierzyć w klątwę, jednak jest ona prawdziwa. Niedawno potwierdziły ją i odnowiły wiedźmy z Byrne, prawowite następczynie druidów. Ten kraj na wieki ma być wolny od gwałtu i przemocy. O, tak! Przez wieki Penwyth chroniła moc potężniejsza od kilku mężczyzn na koniach.

- Jakaż to klątwa? - zapytał jeden z rycerzy.

- Czy widzisz moją wnuczkę? - wykrzyknął lord Vellan. - Jej rude włosy? Jej zielone oczy? Jest ona żyjącym obrazem kapłanów mieszkających na tej ziemi

wieki temu. Legenda głosi, że u bram starożytnej fortecy Penwyth pojawił się najeźdźca, żądając zamku i okolicznych ziem. Druidzcy kapłani zgromadzili się na drewnianej palisadzie chroniącej ówczesny zamek i wypowiedzieli klątwę. Wróg zginął okropną śmiercią, sir Arlanie.

Rycerze zaczęli pokrzykiwać coraz głośniej.

- Jaką śmiercią? Co się stało?

- Wódz najeźdźców wpadł do szamba i utonął w nim na oczach swoich zastępów.

- Co za nedorzeczość, lordzie! Wpadł do szamba i nikt mu nie pomógł? Nie ma żadnej klątwy!

Lord Vellan uśmiechnął się spokojnie.

- Posłuchajcie!

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,
Kto łądem nadjedzie, ten w męczarni skona,
Szczęźnie niechybnie, kto klucza dobędzie,
Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

- Jakiego klucza? O jakim kluczu mowa, starcze?

- Nie mam pojęcia. - Lord Vellan wzruszył ramionami.

- Powtarzam jedynie starożytną klątwę. Jeśli istniał jakiś klucz, dawno już o nim zapomniano. Jednak ty przybyłeś łądem, sir Arlanie, co oznacza, że zginiesz, jeśli nie odejdiesz w pokoju.

Zanim Arlan zdążył splunąć mu z pogardą w twarz, lord Vellan krzyknął do jego rycerzy:

- Nie wiem, jaką śmiercią zginie wasz wódz, gdyż do tej pory nikt nie próbował zdobyć Penwyth. Wiem tylko, że sir Arlan umrze, jeśli natychmiast was stąd nie zabierze i nie odprowadzi tam, skąd przyszliście. Czy reszta z was również zginie, tego nie potrafię powiedzieć.

Sir Arlan nie splunął. Wiedział już, że jego ludzie są przerażeni, sam także zaczął czuć strach, więc by go odegnąć, odrzucił głowę i roześmiał się głośno.

- I to wszystko, starcze? To już cała klątwa? Nie słyszałem w niej ani słowa na temat twojej bezcennej wnuczki!

- Oto dalsza część klątwy - krzyknął Vellan.

- Popatrzcie tylko na moją wnuczkę, a zrozumiecie, że jest prawdziwa:

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,
Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,
Serce panny jest czyste i klamać się wzbrania,
Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Zapadła całkowita cisza. Lord Vellan spostrzegł, że rycerze sir Arlana są przerażeni. Wspaniale.

- Klątwa jest prosta i jednoznaczna - powiedział do najeźdźcy. - Obie jej części są jasne jak słońce, sir Arlanie. Czego ci jeszcze trzeba?

- Klątwy muszą być proste - mruknęła Merryn - żeby mężczyźni mogli je zrozumieć.

Sir Arlan uniósł dłoń w żelaznej rękawicy i zacisnął pięść, by jednym ciosem zmiażdżyć twarz bezczelnego podlotka. Nie! Musi zachować spokój. Opuścił rękę. Wciąż przecież miał pełną władzę nad sytuacją. Był silny, miał broń oraz wiernych, lojalnych ludzi.

- Rozumiem - wycedził. - Zatem chcesz mi powiedzieć, że jesteś wiedźmą, lady Merryn? Wierzysz, że ta klątwa została wymyślona specjalnie dla ciebie? Czy może dla wszystkich rudowłosych, zielonookich wiedźm żyjących tu od wieków?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, spoglądając na niego, jakby był błotem na jej butach.

- Od zarania dziejów w każdym pokoleniu w naszym rodzie była zielonooka i rudowłosa dziewczyna.

- Bzdura - prychnął. - Skąd miałybyś o tym wiedzieć?

- To prawda, że nie ma żadnych świadectw na ten temat - wtrącił się lord Vellan. - Klątwę przekazywano sobie ustnie, dopóki wreszcie nie zapisał jej mój dziad, by z czasem nie przepadła. Gdyby o niej zapomniano, przybyłbyś tu, zdobył Penwyth i zginął bez ostrzeżenia.

Sir Arian znów się roześmiał. Stał na stopniu obok lorda Vellana. Starzec był równy mu wzrostem, co zupełnie zbiło rycerza z tropu. Lord Vellan, choć był wiekowy, ramiona miał krzepkie. Szczupły, wręcz chuderlawy, z daleka wydawał się niski i nie powinien sięgać ponad ramię sir Arlana, a jednak okazało się, że może mu spojrzeć twarzą w twarz.

- Jestem twoim dziedzicem, lordzie Vellan - powiedział Arlan. - Nie jestem wrogiem, który chce ci siłą odebrać Penwyth. Czy to nie powinno rozwiązać groźnej klątwy? Uniżenie dziękuję za twą dobrą wolę. Dzięki niej zostaniesz lordem Penwyth, oficjalnie, rzecz jasna, nieco dłużej, niż na to zasługujesz. Pozwolę ci zostać przy życiu, sączyć wino i udawać, że rządysz mieszkańcami zamku. Wiedz jednak, że to ja będę tu panem, zaś ta oto dziewczyna będzie moją żoną. To uszczęśliwi króla Edwarda.

Lady Merryn de Gay spojrzała na rycerza, oceniając w duchu, że jego twarz nie jest odrażająca, a oddech nie wywołuje w niej mdłości.

- Jeśli to zrobisz, *sir* - rzekła miękko - umrzesz. Mój pradziad powiedział dziadkowi, że słowa klątwy spisano w świętym kamiennym kręgu na południu Brytanii. Nic więcej mi na ten temat nie wiadomo.

- Dość tego! Idź już do gotowalni i niech służące upodobnią cię do niewiasty. Każ też przygotować ucztę weselną. Niech wszystko będzie gotowe, zanim zajdzie słońce.

* * *

Dokładnie pięć minut przed zachodem słońca ojciec Jeremiasz udzielił ślubu młodej Merryn, odzianej w niemodną jedwabną suknię w kolorze szafranu, która należała jeszcze do jej matki, z *sir* Arlanem de Frome z Keswick.

Jedynie okrzyki radości wzniesli rycerze *sir* Arlana i to tylko dlatego, że cieszyli się już na wieść o pucharach napełnionych piwem i najlepszym winem znad Renu i z Akwitanii. Bardzo chcieli się odświeżyć po całym popołudniu, które spędzili, mocując się z żołnierzami Penwyth na zamkowym dziedzińcu.

Jak się okazało, dowódca armii Penwyth, Crispin, starzec z brodą jeszcze dłuższą i bielszą niż broda lorda Vellana, znał tysiące klątw i hojnie obdarowywał nimi przybyłych. Żadna z nich jednak nie miała morderczej mocy, zaś rycerze Arlana nie mieli zamiaru brać tych zniewag na poważnie. Wszyscy członkowie drużyny pili, śmiali się i wznosili toasty, uszczęśliwieni zdobyciem tak wspaniałego zamku, w dodatku bez żadnego wysiłku.

Lady Merryn de Frome siedziała przy stole u boku swojego małżonka. Tuż przy nich zasiadali lord Vellan

z sędziwą żoną oraz dwóch rycerzy sir Arlana.

Małżonkowie jedli z jednego talerza. Sir Arlan maczał delikatny, pszenny chleb w gęstej wołowej nalewce. Nauczony w rodzinnym domu wytwornych manier, podał żonie smakowity kęsek wołowiny nabity na czubek noża. Przyjęła kęsek i przełknęła, patrząc wciąż poprzez niego, jakby w ogóle nie istniał.

Ujął jej podbródek palcami i przytrzymał, by musiała spojrzeć mu w twarz.

- Jestem twoim mężem! Masz mi okazywać szacunek. Spójrz na mnie!

- Niezmiernie mi przykro, że niebawem umrzesz - odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

- Do stu piorunów, skończcie wreszcie z tą głupią kłatwą! - Odwrócił się od niej i ostentacyjnie wyjadł najdelikatniejsze kawałki mięsa z talerza.

Rycerze przrzucali się sprośnymi żarcikami, lecz czynili to z wyraźnym przymusem. Jakiż mężczyzna o zdrowych zmysłach chciałby iść do łóżka z takim dzieckiem? Mimo to chcieli, by było tak, jak każde zwyczaj.

Co chwilę wznoszono toasty, jeden nawet dotyczył rychłego pojawienia się na świecie potomka młodej pary. Sir Arlan roześmiał się głucho.

- Od tej chwili jestem Arlanem de Gayem, twoim dziedzicem i mężem twojej wnuczki – krzyknął do lorda Vellana. - Wspaniale pasuje do mnie to nazwisko, czyż nie?

Lord Vellan tylko się uśmiechnął.

Znów posypały się toasty, wszystkie wznoszone przez rycerzy Arlana. Mieszkańcy zamku siedzieli za stołami gniewni i tylko pomrukiwali z cicha, nie chcąc narażać życia.

Arlan zwrócił się do żony:

- Błagam, powiedz, że zaczęłaś już krwawić.

Merryn spojrzała z ukosa na rosnącego mężczyznę, który mógłby być jej ojcem. Prawdę mówiąc, większość z mężczyzn zgromadzonych w Wielkiej Sali mogłaby być

-Och, nie, nie będę walczyła - uśmiechnęła się Merryn.
- Nie będę musiała.

Arlan nie zrozumiał tej uwagi, lecz nie przejął się tym. Był zbyt zadowolony z samego siebie i ze swojego nowego domu, by miał się przejmować kobiecymi fochami.

Czuł się wyśmienicie. Nie tracąc ani jednego człowieka, zdobył zamek Penwyth i stał się jego panem. Wprawdzie twierdza nie jest tak okazała jak zamki w Wolffeton czy St. Erth, jednak za niepełna dwadzieścia lat jego synowie poślubią bogate córki potężnych lordów. Wszyscy z szacunkiem będą wspominali lorda Arlana de Gaya.

Napotkał przenikliwe spojrzenie lorda Vellana i zadrżał w duchu. Dzięki Bogu, nikt nie mógł tego zauważyć. Wydawało mu się, że te zimne, szare oczy widzą nieporównanie więcej niż jego własne, co było, rzecz jasna, absurdem. Vellan nigdy nie opuszczał granic Kornwalii. Był nikim. Reliktem przeszłości, karmiącym się starymi legendami i bajkami. Wzniósł puchar napełniony ciemnym płynem z Bordeaux i zawołał do swoich rycerzy:

-Wznoszę toast za przyszłość! Od tej chwili należy się do mnie zwracać: lordzie Arlanie de Gayu!

- Za przyszłość!

- Za lorda Arlana!

Arlan duszką opróżnił puchar, uśmiechnął się promiennie, po czym zachwiał się i runął twarzą w talerz.

Głuchą ciszę przerwał nagle dziki wrzask rycerzy Arlana i szcęk dobywanego oręża. Mężczyźni oderwali się zza stołów i ruszyli ku swojemu panu leżącemu bez życia w resztkach tłustego sosu. Lord Vellan wstał i krzyknął:

- Sir Arlan nie żyje. Ostrzegąłem go. Wszyscy słyszeliście, że otwarcie i lojalnie opowiedziałem mu o starej druidzkiej klątwie odnowionej przez wiedźmy z Byrne. Za sprawą wszechwładnej mocy i mądrości dawnych kapłanów leży tu oto pokonany przez klątwę i własną nieostrożność.

- Nie! - wrzasnął Darrik. Był tak wściekły, a zarazem przerażony, że cały się trząsał. - Otrułeś go, wstrętny starcze! Otrułeś go i bądź przeklęty! Zabiję cię za to! Zabiję was wszystkich!

Rycerz rzucił się w stronę lorda, lecz nagle się zatrzymał, jakby niewidzialna dłoń chwyciła go z mocą i przytrzymała w miejscu. Widać było, że nie może się poruszyć. Oczy rozszerzyły mu się z grozy, a usta rozwarły w niemym krzyku. Nawet nie drgnął, tylko łyzy ciurkiem pociekły mu po twarzy. Nagle jego ciało zaczęło drżeć i się skręcać. Na usta wystąpiła mu piana. Przez moment miotał się wściekle na oczach otaczających go ciasnym kołem rycerzy znieruchomiałych z przerażenia.

Po chwili Darrik nie żył.

Pozostali najeźdźcy natychmiast zdali sobie sprawę z tego, że zostali bez przywódcy i że klątwa może ich dosięgnąć w każdej chwili.

Przez okrzyki grozy, płacze i zawodzenia przedarł się czysty głos ojca Jeremiasza:

- Dokonała się wola Boga. Módlmy się za te stracone dusze.

Nim minęła godzina, trzydziestu jeden najeźdźców w popłochu opuściło zamek Penwyth, opowiadając po drodze mrozące krew w żyłach historie o klątwie, która dosięgła sir Arlana chcącego zdobyć Penwyth i ożenić się z wnuczką lorda Vellana.

Opowiadano też o tym, jak Darrik krzyczał o truciznie i chciał zabić lorda Vellana. Szeptem przekazywano sobie historię, jak niewidzialna siła zatrzymała go w miejscu, jak miotał się przez chwilę, a wreszcie runął na ziemię z pianą na ustach. Że siła, która go przytrzymała - czy to diabelscy posłannicy, czy moc klątwy - zabiła go. Na jego ciele nie znaleziono żadnego znaku przemocy prócz gęstej piany obsychającej powoli na zsiniałych wargach.

Rozdział 2

Obęczenie

Londyn

3 maja 1278 roku

Król Edward I wyciągnął długie nogi, skrzyżował je w kostkach i z zachwytem zapatrzył się w nowe trzewiki z wydłużonymi noskami. Być może były nieco zbyt pięknie haftowane jak dla króla wojownika, lecz jego siołka Eleanor twierdziła, że będą wyglądały oszałamiająco na królewskich stopach. Przynajmniej nie oczekiwała, że będzie je wdziewał na bitwę.

Promienie słońca wpadały przez piękne witrażowe okno zainstalowane jeszcze za czasów jego ojca, zmarłego króla Henryka II. W ich blasku włosy Edwarda lśniły głębokim odcieniem złota i przypominały świeżo wybitą monetę, jak zwykła mawiać jego matka. Edward rozejrzał się po kamiennych ścianach pokrytych gobelinami i zerknął na przestronne okna. Właściwie lubił Windsor, zwłaszcza po tych wszystkich remontach, które zrobił jego ojciec.

Dostrzegł Robbiego nadchodzącego w towarzystwie potężnego młodego człowieka o zaciętej twarzy. Był to sir Bishop z Lythe, młody wojownik, który trzy miesiące wcześniej ocalił życie jego słodkiej córki Philippy, gdy udała się na jedną z swoich nedorzecznych wypraw.

Zięć króla, Dienwald de Fortenberry, hrabia St. Erth, wciąż nie mógł okiełznać swojej szalonej żony. Edward z pewnością powinien z nim na ten temat porozmawiać. Jediną rzeczą, na jaką się zdobył Dienwald, było pasowanie młodzieńca na rycerza. Gdyby Edward był na jego miejscu, z pewnością przemyślałby najpierw ten ruch.

Sir Bishop podniósł się z głębokiego ukłonu.

- Wezwałem cię, sir Bishopie z Lythe, aby osobiście podziękować ci za wyrwanie mej najdroższej córki z rąk tych parszywych drani - powiedział król. - Czy to prawda, że jeden z nich trzymał nóż przy jej żebrach?

Sir Bishop kiwnął głową.

- Czy ten człowiek groził, że ugodzi ją nożem, jeśli nie odrzucisz miecza?

Sir Bishop ponownie kiwnął głową.

- Jak zatem zdołałeś odebrać mu nóż?

Bishop zastanawiał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Łajdak nie był dobrym wojownikiem, nie był też wystarczająco szybki. Zdołałem na chwilę odwrócić jego uwagę i zabiłem go, zanim zdążył skrzywdzić Philippę. To wszystko.

- Hm... - Edward nie sądził, by rzeczywiście było to tak proste. - Jak mniemam, nie znałeś mojej córki, a jednak przyszedłeś jej z pomocą, choć nigdy wcześniej jej nie widziałeś.

- Napotkałem ich na mej drodze. Nie miałem wyboru.

Król roześmiał się i poklepał sir Bishopa po szerokich ramionach.

- Zdajesz sobie sprawę, że Philippa jest słodkim owocem chwili mego zapomnienia?

Sir Bishop wydawał się zakłopotany. Robert Burnell szepnął mu wprost do ucha:

- Mówiąc to, jego wysokość ma na myśli, że lady Philippa jest jego bękartem.

Bishop uśmiechnął się z ulgą.

- Tak jest, *sir*. Wiem o tym.

- Świetnie. Dowiedz się zatem i tego, że ratując ją z łap zbójców, ocaliłeś także część duszy twojego króla.

- Niebiosa mnie zesłały, nie śmiem w to wątpić.

Król wychwycił nagły przebłysk dowcipu i uśmiechnął się.

- Jeśli obawiasz się, że zamierzam cię wynagrodzić ręką jednej z moich trzech prawowitych córek, które są rzeczywiście księżniczkami w odróżnieniu od Philippy będącej księżniczką wyłącznie dla mnie samego, rozchmurz się i szybko pozbądź tych obaw. Zamierzam cię wynagrodzić o wiele bardziej stosownie.

Najstarsza ze ślubnych córek króla skończyła właśnie siedem lat, zatem sir Bishop czuł się prawdziwie usatysfakcjonowany wieścią, że nie będzie zmuszony stawać na ślubnym kobiercu z dzieckiem. Zastanowił się przez chwilę nad słowami króla. Bardziej stosownie? Cóż to może oznaczać? Król patrzył na niego w zamyśleniu, z roztargnieniem przyjmując puchar wina od sługi odzianego w czerwono-białą liberię. Sącył je powoli, w milczeniu.

Prawdę mówiąc, sir Bishop uważał pasowanie go na rycerza za wystarczającą nagrodę, nie był wszak ostatnim idiotą. Nie miał zamiaru sprzeczać się z królem. Ostatecznie nie jest drugim synem ani nawet trzecim. Ojciec Bishopa ma pięciu krzepkich synów, on zaś jest czwartym z kolei. Na chrzcie dano mu imię, które miało

mu pomóc w karierze zakonnej. Na tę myśl Bishop zawsze czuł lekkie mdłości. Jak większość drugich, trzecich czy czwartych z kolei synów nie odziedziczył ziemi. W odróżnieniu od swoich braci miał już dość nadstawiania karku w bitwach możnych panów, walczących o wpływy i posiadłości, choć musiał przyznać, że w ciągu ostatnich kilku lat szczęście mu sprzyjało, a mieszek spęczniał na tyle, by przez jakiś czas mógł żyć spokojnie i utrzymać bez trudu jedenastu własnych żołnierzy. Jednakże... O czym mówi król?

Skrzynia złota byłaby przyjemnym upominkiem. Może nawet z kilkoma klejnotami z Ziemi Świętej? Bishop wszakże wątpił, by Edward miał na myśli kosztowności. Nigdy nie słyszał o królu chętnie rozstającym się ze złotem. Gdy wreszcie władca dopił wino i spojrzął z uwagą na rycerza, Bishop odezwał się ze swobodą, jakiej nie powstydzili się żaden dworzanin:

- Zaszczyt bycia rycerzem jest wystarczającą nagrodą, wasza wysokość.

W duchu przyznawał, że tytuł rycerza do tej pory nie przyniósł mu ani pensa, ani więcej szacunku bliskich, którzy znali go od lat. Jedynym zyskiem byli nowi przyjaciele w osobach Philippa i Dienwalda de Fortenberrych.

Król spodziewał się takiej riposty i w zasadzie nie miał nic przeciwko pokorze i uniżoności. Pokorni nie podnosili chciwych oczu na jego majestat.

Dienwald powiedział mu, że Bishop z Lythe jest bystrym młodzieńcem o zdrowym poczuciu humoru i niezwykle odważnym. Rzeczywiście, wydaje się bystry, pomyślał Edward. Zięć powiedział również, że świeżo

pasowany rycerz jest ambitny i honorowy - a te dwie cechy rzadko występowały razem. Dienwald wszelako dał słowo, że tak jest. Może i zięć króla uchodził za nieudacznika i aroganta, jednak trzeba przyznać, że zwykle trafnie oceniał charaktery. Wieści o jego celnych spostrzeżeniach krążyły po całym kraju, wreszcie zaczęto go nazywać Biczem z Kornwalii.

Dienwald powiedział królowi, że Bishop jest świetnym wojownikiem, chytrym i przebiegłym. Swoją wartość potwierdził, strzegąc Philippy, póki nie nadjechał jej mąż z oddziałem.

Król pokręcił głową. Strzegł Philippy? Nie był w stanie wyobrazić sobie, by jego słodka, delikatna córka miała przyjąć jakąkolwiek pomoc czy poddać się czyjejkolwiek opiece. Edward westchnął i powiedział do swojego wiecznie przepracowanego sekretarza, kanclerza Anglii, Roberta Burnella:

- Robbie, wydaje mi się, że właśnie znaleźliśmy człowieka, który zdoła rozwiązać mroczną zagadkę Penwyth.

Bishop nie jęknął, choć opanował się z trudem. Nie dostanie złota. Co za szkoda. *Penwyth? Czym, do diabła, jest Penwyth? Cóż to za zagadka?*

Burnell przez chwilę rozważał słowa króla, ogryzając uwalany inkaustem kciuk, aż usta zrobiły mu się całkowicie czarne. Wreszcie skinął głową.

- Ta tajemnica nie przestaje mnie dręczyć, wasza wysokość. Być może jednak wystarczy posłać tam odpowiedniego człowieka, by zdjął klątwę?

- Hmm... - zadumał się król. - Naprawdę wierzysz, że klątwę rzucili dawni druidzcy kapłani, Robbie? I że odnowiły ją wiedźmy z Byrne? Sądziysz, że w murach tego

zamku wciąż gnieźdzą się duchy przeszłości?

Druidzcy kapłani? Wiedzmy z Byrne?

- Przyznaję, że myśl taka sama mi się narzuca, wasza wysokość - odparł Burnell. - Zdaje się, że nikt nie zdołał znaleźć innego wyjaśnienia.

- Jesteś pobożnym człowiekiem, Robbie, a jednak pozwalasz sobie na wiarę w te bujdy o klątwach.

- Sam już nie wiem, w co mam wierzyć, *sir*. - Robert Burnell przewrócił oczami. - Martwi mnie fakt, że Kornwalię nęka to лихо. Martwi mnie, że wciąż nie wiemy, czy to demon, czy potężna starożytna klątwa.

Demony i klątwy? To nie brzmi zachęcająco.

- Ilu ludzi zginęło dotychczas przez tę klątwę? - zapytał Edward.

- Czterech, wasza wysokość. Pierwszy z nich, sir Arlan de Frome, zginął niecałe dwie godziny po poślubieniu lady Merryn. Z pewnością był martwy, zanim jego twarz spoczęła na talerzu. Zdarzyło się to cztery lata temu, zaledwie dwa tygodnie po chwalebnej śmierci dziedzica Penwyth na turnieju, który zorganizowałeś, panie, w kwietniu tysiąc dwieście siedemdziesiątego czwartego roku.

- Ach, istotnie - przytaknął król. - To był sir Thomas de Gay, jeśli dobrze pamiętam. Wspaniały rycerz i wielce żałuję jego śmierci. Pamiętam doskonale, że zdarłem gardło, krzycząc na uczestników turnieju, żeby na siebie uważali, ale nie chcieli mnie słuchać. - Król westchnął rozziewając, spoglądając na jednego ze swoich myśliwskich psów. Potężny czarny mastif mógł w pełnym biegu złapać w mordę całego piezzonego bażanta. - Tak czy siak, stary lord Vellan, który ma bardziej krewki

charakter niż niejeden młodzik z mojej armii, zasypał mnie petycjami, bym mianował jego wnuczkę dziedziczką Penwyth i baronową de Gay. To niedorzeczność!

Król uśmiechał się przez chwilę. Z jego twarzy nie znikał wyraz życzliwości i dobroduszości.

- Postanowiłem, że dziedzicem Penwyth zostanie nasz dzielny młody rycerz. - Spojrzał na wyprostowanego Bishopa. - Poślubisz lady Merryn, wnuczkę lorda Vellana. Ogłaszam cię dziedzicem Penwyth. To bardzo bogata ziemia, a zamek ma wielką wartość strategiczną. Ufam, że będziesz go bronił za cenę swojego życia. Ponadto znajduje się niedaleko St. Erth i Dienwald będzie mógł cię szybko wezwać, w razie gdyby Philippa wplątała się znów w jakąś kabałę. Łudziłem się, że dzieci wypełnią jej czas... Philippa ma troje dzieci - najpierw powiła bliźnięta, dwóch chłopców, z których jeden nosi moje imię, potem zaś dziewczynkę, nazwaną na cześć mojej ukochanej Eleanor. Chłopcy są podobni do mnie jak dwie krople wody! Dzieciaki klaszczą w ręce, gdy Philippa opowiada im barwne historie o swoich wyprawach. - Król spojrzał na swoje długie trzewiki. Pomyślał, że byłoby wspaniale, gdyby chłopcy odziedziczyli po nim wzrost. Choć w zasadzie, jeśli odziedziczą go po matce, to również wystarczy.

- Opowiedziałeś mi ciekawą historię, wasza wysokość.

- Owszem, zaś ty masz dość oleju w głowie, by zrozumieć, co z tego wynika.

Bishop pokiwał głową, chociaż wciąż nie mógł uwierzyć w to, co powiedział król. Zapytał ostrożnie:

- Pragniesz uczynić mnie dziedzicem Penwyth, wasza wysokość?

Młodzieniec wydawał się szczerze zdumiony, co polechtało próżność króla. W mniemaniu władcy każdy podarunek, który przekracza oczekiwania i skryte marzenia poddanego, jest najlepszym sposobem na zdobycie jego lojalności. Edward kiwnął głową, zadowolony z własnej szczodrości.

- To właśnie zamierzam uczynić. Z czasem zostajesz lordem Bishopem de Gayem z Penwyth. Masz czterech braci, którzy zapewnią ciągłość twemu rodowi, zatem ty możesz przedłużyć ród de Gayów. *Król naprawdę chce, bym został piątym przeklętym mężem tej dziewczyny!* Władca bez mrugnięcia okiem wysłał go na pewną śmierć, która z pewnością go dopadnie, zanim zdąży zakosztować słodczy małżeńskiego łoża. Król chce, by Bishop rozsypał się w pył, zanim zdoła choćby poczuć, że Penwyth należy do niego. Stanie się lordem Bishopem de Gayem, piątym małżonkiem, który zginie haniebną śmiercią niedługo po zaślubinach.

Powalony przez starodawną druidzką klątwę.

To nie brzmi dobrze.

Robert Burnell podał młodzianowi kawałek pergaminu.

- Oto treść klątwy, sir Bishopie. Do tej pory odebrała życie czterem rycerzom, którzy zdobyli Penwyth i poślubili lady Merryn.

- Przeczytaj ją na głos, jeśli łaska - wtrącił król.

Bishop odchrząknął.

- To wygląda jak dwie osobne klątwy, wasza wysokość.

- Wiem, wiem. Czytaj.

Bishop spojrział na pergamin i zaczął czytać:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,
Kto łądem nadjedzie, ten w męczarni skona,*

*Sczejnie niechybnie, kto klucza dobędzie,
Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!*

Podniósł wzrok na króla:

- Co za klucz?
- Nikt tego nie wie - odparł Burnell. - Lord Vellan twierdzi, że sam poznał klątwę dokładnie w tej postaci.
- Przeczytaj resztę, sir Bishopie.

*Oczy panny zielone jak blask pożądania,
Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,
Serce panny jest czyste i kłamać się wzbrania,
Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

- Czy lady Merryn de Gay ma rude włosy i zielone oczy?

- Bez wątpienia - stwierdził król. - Zatrzymaj kopię klątwy. Może ci się jeszcze przydać.

Bishop starannie zwinął pergamin i wsunął go do pochwy na sztylet wiszącej u pasa. Zaczął podejrzewać, że król w głębi ducha nienawidzi swojej córki i dlatego posyła jej wybawcę na pewną śmierć. Na pastwę jakiegoś demona, jak twierdzi Robert Burnell. Bądź trucizny podanej dłonią starca. A może to sama dziewczyna uwalnia Penwyth od najeźdźców i siebie samą od niechcianych mężów?

Czy owe dwa wiersze istotnie pochodzą sprzed wieków?

Bishop zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, jakby odebrało mu mowę. Nie chciał, by król miał go za tchórza, z drugiej zaś strony wcale nie miał zamiaru umierać. Dopiero co skończył dwadzieścia cztery lata!

Ponieważ jednak nie pozostawiono mu żadnego wyboru, kiwnął z rezygnacją głową i ukłonił się królowi.

- Dziękuję za szczodrość i pokładane we mnie zaufanie, wasza wysokość. Czuję się zaszczycony. Do śmierci będę bronił i strzegł zamku Penwyth. – *I mam szczerą nadzieję, że nadejdzie ona raczej za pięćdziesiąt lat niż za tydzień.*

- Dobrze powiedziane - uśmiechnął się król. I w samą porę, pomyślał jeszcze. Kiwnął głową do Burnella, by wręczył Bishopowi plik oficjalnych dokumentów spisanych pięknym charakterem pisma sekretarza.

Bishop przebiegł wzrokiem ich treść. Doszedł do wniosku, że właśnie czyta wyrok na siebie. Nagle się uśmiechnął.

- Czy mógłbym prosić o jeszcze jeden dokument, wasza wysokość? Być może zdołałby on ocalić mi życie.

Król odpowiedział uśmiechem.

- O co chodzi, Bishop? Obawiasz się, że dopadnie cię klątwa?

- Wydaje mi się, że taka obawa nie jest bezpodstawna, skoro klątwa zabiła już czterech rycerzy...

- Teraz jednak rzecz ma się inaczej - surowo powiedział Edward, prostując się na tronie. - Napisałem do lorda Vellana, że osobiście wyznaczam cię na jego dziedzica. Zatem sprawa jest już załatwiona i klątwa nie ma żadnej mocy. To królewski nakaz.

- Wszyscy w Kornwalii wiedzą, że czwarty z rycerzy, przybywszy do Penwyth, głośno obwieszczał, że znalazł się tam z twojego polecenia, mój panie - wtrącił się Burnell. - Niestety, nie ocaliło mu to życia. Skonał, ciągnąc świeżo poślubioną małżonkę do łoża.

- Nie wiedziałem o tym - przyznał król i podrapał się po brodzie. - Lecz tamten rycerz kłamał, a demony z pewnością zdawały sobie z tego sprawę, więc tym chętniej porwały jego nędzną duszę do piekła.

- To możliwe - kiwnął głową Burnell. - W każdym razie nie miał przy sobie żadnych dokumentów potwierdzających jego słowa.

- Może zatem powinienem nalegać, by demony odczytały dokumenty, zanim i mnie porwą do otchłani? - z szyderstwem w głosie zapytał Bishop.

Któryś ze służących parsknął cichym śmiechem.

Robert Burnell zmarszczył brwi.

- Naprawdę nie chcę, byś umierał - stwierdził król, wpatrując się w rycerza - mimo że nie podobał mi się twój żart. Masz jakiś pomysł, Robbie?

- Myślę, że sir Bishop chciał ukryć lęk pod niewczesnym żartem, *sir* - wycedził sekretarz. - Nie jest przecież głupcem. Co więcej, jestem przekonany, że ma już jakiś plan.

- Czy to prawda? Masz już plan, sir Bishopie?

- Oczywiście - przytaknął Bishop. - Mam nadzieję, że to dobry plan, *sir*, albowiem jest jedynym, jaki przychodzi mi do głowy.

* * *

Trzy dni później sir Bishop Lythe, obecnie prawowity dziedzic lorda Vellana de Gaya, baron Penwyth, opuścił Londyn, choć miasto nie zaczęło jeszcze cuchnąć. Świeży, wiosenny wiatr, omiatał ulice i zaułki. Jednak sir Bishop czuł prawdziwą ulgę, zostawiając za sobą ciżbę ludzką, przenikliwy smród niemytych ciał i wieczny harmider. Przed jego oczami rozciągały się uprawne pola i łąki.

Wyruszał do Kornwalii ze swoim oddziałem i dwoma dokumentami od króla ukrytymi w skórzanej sakiewce na piersi. Między dokumenty wsunął też kopię klątwy Penwyth.

Zatem dziewczyna jest ruda i ma zielone oczy? Hm, zaiste, brzmi to intrygująco i zapewne będzie się świetnie bawił. O ile przeżyje. Nigdy jeszcze nie spał z rudzielcem i zastanawiał się, czy włosy na łonie też będzie miała czerwone. Cóż, przekona się o tym, kiedy już zostanie jej mężem.

Zanim jednak uda się z nią do łoża, musi jakoś uniknąć dotknięcia klątwy. Z tego, czego zdążył dowiedzieć się o świecie, w niektórych sprawach stosowano tradycyjne sposoby, w innych potrzebne były szczególne metody. Cieszył się ogromnie, że zdołał wymyślić tego rodzaju sposób. Może dzięki niemu nie zginie.

Rozdział 3

St. Erth, Kornwalia

Otoczony jedenastoma żołnierzami młody Bishop wjechał na dziedziniec St. Erth. Wyraz jego twarzy nie spodobał się Dienwaldowi de Fortenberry, pierwszemu hrabiemu Erth i przekłętemu zięciowi samego króla. Sir Bishop trzymał hełm pod pachą, a jego długie czarne włosy powiewały na wietrze. Nie wyglądał na szczęśliwego. Zwykle pogodne, błękitne oczy zwęziły mu się w szparki. Wyglądał, jakby podjął trudną decyzję i miał zamiar za wszelką cenę dotrzymać słowa. Co to może oznaczać?

- Weź swoich ludzi i przyjdźcie do Wielkiej Sali, Bishopie - krzyknął Dienwald. - Widzę, że masz dla mnie wieści, które cię wcale nie radują. Nie mów mi, sam zgadnę. Król, mój ukochany teść, życzy sobie, bym wybudował flotę, załadował na nią wszystkich mieszkańców Kornwalii i popłynął zdobyć przeklętą Francję!

Bishop z uśmiechem pokręcił głową. Oczy mu rozbłyły.

- Nie, Dienwaldzie, nie zgadłeś. Wieści nie są nawet w połowie tak złe, i mam nadzieję, że dożyję, by móc to

sprawdzić. Natomiast potrzebna mi twoja rada.

- Umm... - mruknął Dienwald, drapiąc gładko ogolony policzek. - Tajemnica. Mój błazen, Krętacz, wymyślił o tym baśń, która przeżyje nas wszystkich. Philippo! - krzyknął nagle. - Chodź tu, mała wiedźmo, i powitaj dzielnego rycerza, który uratował twój piękny tyłeczek. Mówię o tym głośno i szczerze, byś nie miała okazji skarżyć się ojcu, że cię nie doceniam. Król obdarłby mnie ze skóry - powiedział cicho do Bishopa - gdyby choć jeden kręcony włos spadł jej z głowy. W ciągu ostatnich trzech lat powtórzył mi to co najmniej kilkanaście razy. Zastanawiam się czasem, gdybym naprawdę miał chęć wyrwać jej kilka włosów, skąd król miałby się o tym dowiedzieć. Philippa ma taką masę loków, że nikt by się nie zorientował.

Philippa de Fortenberry weszła do Wielkiej Sali z małymi chłopcami, każdym pod jedną pachą.

- Jak się masz, Bishopie. Witaj w St. Erth. O co chodzi? Nie wyglądasz jak rycerz, który cieszy się z królewskiej nagrody. Wejdz, proszę. Oddaj wodze Gorkelowi. On się zaopiekuje twoim rumakiem, a także twoimi ludźmi. Nasz sąsiad, Graelam de Moreton, przysłał nam wspaniałe wino swojego teścia.

Bishop zsiadł z konia i oddał wodze Gorkelowi Szkaradnemu, który powitał go szczerym uśmiechem, od którego rycerz dostał gęsiej skórki na całym ciele. W okolicy mawiano, że nad Kornwalią słońce rzadko świeci, gdyż nie chce oglądać wstrętnej twarzy Gorkela. Bishop musiał jednak przyznać, że tego dnia twarz sługi nie wydawała mu się tak potworna jak wtedy, gdy ujrzał

ją po raz pierwszy.

Bishop uściskał Dienwalda i podszedł do Philippy, spoglądając na chłopca, którego podrzucała jedną ręką.

- Czy to Mikołaj? - zapytał.

- To jest Mikołaj - odparła Philippa, podrzucając drugiego syna. - A ten to Edward.

Bishop chętnie uściskałby Philippę i zrobił nawet dwa kroki w jej stronę, jednak kątem oka dostrzegł, że Dienwald marszczy brwi. Zatrzymał się więc nieco niezgrabnie, ukłonił i tylko dotknął jej dłoni.

- Cieszę się, że znajduję cię w dobrym zdrowiu, pani - powiedział i uśmiechnął się, gdy Philippa roześmiała się dźwięcznie.

- Co się stało? Spotkałeś się z królem, nieprawdaż?

- Owszem, spotkałem się z nim.

- Słyszałam, że prosiłeś Dienwalda o radę. Nie wolałbyś poprosić mnie?

- Chętnie skorzystam z każdej rady i każdej pomocy - odparł gładko Bishop - jako że twój ojciec, a nasz król, zaserwował mi talerz z pięknie podanym daniem, które równie dobrze może się okazać całkiem niestrawne.

- Mimo to na twjej twarzy gości uśmiech - stwierdził Dienwald. - Coś mi się wydaje, że królewski prezent nie jest ci wstrętny. - Przeczesał palcami gęste włosy, które żona uwielbiała głaskać, gdy całowała go i przygryzała płatki jego uszu. - Zatrzymałeś się w Wolffeton, by poznać lorda Graelama?

- Nie. Król nakazał mi pośpiech - wytłumaczył się Bishop. - Poza tym nie byłem pewien, jak mnie przyjmie.

- Przyjąłby cię z otwartymi ramionami – zapewnił Dienwald. - Powinienem chyba powiedzieć ci, że Graelam jest naprawdę przyzwoitym rycerzem. Na jego słowie można polegać. Potrafi też wcale nieźle kłamać, zwodzić i kraść, ale wciąż daleko mu do mnie.

- Nikt nie potrafi tak kłamać, zwodzić i kraść jak mój mąż - powiedziała Philippa, podając Dienwaldowi jednego z chłopców. Uśmiechnęła się promiennie do Bishopa. - Chodź, napijemy się wina i opowiesz nam, co się wydarzyło.

Dienwald podrzucił chłopca wysoko w górę. Bishop znów nie był pewien, czy to Edward czy Mikołaj.

- Jeśli chodzi o żonę Graelama, lady Kasię, jest ona prawdziwą księżniczką - ciągnął Dienwald. Posadził sobie syna na ramieniu, wznosił oczy do nieba, zatrzepotał rękami i westchnął przeciążę. - Philippa zaproponuje ci wprawdzie puchar wina, lecz założę się, że Kassia chętnie oddałaby ci klucze do piwniczek jej męża.

Philippa dzieliła męża kułakiem.

- Nie waz się mówić zbyt pochlebnie o malej Kassii. To ja jestem prawdziwą księżniczką.

- Ty jesteś prawdziwą wiedźmą - odparł Dienwald, patrząc czule na żonę i biorąc od niej drugiego chłopca. - Gdzie się podziewa moja mała Eleanor? Chciałbym, by Bishop miał sposobność zobaczyć najpiękniejszą dziewczynkę w całej Anglii.

- Będzie miał jeszcze okazję się nią zachwycić, drogi mężu. Bishopie, mój zacny małżonek jest ci niezmiernie wdzięczny za ocalenie mi życia, mimo trzech lat wspólnego pożycia i obserwowania, jak się toczę z Eleanor, a potem bliźniętami w mym łonie.

Zarzeka się, że niemal umarł ze zgrozy, gdy wydawałam dzieci na świat. Oskarża mnie, że chciałam go zabić poczuciem winy i specjalnie przedłużałam porody. Teraz zaś, choć zwykle tego nie robi, najwyraźniej zamierza cię poczęstować swoim cennym, pilnie strzeżonym winem.

- A gdzie jest twój syn Edmund, Dienwaldzie? - zapytał Bishop, rozglądając się dokoła.

- Poluje z lordem Graelamem. - Dienwald pokręcił głową i parsknął. - Widziałem chłopaka chyba ze dwa tygodnie temu. Mówił wyłącznie o wspaniałym lordzie Graelamie, jego sile i mądrości. Ledwie to zniosłem, powiadam ci.

Edmund, syn Dienwalda z pierwszego małżeństwa, miał już niemal jedenaście lat. Czas tak szybko płynie! Dienwald podał chłopców Bishopowi, chwycił żonę za gęste loki i soczyście ucałował jej usta. Roześmiał się i powiedział:

- Czas coś zjeść, wiedźmo. Zajmij się tym.

Philippa ze śmiechem wezwała służbę. Bishop ruszył w kierunku jadalni, niosąc bliźnięta.

Gdy na talerzach zostały już tylko kości, Philippa okiełznała swawolne loki srebrną opaską i powiedziała:

- Nadszedł wreszcie czas, Bishopie, byś powiedział nam, co się wydarzyło.

- Jestem nowym baronem Penwyth. Ponadto król oddał mi rękę Merryn de Gay.

Dienwald zakrztusił się winem i opryskał nim stół.

- Na kości wszystkich męczenników! To niezbyt dobrze, Bishopie! No, może i dobrze, ale to przerażające. Co z tą słynną klątwą?

Philippa trzepnęła męża w plecy z taką siłą, że niemal wylądował twarzą w talerzu.

- Dziewczyna jest już czterokrotną wdową, Bishopie. Ojciec przeznaczył cię na piątą ofiarę? To naprawdę okropne.

Bishop oparł się wygodnie i kołysząc pucharem wypełnionym słodkim, czerwonym winem, opowiedział przyjaciółom o spotkaniu z królem.

- Zatem mój wspaniały teść uczynił cię spadkobiercą Penwyth. Poślubisz Merryn. Nie marszcz brwi, Bishopie. Dziewczyna wcale nie jest szkaradna ani nie ma zębów jak zając. Hmm... Zamek wspaniały, jednak nie podoba mi się to, że miałbyś zginąć, zdobywając go. Co by oczywiście oznaczało, że nie otrzymałbyś żadnej nagrody.

*Żadnej nagrody! Żadnej nagrody!
Ożenić musi się Bishop młody,
Cóż jednak dostanie w darze?
Nagrody żadnej! Nagrody żadnej!
Padnie w objęcia śmierci szkaradnej!*

Philippa spojrzała surowo na Krętacza stojącego na szeroko rozstawionych nogach z idiotycznym uśmiechem na twarzy.

- Co to było, Krętaczu? - zapytał Dienwald.

- Rymy. Zrymowałem. Sprawilem się pięknie, czyż nie, mój panie?

Dienwald podrapał się za uchem i uśmiechnął szeroko.

- Podejdz tu, Krętaczu. Pierwszy padniesz w objęcia śmierci...

- O, nie! Pan chce się dobrać do mojego tyłka. Już mnie tu nie ma!

Krętacz zaczął zmykać pokracznie, chowając się po kątach.

- Wybacz, Bishopie. Gdy wstępuje w niego iskra boża, przemawia wierszem - powiedziała Philippa. - Zwykle są one znacznie gorsze. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, że z własnej woli chcesz położyć głowę pod topór. Masz jakiś plan?

- Zanim wam o nim opowiem, chciałbym zapytać, czy macie może pojęcie, dlaczego celtyccy kapłani obłożyli ochronnym zaklęciem zamek, który zbudowano całe wieki później?

Philippa oparła podbródek na dłoni.

- Powiadają, że druidzi z łatwością spoglądali w przyszłość. Podejrzewam, że kapłani wiedzieli, że na ruinach ich świątyni ktoś wybuduje zamek i dlatego zaklęli to miejsce. By chronić swych potomków.

Dienwald machnął ręką.

- Słyszałem tę teorię, ale trudno mi w nią uwierzyć. Są też inne poważne kwestie do przemyślenia. Twoja przyszła żona ma śliczną twarz i przepiękne włosy. Nie tak dzikie i pokręcone jak wiedźma przy naszym stole, za to ogniste jak zachód słońca nad wzgórzami Pendeen.

- O, tak. A oczy zielone jak blask pożądania.

- A skąd takie porównanie? - zdumiała się Philippa.

Bishop podał jej pergamin i Philippa przeczytała na głos:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,
Kto łądem nadjedzie, ten w męczarni skona,
Szczęście niechybnie, kto klucza dobędzie,
Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!
Oczy panny zielone jak blask pożądania,
Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,
Serce panny jest czyste i kłamać się wzbrania,
Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Krętacz nadbiegł w podskokach.

- Co za wspaniała klątwa! Jakie niezrównane rymy! Na szerniałe paznokcie wszystkich świętych napiszę podobną! Zaklinam się!

Dienwald pokiwał głową.

- Zaiste, klątwa niczego sobie. I brzmi tak, jakby rzeczywiście odnosiła się do Merryn. Nie widziałem jej od kilku lat i nie wiem, czy ma biust, o którym warto wspominać. Tak czy siak, nie może się równać z moją piękną Philippą.

- Ja także nic nie wiem na temat jej biustu stwierdził Bishop. Jeśli chodzi o zielone oczy i rude włosy, był przekonany, że Merryn ma właśnie takie. - Wybacz, Dienwaldzie. Celtyccy druidzi mieliby wymyślać specjalną klątwę, by chronić swych potomków? Nie mogę w to uwierzyć. Ta Merryn miałaby być spadkobierczynią tradycji druidów?

- Czterech rycerzy zginęło już przez tę klątwę - powiedział Dienwald. - Nie powinieneś jej lekceważyć. Nie można też nie zauważyć, że Merryn dokładnie odpowiada opisowi.

- Możesz być pewny, że niczego nie lekceważę. Jednak wciąż zapytuję sam siebie: czy to naprawdę klątwa? Niosące śmierć słowa pradawnych kapłanów? Czy może coś, co potrafiłbym objąć umysłem? Podejrzewam, że to trucizna. Starzec, lord Vellan, zabija najeźdźców. Albo jego wnuczka.

- To by oznaczało - wtrąciła się Philippa - że Merryn wiedziała wystarczająco wiele o truciznach, by zabić pierwszego męża, gdy miała zaledwie czternaście lat. Posuwasz się za daleko, Bishopie.

- W takim razie lord Vellan - upierał się rycerz. - Gdy pojawił się pierwszy pretendent do objęcia zamku, powitał go słowami klątwy.

- Zgadza się. Był na to przygotowany - westchnęła Philippa.

- Być może - powiedział Dienwald. - Sąsiedzi uważają lorda Vellana za starego przebiegłego lisa.

- Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że druidzi rzeczywiście pobłogosławili tę ziemię, lecz nie wymyślili żadnej śmiertelnej klątwy. Potem ich błogosławieństwo dostało się w ręce wiedźm z Byrne. Może to one zamieniły je w słowa niosące zniszczenie? Czy to nie miałyby więcej sensu? Przecież wciąż gdzieś żyją wiedźmy, czyż nie?

- Owszem - odpowiedziała Philippa. - Słyszałam, że wiedźmy z Byrne wciąż zamieszkują jaskinie w lesie Boswednack. Nie lubią gości.

- Sam nie wiem, Bishopie - zadumał się Dienwald. - Twoja teoria wydaje się prawdopodobna. Chciałbym wiedzieć, jaka śmierć dosięgła każdego z tych czterech rycerzy.

- Wyborna myśl, Dienwaldzie! - wykrzyknęła Philippa. - Z pewnością rodzaj ich śmierci pomoże nam odgadnąć, czy zostali otruci, czy też dosięgła ich klątwa.

- Na relikwie Świętego Egberta - westchnął Bishop, przeczesując włosy palcami. - Nie mam pojęcia, jak zginęli moi poprzednicy. Muszę jednak się tego dowiedzieć. I powiem ci, Dienwaldzie, że będę błogosławił dzień, w którym się dowiem, że nie ma żadnej klątwy. - Znów westchnął. - Robert Burnell powiedział mi, że Penwyth jest niewielkim zamkiem. Nie tak okazałym jak St. Erth czy Wolffeton, za to ma wielkie znaczenie strategiczne.

- Zgadza się - odparł Dienwald. - Hm, wciąż nie mogę się nadziwić, Bishopie. Król podarował ci wiedźmę i Penwyth. To oznacza, że musi cię wielce szanować.

- A więc ona jest wiedźmą? - zachnął się Bishop, wytracony z równowagi. - Wiedźmą? Na wszystkich świętych, jeszcze przed chwilą chwaliłeś jej urodę i piękne włosy, teraz zaś zwiesz ją wiedźmą?

- Mój mąż żartuje, Bishopie - uspokoiła go Philippa. - Merryn nie jest wiedźmą. A przynajmniej ja uważam, że nią nie jest. Nie jest już także dzieckiem. Pierwszy raz wyszła za mąż, mając zaledwie czternaście lat. Tak głośzą plotki. Prawda zaś jest taka, że nigdy jej nie widziałam, zaś mój ukochany mąż widział ją tylko raz, dwa lata temu. Musisz więc brać to pod uwagę, słuchając jego kwiecistych opisów.

- Bądź cicho, wiedźmo - prychnął Dienwald. - przeczuwam różne rzeczy, dochodzę do błyskotliwych konkluzji na podstawie błahych faktów. Teraz na przykład z twarzy Bishopa wyczytuję, że nie ma on najmniejszej ochoty jechać pod mury Penwyth i ogłosić się piątym dziedzicem zamku i okolic. Zawsze mówiłem, że bystry z ciebie chłopak. Opowiedz nam, co zamierzasz zrobić. Bishop pochylił się i rzekł:

- Dobrze więc. Opowiem.

Godzinę później Bishop raz jeszcze z rozczuleniem przyglądał się bliźniętom i delikatnie pogładził policzek Eleanor. Potem zasnął spokojnie na wąskim łóżku w komnacie, z której okna rozciągał się wspaniały widok na wzgórze Kornwalii.

Zanim o poranku wyruszył w drogę, uściskał gospodarza, dziękując mu za radę i gościnę.

- Nie jestem już zbyt młody, by się żenić, lecz czuję się stanowczo za młody, by zginąć w drodze do ołtarza.

- Przestań się mazać, Bishopie - odparł Dienwald. - Tylko osiemnaście lat przeżyłem na tej cudnej ziemi,

gdy poślubiłem moją pierwszą żonę. Cieszę się z tego, gdyż owocem tego związku jest Edmund. Jeśli jednak miałbyś umrzeć, zasługujesz co najmniej na niezapomnianą noc poślubną. - Zakrzyknął na Krętacza leżącego na sitowiu i żującego kawałek sera: - Hej, półgłówku, zaśpiewaj podniosłą pieśń dla sir Bishopa z Lythe, barona Penwyth. Dalejże, zaśpiewaj dla chrobrego rycerza, który pokona dawno wymarłych kapłanów i ich klątwy.

Krętacz szybko przełknął ser, wyprostował się i zaryczał przeraźliwie:

*Prześliczny rycerz w konkury gna,
Na noc poślubną nadzieję ma.
Czy wiedźmą będzie narzeczona
Chce się dowiedzieć, zanim skona.*

- To było straszne! - jęknął Dienwald, odsyłając trefnisią kopniakiem z powrotem na sitowie. Błazen poturlał się efektownie po kamiennej posadzce. - Twoje nędzne rymy wzbudzają we mnie odrazę. Nie wiem, czy zdołam coś jeszcze przełknąć. Co powiesz na to, Philippo? Jak mam znosić to ponure monstrum?

- Jego wierszydła ranią moje uszy, mężu. Czy powinnam go również kopnąć?

- Nie - zaprzeczył Dienwald. - Musnąłem go ledwie, potoczył się całkiem zacie i to wystarczy.

- Wolałbym, by mnie kopała księżniczka prawie królewskiej krwi - pożalił się błazen, dygając pokracznie przed Philippa. - Pan ma cięższe buty.

- Kiedy kopnęła cię ostatnim razem - wtrącił Dienwald - mało nie powybijałeś sobie zębów.

- Sir Bishopie - rzekł błazen, kłaniając się przed rycerzem - niech cię Bóg prowadzi, ja zaś postaram się wymyślać gładze rymy na twój chwalebny powrót. Jeśli w ogóle wrócisz. Czy można upiec rycerza w zbroi?

Bishop sam miał ochotę go kopnąć.

Rozdział 4

Penwyth, Kornwalia

Im bardziej Bishop zbliżał się do Penwyth, tym piękniejsza robiła się pogoda. Dziwiło go to, gdyż z tego, co słyszał i widział po drodze, w Kornwalii padało równie dużo jak w całej Anglii, czyli o wiele za często, by można było to spokojnie znosić. Zdawało się, że nad tą okolicą rozpostarty jest niewidzialny parasol. Ziemia była wysuszona i spękana. Każdy kamień, każde drzewo i krzak pokryte były grubą warstwą kurzu.

Niedobrze, pomyślał. Każdą twierdzę powinny otaczać pola uprawne, sady i ogrody, by mogła się wyżywić. Zwłaszcza tu, na samym skraju Anglii.

W najlepszych czasach bujnie kwitnąca i zielona zachodnia Kornwalia przypominała teraz wypalony przedsionek piekła. Bishop był ciekaw, czy król Edward zdaje sobie z tego sprawę.

Minęli niewielkie wzniesienie i wyjechali prosto na zamek Penwyth otoczony pierścieniem grubych murów. Postawiony jeszcze za rządów Ryszarda Lwie Serce wznosił się nad okolicą jak pięść kamiennego giganta. Tuż pod nim przycupnęło niewielkie miasteczko Penwyth. Zamek i miasteczko wybudowano na wzgórzu i zapewne z okien rozciągał się wspaniały widok na okoliczne

ziemie. Mury wyglądały na suche i spieczone słońcem. Bishop ściągnął lekko wodze Nieustraszonego i uważnie przyjrzał się murom. Jedenastu żołnierzy bezwiednie ustawiło się w zwartym szyku za plecami rycerza. W lewych dłoniach dzierżyli piki, w prawych tarcze. Rozglądali się czujnie, gotowi do boju. Bishop wiedział, że się boją, co właściwie było mu na rękę. Chciał, by żołnierze skupili się na zadaniu.

Na szczycie kamiennych murów Penwyth dostrzegł jedynie pięciu żołnierzy. To nie miało sensu. Choć z drugiej strony, czterej jego poprzednicy zdobyli Penwyth bez rozlewu krwi.

Cóż, Bishop nie prowadzi ze sobą armii. To będzie jasne nawet dla głupca. Stali spokojnie, by żołnierze Penwyth mogli im się dokładnie przyjrzeć i upewnić, że nie kryją się za nimi żadne wojska. Nie miałyby nawet gdzie się skryć, jako że poblizu rosnęło niewiele drzew.

Zamek był dobrze ufortyfikowany, miał głęboką fosę, choć w tej chwili zupełnie suchą. Most zwodzony podniesiono i zamknięto. Każda z czterech okrągłych wież miała co najmniej dwanaście metrów wysokości. Nie dostrzegł żołnierzy w basztach ani okienkach strzelniczych. Zdumiewające.

Podjechał do krawędzi fosy i zakrzyknął:

- Nazywam się sir Bishop z Lythe. Przysłała mnie król Edward. Nie zamierzam nikomu wyrządzać krzywdy. Pozwólcie nam wjechać, byśmy mogli wam przedstawić wolę króla.

Głowy pięciu żołnierzy zniknęły. Minęło kilka minut. Wiał gorący, suchy wiatr, niosący lepki kurz, który osiadał na twarzy i wciskał się w ubranie.

- Zaklinam się, że spod jednego z hełmów wystawały długie siwe włosy! - szepnął dowódca żołnierzy, Dumas. - Co to za miejsce?

- Mam nadzieję, że zdołamy się tego dowiedzieć, zanim zginieemy.

Wreszcie na blankach pojawił się siwowłosy starzec i przytknął dłoń do ust.

- Jestem lord Vellan de Gay - krzyknął. - Twierdzisz, że nazywasz się sir Bishop z Lythe. Nigdy o tobie nie słyszałem. Skąd mam wiedzieć, że przybywasz tu od króla?

- Nie jestem w stanie podbić twojego zamku, lordzie Vellan - odkrzyknął Bishop. - Zdjął hełm, by wiatr osuszył pot na jego twarzy. - Mam przy sobie tylko jedenastu żołnierzy. Jak widzisz, nie ma tu skał ani drzew, za którymi mogłaby się ukryć wroga armia. Możesz, jak sądzę, zaryzykować i wpuścić nas do Penwyth. Przysięgam na Boga, że nie mamy wrogich zamiarów. Jestem tylko posłańcem królewskim.

Lord Vellan stał na blankach. Gęste siwe włosy powiewały wokół głowy w podmuchach gorącego wiatru. Bishop żałował, że nie widzi jego twarzy, lecz stał za daleko, poza tym zbyt wiele włosów furkotało przy twarzy starca, mieszając się z białą brodą.

Lord Vellan nic więcej nie powiedział. Po chwili zgrzytnęły grube łańcuchy i ciężki most zaczął się powoli opuszczać ponad suchą fosę.

Potem podniesiono bronę. Bishop skinął głową do swoich ludzi i lekko dotknął ostrogami boków Nieustraszonego. Ogier szarpnął się mocno, podrzucił głową i zarżał donośnie.

Ku zdumieniu rycerza odpowiedziało mu stłumione rżenie z zamku. Najwyraźniej w stajniach kryła się klacz.

Tego tylko mu było trzeba! Klacz w pobliżu jego Nieustraszonego, najbardziej jurnego rumaka w całej Anglii! Powinien w zasadzie wykastrować konia, lecz na ogół lubił jego narowistą i złośliwą naturę.

Poprowadził swoich ludzi pod brona. Nie był w stanie nie patrzeć na szpikulce i nie obawiać się, że w każdej chwili mogą spaść mu na głowę i rozszcepić go na dwoje. W tej chwili dopiero zdał sobie sprawę, że zamek należy do niego. Czy też, że będzie należał do niego, gdy lord Vellan uda się na spotkanie ze swoimi przodkami. O, tak. To jego brona, jego most zwodzony i jego wysuszona fosa!

Minął zewnętrzny dziedziniec i przez bramę w grubym murze dostał się na dziedziniec wewnętrzny. Przystanął, wsłuchując się w dźwięki wypełniające duszną przestrzeń poza zamkowymi murami. Młot kowalski dźwięczał jak grom. Psy szczekały wściekle, dzieci płakały, a dorośli śmiali się i pokrzykiwali do siebie. Gdy tylko mieszkańcy miasteczka zobaczyli Bishopa i jego ludzi, zapadła grobowa cisza. Młot umilkł, nawet zwierzęta ucichły.

Bishop wiedział, co widzą mieszkańcy. Przyszłego, piątego z kolei, niebawem już martwego męża swojej pani. Zapewne zastanawiają się, jaką śmiercią skona. Z uśmiechem zatrzymał konia kilka kroków przed kamiennymi schodami wiodącymi do Wielkiej Sali.

Spojrzał na stojącego na stopniach starca. U jego boku kołysał się miecz, długi niemal do ziemi i uwieszony na szerokim skórzanym pasie, który zdawał się przecinać starca niemal na pół. Za pas wsunięty był również koniuszek długiej białej brody.

Stał wyprostowany, o wiele bardziej godny i dumny niż ojciec Bishopa. Widać było, że starzec ma więcej honoru niż powinien mieć zwykły śmiertelnik.

- Lordzie - odezwał się Bishop. - Jestem Bishop z Lythe i przybywam do ciebie z wieściami od króla.

Zza starca dał się słyszeć dziewczęcy głos, nie piskliwy i zalotny, lecz ostry, zabarwiony podejrzeniem.

- Bishop, dziadku? Czy ten człowiek sądzi, iż uwierzemy mu, że król posłał do nas kapłana?

Czyżby była to dziewczyna, która prawdopodobnie nie ma biustu, za to ma ładnie wykrojony podbródek? I piękne rude włosy?

- Źle usłyszałaś moje imię, pani - powiedział grzeczenie.

Wysunęła się zza pleców dziadka. Dziewczyna, którą miał poślubić i która będzie jego żoną, dopóki nie wyzwoli się z więzów śmiertelnego ciała. Nie uśmiechała się, więc nie mógł stwierdzić, jakie ma zęby. Podbródek miała istotnie ładny, w tej chwili uniesiony wysoko na znak uporu. Linię ładnych warg wykrzywiał wyraz nieufności, który dominował obecnie na jej obliczu.

- Powiedziałaś, że jesteś Bishopem z Lythe. Z pewnością jesteś zatem kapłanem. Dlaczego król przysłał do nas kapłana? Czyżby planował użyć kościelnej władzy, by napomnieć mojego dziadka i wmówić mu, że pójdzie prosto do piekła, jeśli nie przestanie się upierać przy tym, bym stała się jego dziedziczką? Ja, słaba kobieta, zupełnie bezwartościowa w oczach Kościoła?

- Jeśli twoje myśli są równie pokrętnie jak słowa, zdaje się, że powinienem się zacząć zastanawiać, czy nie postradałaś przypadkiem rozumu – odparował Bishop.

Obraził ją celowo, by zobaczyć, jak panna zareaguje.

Sprężyła się, jakby chciała odepchnąć dziadka z drogi i rzucić się na Bishopa. Mocno zacisnęła pięści. Po chwili milczenia Bishop przemówił:

- Nie. Nie przyjechałem w tym celu.

Lord Vellan ujął wnuczkę za rękę i ścisnął ją lekko.

- To moja wnuczka i dziedziczka, lady Merryn de Gay - powiedział. - Skoro nie jesteś kapłanem i nie przybyłeś w celu, który sugeruje moja wnuczka, po co zatem przybyłeś do Land's End w środku suszy, gdy wszystko wokół nas umiera?

- Król przysłał mnie, bym przełamał klątwę ciągnącą nad Penwyth, lordzie Vellanie. Nie jestem kapłanem, za to posiadam tajemną wiedzę - Bishop przemawiał bez wahania, patrząc lordowi Penwyth prosto w oczy. - Jestem uczonym. Ludzie zwykle uważają mnie za czarodzieja, gdyż posiadam dar rozumienia nadprzyrodzonych sił. Słyszałem, że klątwa zgładziła już czterech rycerzy, bez wątpienia musi to być potężne zaklęcie, jednak wierzę, że sobie z nim poradzę. - Bishop się uśmiechnął.

Lord Vellan zamrugał gwałtownie. Bishop uznał, że to dobry znak. Starzec odgarnął gęste, siwe włosy z twarzy i szepnął:

- Czarodziej, powiadasz?

- Tak twierdzą.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem człowieka, o którym powiadają, iż jest czarodziejem. Jeśli chodzi o klątwę, to muszę wyznać, że chroniła ona nasz zamek. Czterej rycerze, których zniosła z powierzchni ziemi, byli najeźdźcami. Wrogami, którzy zmusili mą wnuczkę do

zameńcia. Ty zaś twierdzisz, że król chce, byś zdjął tę kłatwę?

- Owszem, zgadza się.

- Nie rozumiesz tego? Przecież my chcemy, by nadal nas chroniła! - Merryn zrobiła krok w jego stronę. Głowę trzymała wysoko, plecy miała wyprostowane, oczy zmrużone. Była gotowa w każdej chwili rzucić mu się do gardła, a potem pokonać wszystkich jego ludzi. - Kłątwa już cztery razy ochroniła nasz gród. - Wystawiła mu przed oczy cztery palce. - I ocaliła również mnie.

- Miła pani - odezwał się Bishop surowym głosem - pochowałeś już czterech mężów. Nie będziesz więcej grzebać rycerzy. Król tego zabrania.

- Skoro król sobie tego nie życzy, niech tak będzie. Następnym nie będziemy już chować. Niech ich wraże cielska zgniją na błoniach u stóp grodu. A skoro mowa o moich czterech mężach, wspomnę tylko, że jeden z nich nie miał ani jednego zęba, choć nie był starszy od mojego ojca, który umierając, miał jeszcze wszystkie. Był odrażający. Posłuchaj mnie, *sir*, wszyscy oni byli na wskroś źli. Z całego serca się cieszę, że nie żyją.

- Który z nich nie miał zębów?

- Trzeci z kolei, Flammond de Geoffrey - odparła Merryn. - Najemnik, który ledwo mówił po angielsku.

- Zmusił ją, by go pocałowała, i wessał się w nią bezzębnymi ustami. - Lord Vellan zadrżał z obrzydzenia. - Nie mogłem na to patrzeć. Merryn trzasnęła go w ucho. Nie mógł jej zabić, gdyż potrzebował dziedzica z jej łona, postanowił więc na jej oczach zabić jednego ze sług. Sześciu jego zbirów schwyciło Crispina i Geoffrey uniósł nad nim miecz. Nagle wypuścił go z rąk, szeroko

otartymi oczami zapatrzył się w sufit, jakby kogoś na nim zobaczył, po czym zaczął przeraźliwie krzyczeć i wymiotować pianą.

- O, tak - potwierdziła Merryn. - Piana wypływała z jego ust, on zaś krzyczał i dławił się nią. Wreszcie padł na podłogę, rozdrapując sobie gardło.

Bardzo zgrabne przedstawienie, pomyślał Bishop. Świetnie je zagrali. Wszyscy słuchacze pewnie umierają ze zgrozy. Zastanawiał się, czy to ogóle prawda.

- Nie mam nic wspólnego z twoim trzecim mężem, lady Merryn - powiedział obojętnie. - Wątpię, by którykolwiek z nich w głębi serca chciał cię ślubie. Mężczyźni zrobią wszystko, by dostać to, czego pragną.

Mógłby przysiąc, że zakłęta bezgłośnie. Ktoś powinien nauczyć ją, jakie zachowanie nie przystoi wdowie. Ignorując jej miny, mówił dalej:

- Znowu źle mnie zrozumiałaś, pani. Powiem to wyraźnie, by nawet najślabszy rozum mógł pojąć me słowa: Nie będzie więcej śmierci w Penwyth. Taka jest wola króla!

- Na wszystkich aniołów, co za bzdury. Król przysłał tu jakiegoś idiotę - warknęła cicho Merryn. Bishop jednak usłyszał jej słowa.

- Nie jestem idiotą. - Bishop czuł, że już najwyższa pora na otwarte wystąpienie przed wszystkimi mieszkańcami. Powinni zacząć się go obawiać. Zakrzyknął głośno: - Nie igraj ze mną, *madame*. Jestem czarodziejem i posiadam ukryte moce. Jeśli zaś one mnie zawiodą, jestem również wojownikiem i potrafię bez trudu rozszcześcić czaszkę wrogowi.

- Sir Bishopie, czarodzieju i wojowniku - krzyknęła dziewczyna. - Jak zamierzasz rozszcześcić czaszkę demona z druidzkiej klątwy?

- Zrobię to mým niewidzialnym mieczem - odrzekł i przeciął powietrze zamaszystym cięciem. Jeden ze starszych rycerzy Penwyth odskoczył na bok. - Widzisz? Ten człowiek poczuł ruch klingi niewidzialnego miecza.

Merryn roześmiała się pogardliwie. Bishop wsunął niewidzialny miecz do niewidzialnej pochwy, uśmiechając się spokojnie. Słyszał gwar przyciszonych rozmów mieszkańców zamku.

- Słyszałam, jak miecz z sykiem ciął powietrze. Naprawdę słyszałam! - pisnęła jedna kobieta.

- Czułam zapach rozżarzonej klingi - powiedziała druga i przeżegnała się.

Świetnie - pomyślał Bishop. - Groźba nadprzyrodzonych mocy powinna nauczyć szacunku nawet niepokorną dziewczynę.

- Czy to papież, tato? - zapytał mały chłopiec.

- To grzesznik, taki jak my - prychnęła Merryn. - Cała się trzęsę ze strachu przed jego niewidzialnym mieczem.

Uśmiechała się tak złośliwie, że miał szczerą ochotę wymierzyć jej siarczysty policzek. Powstrzymał się jednak.

- Zobaczysz jeszcze. Czy ty, pani, oraz lord Vellan zgadzacie się ze mną? Żadnych więcej śmierci w Penwyth?

- Nie jesteśmy magikami i nie potrafimy zapobiegać śmierci, sir Bishopie - powiedziała, wciąż szczerząc się bezczelnie. - Sądzisz, że Penwyth jest siedliskiem wiedźm?

Wiedźm? - pomyślał Bishop. - O, tak. Z łatwością mogłaby uchodzić za wiedźmę, skoro tak miele ozorem.

- Zdaje się, że muszę mówić jeszcze jaśniej - stwierdził.

- Nie będzie więcej dziwnych śmierci w Penwyth,

czy to świeżo poślubionych małżonków, czy wędrownych kramarzy, którzy was oszukali na dwa pensy.

- Czy powinniśmy dołączyć do tej listy mężczyznę, który uważa się za biskupa i oczekuje, że będziemy go traktować z niezасłużonym szacunkiem?

Odetchnął głęboko i odparł:

- Jeśli tu zginę, ściągniecie sobie na kark gniew króla. - Zamilkł na chwilę. Cieszył się, że lord Vellan i mała wiedźma najwyraźniej go rozumieją. Przynajmniej Dienwald miał rację co do jej włosów. Czerwone jak zachód słońca. Czerwone jak grzech, jak wrota piekieł. Koloru jej oczu jeszcze nie zdołał dostrzec. Odezwał się spokojnie: - Ja i moi ludzie jesteśmy spragnieni. Przyjechaliśmy St. Erth.

- To zaledwie dwadzieścia pięć mil stąd - wzruszyła ramionami Merryn. - Skoro nie jesteś w stanie pokonać nawet tak krótkiej drogi, to dlaczego nie machniesz sobie nad głową, nie wypowiesz zaklęcia i nie pojawisz się przed nami w obłoku dymu?

Nie zwrócił na nią uwagi. Nie miał wyboru. Mógł ją tylko zignorować albo zsiąść z konia i zamienić w mokrą plamę. Co za kusząca wizja! Bishop westchnął.

- Czy pozwolisz nam wejść do Wielkiej Sali, lordzie Vellan? Mam list od króla adresowany do ciebie, w którym przeczytasz, że wypełniam jedynie jego wolę.

- Oczywiście, wejdźcie, wejdźcie - powiedział lord Vellan. - Merryn, zwołaj służbę. Niech wniosą jadło i napitki dla fałszywego kapłana i jego ludzi.

- Nie jestem fałszywym kapłanem - cierpliwie powtórzył Bishop. - Ojciec nadał mi imię Bishop.

Nie powinno się drwić z cudzego ojca ni z imienia, jakie postanowił nadać synowi. Miał nadzieję, że zechcę wstąpić w szeregi mnichów, ja jednak mam inne plany. Przed moim nazwiskiem obecnie stawia się „sir”, więc nie ma potrzeby kłopotać się z imieniem, jeśli jest dla kogoś zbyt trudne. - Spojrzał na Merryn i dodał: - No, chyba że ktoś jest zbyt ograniczony, by to pojąć.

- Sir Bishop - powiedziała Merryn, smakując każdą głóskę z osobna. - To brzmi nedorzecznie.

- Nie dziwię się, że już cztery razy owdowiałaś, *madame* - westchnął Bishop. - Twój niewyparzony język sprawia, że każdy mężczyzna natychmiast kładzie się do grobu.

- Niestety, każdy, oprócz ciebie - wypaliła.

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Ach, to dlatego, że nie przyjechałem, by cię poślubiać, lady Merryn. - Przeżegnał się z namaszczeniem, słysząc jej wściekły syk.

Wciąż się szeroko uśmiechał, gdy odwróciła się na pięcie i sztywno pomaszerowała po schodach i przez szerokie drzwi do Wielkiej Sali. Spojrzał na schody, zachwycając się wytartymi kamiennymi stopniami, szerokimi w sam raz dla jednego mężczyzny i zbyt stromymi, by wojownik stojący niżej miał jakiegokolwiek szanse w starciu z obrońcą. Wspaniałe schody! Przez chwilę zastanawiał się, jak wiele osób chodziło po nich przez ostatnie kilkaset lat.

Miał szczerą nadzieję, że zdoła wejść po nich jeszcze wiele razy, zanim obróci się w proch i pył. Sądząc po nerwowych szeptach za plecami, domyślił się, że jego rycerze nie spodziewają się, by miał dożyć tak sędziwego wieku jak lord Vellan.

Rozdział 5

Wielka Sala zamku Penwyth okazała się przestronną komnatą o wysokim sklepieniu poczerniałym od dymu przez lata wydobywającego się z ogromnego kominka przy jednej ze ścian. Bishop nie mógł się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, że oto po długiej podróży wrócił do własnego domu.

Domu?

Zdumiewające, lecz prawdziwe. Czuł się ukojony. Czuł się tak, jakby znalazł się w swojej własnej Wielkiej Sali. Odetchnął głęboko delikatnym zapachem dymu i wonią sierści psów myśliwskich, które stały za lordem Vellanem. Czuł także zapach suchego, przegrzanego powietrza. Zaschło mu w ustach. Lord Vellan ma rację. Susza niszczy Penwyth.

- Mamy szczęście, że nasze studnie są niezwykle głębokie - powiedział lord Vellan, siadając na wspianym fotelu o poręczach rzeźbionych w kształcie lwich łbów. Paszcze były rozwarte w niemym ryku. - Gdyby nie to, już dawno zabrałyby nam wody dla mieszkańców zamku i zwierząt. Co innego ziemia. Jeśli niedługo nie spadnie

deszcz, wszystkie nasze uprawy zmarnieją i będą się poważnie obawiał o nasze życie.

- Od kiedy trwa susza?

- Od kiedy pojawił się tu pierwszy kandydat na męża Merryn i padł martwy na swój talerz. Może zaczęła się nieco wcześniej, nie jestem pewien.

- Być może, jeśli uwolnisz nas spod władzy klątwy, znów zacnie padać - odezwała się Merryn, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Byłby to przynajmniej jeden plus całego tego zamieszania.

Niejedyny, pomyślał Bishop, dochodząc do wniosku, że wspañiale by się prezentował w fotelu lorda Vellana.

- Usiądźcie za stołem - powiedział lord Vellan. - Ale przystawcie go tu bliżej, żebym nie musiał do was krzyczeć.

Ciężkie buty żołnierzy zachręściły na sitowiu rozłożonym na posadzce. Bishop pomógł przestawić stół bliżej lorda i stojąc u szczytu, gestem zachęcił żołnierzy, by siadali na długich ławach.

Nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl. Pojawiła się znienacka, jasna i klarowna, jak zwykle jego nagłe olśnienia, które nawiedzały go, odkąd był jeszcze małym chłopcem. Odetchnął głęboko, upewnił się i uśmiechnął.

- Lordzie Vellanie, mam dla ciebie wspañiałą wiadomość - powiedział wreszcie.

- Jaką? Że wyjedziecie stąd, gdy tylko wypijecie wino?

- zapytała niewinnym głosem Merryn.

- Nie. To o wiele lepsza wiadomość niż nasz wyjazd.

- Nie mogę sobie wyobrazić lepszej wieści - stwierdziła Merryn.

Bishop wciąż się uśmiechał.

- W takim razie nic ci powiem i pozwolę ci się nad tym zastanawiać. Obawiam się jednak, że to może całkowicie osłabić twój i tak nietęgi rozum.

Widział, że Merryn nie potrafi znaleźć żadnej ciętej riposty. Mógł odczytać z jej twarzy każde uczucie i domyślił się, że dziewczyna nie potrafi kłamać. Jej twarz była niesłychanie intrygująca. Może nie dosłownie piękna, lecz o regularnych rysach i pełnych życia, wydatnych wargach. Zaś jej , niezwykle oczy, okazały się dokładnie takie, jakie zapowiadała klątwa - zielone jak blask pożądania. Patrząc w nie, czuł nagły przypływ żądy. Nie było w tym nic niestosownego, skoro miał ją poślubić, jednak czuł się zaskoczony. Nieczęsto zdarzało mu się w jednej chwili twarzenie na podobieństwo kamiennych posągów.

A jednak. Od samego spoglądania w jej oczy jego męskość nabrzmiała. Zdał sobie sprawę, że pragnie zobaczyć jej rude włosy, rozplecione, rozczesane i puszczone luźno na ramiona. Czy Merryn jest dzika i grzeszna? Wkrótce się pewnie przekona, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jeśli nie zginie, przyszłość jawi się w doprawdy interesujących barwach.

- Ha! - wykrzyknęła Merryn, gdyż nic bardziej błyskotliwego nie przyszło jej do głowy. Trudno, pokonał ją. Westchnęła: - Dobrze zatem, sir Bishopie. Słucham uważnie. Co jest lepsze niż kolejny martwy mąż?

Bishop pokręcił głową.

- Być może, gdy nabierzesz nieco ogłady i zwrócisz się do mnie słodkim, grzecznym tonem, odpowiem.

- Jeśli będziemy czekali na ogładę i uprzejmość mojej wnuczki, wszyscy się postarzejemy - powiedział lord Vellan.

- Ty już jesteś stary, dziadku.

- A nawet o wiele za stary, Merryn. Sir Bishopie, ja zwracam się do ciebie grzecznie i uprzejmie: jakie dobre wieści przynosisz?

Bishop spojrzął na Merryn.

- Niech będzie - prychnęła. - Cóż to za niedorzeczne wieści?

- Będzie padać.

Lord Vellan z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Deszcz? Przepowiadasz deszcz? Nikt nie może przepowiedzieć pogody.

- Przekonacie się - odparł Bishop.

Merryn mruknęła coś pod nosem, a potem powiedziała na głos:

- Usiądź, sir Bishopie. - Nalała mu wina do pięknego cynowego pucharu. - Twierdzisz, że potrafisz przewidzieć deszcz? Czy masz może jakieś bliższe informacje o wiedźmach z Byrne lub druidzkich kapłanach? Czy naprawdę jesteś czarodziejem? Czy był to kiepski żart?

- Powiedziałem, że tak o mnie mawiają. - Jestem mistrzem w gładkich kłamstewkach, pomyślał Bishop, wspominając starszych braci, największych łgarzy w Anglii. - Jeśli chodzi o deszcz, wyznaję, że wyczuwam jego zapach w powietrzu. Już jako dziecko czułem zapach deszczu. - Bishop postukał palcem w nos. - Nigdy się nie zawiodłem. Najpewniej będzie padało jutro, najpóźniej pojutrze.

Parsknęła drwiąco.

- Jak to robisz, sir Bishopie? - zapytał lord Vellan. - Skąd otrzymałeś taki dar?

- Być może mam go po babce - odparł Bishop. - Gdy byłem mały, słyszałem, jak matka opowiadała, że babka umiała dokonywać niewyjaśnionych rzeczy. - Wzruszył

ramionami. - Wydaje mi że masz rację, lordzie Vellan. Wyczuwanie deszczu jest swego rodzaju darem.

Na twarzy lorda Vellana dostrzegł przeblysł nadziei, lecz Merryn wciąż patrzyła na niego z niedowierzaniem. Z pewnością mu nie wierzyli. Dlaczegoż mieliby wierzyć? Dopiero co pojawił się w ich grodzie, twierdząc, że jest czarodziejem, teraz zaś przewiduje opady deszczu w spustoszonej suszą kraju. Przynajmniej w tej jednej sprawie nie kłamie. Pierwszy raz wyczuł nadchodzący deszcz, mając trzy lata.

Wysłuchał się w głosy służby i żołnierzy rozmawiających cicho pod ścianami Wielkiej Sali podniósł puchar. Kątem oka zerknął na lorda Vellana. Merryn naląła dziadkowi wina z tej samej rafki. Bishop wciąż jednak bał się napić, a choć nienawidził siebie za te obawy, nie mógł nic poradzić. Wiedział też, że przekłeta wiedźma z łatwością odczytała strach malujący się na jego twarzy.

Roześmiała się, chwyciła jego puchar i upiła porządny łyk. Otarła usta dłonią, oddała mu puchar.

- Skoro nie wdarłeś się tu siłą ani nie zmusiłeś mnie do małżeństwa, jesteś całkowicie bezpieczny. Klątwa cię nie doścignie. - Zamilkła na chwilę, po czym zmarszczyła brwi, celowo usiłując go rozzłościć. - Przynajmniej na razie. Któż może przewidzieć, jak działa starożytna klątwa? Może przez wieki działa właściwie, a potem coś psuje?

Wiedźma roześmiała się wesoło.

Lord Vellan wzniósł puchar.

- Jeśli rzeczywiście spadnie deszcz, będę twoim dłużnikiem, sir Bishopie. Gród Penwyth będzie twoim dłużnikiem. - Zerknął z ukosa na wnuczkę. Czyżby w jego starych oczach czała się groźba?

Bishop był zadowolony. Uważał, że to dobrze, iż jego przyszli poddani mają u niego dług. To mu sprawiało przyjemność.

- Niech będzie błogosławiony Bóg Ojciec i zastępy jego aniołów - wykrzyknął, zastanawiając się w duchu, skąd przyszedł mu do głowy podobny toast. Wypił połowę wina jednym haustem. Spodziewał się kwaśnych popłuczyn, jednak napitek okazał się przedni. Bishop oblizał kroplę z brzegu pucharu. Nie był przekonany, czy jest zatrute, czy też nie. Tak czy siak, było już za późno, by się nad tym zastanawiać. Za późno dla nich obojga, skoro jego przyszła żona również spróbowała. Resztę wina wypił, patrząc jej prosto w oczy, Merryn zaś spoglądała na niego z drwiącym uśmiechem.

Słyszac ciche głosy żołnierzy, domyślił się, że uważają go za szaleńca. Nie winił ich za to. Zwykł chodzić w bój z większą pewnością siebie niż teraz, pijąc wino, które przyjął z rąk wiedźmy obserwującej go z uśmiechem. Ta wiedźma powinna mieć czarne, splecione włosy i ostatnie dwa zęby, nie zaś ciasno splecione warkocze upięte wokół głowy na kształt korony. Jej włosy były czerwone jak nos pijaka, jak zachód słońca w Irlandii, jak szaleństwo. Jeśli zaś chodzi o zęby, okazały się proste i olśniewająco białe. Cóż, może i Merryn ma jakieś zalety, choć na razie nie był o tym przekonany.

Merryn dołała mu wina. Bishop widział doskonale, że świetnie się bawi całym tym przedstawieniem. Wzniósł puchar.

- Pijcie, chłopcy - powiedział do swoich żołnierzy. - Wino jest wyborne.

- Żołnierze nie dostali wina, sir Bishopie. Nalałam im piwa z naszego browaru. Nie obawiajcie się, dzielni

rycerze - rzekła do jego ludzi, którzy niemal pospadali z ław z ulgi. Wszyscy chwycili oprócz Dumasa, który wciąż wyglądał, jakby miał chęć ją związać i zakneblować. Merryn odezwała się do niego: - To najlepsze piwo w Kornwalii. Według przepisu mojej matki.

Dumas odchrząknął.

- Gdyby była pani tak uprzejma i pozwoliła nam jednak skosztować wody z waszej studni...

Merryn się roześmiała. Po prostu śmiała się do rozpuku z jego dzielnych żołnierzy, których przed chwilą wystraszyła niemal na śmierć.

- Jak ci na imię, *sir*?

- Dumas, proszę pani.

- Czy od dawna znasz fałszywego kapłana?

- Owszem, proszę pani. Poznałem go, gdy był jeszcze niedojrzałym siedemnastolatkiem.

- Widzę, że dojrzał już wystarczająco - rzekła Merryn, spoglądając na Bishopa. Nie była ślepa, musiała widzieć, że w żadnym razie nie może go uznać za niedojrzałego. Był dobrze zbudowany, silny jak Prince - najlepszy chart jej dziadka, mięśnie miał krzepkie i twarde. Czarne, gęste włosy ocieniały jego twarz, zaś oczy miał ciemnogrnatowe. A do tego jeszcze ta przekłeta, przystojna twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, a usta... Nie, nie będzie patrzyła na jego usta, gdyż na ich widok zaczynają ją przepełniać doprawdy dziwaczne uczucia. Był nieziemsko przystojny i zapewne doskonale o tym wiedział. Prawdopodobnie odkąd dorósł na tyle, by można było całować jego usta i dotykać smukłego ciała, uganiały się za nim całe zastępy swawolnych panien. Nawet zęby miał proste i białe. Z pewnością ma jakieś wady, ale do tej pory nie zdołała ich znaleźć. Będzie musiała lepiej mu się przyjrzeć.

Merryn z trudem oderwała od niego wzrok. Sączyła wino, czekając, aż dziadek przeczyta list od króla.

Lord Vellan milczał. Pomyślała, że z pewnością jeszcze nie przejrzał mężczyzny, który znienacka pojawił się w ich grodzie i przepowiedział deszcz, twierdził, że jest uczonym i rozumie zjawiska nadprzyrodzone.

Który jest czarodziejem.

Czarodziejem.

Z pewnością prócz czarownic kryjących się w jaskiniach nieopodal, nie istnieli już czarodzieje i czarownicy. Czarownic z Byrne zostało już zaledwie kilka i rzadko je widywano.

Sługa podał lordowi Vellanowi potężny krąg sera na drewnianej tacy. Starzec odkroił spory kawałek, schował nóż do pochwy przy pasie i zaczął jeść, marszcząc brwi. Bishop był ciekaw, czy to ser mu nie smakuje, czy też gnębią go jakieś myśli. Wreszcie Vellan odchrząknął i rzekł:

- Poproszę o list od króla, sir Bishopie.

Rycerz wyciągnął zwój pergaminu z kieszeni tuniki i podał go starcowi. Poznaczone żyłami, pomarszczone dłonie lekko drżały, gdy Vellan rozwijał pismo. Bishop ze zdumieniem przyglądał się jego gęstym, siwym włosom i długiej brodzie, której koniuszek tkwił za pasem. Ileż lat może mieć Vellan? Z pewnością jest starszy niż pył zalegający zamkowy dziedziniec.

- Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, poznałem twojego syna, sir Thomasa de Gaya - powiedział nagle Bishop. - Był wspaniałym rycerzem. Było mi bardzo przykro, gdy usłyszałem o jego śmierci na królewskim turnieju.

Merryn nagle zastygła. Nie odezwała się słowem, jakby na coś czekała. Fałszywy kapłan poznał jej ojca? Poczwała

ostrze bólu. Nie pamiętała twarzy ojca.

- Syn powinien być zostać w domu - stwierdził cierpko lord Vellan. - Jednak mężczyźni lubują się w przemocy i szukają okazji, by się sprawdzić. Moim zdaniem on tego nie potrzebował i powinien być zostać w domu, nie chciał jednak słuchać - Lord Vellan podał Merryn pergamin.

Bishop otworzył szeroko usta ze zdumienia.

- Dlaczego dajesz jej królewski list, mój panie? Przecież to dziewczyna. Ona nawet nie ma pojęcia co oznaczają te znaczki na papierze. Przecież nie...

Zamilkł, gdy zawartość kielicha z winem rozprysnęła mu się na twarzy. To było wprost nie do wiary! Przecież jest gościem! Rycerzem! Na Boga, jest czarodziejem! A ona wylewa mu wino prosto w twarz? I tylko dlatego, że powiedział...

Merryn była wstrząśnięta, zawstydzona i przerażona - widział wyraźnie wszystkie uczucia na jej twarzy. Czytał w niej z o wiele większą łatwością niż pisma.

- Proszę o wybaczenie, to był nieprzemyślany ruch. To moja wina. Skoro jesteś czarodziejem, czy zmiażdżysz mnie za to swą mocą?

Bishop spokojnie wytarł wino rękawem. Spojrzał na nią, jakby była nędznym prochem i z zadowoleniem spostrzegł, że zastygła i się zarumieniła. Po chwili powiedziała jednak:

- Potrafię czytać lepiej niż ty.

Nie była to jednak prawda. Wciąż jeszcze musiała przeczytać niektóre wyrazy na głos, by zrozumieć, co oznaczają, nie miała jednak zamiaru się do tego przyznawać. Odwróciła się plecami i zaczęła uważnie czytać dokument. Na całe szczęście, zrozumiała prawie

wszystko. Podniosła głowę i uśmiechnęła się słodko. Bishop pomyślał, że to nawet ładny uśmiech, mimo że fałszywy jak bujdy minstrelów.

- Wybacz, że wylałam na ciebie wino, sir Bishopie. Zachowałam się niegrzecznie i z całego serca za to przepraszam. I dziękuję ci za to, że mnie nie spaliłeś.

- Twoja skrucha jest równie prawdziwa, jak pragnienie ponownego zamążpójścia, moja damo. Mówisz to tylko dlatego, że naprawdę obawiasz się mej mocy. Wizja surowej kary dla ciebie coraz bardziej mnie kusi, więc łaskawie powściągnij swój język i temperament.

- Oczywiście. Nie chcę, byś poraził mnie swoją mocą. Nie jestem głupia i zwykle nie bywam także niegrzeczna.

Bishop słyszał głębokie westchnienia ulgi wśród swoich żołnierzy. Wiedział, że gorąco się modlili, by nie dał się ponieść gniewowi, nie poderwał zza stołu i nie cisnął kobietą o sitowie. A potem zginął porażony klątwą. W końcu klątwa mogła osiągnąć pana wraz z załogą.

Uśmiechnął się do niej paskudnie.

- Co myślisz o królewskim liście, moja pani? Zgadzasz się z królewskimi rozkazami?

- Jeśli o to chodzi, liczy się wyłącznie zdanie mojego dziadka - powiedziała z uśmiechem. Bishop zatrzęsł się ze złości, że z taką łatwością uniknęła zasadzki. Kobieta, która potrafi czytać, paradne! On sam nauczył się czytać wyłącznie dlatego, że lord Losentrophe miał brata, który został mnichem i uwielbiał nauczać. Bishopowi nie podobaty się lekcje i ślęczenie nad manuskryptami, jednak teraz doceniał umiejętność czytania. Zawsze mógł sam

sprawdzić rachunek do zapłacenia, kontrakt czy weksel. To prawda, trudno oszukać człowieka, który potrafi czytać.

- Ach, tak - powiedział Bishop, nie poddając się łatwo. - Jednak wydaje się, że lord Vellan wysoko ceni sobie twoje zdanie. Zapewne uważa, że masz więcej oleju w głowie niż większość niewiast. Król powiedział mi, że zasypuje go petycjami, by uczynił cię dziedziczką i baronową Penwyth. Może gdybyś powiedziała królowi, że potrafisz czytać, władca przychyliłby się do tych próśb. - Uśmiechnął się krzywo. - Choć wątpię w to. Kobieta, która potrafi czytać, jest czymś w rodzaju kaczkki, która potrafi śpiewać.

Spodziewał się, że Merryn wybuchnie gniewem i czuł już żar jej wściekłości na całym ciele. Cieszył się też, że panna nie ma żadnego wina pod ręką.

A jednak nie wybuchła. Siedziała bez ruchu jak porzeczka w bezwietrzny dzień. Wykazała się niesamowitym opanowaniem, co wydało mu się ważne, skoro miał zostać jej mężem. Po chwili powiedziała:

- Król powinien to zrobić. Powinien zaufać słowom mojego dziadka.

- Nie bądź śmieszna - wypali! Bishop, zanim się zastanowił. - Król wolałby oddać ten gród pod rządy owcy lub wilka niż w ręce kobiety! Przecież to nonsens! - Oczywiście zdawał sobie sprawę, że swoimi słowami obraża lorda Vellana, a także jego wiedźmowatą wnuczkę, więc dodał po chwili: - Nie wątpię w słuszność twych intencji, lordzie Vellan, lecz Penwyth powinno należeć do męzczyzny, odważnego rycerza z doświadczeniem w walce.

- Jesteś stanowczo za młody, by posiadać takie doświadczenia.

- Zdobyłem o wiele więcej doświadczeń, niż wskazuje na to mój wiek. Za to zauważyłem, że większość waszych strażników, a przynajmniej tych pięciu, którzy stoją tu pod ścianą, jest już w podeszłym wieku. Pewnie dlatego byliście zmuszeni oddać bez walki swój gród czterem najeźdźcom, czyż nie?

Lord Vellan roześmiał się głośno.

- Niedługo poznasz moich ludzi, sir Bishopie. W tej chwili strzegą mnie i Merryn. Cała ich uwaga skupia się wyłącznie na tobie. I wcale nie są w podeszłym wieku, przeciwnie. Jeszcze im do tego daleko. Może i nie walczą już jak wściekle szczury, lecz wciąż potrafią mnie obronić oraz służyć dobrą radą. Są zdrowi i sprawni.

Jeden ze starych strażników zaczął kasłać. Służący, nie namyślając się wiele, wręczył mu kufel piwa.

- I co myśleli twoi ludzie, gdy w ciągu ostatnich czterech lat czterej rycerze pojawiali się u bram Penwyth, by przejąć władzę w grodzie?

- Uważali, że walka z najeźdźcami jest bez sensu - odparł spokojnie Vellan. - Twierdzili, że powinna ich zabić klątwa i tak też się stało. Wszyscy najeźdźcy zginęli od klątwy, zaś my wszyscy wciąż tu jesteśmy.

- Wpuszczaliście wrogie wojska do grodu? - zapytał Bishop. - Nie broniliście się w ogóle?

- Nie. Otwieraliśmy bramy, witaliśmy ich u stóp schodów i lojalnie ostrzegaliśmy. Żaden nie szedł w objęcia śmierci, nie wiedząc, co mu grozi. Każdemu odczytałem klątwę i upewniłem się, że ją zrozumiał. Prosiłem, by odeszli i zabrali ludzi. Gdy odmawiali, hojnie ich gościłem. Nie chciałem, by ktokolwiek z mieszkańców grodu został skrzywdzony w walce.

Nie chciałem rozlewu krwi. - Lord Vellan wzruszył ramionami. - Niestety, żaden z nich mi nie uwierzył.

- Wydaje mi się, że czwarty pan młody, sir Basil z Ware, uwierzył dziadkowi. Jednak przyprowadził ze sobą pięćdziesięciu ludzi, których skusił widok bogactwa i żyznych gospodarstw, więc nie mógł się wycofać. Widziałam, że z uwagą słuchał opowieści o poprzednikach i bał się. - Westchnęła. - Powiedział nam, że przysłał go król. Kłamał, rzecz jasna, a demon klątwy o tym wiedział. Nie był chciwym, żadnym władcy człowiekiem, lecz to nie miało znaczenia. Klątwa twierdziła, że zginie, i zginął.

- Odmówił jedzenia na uczcie weselnej - przypomniał sobie lord Vellan - tłumacząc, że nie jest głodny. Było dla nas zupełnie jasne, że obawia się trucizny. Oświadczył, że chce natychmiast udać się panną młodą do łożnicy.

- I co się stało? - Bishop nie mógł powstrzymać pytania. Z wypiekami na twarzy słuchał opowieści.

- Wziął mnie za rękę i zmusił, bym z nim wstała - powiedziała Merryn. - Pocałował mnie na oczach całej kompanii. Kazał mi wypić wino ze swojego kielicha, więc wypitałam parę łyków. Wtedy odważył się dopić wino do końca. Całował mnie raz po raz. Potem wypił jeszcze więcej wina. Stał śmiać się głośno, po czym upadł nagle, ciągnąc mnie za sobą. Zakrztusił się, a z nosa i z ust zaczęła mu tryskać krew. Długo umierał. Wszyscy uważają, że to dlatego, iż skłamał, mówiąc, że przysłał go król.

- Jego ludzie byli przerażeni - dodał lord Vellan. - Umknęli, zanim zdołałem spełnić toast za duszę sir Basila.

- Żaden z twoich czterech mężów nie spał z tobą, lady Merryn?

- O takich sprawach, sir Bishopie, rozmawiam wyłącznie z Bogiem przy wieczornej modlitwie.

- Król pisze, że masz moc wyzwolić Penwyth spod jarzma klątwy - powiedział lord Vellan. - Że posiadasz starożytną tajemną wiedzę. Że nie tylko jesteś w stanie pojąć i zgłębić moce rządzące tym zamkiem, ale że także możesz je pokonać. I że taki rozkaz otrzymałeś od króla.

- Zgadza się.

- Jeśli to zrobisz, sir Bishopie, zostawisz nas bezbronnych na pastwę kolejnego rycerza, który zapragnie ukraść nam Penwyth. To nie jest ni dobre, ni słuszne.

- Król w swej mądrości nie życzy sobie, by druidzkie klątwy pustoszyły jego kraj i zabijały poddanych. Ja jestem tylko jego wysłannikiem. Mam nadzieję, że wykonawcy owej klątwy, czy to demony, czy śmiertelnicy, zdają sobie sprawę, że jeśli tu zginę, król przyjedzie z armią i zdobędzie Penwyth, was zaś wydziedziczy, a nawet zgładzi.

- To niegodziwe! - wykrzyknęła Merryn. - Król zamierza nas karać za coś, czego nie zrobiliśmy? To nie ma sensu. W tysiąc sto siedemdziesiątym czwartym roku dziad mojego dziadka otrzymał ten gród z rąk króla Henryka II. Prawdę mówi mój dziadek - zostawisz nas na pastwę kolejnego chciwego i okrutnego rycerza.

Bishop wzruszył ramionami, nie odzywając się więcej. Widział, jak jej twarz robi się niemal równie czerwona jak włosy. Niech wybuchnie wściekłością! Spojrzał na lorda Vellana. Starzec siedział w fotelu z kamienną twarzą. Znienacka uśmiechnął się, okrutnym, wrogim, podstępny uśmiechem.

W mgnieniu oka Bishop doszedł do wniosku, że będzie musiał postępować bardzo ostrożnie. Gdyby w tym momencie król zapytał go o zdanie, byłby skłonny przysiąc, że starzec otruił wszystkich czterech mężów Merryn i że nie ma żadnej klątwy Penwyth. Jednak w tej chwili nic więcej nie mógł już zrobić. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, by uchronić się przed śmiercią.

Rozdział 6

Merryn podniosła głowę i spojrzała w niebo.

- Czyżbym poczuła kroplę deszczu na nosie? -
Zmarszczyła nos, przejechała po nim palcem i stwierdziła:
- Och, rety. To nie deszcz. Obawiam się, że to znów
podmuch gorącego wiatru niosącego kłęby kurzu. Gdzie
ten przepowiedziany deszcz, sir Bishopie?

Bishop odwrócił się na dźwięk jej głosu. Stał na
blankach przy jednej z wież, spoglądając na swoje
przyszłe włości. W duchu gratulował sobie, że wciąż żyje.
Oparł się o solidny kamienny mur. Parę kroków dalej stał
strażnik. Jego siwe włosy powiewały na wietrze. Kolejny
starzec. Czy to Penwyth rodziło samych starych
wojowników, czy też starcy z całej okolicy zbiegali się
tutaj, by dożyć w spokoju swoich lat? Bishop nie
przejmował się tym zbytnio. Gdy Penwyth będzie już jego
własnością, znajdzie odpowiedź na dręczące go pytania.

Skrzyżował ramiona na torsie. Widząc, że z twarzy
Merryn wciąż nie schodzi drwiący uśmiešek, odezwał się
spokojnie:

- Nie sądzę, by deszcz miał spaść dzisiaj. Raczej jutro
wieczorem. Od kiedy trwa susza?

Uśmiech dziewczyny zgasł.

- To już szósty miesiąc bez deszczu – powiedziała. - Ludzie zaczynają szemrać, że to z powodu klątwy.

- Ach, pojmuję. Uważają, że klątwa może być zarówno błogosławieństwem, jak i utrapieniem/

- Właśnie.

- Ty zaś wierzysz, że więdźmy i dawno wymarli druidzi są w stanie kontrolować pogodę?

- Nie. Nie wydaje mi się. Jednak są ludzie, którzy w to wierzą.

- Susza zaczęła się cztery lata temu, gdy nadjechał pierwszy z twoich mężów?

- Trudno mi powiedzieć dokładnie, ale rzeczywiście pogoda zaczęła się zmieniać mniej więcej tym czasie. Najgorsza susza przysłała po śmierci czwartego najeźdźcy, sir Basila z Ware. Od tamtej chwili nie spadła ani jedna kropla deszczu.

- Wygląda na to, że sir Basil was przeklął, kręciła głową.

- Nie, to niemożliwe. To był zwykły rycerz. Trudno mi pogodzić się z myślą, że za tym wszystkim kryją się druidzcy kapłani, gdyż szczerze pragnę zaufać, że to Bóg kieruje naszymi losami na ziemi. - Stała teraz u jego boku, spoglądając w stronę morza. Na niebie nie majaczyła nawet najmniejsza chmurka. Słońce wisało nad nimi ogromne i gorące, w twarze wiał suchy wiatr. - Mówiąc zupełnie szczerze, sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

- Powiedziałem ci, że spadnie deszcz, a to oznacza, że twoi poddani dojdą do wniosku, że demony opuściły Penwyth.

Wzruszyła ramionami. Nie patrząc na niego, powiedziała po chwili:

- Jesteś pierwszym młodym i przystojnym mężczyzną, który pojawił się w Penwyth.

- Słucham?

- Miałam zaledwie czternaście lat, gdy sir Arlan przybył tu, by zmusić mnie do małżeństwa i ukraść mi dziedzictwo. Żaden z najeźdźców nie był młody, przystojny ani nawet czysty. Jakies trzy lata temu wpuściliśmy kupca, który zachwalał swój towar pod bramą. Okazało się, że jego wóz jest wypełniony zbójami, którzy chcieli splądrować nasz zamek. Nie zabiła ich klątwa. Nasi strażnicy wyrznęli ich do nogi. - Potrząsnęła głową. - Tamtego dnia straciliśmy Ruperta, jednego z najdawniejszych przyjaciół dziadka. Wtedy dziadek postanowił, że pozwolimy klątwie dokonywać dzieła zniszczenia.

- Właśnie widzę. Co masz na myśli, mówiąc, że jestem przystojny?

- Wyglądasz wspaniale i na pewno dobrze o tym wiesz. Czyżbyś był ślepy?

- O to właśnie chodzi, że nie jestem. Czy w okolicy nie ma młodych mężczyzn?

Zastanawiała się przez chwilę, odgarniając włosy z czoła.

- Chcesz, bym cię z nimi porównała? Nie ma tu żadnych młodzieńców, o których warto byłoby wspominać. A już na pewno żadnych kandydatów na męża - wypaliła i zmarszczyła brwi. - Przyszłam, by ci powiedzieć, że dziadek chce porozmawiać o waszej wizycie w Penwyth. O tym, jak długo zamierzasz tu zostać.

- Zostanę, dopóki nie rozwiążę waszych problemów z klątwą.

- A następnie wyjedziesz?

- Dlaczego tak się troskasz moim wyjazdem?

Nic nie odpowiedziała. Bishop również się nie odezwał, gdyż spojrzął w oczy koloru świeżych wiosennych liści obmytych porannym deszczem. Jego męskość stała się równie twarda jak kamienny mur, o który się wspierał.

- Obawiasz się, że zdejmę z was kłatwę, po czym wyjadę, a niedługo potem u waszych bram pojawi się kolejny rycerz, który zmusi cię do zamążpójścia?

- Skoro zdarzyło się to już cztery razy, tylko idiota nie obawiałby się kolejnego najeźdźcy.

- Co konkretnie masz na myśli, twierdząc, że wyglądam wspaniale?

- Co? Ach, teraz mam cię uraczyć komplementami? Niech będzie. Masz najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałam. Granatowe, lecz tak ciemne, że wydają się niemal czarne.

Piękne oczy? Mężczyzna o pięknych oczach? Hm...

- Tym wyznaniem zmuszasz mnie do szczerości - westchnął Bishop, patrząc na nią z góry. - W moich oczach nie ma nic nadzwyczajnego. Za to patrząc w twoje, pragnę... Cóż, nieważne.

- Czego pragniesz?

- Zapomniałem już i najlepiej zrobisz, jeśli ty również o tym zapomnisz. Wiesz, Merryn, jestem równie mądry jak przystojny. Zdejmę z was kłatwę, a potem zobaczymy. Możesz mi zaufać.

- Miałabym zaufać mężczyźnie, który zaledwie kilka godzin temu pojawił się w Penwyth, rzucając rozkazy? Nie sądzę, bym potrafiła. Nie po czterech mężach, którzy tylko jedno mieli w głowie. Przyszło mi na myśl, że zamierzasz zdjąć tę kłatwę, a potem zmusić mnie do małżeństwa, tak jak tamci.

Pannica okazała się całkiem bystra. Bishop podrapał się po policzku.

- Czy prócz oczu mam jeszcze jakieś wspaniałe części ciała?

- Stopy.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Masz duże stopy i to jest wspaniałe, bo jesteś potężnym mężczyzną. Uważam, że wszystkie części twojego ciała pasują do siebie.

- Czyli że jestem harmonijnie zbudowany.

- Dokładnie tak. Czy mam dalej wymieniać piękne części twojego ciała?

Bishop powstrzymał się w ostatniej chwili, by nie kiwnąć głową. Musiał zachować ostrożność, co oznacza, że nie wolno mu patrzeć jej w oczy. A zatem wiedźma uważa, że Bishop ma piękne oczy?

- Poślubienie dziewczyny, która miała już czterech mężów, byłoby dziwactwem.

- Powiem ci, co jest dziwactwem. Wychodzić za mąż cztery razy i patrzeć, jak każdy mąż wali się martwy u twoich stóp.

- Może Bóg da ci jeszcze męża, który cię przeżyje?

- Przyjemna myśl, ale nie zamierzam czekać na to jak na zbawienie.

Już miał jej powiedzieć, że i on również nie zamierza długo czekać, ale się powstrzymał. Spojrzał na wschód, w kierunku pola, na którym stał koślawy krąg z głązów.

- Widziałem podobne kamienne kręgi w całej Kornwalii i w zachodniej części Francji.

- Niczego nie wiem na temat kręgów we Francji. Ten, który tu widzisz, nazywają Menya Alber i stoi tu od niepamiętnych czasów. Niedaleko stąd znajduje się drugi

krąg, Lanyon Quoit, który był prawdopodobnie cmentarzem, lecz jest tak stary, że równie dobrze mógł istnieć, zanim jeszcze człowiek pojawił się na ziemi. A jeśli tak jest, jak mógłby być cmentarzem? W okolicy znajduje się kamienny krąg Dziewięciu Dziewic. Ludzie mawiają, że są to posągi dziewięciu panien, które zwołały sabat i w czasie tańca zamieniły się w kamienie.

- Czuję, że te kamienie są bardzo stare – przyznał Bishop. - Czuję w powietrzu zapach wielu wieków. Kiedy o tym myślę, zaczyna mnie swędzić kark.

- Mnie również. - Merryn zamrugła z zaskoczeniem. - To dziwne, że czujemy to samo.

- Pozwól, że wyznam ci, iż ja również zachwycam się twoimi stopami. Być może nawet bardziej niż ty moimi.

Nie zdołała się powstrzymać. Spojrzała na zakurzone noski starych trzewików wystające spod znoszonej sukni.

- Moje stopy? Przecież nawet ich nie widziałeś. Czyżbyś starał się wyprowadzić mnie z równowagi głupimi żartami?

Nie mówiąc słowa, Bishop padł na kolana, uniósł delikatnie jej suknię i spojrzał na cienkie rzemyki trzewika. Rozwiązał je i zdjął jeden but.

- Taaak - powiedział, stawiając bosą stopę Merryn na swoim udzie. - Spójrz tylko na tę stopę. Dzięki Bogu, że jest dość czysta.

Merryn chciała wyrwać stopę, lecz nie zdobyła się na żaden ruch. Stała bezradnie, wpatrując się w klęczącego rycerza. Bishop pogłaskał kciukiem każdy palec, aż Merryn zdrząła. Potem pogłaskał podbicie.

- Zastanawiałem się, czy twoje stopy nie okażą się zbyt duże. Co za szczęście, że są drobne. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Co myślisz o tej klątwie?

Z sykiem wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie zabrała stopy, która wyczuwała sprężyste udo, miękką wełnę spodni i ciepłą dłoń wokół kostki. Ogarnęło ją bardzo dziwne uczucie. Palce Bishopa głaskały jej gładką skórę.

- Nie mam dużych stóp - powiedziała. - Moja babka zawsze powtarzała, że mam identyczne stopy jak ona, a zatem doskonałe.

Nie odezwała się, dopóki nie założył jej trzewika i nie zawiązał rzemieni. Wstał powoli. Spojrzała na plamy na jego zakurzonej szarej tunice i powiedziała:

- Będiesz spał w służbówce. Wyślę lokaja, by zajął się twoją tuniką. Przyda jej się pranie. O klątwie nie wiem nic ponad to, co ty wiesz. Dziwnie się czuję, widząc tu tak wielu młodych mężczyzn.

Bishop ze zdumienia uniósł jedną brew.

- Mam na myśli ciebie i twoich ludzi - wyjaśniła.

- Dumas ma już prawie czterdzieści lat. Jest niemal starcem.

- Czterdziestolatka nazywasz starcem? Jeden z naszych strażników, Crispin, ma sześćdziesiąt osiem lat. Ty zaś zapewne nie masz jeszcze dwudziestu pięciu, choć widzę w twych oczach, że zebrałeś już wiele doświadczeń.

- To zdumiewające, że dożył sześćdziesięciu ośmiu lat, a wciąż może mówić z sensem, chodzić, a nawet walczyć.

- To prawda. Nie chcę, byś umarł.

Bishop uznał, że to dobry znak.

- Dlaczego?

Merryn najwyraźniej dopiero teraz zdała sobie e z tego, co powiedziała. Nagle skryła się jak ślimak w muszli.

- Czy może dlatego, że tak zachwycasz się wspaniałymi częściami mojego ciała?

- Można uznać, że jest to część prawdy – stwierdziła patrząc na stopę, którą głąskał.

Bishop uśmiechnął się szeroko.

- Przyjechałem cztery godziny temu. Wciąż jeszcze oddycham. - Przycisnął dłoń do poplamionej tuniki. - Moje serce wciąż bije. - Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu.

- Rzeczywiście. Biję bardzo mocno. Wydaje mi się, że bije nieco szybciej niż przed chwilą. Dlaczego?

Szybko odsunął jej dłoń.

- Moje serce bije dokładnie tak, jak powinno - odparł. - Myślę, że mogę czuć się zupełnie bezpieczny, skoro moja śmierć oznaczałaby również śmierć twoją i twojego dziadka. Druidzcy kapłani z pewnością by tego nie chcieli.

- Raczej nie.

- Odkryję prawdę, Merryn. Muszę to zrobić. Wiesz, że nie mogę stąd wyjechać. Gdybym opuścił ogród, nie rozwiązawszy tej zagadki, król wbiłby moją głowę na pal.

Uśmiechnęła się tak promiennie, że w policzku zrobił jej się dołeczek. Był to pierwszy uśmiech, jakim go obdarzyła.

Bardziej boisz się króla niż starożytnej klątwy?

- Och, zdecydowanie. Wydaje ci się, że klątwę wymyślono specjalnie z myślą o tobie? Że jakiś druid powiedział: „To dla Merryn de Gay”?

- A wydaje ci się, że moje włosy są czerwone jak płomień?

Spojrzał na wściekle czerwone kosmyki fruwające wokół jej głowy w podmuchach wiatru i przytaknął.

- Jak najbardziej. Co najmniej.

Wyciągnął dłoń i zaczął nawijać na palec pasmo czerwonych włosów. Nie odrywając od niej wzroku, powoli przyciągał ją do siebie. Merryn potrząsnęła głową, uwalniając lok.

- A czy moje oczy są zielone jak blask pożądania?

- Nie. Są zielone jak żądza.

- Och - jęknęła i zamrugęła gwałtownie, rumieniąc się.

- Co wiesz na temat tego klucza?

- To jakaś dziwna treść. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Nikt nie wie, nawet dziadek.

- Zatem klątwa dotyczy wszystkich rudowłosych, zielonookich kobiet, które żyły w Penwyth?

Merryn milczała.

- No, dobrze. Powiedz mi, proszę, czy macie w stajni klacz w rui?

- Cóż, mamy. Moją klacz, Lockley. Nie mamy jednak ogiera, który mógłby ją pokryć.

- Mój Nieustraszony zrobi to z radością. Będąc jeszcze za murami, poczuł jej zapach i zarżał na powitanie.

- Pomyślę o tym. Chciałabym poznać jego rodowód, sir Bishopie. Chcę go też dokładnie obejrzeć i dopiero wtedy postanowię, czy jest wart mojej Lockley.

- Mógłbym przysiąc na zeschnięte kości świętego Cuthberta, że Nieustraszony jest najlepszą partią w okolicy.

- Żartujesz. Nie znam nikogo, kto żartowałby tak jak ty.
- Czy moje poczucie humoru również uważasz za wspaniałe?

- Znam cię zaledwie od kilku godzin. Tyle samo trwa dobrze przygotowana uczta. To wszystko jest bardzo dziwne.

- Możesz obejrzyć Nieustraszonego. Skoro ma to mu zapewnić dostęp do kłaczy, z pewnością na to pozwoli. Powinnaś w prostych słowach wyjaśnić mu, jaki jest cel tych oględzin i jaka czeka go nagroda. Ja, będąc czarodziejem, muszę tylko w myślach wydać polecenie, a on je wykonuje.

- Skoro twierdzisz, że potrafisz przewidzieć, kiedy spadnie deszcz, to może i ten przeklęty koń czyta ci w myślach. Nie wierzę w czarodziejów. Poza tym czarodziej powinien być stary, brodaty i patrzeć bykiem, rzucając na wszystkich gromy.

- Nawet czarodziej musi być młody, zanim się zestarzeje.

- Ja jednak w to nie wierzę. Jesteś człowiekiem. Zwykłym człowiekiem, choć bystrym i przebiegłym.

- Uważasz, że jestem bystry?

- Nie. Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

- Sama się przekonasz. Wróćmy do klątwy. Druidzcy kapłani nie znali pisma.

- Klątwa była przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie. Dziadek lorda Vellana postanowił ją w końcu zapisać.

Merryn kłamała i Bishop doskonale o tym wiedział. Czuł, jak ściska się jej żołądek z żalu i frustracji. Co się tu dzieje?

- Ludzie mawiają, że druidzi wkładali ludzi do drewnianych klatek, podpalali je i palili bardzo wolno, by grzać się przez całą noc przy ogniu. Wyobrażasz sobie

smród takiego ogniska? Podobno składali też krwawe ofiary z ludzi.

- Gdy mój trzeci mąż wymiotował pianą, smród był straszliwy.

Bishop nie chciał sobie tego wyobrażać.

- Ha - powiedział tylko. - Pomówmy o wiedźmach z Byrne. Z tego, co obydwójce wiemy, jest to niewielka sekta kobiet malujących ciała białą kredą, farbujących włosy na siny kolor, zaś zęby barwiących na czerwono sokiem z dzikich jagód, by w ten sposób przekonać wszystkich o swojej dzikości i apetycie na surowe mięso. Trudno je spotkać, gdyż nienawidzą mężczyzn. Z tego też powodu ich plemię wymiera. Nie mogą przetrwać, jeśli nie pozwalają mężczyznom zasiać nasienia we własnych łonach.

- Babka mówiła mi, że wiedźmy z Byrne nie gardzą mężczyznami - powiedziała Merryn. - Po prostu im nie ufają. Wiedzą, że to mężczyźni niosą wojnę, gwałt i pożogę, że wygubiliby je wszystkie, gdyby tylko mogli. Chyba temu nie zaprzeczysz?

- Twoja babka?

- Tak. Lady Madelyn. Niedługo ją poznasz.

- Czy jest równie leciwa jak lord Vellan?

- Owszem, i podobnie jak dziadek ma umysł lotny, a język ostry jak miecz Crispina.

- Powiedziałaś o grozie, którą niosą mężczyźni. Jestem przekonany, że kobiety wywołałyby tyle samo wojen i czyniły równie wiele gwałtów, gdyby tylko miały ku temu okazję. Prawdę mówiąc, mężczyźni mają niewielki wybór. - Wzruszył ramionami. - Żyję najlepiej, jak potrafię. Nie zabiłbym wiedźmy, dopóki nie nastawałaby na moje życie. Czy to uczciwe? I sprawiedliwe?

Machnęła lekceważąco dłonią.

- Ty mówisz o braku wyboru? Jesteś rycerzem. Przyjechałeś do Penwyth prosto od króla. Ja nigdy nigdzie stąd nie wyruszałam i nawet nie mogę marzyć, że stanę przed królewskim obliczem. Uważasz, że masz prawo rozkazywać kobietom. Masz zastęp ludzi, którzy spełnią twoje życzenia. Możesz robić wszystko, co tylko ci się spodoba. Zdjąłeś mój trzewik i, nie pytając o zgodę, bawiłeś się moją stopą. A teraz gadasz jakieś bzdury.

- Wokół nas czai się śmierć, Merryn - odparł Bishop. - Jest ona nieuniknionym końcem dla wszystkich kobiet i mężczyzn. Wszyscy chcemy po prostu przetrwać, a to oznacza, że trzeba myśleć, jak działać i jak się chronić. Są na świecie honorowi mężczyźni i są zwykłe rzezimieszki. Wierzę, że kobiety także dzielą się na uczciwe i występne. Jednak honor przestaje mieć znaczenie, gdy chodzi o zachowanie życia. Mówię prawdę: żyję najlepiej, jak potrafię. Nie zabijam, dopóki nie muszę. Spójrz na siebie, Merryn. Twoje życie zależy od klątwy.

- Trudno jest żyć w cieniu czterech zmarłych mężów.

- Znam słowa klątwy. Znam je już na pamięć. Powiedz mi, co wiesz, Merryn.

Przez chwilę wpatrywała się we własne paznokcie, wreszcie pokręciła głową.

- Niczego już nie wiem.

Uśmiechnął się do niej. Nie musiał się nawet nad nią pochylać, gdyż była wysoka. Może nawet równie wysoka jak Philippa de Fortenberry.

- Robert Burnell, sekretarz króla i Wielki Kanclerz Anglii, jest bardzo uczonym człowiekiem. Zanim wyjechałem, dał mi całą kolekcję dokumentów na temat druidzkich klątw i wiedźm z Byrne. Gdy je czytałem,

włosy stanęły mi dęba i wypadły z nich wszystkie wszy.

- Kolejny żart. - Merryn spojrzała na gęste, czarne włosy Bishopa, które teraz rozwiewał gorący wiatr. - Zawsze chciałam mieć czarne włosy, tak gęste jak twoje. Lśniące w promieniach słońca,

- Czy uważasz, że moje włosy są wspaniałe?

- Owszem, przyznaję, że są. Mówisz, że posiadasz tajemną wiedzę, sir Bishopie, że rozumiesz magiczne, niewytłumaczalne zdarzenia. Krótko mówiąc, że jesteś czarodziejem.

- Naprawdę nim jestem. Często otwieram się na inne światy, na ludzi żyjących w innych czasach. Na dusze błakające się po naszym świecie. Staram się je wchłonąć i zrozumieć, kim były i dlaczego wciąż snują się po ziemi - dokończył niemal szeptem. Sam prawie uwierzył we własne słowa.

Merryn roztarta ramiona. Bishop zrozumiał, że jest trochę przestraszona, co było mu na rękę. Co przed nim ukrywa?

- Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o istotach, które rzuciły klątwę na ten gród - dodał.

Nagle uderzenie wiatru rozplatało jej włosy i odgarnęło je z twarzy. Bishop zauważył, że Merryn ma niewielkie, kształtne uszy. Jeszcze cztery godziny wcześniej nie wydawała mu się piękna, zaczynał jednak myśleć, że był w błędzie. Wyciągnął dłoń, by znów dotknąć jej włosów, jednak powstrzymał się w ostatniej chwili i opuścił rękę. Przynajmniej nasze dzieci nie będą brzydkie - pomyślał. - To dobrze wróży ich przyszłym małżonkom. Dołeczek w policzku Merryn bezpowrotnie zniknął. Była zbyt przestraszona, by się uśmiechać.

- Opowiedz mi o swoich mężach.

W jej oczach widać było wciąż świeżą zgrozę, gdy zaczęła mówić:

- Patrzyłam na śmierć każdego z nich. Pierwszy z nich sir Arlan, siedział przy moim boku i jedliśmy z jednego talerza. Patrzyłam, jak je. Nawet podawał mi najsmaczniejsze kaski na czubku noża. Byłam jeszcze dzieckiem i byłam przekonana, że zostanie moim mężem aż do śmierci.

- Nie wierzyłaś zatem w klątwę.

- Gdy dziadek odczytywał ją na dziedzińcu swoim czystym, mocnym głosem, wierzyłam w każde słowo. Jednak gdy doszło do zaślubin... – Zamyśliła się i Bishop wiedział, że wspomina scenę sprzed czterech lat. - Czy wierzyłam w nią podczas uczyty weselnej? Nie. Nie wierzyłam. Dlatego tak bardzo mnie to zaskoczyło, że przez dłuższą chwilę nie mogłam złapać tchu. Sir Arlan szarpnął się, zakrztusił i padł twarzą w tłusty sos. Jeden z jego żołnierzy, odważny i bardzo głupi, zerwał się z ławy i krzyknął, że dziadek go otruł. On również zginął. Reszta załogi w ciągu godziny wyjechała z Penwyth.

- To rzeczywiście wygląda na truciznę, nie na klątwę.

Przez chwilę milczała, wreszcie kiwnęła głową.

- Ja również pomyślałam, że to trucizna, jednak jedliśmy z tego samego talerza. Przekrajał kawałki wołowiny i podawał mi do ust. Piłam z jego kielicha. Jakże mogła to być trucizna?

Spojrzał na nią.

- To mogła być trucizna, jeśli to ty byłaś trucicielką.

- Przecież byłam jeszcze dzieckiem. Nie zabiłam go. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że mogę go zabić.

A jednak coś ukrywa!

- Potem nadjechał sir Gifford de Lancey. Opowiedz mi o nim.

- Znasz imiona moich mężów?

- Oczywiście - odparł. - Czarodzieje lubią wszystko wiedzieć. Opowiedz mi o nim.

- Ani on sam, ani jego ludzie nie wierzyli w klątwę. Gdy mnie poślubił, zaczął mnie całować, tulić i cmokać z zachwytu nad zdobyczą, którą dostał bez żadnego wysiłku. Wyzywał swoich ludzi od starych tchórzy, mojego dziadka nazwał zbędnym reliktem przeszłości i stwierdził, że babka jest zapewne matką najbrzydszych wiedzów w całej okolicy. Jeszcze zanim pojął mnie za żonę, chciał mnie rozebrać do naga, na szczęście dziadek zdołał mu to wyperswadować. Sir Gifford śmiał się z klątwy, nazywał mego pierwszego męża głupcem, a potem zabił dwóch naszych ludzi tylko po to, by pokazać dziadkowi, do czego jest zdolny.

- I co się stało?

- Nagle i bez żadnego ostrzeżenia z jego nosa i ust buchnęła krew. Stał się prawdziwą fontanną krwi. - Zadrżała i obróciwszy się na pięcie, podeszła do drewnianej drabiny wiodącej na dziedziniec. Zeszła po niej prędko. - W człowieku mieści się bardzo dużo krwi. Umierał dłużej, niż ktokolwiek z nas mógłby tego pragnąć. Na kamieniach wciąż widać ślady jego krwi.

Merryn odwróciła się i szybkim krokiem przemierzyła dziedziniec. Za krótka suknia wirowała jej wokół kostek. Czterech mężów. Drugi z nich zginął trzy lata temu, a ją wciąż to przeraża. Sądził, że widok człowieka, z którego nosa i ust tryska krew, jego również mógłby przerazić. Czy trucizna mogła tego dokonać?

Co ona przed nim ukrywa?

Rozdział 7

Do małej komnaty w służbówce zaprowadziła Bisopa stareńka służąca, która nie miała już ani jednego zęba, a mimo to nie przestawała się do niego uśmiechać. Wprowadziła go na środek pokoju i wyszła. W komnacie unosił się zapach pergaminu i atramentu, powietrze było ciężkie i gęste, jakby od wielu lat tu nie wietrzono. Bishop zerwał kozią skórę zasłaniającą wąskie okno, wpuszczając do komnaty promienie słońca. W smugach światła dostrzegł kłębiące się tumany kurzu. Przyjrzał się półkom ciągnącym się wzdłuż całej ściany. Na każdej w schludnych stosach piętrzyły się zwoje pergaminu. W nogach wąskiego łóżka stał niewielki kufer przykryty cienkim kocem.

Bishop wyciągnął na chybił trafił jeden pergamin, rozwinął go i przeczytał. Był to raport o Penwyth sprzed trzech lat - zbiory, sprzedane plony, narodziny, śmierci i zawarte małżeństwa. Przejrzał kilka kolejnych pergaminów. Nie znalazł żadnego dowodu na to, by kamerdyner oszukiwał lorda Vellana. Może Bishop powinien utrzymać go na stanowisku?

Nagle usłyszał chrząknięcie. Nie miał wątpliwości, że dźwięk ten wydała bardzo leciwa osoba. Odwrócił się płynnie, prawą dłonią sięgając po miecz, lewą zaś wyjmując sztylet z pochwy u pasa. Niemalże spodziewał się ujrzeć czający się u progu złowrogi cień czy też demona klątwy lub steranego wiekiem wojownika z mieczem w drżących, żylastych dłoniach. Ze zdumieniem spojrzął na stojącą na środku komnaty starą kobietę. Wyglądała tak krucho, że zdawała się niemal przezroczysta. Mógłby się założyć, że od dawna nie wychodziła na blanki. Wiatr z pewnością zdmuchnąłby ją na dziedziniec. Staruszka przypatrywała mu się bez ruchu i bez słowa, aż poczuł nagły przyływ lęku. Nie słyszał, kiedy weszła. W jednej chwili był sam, w następnej stała tuż przy nim. Może jednak jest duchem albo wiedźmą z Byrne?

Bishop potrząsnął głową. Uspokoił się powoli. To tylko staruszka i nic poza tym. Miała na sobie przepiękną suknię, zatem nie była służącą.

- *Madame?* - odezwał się łagodnie. - Czym mogę pani służyć?

Choć niewiarygodnie posunięta w latach, dama trzymała się prosto i wyniośle. Siwe włosy miała upięte w wysoki kok związany kilkoma błękitnymi wstążkami, które zwisały wokół jej twarzy. Stwierdził, że kiedyś, całe lata temu, musiała być bardzo piękna. Wciąż odnajdywał ślady dawnej urody w wyblakłych już błękitnych oczach o pięknym kształcie i w regularnych rysach twarzy. Stała bez słowa, wpatrując się w niego uparcie, jednak po chwili zaczęła coś pomrukiwać pod nosem. Całe ciało Bishopa pokryło się gęsią skórą.

- Kim pani jest?

Zrobiła trzy kroki w jego stronę i wyciągnęła wiotką, niewiarygodnie szczupłą dłoń o chudych, kościstych palcach. Ujął ją delikatnie i ucałował z szacunkiem. Skóra damy wydawała się tak cienka, że miał wrażenie, iż za chwilę rozwieje się jak dym, a stare kości opadną na podłogę u jego stóp. Jej dłoń nie była wcale lekka. Na palcach miała ciężkie złote pierścienie z klejnotami, jakich nigdy wcześniej nie oglądał. Gdyby jej kości rozsypały się w proch, pierścienie z brzękiem spadłyby na posadzkę. Nagle naszała go wizja toczących się po podłodze pierścieni i męskiego buta, który je zatrzymuje. Potrząsnął głową i odegnał od siebie dziwny obraz.

- Jestem lady Madelyn de Gay - powiedziała słabym, drżącym głosem. - Skąd się wzięłaś w komnacie kamerdynera?

- Jest pani żoną lorda Vellana?

Roześmiała się skrzekliwie, lekko klepiąc go w ramię.

- Nie mogę przecież być jego córką, nie sądzisz? Jestem trzy lata starsza od tego roztrzęsionego starca, a mimo to się nie trzęsę. Patrz tylko.

Poszła w stronę drzwi, szurając brzegiem sukni o podłogę. Odwróciła się z wdziękiem i wróciła do niego. Uśmiechnęła się szeroko, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Lord Vellan również miał wszystkie zęby, co przy jego wieku wydawało się niezwykle.

- Ani trochę się pani nie trzęsie, *madame* - wyznał Bishop.

- Przystojny z ciebie chłopiec, pełen wdzięku i dobrze ułożony. Merryrn powiedziała mi, że jesteś stanowczo zbyt uroczy. Bardziej czarujący, niż powinien być mężczyzna. Nie wiem, czy dokładnie rozumiem, co miała na myśli,

ale sędzę, że mała może mieć rację. Wciąż jednak zastanawia mnie, co robisz w pokoju kamerdynera.

- Mąż pani zaofiarował mi tę komnatę na czas mego pobytu u was.

- Nasz kamerdyner, Ranlief, jest już stary. Oczywiście nie tak stary jak ja, czy lord Vellan, jednak zaczyna już niedołążnieć i ręce mu się trzęsą. Nie wyobrażam sobie, by jego stare gnaty miały spoczywać na podłodze w Wielkiej Sali.

- Dlaczego nie oddacie mu pokoju Merryn?

- Mojej słodkiej małej wnuczki? Zbyt wielu mężczyzn mogłoby zechcieć ją napastować, gdyby spała w Wielkiej Sali.

- Nie widziałem tu zbyt wielu mężczyzn, którzy byliby w stanie kogokolwiek napastować, *madame*.

- Masz rację. Tej rozrywki od dłuższego czasu nawet ja nie brałam pod uwagę. Ostatnim razem było to pewnie w poprzednim stuleciu. Jednak ja jestem kobietą, nie zaś wiecznie napalonym mężczyzną. Nawet lord Vellan wciąż jest napalony, choć jego żądze muszą pozostać w sferze pragnień, jako że nie posiada już członków mogących im sprostać.

Uśmiechnęła się szeroko i ciągnęła dalej:

- O, nie. Muszę strzec mojej małej Merryn. Młodzi czy starzy, wszyscy jej pragną. - Westchnęła, prawdopodobnie licząc na to, że rycerz dobrowolnie zrzeknie się komnaty kamerdynera. Bishop jednakże nie miał takiego zamiaru. - Mój Vellan wyglądał dokładnie tak jak ty. Och, tak, cały był z mięśni. Był wspaniałym wojownikiem i jeszcze wspanialszym kochankiem. Miał cudowne, czarne włosy do ramion. Ach, a jak rubasznie się śmiał! - Zmarszczyła

brwi i wzrok jej przygasł. - A przynajmniej tak mi się wydaje. To było tak dawno temu, może również w poprzednim stuleciu. Czy pragniesz zostać piątym mężem Merryn?

- Wciąż jestem żywy, więc skąd ten pomysł?

Szczupłymi palcami wygładziła suknię. Bishop przyznał w duchu, że suknia jest piękna, bladoniebieska jak jej oczy i wstążki we włosach. Nigdy wcześniej nie widział takiego kroju. Może też pochodziła z poprzedniego stulecia.

- Słuszna kwestia, młodzieńcze. Na siwe brwi świętego Franciszka, wciąż jesteś żywy. To zdumiewające, że klątwa cię nie dosięgła. - Obejrzała go od stóp do głów. - A przynajmniej jeszcze nie. Ja również uważam, że jesteś zdecydowanie zbyt przystojny na męża. Vellan również był piękny. Świetnie pamiętam, że moja matka gorąco pragnęła go dla mnie. Całymi dniami wychwalała go pod niebiosa przy moim ojcu i powtarzała, że Vellan będzie ze mną tańczył przy świetle księżyca i sprawi, że będę krzyczała z rozkoszy.

- Czy jej słowa się spełniły, *madame*?

- W świetle księżyca tańczyłam zwykle sama.

Bishop uśmiechnął się do niej ciepło.

- Owszem, krzyczałam z rozkoszy nader często i dzięki niech będą niebiosom, że w tych chwilach nie bywałam sama. - Zmarszczyła brwi. - Nie krzyczałam już od tylu lat, że chyba nie jestem w stanie ich zliczyć. Muszę zapytać Vellana. Nie sądzę, by cokolwiek mi powiedział. Widzisz, on wciąż kłamie. Bez mrugnięcia okiem i bez wahania, sam się przekonasz. Skoro jednak nie przyjechałeś, by zostać piątym mężem Merryn, jaki jest cel twojej wizyty? Czyżby Ranlif umarł i nikt nie raczył mnie o tym powiadomić?

- Nie. Kamerdyner wciąż jeszcze dzieli z nami ziemski los. Przybyłem z rozkazu króla, by uwolnić Penwyth od klątwy.

- Króla? Król cię przysłał? - Wybuchnęła śmiechem i śmiała się tak długo, że Bishopa zdjął lęk. W jej piskliwym śmiechu kryła się jakaś tajemnica, sekret sięgający dalej niż zwykle ziemskie sprawy.

Bishopowi przestało się to podobać. Stawał się równie przesądny jak jakaś młódka. Zastanawiał się, czy staruszka zachłyśnie się śmiechem, czy raczej rozpadnie w proch na jego oczach. Stał bez ruchu, w milczeniu obserwując wybuch szalonej wesołości.

Dama jednakowoż przeżyła atak. Wygładziła suknię, poprawiła rękawy i splotła palce.

- W razie gdybyś zapomniał, przypominam ci, że nazywam się lady Madelyn de Gay i kiedyś byłam oszałamiająco piękna. Moja kochana matka zawsze mi powtarzała, że jestem księżniczką, najpiękniejszą dziewczyną w całej Kornwalii. - Zmarszczyła brwi, patrząc niewidzącym wzrokiem na scenę rysującą się tylko w jej pamięci. - Skoro byłam księżniczką, dlaczego nie wyszłam za mąż za króla? Dlaczego nie mieszkałam w Londynie, w pięknym zamku Windsor, tylko tutaj, w krainie czarownic?

- Krainie czarownic, *madame?*

- O, tak. Czarownic z Byrne. Zaczęły się gromadzić na pagórkach nieopodal. Tańczyły i śpiewały w czasie burz. Potem przeniosły się do jaskiń bliżej morza. Jak pewnie wiesz, uwielbiają ryby.

- Nie wiedziałem o tym. Jeszcze nigdy w życiu nie starałem się równie usilnie zrozumieć, lecz nie potrafię odnaleźć sensu w tym, co mówisz, pani.

- Jesteś mężczyzną - odparła. - Rzadko którykolwiek z was patrzy głębiej i rozumie więcej, niż widzą jego oczy.

- Być może jest to prawda o ludzkości w ogóle - powiedział Bishop. - Często życie jest zbyt trudne i wymagające, by skupiać się na jego niewidzialnej, mistycznej stronie. Jak klątwy na przykład. Dlaczego śmiała się pani, gdy powiedziałem, że przybyłem zdjąć z was klątwę?

- Och, jesteś jeszcze taki młody, niewinny i nieświadomy zła. Jednak zło istnieje i zawsze będzie istniało, czy to w ludziach, czy też bardziej pradawne, kryjące się w cieniu, niepokojące zmarłych. Wciąż czekające się, czekające na sposobność.

- Może i nie jestem doświadczony w postępowaniu ze złem, *madame*, lecz rozpoznam je, gdy stanie mi na drodze. Uważasz, że klątwa jest widocznym znakiem złych mocy?

W mgnieniu oka coś się zmieniło. Madelyn nie była już wiotką staruszką z błyskiem szaleństwa w oczach. Stała przed nim twarda jak stal, czujna, wyprostowana.

- Nie masz o niczym pojęcia - powiedziała niskim, chropawym głosem. - Niczego nie wiesz i nie pojmujesz. Nie powiedzie ci się w Penwyth. Nie, jeśli chcesz nas uwolnić od klątwy.

- Dlaczego mi się nie powiedzie?

- Klątwa nigdy nie zostanie zdjęta. Ona nas chroni. Słyszałam, jak wiedźmy mówiły, że nie ma już życia po śmierci. Czyżby złe moce zabrały nam życie po śmierci? - Staruszka potrząsnęła głową. Niewielka drewniana szpilka spadła na kamienną posadzkę. - To wszystko przerasta ludzkie rozumienie.

Zamilkła i powoli zaczęła się kurczyć, wracać do postaci kručzej staruszki.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Bishop z Lythe. Od niedawna sir Bishop, pasowany przez lorda Dienwalda de Fortenberr z St. Erth.

Pokiwiała głową.

- Ach tak, Bicz Kornwalii. Kolejny przystojny młodzieniec. Jego dusza jest równie dzika jak klątwy rzucane przez wiedźmy przeciwko czarnym niebiosom. Ma świeży, przewrotny umysł. Mówili mi, że Dienwald patrzy na świat odmiennie niż zwykli śmiertelnicy. Słyszałam wiele historii na jego temat. Czy to prawda, że ożenił się z córką króla?

- Trzy lata temu - potwierdził Bishop. - Pasował mnie na rycerza, gdyż ocalałem jej życie.

- Skoro byłam księżniczką, dlaczego nie wyszłam za Dienwalda?

- Jeszcze nie było go wtedy na świecie, *madame*.

Staruszka przeżuwała przez chwilę jego słowa. Nagle podbiegła do okna.

- Ten żart mnie rozbawił. Ach, popatrz tylko. Nasz kraj umiera. Czyż to nie jest intrygujące?

- Przestanie umierać, gdy tylko spadnie deszcz.

- Nie spadnie żaden deszcz. Dopóki mojej wnuczki nie ogłoszą dziedziczką Penwyth, nie spadnie tu ani kropla deszczu.

- Spadnie. Już jutro.

Spojrzała na niego z zaciekawiona.

- Słyszałam, jak służba szeptała między sobą, że jesteś czarodziejem. Że rozumiesz pradawne moce, słyszysz duchy i możesz nawet z nimi rozmawiać. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Do tego jeszcze twoje imię. Bishop... Imię pełne potęgi. Nie zdejmiesz tej klątwy, o, nie. Musisz

wyjechać z Penwyth, zanim zrobi się za późno. Skąd wiesz, że będzie padać?

- Właśnie pani o tym mówiła, *madame*. Jestem czarodziejem. Wiem pewne rzeczy. Będzie padać.

- W takim razie, mój panie, powiedz mi, ile dzieci powiłam?

Nagle Bishop po prostu to wiedział.

- Powiła pani pięcioro dzieci, *madame*, lecz tylko jedno przeżyło. Sir Thomas de Gay, wspaniały mężczyzna, którego miałem zaszczyt poznać.

Nie potrafił powiedzieć, czy była zaskoczona, miał jednak taką nadzieję. Po chwili powiedziała:

- To właściwa odpowiedź. Ach, wszystkie te martwe dzieci... Wygląda na to, że na tym strasznym świecie więcej dzieci umiera, niż dożywa dojrzałego wieku.

- Przykro mi, *madame*. Czy opowie mi pani o kłątwie?

Ziewnęła rozdzierająco prosto w twarz Bishopa. Jej oddech nie był słodki, lecz nie był także odrażający, po prostu stary i niemal niewyczuwalny, jak cichy szept.

- Nie sądzę. Jestem wykończona. - Pomachała ręką, która po chwili opadła ciężko do jej boku, jakby pierścienie stały się zbyt ciężkie. - Poznałam cię i ostrzegłam. Być może jesteś czarodziejem. Wiedziałeś o moich dzieciach i to mnie zaskoczyło. Powiedziałeś, że spadnie deszcz. Jednie nie jesteś tak silny jak kłątwa. Wyjedź, sir Bishopie z Lythe. Deszcz jest cudowny. Marzę o gęstych kurtynach deszczowych kropel. Chciałabym poczuć je na skórze. Jestem bardzo ciekawa, czy sprawdzą się twoje słowa.

Powoli ruszyła ku drzwiom, zamiatając długą suknią kurz z posadzki. Przy drzwiach zatrzymała się i patrząc

na niego przez ramię, wyszeptła starczym głosem:

*Zginie najeźdźca, co morzem przybędzie,
Kto łądem nadjedzie, ten w męczarni skona,
Szczerze niechybnie, kto klucza dobędzie,
Na wieki będzie ta ziemia strzeżona!
Oczy panny zielone jak blask pożądania,
Włosy panny czerwone jak źródło płomienia,
Serce panny jest czyste i kłamać się wzbrania,
Ten, który ją zniewoli, zginie bez wątpienia.*

Uśmiechnęła się do niego.

- To dobra klątwa, Bishopie. Jest potężna. Stoją za nią wielkie siły, o których nie masz pojęcia. Przetrwą jeszcze długie wieki. Ach, nie wiesz jeszcze jednej rzeczy, piękny chłopcze. Moja matka była wiedźmą z Byrne. Wiedziała o klątwie, zanim jeszcze wysłałam za lorda Vellana. Powiedziała, że będzie chroniła mój dom długo po mojej śmierci. Potem wyszeptła, że właściwie nie jest pewna, czy kiedykolwiek umrę.

- A czy twoja matka, wiedźma z Byrne, umarła?

- Ojciec ją zabił - powiedziała. - I pogrzebał jej serce z dala od reszty ciała. - Uśmiechnęła się i wyszła z komnaty.

Bishop przez długi czas wpatrywał się w zamknięte drzwi. Czuł chłód. Zastanawiał się, czy Merryn także jest wiedźmą jak jej babka.

* * *

Gdy wczesnym wieczorem służba wniosła chleb, ser i piwo dla czterdziestu osób, z których zaledwie dwudziestu było strażnikami grodu, Bishop wciąż żył.

Sześć wilczurów usadowiło się przed kominkiem w oczekiwaniu na posiłek.

Stara służąca podeszła do lorda Vellana z ogromną tacą, na której piętrzyły się obgotowane kości. Lord Vellan wybrał największą i rzucił pierwszemu wilczurowi. Pies chwycił kość w locie. Reszta wilczurów nawet nie drgnęła. Lord Vellan rzucał kości każdemu psu po kolei, a dopiero potem dał znak do wieczerzy.

- Świetnie wytresowane psy - powiedział Bishop.

Lord Vellan obejrzał się przez ramię i widząc, że pierwszy wilczur zjadł już swoją kość, rzucił mu drugą.

- Owszem, dziękuję.

- Poznałem pańską żonę, *sir*. Przyszła do mnie do komnaty kamerdynera.

Lord Vellan rzucił za siebie kilka kości i uśmiechnął się do Bishopa.

- Biedny Ranlief. Nie przestaje narzekać i psioczyć. Dostał aż trzy koce, czegoż więcej mógłby chcieć? Moja żona... Zaskoczyła cię, nieprawdaż, chłopcze?

- Wyznam, że nie zrozumiałem niektórych jej słów.

Zdumiewająco młoda służąca - nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat - podała Bishopowi grubą pajdę pszennego chleba i talerz z ładnie poukładanymi kawałkami sera. Słyszac delikatny szelest, Bishop odwrócił się i zobaczył, że Merryn siada na krześle u jego boku. Krzesło obok lorda Vellana stało puste. Bishop podejrzewał, że jest to miejsce lady de Gay. Dlaczego nie brała udziału w uczcie?

- Wciąż żyjesz - powiedział lord Vellan. - Wszyscy moi ludzie są tym zdumieni. Moja żona uważa, że pijesz

magiczny dekolt, by uchronić się przed klątwą.

- Dziś nie piłem żadnego - stwierdził Bishop. Oderwał dla Merryn kawałek chleba, po czym sam zjadł kilka kęśów. Nie wyczuwał smaku trucizny, lecz to pewnie nie miało żadnego znaczenia. Gdyby którykolwiek z czterech mężów wyczuł smak trucizny, na pewno zdołałby krzyknąć o tym przed śmiercią. Szczerze mówiąc, chleb był przepyszny. Zjadł kolejny kęs. Młyn w Penwyth musiał być doskonały. W chlebie niemal nie wyczuwał twardych kawałków ziarna.

Merryn kiwnęła grzecznie głową i sięgnęła do talerza z serami, po dłuższym zastanowieniu wybierając kawałek żółtego sera, którego zapach czuć było z kilku metrów. Uśmiechnęła się szeroko.

- Smakuje o wiele lepiej niż pachnie. Zrobiony z mleka Belzebuba.

- Słyszałem, że Szatan krąży po ziemskim padole, nie wiedziałem jednak, że daje mleko.

Znów żartuje, pomyślała Merryn.

- Nie mówię o Szatanie. Jedna z naszych kóz nazywa się Belzebub. Z jej mleka robimy najlepszy ser.

- Przyznaję, że jego zapach jest powalający.

- Owszem, lecz zaręczam ci, że twój oddech wciąż będzie pachniał słodko jak róże w moim ogrodzie. Spróbuj.

Ku zdumieniu Bishopa ser okazał się słodki i miękki. Zjadł spory kawałek, zagryzając chlebem. Za jakiś czas młynarz będzie mełł jego zboże, a Belzebub da mleko na jego ser. Modlił się w duchu, by ser nie okazał się zatruty. Skoro Belzebub daje tu mleko, to kto wie?

Spojrzał na stół, przy którym siedział Dumas pogrążony w rozmowie z jednym ze starych wojowników. Starzec był niemal łysy, lecz koniuszek jego siwej brody sterczał mu za pasem, podobnie jak u lorda Vellana. Bishop miał nadzieję, że Dumas odkryje coś pożytecznego, skoro jemu samemu się to nie udało.

- Nie jesteś martwy. - Merryn przerwała mu rozmyślenia.

- Nie. Nie jestem także twoim mężem.

- Uważasz, że powinnam być rozczarowana?

Patrzył na nią przez długą chwilę, potem przeżuł kolejny kęs wspaniałego chleba.

- Nie wiem. Wiem za to, że ukrywasz przede mną ważne fakty.

- Nie odezwała się.

Bishop zaczekał, aż lord Vellan rzuci psom wszystkie kości i opróżni karafkę wina. Dopiero wtedy powiedział:

- Jak mówiłem, poznałem twoją żonę, panie. Rzeczywiście nieco namieszała mi w głowie. Powiedziała mi, że jej matka była czarownicą z Byrne.

W Wielkiej Sali zapadła całkowita cisza.

Rozdział 8

Lord Vellan w skupieniu żuł ser Belzebuba.

- Musiała się tym pochwalić.

- Powiedziała, że jej matka wiedziała o klątwie, która ma chronić Penwyth.

Lord Vellan pokręcił głową, aż siwe włosy opadły mu na twarz.

- Ach, moja biedna, stara Madelyn – westchnął. - Każdego dnia powtarza mi, że chciałaby mnie pochować. Ciekaw jestem, czy tak się stanie. Z jej matki było niezłe ziółko. Miała na imię Meridian. Nikt nie ma wątpliwości, że była wiedźmą. Czy jedną z wiedźm z Byrne? Tego nie potrafię powiedzieć. Nigdy nie widziałem, by malowała ciało białą kredą czy barwiła na czerwono zęby. W każdym razie nienawidziła ryb. Ta kobieta prześladowała mnie bez końca. Gdy tylko moje postępowanie jej się nie podobało, zsyłała klątwy na moją głowę. Przysięgam ci, Bishopie, pewnego dnia zesłała na mnie taki świąd, że niemal od tego oszalałem. Widzisz, zaledwie lekko potrząsnąłem żonę za ramiona, zaraz biegła się poskarżyć matce. Świąd był straszliwy, lecz wciąż był niczym w porównaniu z wrzodami, jakie pojawiły się na podeszwach moich stóp. Były ogromne,

pękały i wypływała z nich ropa. Wydawało mi się, że umrę. Błagałem, by mnie uzdrowiła i przysiągłem, że nigdy więcej nie skrzywdzę jej pięknej córki.

- Czy to oznacza, że po ataku świądu miał pan odwagę raz jeszcze uderzyć żonę?

- Nie, nie miałem. - Lord Vellan strzelił palcami i trzeci z kolei wilczur poderwał się z miejsca, podbiegł do swojego pana, machając kosmatym ogonem i zwinął się w kłębek u jego stóp. - Madelyn była na mnie zła, więc powiedziała matce, że znów ją zbiłem. Nie jestem przecież idiotą. Nigdy więcej nie podniosłem na nią ręki. Jeśli zaś chodzi o Meridian, przeklęła swojego męża o jeden raz za dużo. On również nie był głupi i wiedział, że jeśli się na nią naprawdę wścieknie, wiedźma zabije go bez trudu. Poderżnął jej gardło we śnie, wyrwał serce i zakopał je dwadzieścia metrów dalej niż resztę ciała. Sir William był ostrożnym człkiem. - Lord Vellan w zadumie przeżuwał ser. Ostatnio Madelyn snuje się po zamku, w ciepłe noce sypia na blankach, szyje koszulki dla Belzebuba, by wciąż z jej mleka powstawał słodki ser, i co rano modli się do dawnych bogów o deszcz. Powiedziała mi, że ty sprowadzisz deszcz. Twierdzi, że to czuje.

Bishop był bardzo prostolinijnym człowiekiem. Nie cierpiał przebiegłości i fałszu. Obserwował ludzi, przyglądał się ich poczynaniom. Obserwował też naturalne zjawiska - uwielbiał gwałtowne burze i zachwyczał go tęcze. Próbował także zrozumieć istotę tych zjawisk. Gdy słuchał innych ludzi, choćby to był sam król, rozumiał słowa, które wypowiadali, motywy, jakie nimi kierowały, wiedział też, co sam powinien myśleć i robić. Lecz tutaj, w Penwyth? Ledwo powstrzymał

Dreszcz. Upił łyk naprawdę dobrego piwa i powiedział:

- Nie potrafię sprowadzić deszczu. Nie posiadam takiego daru. Potrafię go jedynie przewidzieć.

- W jaki sposób? - zapytała Merryn.

Bishop zmarszczył brwi.

- Nie umiem tego wytłumaczyć – odparł - Po prostu to czuję. Przeczuwanie deszczu jest jakby częścią mnie samego.

- Jak zwał, tak zwał. - Lord Vellan wzruszył ramionami. - Zwykły człowiek i tak tego nie zrozumie.

- Czy moja babka przeraziła cię do szpiku kości? - zapytała Merryn.

- Raczej mnie zaskoczyła, niż przestraszyła - stwierdził Bishop, wiedząc, że nie mówi całej prawdy. - Wyrażała się bez ładu i składu.

- Po prostu nie potrafisz jeszcze jej słuchać. Babka powiada, że jej umysł roztrząsa sprawy tego świata od nazbyt wielu lat. Powiada, że tak doświadczony umysł potrafi odgadnąć znaczenie liścia leżącego na skale.

Bishop przewrócił oczami.

- Mam już dość tych mistycznych bredni. - Zwrócił się do lorda Vellana. - Panie, chciałbym poznać twoje zdanie na temat klątwy. Jeśli zaś nie ma żadnej klątwy, chciałbym, byś wreszcie przyznał, że otrułeś wszystkich najeźdźców i ocaliłeś Penwyth i swą wnuczkę, wyrywając ją z ich chciwych łap. Nie widzę innego rozwiązania, panie. Czas już, byś powiedział mi prawdę.

W Wielkiej Sali ponownie zapanowała cisza. Nieprzebrany tłum starych twarzy spalonych słońcem wpatrywał się w lordowski stół.

Lord Vellan odchrząknął, wypił trochę piwa i odezwał się ponurym głosem:

- Nie otrułem żadnego z czterech mężów mej wnuczki. Choć istotnie raz jeden zabiłem żonę, wycierpiałem za to niezасłużenie wyższą karę. Nie popełniłem żadnej innej zbrodni.

Lady de Gay weszła do Wielkiej Sali. Zdawała płynąć ku nim ponad kamienną podłogą.

- Ja opowiem ci wszystko o klątwie, sir Bishopie - powiedziała głośno. - Rzucił ją żyjący przed wiekami druidzki kapłan B'Eall. Skąpał się we krwi wielu ofiar i trzymając w dłoniach serca świeżo wydarte z ich piersi, wciąż pulsujące i toczące krew, ścisnął je i głąskał, aż wydobyl z nich ostatnią kroplę. B'Eall rozejrzał się po okolicy i postanowił, że nasza ziemia na wieki pozostanie świętym dziedzictwem bogów. Zakopał wiele serc w naszej ziemi, by spełniły się jego słowa. Tak też stało.

Lord Vellan wzruszył ramionami.

- Kto wie? - powiedział.

- Ta klątwa jest potężna i straszna - powiedziała Merryn, uśmiechając się drwiąco. - Może męski umysł nie jest w stanie ogarnąć jej znaczenia.

Opowieść lady Madelyn miała na celu sparaliżowanie jego ludzi strachem. Bishop miał już tego wszystkiego dość. Zdał sobie sprawę, że mieszkańcy zamku bawią się z nim w kotka i myszkę. Nikt nie mógł być równie szalony i opętany jak ci ludzie. To wszystko gra! Chcą go wystraszyć i przegonić z Penwyth na cztery wiatry.

Powoli podniósł się z krzesła. Spojrzał na staruszkę ubraną w piękną suknię w starym stylu, jej męża i wnuczkę o ślicznych stopach i małych uszach. Otarł resztki sera ze sztyletu i wsunął go do pochwy ukrytej

w rozcięciu rękawa. Jeszcze raz spojrzął na lorda i lady de Gay.

- Mam już serdecznie dość waszych bajeczek, które powtarzacie tylko po to, by nas wystraszyć. Mnie nie przerażają. Wprawiają mnie we wściekłość. Nie zniosę tego dłużej.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wpatrywali się w niego z uwagą, oprócz dwóch wilczurów, które zaczęły chrapać.

- Słuchajcie wszyscy. Powiedziałem wam, że jestem czarodziejem. Powiedziałem, że spadnie deszcz, który uzdrowi waszą ziemię. Powiedziałem lady de Gay, że powiła pięcioro dzieci. Powiedziałem, że rozumiem pradawne siły, słyszę głosy duchów i mogę z nimi rozmawiać. Nie będę dłużej tolerował waszych obłąkańczych kłamstw i szalonych gróźb ukrytych pod mistycznymi bajeczkami. - Spojrzął na Merryn. - Nie będę dłużej znosił waszych tajemnic i niedopowiedzeń. - Przerwał na chwilę i wykrzyknął głośno: - Przeklinam was!

Chrapiące wilczury poderwały głowy i wpatrywały się w niego ze zdumieniem. Bishop wznosił ręce do nieba i zamknął oczy. Jego potężny, dźwięczny głos brzmiał jak głosy dawnych proroków przepowiadających zagładę.

- Wieszcze, że miejsce, w którym stoję, będzie zalewane wiecznym deszczem do dnia, w którym nie usłyszę szczerych i zgodnych z prawdą odpowiedzi na wszystkie moje pytania!

- Wieczny deszcz będzie bardzo przyjemną odmianą, sir Bishopie - powiedziała Merryn, ani trochę niewzruszona jego klątwą. - To nie nasza wina, że jesteś zbyt tępy, by zrozumieć to, co się do ciebie mówi.

- A co z tym, czego mi się nie mówi? Czy jestem zbyt tępy, by zrozumieć?

Założyła nogę na nogę i radośnie machała stopą, uśmiechając się drwiąco. Bishop był tak wściekły, że miał chęć pluć tak długo, by wypełnić fosę, a potem ją tam wrzucić.

Rozejrzał się po Wielkiej Sali. Żołnierze i służący siedzieli bez ruchu, sparaliżowani strachem. To sprawiło mu przyjemność. Spojrzał na lorda i lady de Gay. Spokojnie przeżuwali chleb i ser, jakby w ogóle nie słyszeli jego słów. Jednak wilczury siedziały wyprężone, wlepiając w niego ślepią jak rycerze przed bitwą. Być może czekały na więcej kości.

- Odpowiedzieliśmy na wszystkie twoje pytania najlepiej, jak mogliśmy - flegmatycznie odezwał się lord Vellan. Powoli zaczął wygłądać na zatroskanego. Świetnie.

Bishop nagle zdał sobie sprawę, że przed chwilą wstał i rzucił na Penwyth klątwę potopu. Przecież, na litość boską, nie ma zielonego pojęcia o klątwach ani żadnej tajemnej mocy! Powódź. Nie mógł uwierzyć we własną głupotę.

Ta klątwa wypłynęła z głębin jego duszy. Przecież w jakiś sposób odgadł, ile dzieci powiła lady Madelyn. Czuł się przytłoczony.

To tylko zbieg okoliczności, zupełnie bez znaczenia. Jest głupcem. Kompletnym idiotą. Może mieć nadzieję, że deszcz będzie padał przynajmniej dwa dni. Czy dwa dni ulewy będą się liczyły jako spełnienie klątwy?

Raczej w to wątpił. Musi koniecznie zrobić coś spektakularnego. Coś, co wstrząśnie nimi do głębi. Uśmiechając się, odwrócił się do Merryn, chwycił ją za ramię i poderwał na nogi. Otworzyła usta, by na niego

krzyknąć, lecz zamknął jej wargi dłonią.

- Nie! Tym razem będziesz cicho. - Zaciśnął rękę na jej ramieniu, wiedząc doskonale, że sprawia jej ból. W tej jednak chwili nie miało to dla niego znaczenia.

Pochylił się ku niej i krzyknął:

- Pójdiesz ze mną, Merryn de Gay! Będziesz siedziała na spalonym słońcem wzgórzu, dopóki nie nadejdzie deszcz. Strugi wody będą tłukły w twoje ciało, wlewały się do ust, oślepiąły cię. Będę cię trzymał z dala od Penwyth, dopóki nie wyjawisz mi całej prawdy o klątwie.

Kopnęła go w goleń.

Krew w nim zawrzała z wściekłości, dudniąc w uszach i płynąc wartko żyłami jak struga szaleństwa. Chwyił Merryn i przerzucił sobie przez ramię. Kątem oka dostrzegł, jak Crispin wyciąga miecz.

- Zostaw mnie, Crispinie. Żaden z was niech się nie wtrąca. Przybyłem tu, by uwolnić Penwyth od klątwy, i zamierzam tego dokonać. Nie zniosę więcej kłamstw i niedomówień. Ani prób sprowadzenia na mnie obłędu.

Merryn szarpała się z całej siły i tłukła jego plecy kufakami. Bishop z uśmiechem trzepnął ją dłonią po pośladkach.

Krzyknęła, szarpnęła się ponownie i usiłowała go ugryźć. Rozluźnił na chwilę chwyt i zaczęła spadać głową w dół na kamienną posadzkę. Wrzasnęła wniebogłosy. Bishop chwycił ją w ostatniej chwili, spojrzał przez ramię i powiedział:

- Bądź cicho i przestań się szarpać albo cię upuszczę, a twoja głowa pęknie jak dojrzały melon.

Zastygła jak posąg.

Świetnie. To była wspaniała groźba, choć mało wiarygodna. Bishop powoli wciągnął ją z powrotem na ramię. Suknia jej się podciągnęła i jego usta znalazły się o włos od białego uda. Czując zapach jej ciała, natychmiast stwardniał. Przekleństwo! Przecież jest mężczyzną. Nie jest w stanie kontrolować odruchów swojego ciała. Zresztą to nie ma znaczenia. Podjął już decyzję. Sprowadzi pokój do Penwyth. Dowie się całej prawdy i pocałuje tę zgrabną nogę, gdy tylko wyjdzie z Wielkiej Sali.

Zanim dotarł do stajni, zatrzymał go Dumas.

- Bishopie - powiedział, wiedząc, że Merryn słucha - będziesz potrzebował ochrony przed nadchodzącym deszczem i zapasów, by go przetrwać. A także straży. Pojedziemy z tobą.

- Dziękuję, Dumasi - powiedział Bishop. - Wolę, byście zostali w zamku. Przynieś mój namiot i zapasy do stajni.

Merryn szarpnęła się zniecka.

- Zostaw mnie, głupcze! - krzyknęła. - To jakieś szaleństwo. Nie mam zamiaru utopić się w deszczu, który przecież nie nadejdzie, bo nawet nie wiesz, o czym mówisz!

Dał jej kolejnego klapsa.

- Szaleństwo panuje tutaj, w Penwyth. To, co ja robię, ma sens i jest normalne. Zabieram cię stąd, wiedźmo. Choć może tego nie zrobię, jeśli powiesz mi prawdę.

- Nie ma żadnej prawdy! Jest tylko ta przeklęta kłątwa! Nic więcej. Mój dziadek wie o niej najwięcej z nas wszystkich. Skoro postanowił nie mówić wszystkiego, to jego sprawa, nie moja. Zostaw mnie!

- W takim razie będzie musiał nas znaleźć na wzgórzach i powiedzieć całą prawdę. Mam nadzieję, że lubisz deszcz, Merryn, gdyż naprawdę zamierzam cię związać i pozwolić ci w nim utonąć.

Zamilkła. To nawet lepiej, pomyślał i uśmiechnął się. Gdy chwilę później jechał na Nieustraszonym, ścigało ich rzenie jej klaczy. Merryn leżała na brzuchu na jego kolanach, a zapasy i namiot zwieszały się po bokach siodła. Bishop zdał sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście zwiąże ją i zostawi na deszczu, może ją zabić.

- Brzuch mi zaraz pęknie.

- Zamilknij. Wyjechaliśmy właśnie z Penwyth. Jeśli możesz spojrzeć za siebie, zobaczysz blanki, a ponad nimi zastępy starców, włączając w to twojego dziadka. Służba pewnie została w Sali, zajadając ser Belzebuba i zastanawiając się, jak będziesz wyglądała, gdy deszcz zaleje ci usta.

- Nie chcesz chyba mnie utopić! Hej! Słyszysz, mnie? Hej! Nie spadnie żaden deszcz! Jest susza, głupku. Nie padało od miesięcy. Nie utonę. Być może umrę od spiekoty i kurzu!

- To dopiero będzie widok.

- Zatem przyznajesz, że twoje przepowiednie nie są warte funta kłaków?

- Sama zobaczysz. Wszyscy zobaczycie.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Bądź cicho.

- Ale...

Dał jej siarczystego klapsa.

Krzyknęła i nie odezwała się więcej.

Zaczął gwizdać, by zagłuszyć jej chrapliwy oddech. Noc była piękna, na niebie jaśniały tysiące gwiazd, wąski sierp księżyca dawał zdumiewająco dużo światła. Ciepłe powietrze miękko obmywało skórę. Czy w bezkresnej

przestrzeni nieba rzeczywiście kryje się deszcz? Bishop wiedział, że tak. Że deszcz nadejdzie niedługo. Nigdy wcześniej jego dar nie był tak ważny jak w tej chwili. Może naprawdę jest czarodziejem, zaś deszcz będzie na to niezbitym dowodem.

Pomyślał o suszy gnębiącej Penwyth. Wątpił, by miała cokolwiek wspólnego z wiedźmami z Byrne czy druidami. Zapewne to potężne siły natury wysuszyły na pył ziemię wokół zamku.

Merryn zaczęła charczeć.

Bez wahania podniósł ją i posadził przed sobą w siodle.

- To było mądre posunięcie - wyjąkała po chwili. - Pobrudziłabym ci buty.

- Ciekawe, co ja bym wtedy zrobił?

- Znowu byś mnie zbił?

- Nie zbiłem cię jeszcze. Nie przeceniaj własnych cierpień.

- Dokąd mnie zabierasz?

W tej chwili zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd jada. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, więc warknął tylko:

- Bądź cicho.

Nieustraszony instynktownie kierował się na południowy wschód. Gnał do Land's End. Niech więc tak będzie. Nad urwiskiem Bishop ściągnął koniowi wodze. Rozciągało się przed nimi spokojne morze, czarne i aksamitne w świetle księżyca. Poszarpane skały wznosiły się wokół jak armia gigantów, górując nad wąskim paskiem plaży. Bishop słyszał fale roztrzaskujące się o skały, czuł na twarzy mgiełkę morskiej bryzy.

- To najpiękniejsze miejsce na ziemi – odezwała się Merryn. - Popatrz tam. Widzisz gniazda tysięcy

gawronów powtykane we wszystkie szczeliny klifu?

- Nigdy stąd nie wyjeżdżałaś, więc nie dziw się, że uważasz to miejsce za piękne.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Widziałeś kiedykolwiek piękniejszy krajobraz?

- Ta okolica jest zbyt wyschnięta, zbyt jałowa - powiedział Bishop.

- To się zmieni, gdy spadnie twój słynny deszcz, czyż nie? - zapytała sarkastycznym tonem. - Masz zamiar tu zostać? Zwiążesz mnie i pozwolisz wronom wydziobać mi oczy?

- Gdy już zacznie padać, wątpię, by jakikolwiek ptak miał ochotę opuszczać suche gniazdo, by cię atakować. Nawet wrona. - Zeskoczył z siodła i zestawiał ją na ziemię.

- Nie uciekaj, bo się rozłoszczę. - Odwiązał potężny tobół z zapasami i rzucił go na ziemię. - Tu jest namiot. Rozstaw go.

Kopnęła kamyk, nawet na niego nie patrząc.

- Oczywiście, że wątpię, byś potrafiła zrobić cokolwiek pożytecznego. Jesteś tylko dziewczyną, córeczką lorda, która w całym swoim życiu nie robiła nic poza liczeniem wstążek. Może gdy nadejdzie twoja pora, będziesz w stanie powić i wykarmić dziecko. Można tylko mieć taką nadzieję.

Kopnęła ze złością tobół, uklękła i zaczęła go rozpakowywać. Chleb, ser, trzy bukłaki piwa. Wyglądało to, jakby Dumas zebrał wszystko ze stołu w Penwyth. Merryn wyciągnęła namiot. Wydawał się doskonale uszyty, ale nie wiedziała, jak go rozłożyć. Obejrzała cienkie kijki, sporą płachtę materiału i westchnęła. Wsparła dłonie na biodrach i spojrzała na Bishopa. Wyczesywał Nieustraszonego. Widząc jej wściekłość, roześmiał się wesoło.

- Wyszczotkuj konia.

Zrobiła to z wprawą, przemawiając czule do ogiera, całując go po nosie i opowiadając mu o swej klaczy. Bestia zarżała w odpowiedzi i położyła wielki łeb na jej ramieniu.

Gdy namiot stał już na płaskim kawałku ziemi, Bishop podszedł do Merryn. Stała o krok od urwiska. Jej suknia furkotała wokół nóg w gwałtownych podmuchach wiatru. Zdawało mu się, że coś mówi.

Zapewne mruczała klątwę.

- Nie będziemy już rozpalać ognia – powiedział. - Jest późno. Dzień ciągnął się bez końca i jestem zmęczony. Chodź tu.

Odwróciła się do niego powoli. Mógłby przysiąc, że wokół jej głowy jaśniał pierścień światła. Poczul, jak serce koziółkuje mu w piersi. Potrząsnął głową, wściekły na siebie. Przyjechał do tego niedorzecznego miejsca, które ma niedługo należeć do niego, a zamiast dążyć do celu, widzi wiedźmę za każdym krzakiem.

- Chodź tu.

- Chciałabym nacieszyć się tą cudną nocą.

- Nie obchodzi mnie, co byś chciała. - W dłoni trzymał zwiniętą linę.

- Co zamierzasz zrobić? Zbijesz mnie tym sznurem?

- Chodź tu - powtórzył po raz trzeci.

Merryn pomyślała w tym momencie, że odkąd obudziła się o świcie, całe jej życie uległo zmianie. Teraz był tu Bishop i w głębi serca czuła, że nie zamierzą wyjeżdżać. Czy zginie? Czy klątwa go porazi?

- Nie potrafisz powiedzieć ci niczego więcej na temat klątwy.

- Chodź tu.

Powoli podeszła do niego.

- Daj rękę.

Podąła. Obwiązał liną jej nadgarstek.

- A teraz pójdziemy spać.

Spojrzała na niego bezradnie, przełknęła ślinę i powiedziała:

- Muszę mieć chwilę dla siebie, zanim położę się spać, błagam.

- Chwilę? Po co? Żeby rzucić kolejne przekleństwa na moją głowę?

Pokręciła głową.

- Proszę. Tylko chwilę. Muszę sobie ulżyć.

- Niech będzie. Jeśli spróbujesz uciec, przywiążę cię na noc do Nieustraszonego i spędzicie ją bardzo blisko siebie.

W pobliżu rósł tylko jeden krzak. Bishop machnął dłonią w jego kierunku.

- Idź.

Gdy wróciła po kilku minutach, stał w tym samym miejscu. Powoli podniosła rękę, by mógł obwiązać ją sznurem.

- Chodź - powiedział, wskazując na namiot.

Schronienie okazało się ledwie wystarczające dla nich dwojga. Bishop rozłożył na ziemi koc i ułożył tobołek z zapasami, by służył za poduszkę. Przywiązał Nieustraszonego do skały tuż przy namiocie.

Merryn odwróciła się do niego plecami i zwinęła w kłębek, zaś Bishop ułożył się wygodnie na plecach na swojej połowie. Drugi koniec liny miał przywiązany do własnego nadgarstka, lecz po chwili stwierdził, że żadne z nich nie jest w stanie się poruszyć.

- Odwróć się do mnie - powiedział. Gdy się nie poruszyła, dodał znużonym głosem: - Nie mam zamiaru

cię napastować. Jestem zmęczony. To był długi i bardzo dziwny dzień. Chcę tylko spać. Bądź posłuszna.

Nagle Merryn usiadła, naciągając linę.

- Nie powinieneś być mnie tu przywozić. To nie w porządku. Jestem damą.

- To się jeszcze okaże. Chodź do mnie.

Merryn nie chciała kłaść się przy jego boku, dotykać go, opierać policzka na jego ramieniu, mimo że wciąż miał na sobie tunikę. Był obcy. Młody, pełen mocy i wspaniale zbudowany. Bała się go i nie bała jednocześnie. To ci zagadka.

- A jeśli zaczniesz padać?

- To solidny namiot. Jednak jeśli będzie porządnie lało, pewnie trochę przemokniemy.

- Niedaleko stąd jest mały szałas. Moglibyśmy się w nim schronić.

- Mowy nie ma, jestem zmęczony. Nie zamierzam się stąd ruszać - powiedział i pociągnął za sznur.

Powoli, z ociąganiem, położyła się przy jego boku. Była sparaliżowana jego bliskością. Suchy wiatr szarpał połami namiotu. Nie niósł z sobą nawet najłżejszej zapowiedzi wody. Bishop wziął ją pod pachy i ułożył sobie w zagłębieniu ramienia. Gdy spostrzegł, że Merryn nie bardzo wie, co zrobić z ręką, ujął ją za nadgarstek i zwyczajnie położył jej dłoń na swoim torsie.

- Śpij już - powiedział. - Nic ci nie grozi z mojej strony, pod warunkiem że nie zaczniesz znów inkantować.

- Nie inkantowałam. Śpiewałam tylko. Co byś zrobił, gdybym zaczęła inkantować?

- Włożyłbym na ciebie siodło Nieustraszonego i kazał ci w nim chodzić.

Nie знаła go na tyle, by wiedzieć, czy mówi na serio. Woląta jednak nie ryzykować.

- Nie będę inkantować.

- To dobrze - powiedział i zamilkł.

Merryn leżała przy nim bez ruchu. Nigdy wcześniej nie leżała tak blisko mężczyzny. Był potężny. Zbyt potężny. Pod dłonią czuła równe, mocne uderzenia serca. Czuła przyjemny zapach jego rozgrzanego ciała. W tym zapachu było coś zdumiewającego... Nie pachniał starością! Merryn zamknęła oczy. Dlaczego ją tu przywiózł? Czyżby naprawdę zamierzał położyć ją związaną na pastwę deszczu?

O ile spadnie deszcz.

Rozdział 9

Bishop miał bardzo lekki sen, który co najmniej trzy razy ocalił mu życie. Obudziłby się natychmiast, gdyby usłyszał parsknięcie Nieustraszonego. Obudziłby się na dźwięk gałązki pękającej pod czyjąś stopą na sąsiednim wzgórzu. Obudziłby się, gdyby dziesięć metrów dalej usłyszał czyjś oddech.

Jednak gdy w środku nocy Merryn wspięła się na niego i ułożyła się do snu, nawet nie drgnął. Tuż przed świtem otworzył oczy i przez długą chwilę leżał bez ruchu, zdumiewając się tym zdarzeniem. Merryn leżała na brzuchu, rozłożywszy ręce i nogi na boki. Głowę wcisnęła pod brodę Bishopa. Całe jej ciało wtulało się w niego.

Z trudem pozbierał myśli. Słyszał delikatny wiatr od morza. Czuł zapach słonej wody, lecz nie wyczuwał deszczu.

Jeszcze nie. Jeszcze za wcześnie.

Czuł za to leżącą na nim Merryn. Nie tylko jej delikatne ciało tak doskonale pasujące do jego ciała. Czuł jej głęboki oddech i palce zaciskające się na ramieniu.

Jak, na litość boską, zdołała ułożyć się na jego ciele, nie budząc go przy tym?

Słyszał oddech śpiącego Nieustraszonego. Wyobraził sobie swojego ogiera zwróconego w stronę klifu, kiwającego miarowo głową w lekkiej bryzie.

Merryn leżała na nim, przyciskając swój brzuch do jego brzucha, i Bishop czuł, że jest twardszy niż ziemia, na której leży. Merryn jest za blisko, stanowczo za blisko. Na pewno niedługo się obudzi i poczuje jego nabrzmiałą męskość. Na pewno poderwie się gwałtownie i będzie przerażona. Wstrząśnięta od stóp, które pieścił, do głowy. Czuł jedną z jej drobnych stóp spoczywającą na jego podbiciu.

Na spróchniałe kości świętego Antoniego, mógł bez trudu podciągnąć suknię i dotknąć jej nóg. Wiedział już, że są smukłe i długie, zauważył to gdy wiatr igrał z jej spódnicą. Jednak chciał poczuć jej skórę, dotknąć delikatnego ciała. Chciał znów zamknąć w dłoni drobną stopę i pogłaskać małe uszy.

Boże, niech ona się obudzi!

Wspaniale. Po prostu świetnie. Merryn za chwilę zerwie się jak oparzona i zacznie wrzeszczeć jak opętana wiedźma, a wtedy wszystkie duchy antycznych druidów rzucą się na niego i bez ceregieli wpakują go do drewnianej skrzynki.

Nie dbał już o to. Nie zważając na to, że obejmuje ją ramionami i przyciska mocno do siebie, odezwał się półgłosem:

- Merryn...

- Mmm...

- Merryn, obudź się. - Dłonie Bishopa zsunęły się niżej, niemal do jej pośladków. - Jeśli się nie obudzisz, wezmę cię tu i teraz, i będzie za późno.

Z wysiłkiem oderwał od niej dłonie. Nie powinien był jej dotykać. To kompletne szaleństwo, wzięwszy pod uwagę ścigającą ich klątwę. Jednak wszelkie rozważania na jakiegokolwiek tematy nie były w stanie go teraz rozproszyć. Ścisnął mocno jej biodra, wyobrażając sobie, że obraca się wraz z nią i wchodzi w jej ciało jednym ruchem. Czy gdyby uczynił ją brzemienną, klątwa zniszczyłaby go mimo to? Czy w ogóle wściekłe duchy wiedziałyby, że ją posiadał?

- Merryn, już świta. Otwórz oczy. Jeśli tego nie zrobisz, za chwilę znajdziesz się pode mną.

Spodziewał się, że dziewczyna poderwie się z krzykiem, lecz znów się pomylił. Bardzo powoli uniosła się na rękach, wpatrując się w jego twarz. Musiała czuć palce Bishopa na biodrach i jego pulsującą męskość przy własnym łonie.

- Na wszystkie świętości - powiedziała zaskoczonym głosem. - To jest tak przyjemne, że na pewno jest bardzo ciężkim grzechem.

Nie tego oczekiwał Bishop. Kimże jest ta dziewczyna, która pochowała już czterech mężów? Która wciąż ma przed nim sekrety?

Jego dłonie wciąż jej dotykały, lekko poruszając jej ciałem kołyszącym się na twardej męskości. Pragnął jej tak bardzo, że był gotów jęczeć przeciągle jak zraniony w boju rycerz. Rozkoszne pulsowanie w członku graniczyło niemal z bólem. Nie odrywał zgłodniałego wzroku od jej twarzy.

- Oczywiście, że to przyjemne. Powinno być przyjemne.

- Sądziś, że to grzech? - zapytała, lekko opuszczając się na rękach. Piersiami niemal dotykała jego torsu.

- Merryn. Powinnaś przeraźliwie wrzeszczeć, odpychać mnie i starać się uciec.

- Aha - odparła, pochylając głowę. Czuł jej lekki oddech na wargach.

- Kiedy się na mnie wspięłaś?

- Ja? Ojej... - Merryn wyraźnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Gdyby mogła się zarumienić jeszcze bardziej, przypominałaby zachód słońca w St. Ives. Jednak w jej oczach skrzyło się podniecenie zmieszane z ciekawością.

- Skoro mnie pragnęłaś, dlaczego po prostu mnie nie obudziłaś?- zapytał. - Mężczyźni są gotowi do boju w każdej chwili.

Chwycił ją mocno za biodra i przycisnął do nabrzmiałej męskości.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało – szepnęła. Jej oddech stał się krótki, urywany. - Może przez sen szarpnąłeś za linkę i wciągnąłeś mnie na siebie?

- O, nie. Nie jestem głupcem. - Jednak najwyraźniej był szalony. Zaczął powoli podciągać jej suknię.

Wpatrywała się z uporem w jego oczy.

- Jeśli nie przestaniesz, klątwa może cię zabić.

- Być może, lecz czy powinnaś się tym martwić? Jeśli powiesz mi wszystko, co przede mną ukrywasz, może nie zwiążę cię i nie porzucę na deszczu.

Nie odezwała się, lecz jej oddech stał się chrapliwy. Jeśli Bishop się nie pomylił, a był przekonany, że nie, Merryn poważnie zastanawiała się nad jego słowami.

- Zaslugujesz na karę - powiedział znudzonym, obojętnym głosem, choć palce mu drżały z pragnienia, by poczuć jej nagą skórę. - Gdybyś zechciała ze mnie zejść, bardzo by mi ulżyło.

- Jesteś zupełnie inny niż ja - powiedziała, wpatrując się w jego usta.

Bishop poruszył się. Nie mógł się powstrzymać. Był jeszcze twardszy niż przed chwilą; miał ochotę posiąść ją i kochać bardzo, bardzo szybko i mocno. Ponownie się poruszył. Nagle nie był w stanie dłużej tego znieść. Objął ją mocno ramionami i przetoczył Merryn na plecy, wspierając się na łokciach nad jej ciałem.

Nie krzyknęła ani nie przeklęła go. Po prostu leżała z dłońmi na jego ramionach.

- Widziałam już wielu nagich mężczyzn - powiedziała spokojnie. - Nie wyglądali tak jak ty.

Roześmiał się głośno. Włosy Merryn były splątane, usta miała lekko rozchylone. Ta pozycja okazała się o wiele trudniejsza do zniesienia niż poprzednia, gdy Merryn leżała na nim. Tak łatwo mógłby podciągnąć jej suknię i wejść w nią z mocą, głęboko, jak najgłębiej. Na samą myśl o tym ledwie powstrzymał jęk.

- Dotykałaś nagich mężczyzn? - zapytał, by skupić na czymś uwagę. - Czy ty, młoda dama, dotykałaś ich tam? - Pchnął lekko biodrami, by zrozumiała wyraźnie, o co ją pyta. Zdawało mu się, że jeszcze chwila i umrze.

- Nie. Patrzyłam na nich tylko i nie wyglądali tak jak ty.

- Mężczyzna jest tylko mężczyzną - odparł, nadymając się jak paw. Czuł, że męskość stwardniała mu nawet bardziej. Czyżby Merryn usiłowała go uwieść?

- Być może, a jednak nie przypominali ciebie.

Bishop nagle pojął różnicę i jego entuzjazm oklapł nieco.

- To byli sami starcy.

- Oczywiście. W Penwyth są sami starcy.
- Dość tego. Muszę się od ciebie odsunąć.

Nie chciał się odsuwać, naprawdę tego nie chciał. Z wysiłkiem odchylił się lekko na bok. Merryn leżała bez ruchu, dopóki nie fuknął:

- Niech cię licho, Merryn, nadużywasz mojej cierpliwości! Odsuń się!

Próbowała wyśliznąć się spod niego, przesuając się powoli, jakby się bała, że ją skrzywdzi, jeśli wykona jakiś fałszywy ruch. Gdy mógł się już położyć przy niej na boku, szybko usiadła. Jednak nie przestała na niego patrzeć, o nie. A pod jej wzrokiem męskość twardniała mu nieprzerwanie.

Usiadł przy niej i zaczął rozwiązywać sznur.

- Co zamierzasz dziś robić?

Do tej pory o tym nie myślał. Wcześniej czuł tylko wściekłość i chciał ukarać wszystkich za robienie z niego głupca, ukarać ją za wszystkie sekrety i ponętny wygląd. Ukarać ją za to, że nie był w stanie trzeźwo myśleć. W milczeniu rozsypywał węzeł, który w nocy się zacisnął.

- Naprawdę wierzysz, że będzie dziś padać?
- Owszem. Dziś spadnie deszcz.
- Jeśli tak się stanie, nie zamierzasz przecież porzucić mnie skępowanej na pastwę ulewy, nieprawdaż?

Nareszcie usłyszał strach w jej głosie. Powinna się bać.

Głowę miała spuszczoną. Rude włosy splątały się i rozczochrały.

- Jeśli wreszcie powiesz mi prawdę, jeśli powierzysz mi wszystkie tajemnice, których tak pilnie strzeżesz, przemyślę to jeszcze raz.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie mam żadnych tajemnic. Masz wąsy.

Świetny sposób na odwrócenie uwagi.

- Jestem mężczyzną i mamy poranek. Oczywiście, że mam wąsy. Miałaś już czterech mężów, więc musisz wiedzieć, co się im przydarzyło. Wiesz wszystko.

Ku jego zdumieniu Merryn uniosła dłoń i opuszkami palców dotknęła jego policzka i brody.

- To sprawa klątwy. Nic więcej nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Bardzo różnisz się ode mnie.

- Merryn, w Penwyth są także młodzi mężczyźni. Widziałem ich co najmniej tuzin. Zapewne wszyscy w waszym przeklętym zamku doskonale wiedzą, co się tam dzieje.

- Ach, lecz ci młodzieńcy są wieśniakami i nie mam prawa patrzeć na nich, chyba że przychodzą się na coś poskarżyć. - Zamilkła na chwilę, szarpiąc sznur uwiązany do nadgarstka. - Nigdy nie widziałam żadnego z nich nago. Nie kąpią się zbyt często, a nawet jeśli to robili, nie było mnie wtedy w koszarach, gdzie kilka razy widziałam nagich strażników.

Bishop parsknął śmiechem. Nie mogąc się powstrzymać, pochylił się nagle i pocałował ją w usta. Merryn zamarła. Zauważył, że od sznura ma obtarty nadgarstek.

Dotknęła palcami warg i spojrzała mu w oczy.

- Nikt mnie wcześniej nie całował.

- Twój drugi mąż całował cię, aż krew buchnęła mu ustami.

Zadygotała.

- Sir Gifford de Lancey. To było okropne. Nie chcę tego pamiętać.

- Już nie żyje. Otrzymał należną karę.

Pokiwała głową.

- O, tak. Tak właśnie się stało.

- Dotykał cię?

Merryn położyła dłoń na piersi, lecz nic nie powiedziała. Bishop znów wybuchnął śmiechem.

- W normalnych okolicznościach nikt nie uwierzyłby, że miałaś czterech mężów i wciąż jest dziewicą.

Merryn podniosła się na kolanach.

- Muszę się udać na stronę.

- Ja również.

Poranek był prześliczny i nie tak ciepły jak poprzedniego dnia. Bishop natychmiast wyczuł zmianę w powietrzu. Zawsze czuł ją przed deszczem. Słońce powoli wspinało się ponad linię horyzontu. Wciąż było bardzo wcześnie. Morze, teraz gładkie i spokojne, rozciągało się u jego stóp. Spojrzał na Merryn idącą ku jednemu krzaczekowi. Odwrócił się i ulżył pęcherzowi, po raz pierwszy w życiu myśląc, że to zadanie jest o wiele łatwiejsze, gdy jest się mężczyzną.

Zajrzał do Nieustraszonego. Znudzony rumak trącił go mocno w ramię. Bishop wycesał go i podprowadził bliżej klifu, gdzie koń mógł widzieć szalejące ptaki.

Gdy Merryn wróciła, wciągnęła nosem powietrze jak Bishop i uśmiechnęła się.

- Jestem głodna. Mogę zobaczyć, co Dumas dla nas spakował?

Spojrzał na nią zdumiony. Czyżby to było jej miłe, łagodne obejście? Zachowywała się, jakby się wcale go nie bała. Niedobrze.

- Przejrzyj zapasy - powiedział szorstko. - Gdy zjemy śniadanie, powiem ci, co postanowiłem z tobą zrobić.

Jego słowa i ton głosu trochę ją przestraszyły. Powinna się go bać. Zaczynał się przyzwyczajać do myśli, że pewnego dnia ją poślubi. Wszyscy powtarzali, że rolą żony jest słuchanie we wszystkim męża, rodzenie mu dzieci i dbanie, by przeżyły, a przede wszystkim zgadzanie się z każdym jego słowem. Bishop spodziewał się, że Merryn nie zechce być taką żoną. Przecież pragnie stać się dziedziczką Penwyte.

Nagle oczyma wyobraźni ujrzał małego chłopca, którego włosy były równie czarne jak jego własne. Jednak oczy okazały się zielone jak bagna, nie zaś ciemnoniebieskie. To jakiś nonsens. Przecież nie jest przeklętym jasnowidzem! Prawdę mówiąc, nie jest także czarodziejem. Nie posiadał tajemnej wiedzy, nie zna starodawnych mocy, które przetrwały wieki i wciąż są potężne. Nie. Nie potrafi przyrządzić sobie gorącego posiłku, a co dopiero przekląć człowieka czy zabić go jednym spojrzeniem.

Skąd zatem wzięła się wizja chłopca? Na pewno przywołała ją sama wyobraźnia podniecona nocą w namiocie pod ciepłym kobiecym ciałem.

Jedynym darem Bishopa było przepowiadanie deszczu, nic więcej. Niezbyt wiele wiedział też o kobietach, nie licząc tego, że spótkowanie z chętną dziewczuchą wprawiało go na kilka godzin w dobry nastrój. Wszyscy mężczyźni, jakich poznał, byli tacy jak on.

- Babka powiedziała mi, że bez wahania wymienięś liczbę dzieci, które powiła - odezwała się Merryn. - Skąd o tym wiedziałeś?

Bishop wziął od niej kawałek sera Belzebuba i zaczął go żuć, by zyskać na czasie. Wreszcie wrzucił ramionami i odpowiedział:

- Mówiłem ci przecież. Jestem czarodziejem. Dużo wiem.

- A może król ci o tym powiedział?

- A skądże król miałby to wiedzieć? I niby dlaczego miałoby to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

Niewątpliwie. Merryn podała mu bochen chleba i przyglądała się, jak przełamuje go w dużych dłoniach.

- Babka była przerażona - rzekła.

- Słusznie. Powinna się bać. Jakkolwiek sama jest dość przerażająca, nie powiedziała mi niczego, co miałoby jakikolwiek sens. Bardzo dziwna z niej dama, Merryn. Czy to ona cię wychowała?

- Myślę, że można tak powiedzieć. Zazwyczaj jednak robiłam to, na co mi przyszła ochota aż do dnia, gdy nasz kamerdyner, Ranlif...

- Ach, kamerdyner. Przynajmniej mógł wyspać się w swojej komnacie.

- Tak. Jestem pewna, że docenił to szczęście, Twierdzi, że nocami łupie go w kościach. Dziadek kazał zrobić dla niego specjalny materac z gęsiego puchu. Ranlif nauczył mnie czytać i pisać. Twierdzisz, że moja babka jest dziwna. Ja zawsze uważałam ją za fascynującą. Jest dumna ze swojej odmienności i niezwykłości. To doprowadza dziadka do szaleństwa, zresztą zawsze go doprowadzało, a ona dobrze o tym wie. Ale, jak wiesz, uderzył ją tylko jeden jedyny raz. Nigdy potem nie podniósł na nią ręki, nawet po śmierci Meridian.

- A twoja matka?

- Zmarła niedługo po urodzeniu trzeciego syna. Wszyscy chłopcy szybko umierali, tylko ja przeżyłam. Ojciec rzadko bywał w Penwyth po jej śmierci. Chyba przestało mu zależeć na rodzinie.

- Twoja prababka nazywała się Meridian. Przedziwne imię. Przykro mi z powodu twych zmarłych braci. Trudno jest dożyć męskiego wieku.

- To prawda. Słyszałam, jak niektórzy mówili, że to ja powinnam umrzeć, a nie chłopcy, lecz, jak widzisz, nie umarłam.

- Gdzie mieszkała Meridian?

- W zamku niedaleko Tintagelu. Potrafiła przewidywać różne zdarzenia, podobnie jak ty. Naprawdę. Czy to ona

Rozdział 10

Nie odezwał się więcej, tylko podał rękę Merryn i usadowił ją na siodle Nieustraszonego. Pojechali na północ, wzdłuż wybrzeża. Starał się jechać po ziemi należącej do Penwyth, chciał bowiem zobaczyć krainę, która będzie do niego należeć. Niestety, jego oczom ukazał się obraz nędzy i rozpacz. Pola uprawne były wyschnięte, a rolnicy zagłodzeni niemal na śmierć. Zaczął się modlić, by dar przewidywania deszczu nie zawiódł go tym razem, gdyż widział wyraźnie, że Penwyth umiera.

- To nie wygląda dobrze - powiedziała Merryn.

- Istotnie.

- Jeszcze nic ze mną nie zrobiłeś - odezwała się znów po dłuższej chwili.

- Szukam dogodnego miejsca, w którym wystawię cię na pastwę nadchodzącego deszczu.

Jednak wydawało się, że nie może go znaleźć. Zatrzymali się na polanie i zjedli resztę zapasów. Zauważył, że Merryn jest bardzo z siebie zadowolona. Wiedział, że natychmiast musi coś zrobić, inaczej dziewczyna go pokona. Będzie przekonana, że jest zwykłym blagierem. Nie mógł na to pozwolić.

- To miejsce jest wyborne - powiedział. Spójrz na ten niewielki pagórek. To właśnie tu zostaniesz wydana na pastwę ulewy. Ponieważ położę cię na wzniesieniu, masz szansę nie utonąć, jednak z pewnością poznasz, czym są bicze wodne.

- Nie uwierzyła mu.

- Chcę już wrócić do Penwyth. Wszyscy na pewno bardzo się o mnie martwią.

- Dlaczego mieliby się martwić? Przecież wiedzą, że zabrałem cię, by cię ukarać. Czyżby sądzili, że zamierzam cię zabić? Hmm... - Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstki i obwiązał je liną. Merryn starała się wyrwać z jego uścisku, a była naprawdę silna. Szarpała się i krzyczała głośno, lecz Bishop beznamytnie zawiązywał kolejne węzły. Zaciągnął ją na szczyt pagórka, gdzie rósł potężny krzak, podciął nogi i przewrócił ją na plecy. - Przestań się miotać. Przecież mówiłem ci, co zamierzam zrobić.

- Nie! Nie pozwolę na to! - Zdołała wyszarpnąć związane ręce i zdzielić go z całej siły w szczękę. Bishop przewrócił się, a Merryn poderwała się na równe nogi. - Nie pozwolę ci się związać jak jakieś zwierzę! - Poderwała się do biegu. Widział, że biegnąc, stara się poluzować linę zębami.

Rzucił się za nią w pogoń. Musiał uważać, jak biegnie, gdyż Merryn uciekała w dół po zboczu, wśród skał i staczających się kamieni. Słyszał jej ciężki oddech. Spojrzała przez ramię i potknęła się. Krzycząc, wyciągnęła przed siebie związane ręce. Wylądowała na dłoniach i kolanach i potoczyła się w dół, aż do stóp pagórka.

- Niech cię licho porwie, Merryn - wysapał Bishop. Sam również się potknął, lecz jakoś zdołał utrzymać równowagę. Opadł na kolana przy leżącej bez ruchu

dziewczynię. Była nieprzytomna. Przysiadając na piętach, zamknął oczy.

Dzień wcale nie toczył się tak, jak powinien.

Lekko obmacał palcami jej głowę i wyczuł za lewym uchem szybko rosnący guz. Dzięki Bogu za jej gęste włosy! Miał nadzieję, że choć trochę ją ochroniły.

Odwrócił ją na plecy, zbadał ręce i nogi, lecz nigdzie nie wyczuł złamania. Czy jednak nie odniosła wewnętrznych obrażeń? To mogło się naprawdę źle skończyć! Bishop zbladł, spojrział w niebo i zaklął szpetnie.

- Kapłan nigdy nie zniżyłby się do wypowiadania takich bluźnierstw.

- Nie jestem kapłanem. Dla ciebie jestem sir Bishop!

W jego głosie usłyszała ulgę. Była jednocześnie wściekła i przestraszona, choć miała wielką ochotę roześmiać mu się w twarz. Z drugiej zaś strony chciała porządnie uderzyć się kamieniem w głowę i znów zapaść w słodką nieświadomość.

Niestety. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Nigdy wcześniej nie doznała podobnego cierpienia. Dudniący, przeszywający ból rozsadał jej głowę, niemal ją oślepił. Czowała, jak Bishop rozwiązuje linę i rozmasowuje jej nadgarstki. Położył dłoń na jej czole i się pochylał. Czowała jego ciepły oddech na twarzy.

- Nie mogę ci w żaden sposób pomóc.

Wiedziała o tym. W jego głosie słyszała niekłamaną troskę.

- Nie mogę się ruszyć.

- Nawet nie próbuj. Leż spokojnie.

Odszedł. Słyszała stłumione rżenie Nieustraszonego i cichy głos Bishopa. Po chwili wrócił, niosąc dwa koce.

Uniósł jej głowę i wsunął pod nią zwinięty koc.

Nie pisnęła nawet, choć było to trudne. Bardzo trudne.

Poczuła na policzkach opuszki jego palców i zrozumiała, że ściera jej łzy.

Wtedy właśnie, bez ostrzeżenia, niebiosy otworzyły się nagle i spadł rześisty deszcz. Bishop spojrzał na niewiarygodnie gęste kurtyny wody i zaklął ponownie. Wspaniały, życiodajny deszcz, który przywróci życie jego ziemi! Dlaczego nie mógł zacząć padać nieco później?

- Nie musisz mnie nawet związywać – powiedziała Merryn, odwracając twarz. - Tak czy siak utonę, bo leżę u stóp pagórka i nie mogę się podnieść.

Bishop pochylił się nad nią, usiłując zasłonić ją przed strugami wody lejącej się z nieba, ale było to niemożliwe. Przemoczony Nieustraszony rżał przeraźliwie.

Bishop pochylił się jeszcze niżej. Jego nos znajdował się zaledwie parę centymetrów od jej nosa. Zupełnie nie wiedział, co robić. Jakąś częścią umysłu zanotował, że niebo pociemniało, jednak starając się ochronić przed ulewą swoją przyszłą żonę, nie zwracał na to uwagi.

Zaklął znowu, dotykając jej nosa własnym.

- Posłuchaj, Merryn. Nie mogę ryzykować przenoszenia cię gdziekolwiek, więc spróbuję ustawić namiot. Powinien osłonić nas chociaż trochę.

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałeś?

- Może sądziłem, że będziesz miała czelność umrzeć w moich ramionach?

- Jeśli już mam umierać, chcę umrzeć sucha.

Rozstawił namiot tuż przy niej, dziękując Bogu, że grunt okazał się dość równy. Merryn stoczyła się

przecież z całego zbrocza, zanim uderzyła głową o skałę.

Wiedząc, że jest przytomna, a ból zapewne jest nie do zniesienia, wpełzł do namiotu i powolutku wciągnął ją do środka. Koce były całkowicie przemoczone, ale na to nic już nie mógł poradzić. Nie mogła przecież leżeć na gołej ziemi. Gdy wciągnął Merryn do środka i miał już pewność, że namiot osłoni ich przed najgorszą ulewą, położył się przy niej i przytulił ją, by mogła się rozgrzać. Rude włosy miała przemoczone, przyklejone do głowy. Na policzku zaczął wykwitać siniak.

- Oddychaj lekko i powoli - powiedział. - Proszę, Merryn. Na pewno dasz radę. - Wiedział, że to słuszne, gdyż kiedy sam leżał, cierpiąc straszliwie, kiedy zbójceki topór strzaskał mu ramię, Dumas w kółko powtarzał: „Oddychaj, Bishop, oddychaj powoli i spokojnie. Nie tak prędko. Spokojnie. Ja się wszystkim zajmę”.

Teraz Bishop powtarzał te same słowa Merryn. Lekko dotknął jej czoła opuszkami palców, a potem zaczął lekko masować; powoli muskał skórę głowy, coraz bliżej guza na skroni. Merryn zaczęła się wyraźnie rozluźniać.

Deszcz bębnił o namiot. Bishop zdawał sobie sprawę, że płótno jest już przemoczone. Czy namiot przetrzyma nawałnicę? Nie wiedział. Nigdy wcześniej nie spotkał się z taką ulewą.

Merryn wzięła go za rękę i ścisnęła ją, gdy ból stawał się nieznośny. Żeby choć trochę odwrócić jej uwagę, Bishop zaczął opowiadać:

- Walczyłem w Normandii z księciem de Crecy, strasznym nikczemnikiem, bardziej okrutnym i strasznym niż legendarny Ryszard Lwie Serca. W ogóle nie próbował kryć się przed nami, od razu ruszył

w pole. Wydaje mi się, że był najszczęśliwszy, gdy mógł z rozmachu ciąć mieczem, przerażając ludzi na pół i kopniakiem roztrącać połowy na boki. W ostatniej bitwie nieźle się obłowilem, więc postanowiłem wrócić do Kornwalii. Wtedy właśnie natknąłem się na Philippę de Beauchamp otoczoną zgrają bandytów.

Merryn leżała cicho, cichutko. Od dłuższego czasu nie ścisnęła już jego dłoni. Dotknął jej czoła. Chłodne. Ani śladu gorączki, przynajmniej na razie.

- Kim jest Philippa?

- Ach, więc nie śpisz? Dobrze. Oddychaj spokojnie. Philippa jest córką z nieprawego łóża króla i żoną Dienwalda de Fortenberry, hrabiego St. Erth. Pewnie w to nie uwierzysz, ale jechała sobie w towarzystwie półtuzina zbrojnych, gdy wpadła w zasadzkę. Herszt zbójców porwał ją z siodła i już trzymał nóż przy jej żebrach. Zdołałem ją uwolnić i zabiłem herszta. Wtedy nadjechał Dienwald. Wszystko dobrze się skończyło, a potem...

Dzień nagle zamienił się w noc. Mrok ogarnął ziemie Penwyth. Czarne niebo przecięła błyskawica. Merryn krzyknęła cienkim głosem.

Bishop przytulił ją mocno, wiedząc, że jeśli deszcz się wzmoże, namiot z pewnością się zawali. Kolejna błyskawica na moment zupełnie go oślepiła.

Po niebie przetoczył się grzmot, od którego zatrzęsała się ziemia.

Błyskawica przeleciała tuż nad namiotem, z trzaskiem uderzyła w ziemię zaledwie parę kroków dalej i roztrzaskała ogromny głąz. Bishop przyciągnął Merryn do siebie, starając się ją ochronić.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho i powtórzył to jeszcze kilka razy, choć nie wiedział, czy uspokaja dziewczynę, czy samego siebie.

Mijały kolejne minuty, deszcz łomotał w namiot bliski już zawalenia.

Oślepiąco jasna błyskawica rozświetliła wnętrze ich schronienia i zrobiło się jasno jak w południe. Rozległ się donośny grzmot, zatrzęsła się ziemia, lecz światło nie zniknęło.

To zupełnie nie miało sensu.

Światło jednakże nie zniknęło, co więcej, stawało się coraz jaśniejsze.

I jaśniejsze.

Bishop spojrzał na przeciekające płótno namiotu i sękaty kijek, który utrzymywał je w górze. Zdawało mu się, że źródło światła znajduje się dokładnie tuż za jego głową. W głębi serca czuł wyraźnie, że gęstniejąca ciemność napiera ze wszystkich stron, starając się zdławić blask, lecz okrąg światła utrzymywał ją z dala.

Znów zagrzmiało i nagle zapadła przejmująca, nienaturalna cisza, jakby cały świat został pochłonięty przez mroczną nicość, której Bishop nie widział wprawdzie, lecz czuł całym ciałem.

Niespodziewanie dziwne światło znikło pochłonięte przez ciężki, gęsty mrok. Bishop zachwiał się pod ciężarem przerażającej ciemności.

Kolejny wybuch nie brzmiał jak błyskawica rozdzierająca ziemię na kawałki. W ostatnim przeblysku świadomości Bishop pojął, że ta eksplozja miała miejsce tylko w jego głowie.

Bezwładnie opadł na Merryn.

Rozdział 11

W innym czasie

Obudził się w gęstym mroku, który otulał go szczelnie jak koc. Nie chciał otwierać oczu, lecz cie uchylił powieki i stwierdził, że ciemność jest jeszcze bardziej nieprzenikniona, niż to sobie wyobrażał. Wokół niego nie było nic prócz gęstej czerni. Czuł się bardzo dziwnie. Czuł, że mrok jest ciężki, lepki i gęsty. Oddychał z trudem. Wiedział, że jeśli się nie poruszy, ciemność wypełni w jego ciało i zawładnie duszą. Jednak na razie trwał w bezruchu, oddychając płytko.

Działo się coś bardzo dziwnego.

Przetoczył się na plecy. Leżał na dworze; przez jakiś czas spał, zupełnie sam. Nad głową nie widział gwiazd, otaczała go tylko ciemność. Słyszał zbliżające się ludzkie głosy. Na wszystkich bogów, wróg jest nieopodal! To musi być Mawdoor. W jaki sposób Mawdoor przeniósł go tu i ułożył w gęstym kręgu mroku. Tylko jak?

Czyżby nie spał, lecz był zupełnie nieprzytomny? Jak to możliwe? Odetchnął głęboko. Jeśli to rzeczywiście sprawka Mawdoora, trudno. Niech tak będzie. Obydwoj wiedzieli, że prędzej czy później przyjdzie im stanąć

do walki. Czyżby miało to nastąpić właśnie teraz?

- Kto idzie? - krzyknął zachrypłym, skrzeczącym głosem.

Nagle z nicości wyłonił się mężczyzna i stanął tuż nad nim, wpatrując się bezczelnie w jego twarz. Leżący z zaskoczenia niemal wyskoczył ze skóry. Na wszystkich bogów świata, to nie Mawdoor! To stary Callas o kaprawych oczach, w brudnych łachmanach i z potarganą siwą brodą zwieszającą się w strąkach aż do zapadniętego brzucha. Obrzydliwy staruch.

To nie Mawdoor, dzięki bogom. Leżący nieoczekiwanie poczuł się straszliwie osłabiony, jakby opuściły go wszelkie zmysły.

Po chwili zaczął sobie przypominać, lecz wspomnienia nie miały większego sensu. Przypomnij sobie, że w końcu odnalazł święty dębowy gaj Brecii. Że był całkowicie pewny, iż gąszcz należy właśnie do niej. Wyczuwał go z daleka, zaś gdy do niego dotarł, upewnił się, że się nie myli. Czuł ogromną satysfakcję. Wiedział przecież, że szukałby owego mrocznego boru, dopóki nie padłby z wyczerpania lub Brecia nie zdołałaby go pokonać. O, tak. Miał zamiar wytropić przeklętą wiedźmę, choćby się skryła na krańcu świata.

Teraz zaś stał nad nim Callas, jeden z jej starych kapłanów. Bardzo ciekawe.

Dlaczego leży na ziemi? Czyżby zagubił się we śnie, a splątane wyobrażenia paraliżowały mu umysł? Przepęłniało go dziwne uczucie. Czuł siebie samego i był pewien, że jest sobą, choć chwilami wyczuwał także jakby cień kogoś innego tuż przy sobie, a może nawet głęboko we własnym wnętrzu. Nie, cień odszedł. Teraz pozostał sam, nie wyczuwał nikogo więcej. Chyba zaczyna

popadać w obłąd. Jeszcze chwila, a serce wyskoczy mu z piersi.

Callas roześmiał się pogardliwie, z wyraźną przyjemnością machając na niego sękatym paluchem.

Leżący uniósł brew ze zdumienia, usiadł i objął ramionami kolana.

- Wygodnie ci teraz, mój książę? Siedzisz tu całkiem sam i słyszysz jedynie bicie własnego serca. I co teraz powiesz, obmierzły czarowniku? Podobno wiesz wszystko! Widziałem, jak leżysz na plecach bezradny i bezbronny jak dziecko. Czyżby moc potężniejsza od ciebie zdołała cię wreszcie pokonać? Czy to Mawdoor? Wiedziałeś przecież, że mieszka niedaleko. Czy to on cię tu sprowadził?

Książę przyglądał się, jak starzec wybucha gromkim śmiechem pełnym pogardy i podłości.

Powoli podniósł się z ziemi, otrząsnął się i zmarszczył brwi. Nikt go tu nie sprowadził, nic podobnego. Po prostu nagle stwierdził, że leży na ziemi. Obudził się, zaś po chwili stanął nad nim Callas. Przez chwilę był zupełnie bezbronny. Gdyby Callas nie był takim śmierdzącym tchórzem, książę mógłby równie dobrze już nie żyć.

A może po prostu wciąż śpi wciągnięty w sen innego czarodzieja? Może to jeden ze snów Mawdoora? Książę wciąż czuł echo obecności ciemnego ducha. Teraz jednak nie ma to znaczenia. Mawdoora tu nie ma, jest za to stary Callas.

Kapłan nie skorzystał z okazji, by we śnie wydrzeć mu serce, teraz zaś książę już na to nie pozwoli.

- O co chodzi, mój książę? Nie zamierzasz mnie zabić? Jesteś równie cichy jak kamienie u twych stóp.

Książę oparł się o jeden z menhirów ustawionych w niewielki okrąg, który był tu zapewne od początku świata. Przybrał wyniosłą, ospałą pozycję i odezwał się spokojnym głosem, mrocznym jak spowijająca ich ciemność:

- Dlaczegoż miałbym cię zabijać, starcze? Nic dla mnie nie znaczysz. Jesteś zaledwie okruczem prochu pod moimi butami.

Callas wyprostował się na całą wysokość.

- Nie podoba mi się twoja pycha, książę. Jestem pierwszym doradcą Brecii. Znałeś mnie, zanim jeszcze opuściłeś łono swej matki, znałeś mnie, gdy jako mały chłopiec rzuciłeś pierwsze zaklęcie. Popatrz teraz na siebie! Opierasz się o jedną z Dam, by nie upaść... Nie, nie masz sił mnie skrzywdzić. Jesteś podobny do duchów krążących nad ziemią. O, tak, jesteś zupełnie bezsilny. Możesz tylko wspierać się na pogańskim głazie. Twoja moc zniknęła.

- Czyżbyś ożłopał się wina, starcze? Wydaje ci się, że jestem bezsilny? Mógłbym zmienić się w trującego muchomora, ot tak. - Książę pstryknął palcami i Callas krzyknął cienko, podskakując nerwowo.

- Zamknij się, Callasie!

Starzec oddychał ciężko. Książę właśnie miał mu powiedzieć, że takiego go woli, przygiętego do ziemi brzemieniem lat, gdy nagle poczuł, że coś czai się tuż za nim. Zdawało mu się, że jeśli szybko odwróci głowę, zobaczy kogoś... lub coś. Odwrócił się. Oczywiście nikogo nie dostrzegł. Pokiwał głową. Wreszcie zaczynał rozumieć. Ów dziwny cień był tylko naprzykrzającym się wspomnieniem zeszej pełni księżyca, gdy był zmuszony wymierzyć karę nędznym śmiertelnikom, którzy po-

stanowili zgładzić pewną wiedźmę nieprzytomną od własnych dekoktów. Książę potrząsnął głową i wspomnienie odleciało.

Teraz powinien zająć się własną wiedźmą. Uciekała przed nim długo, lecz wreszcie ją odnalazł. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak tego dokonał, lecz nie miało to większego znaczenia. Zastanowi się nad tym później. Był całkowicie pewny, że Brezia kryje się w świętym dębowym gaju.

Nie zwracał uwagi na trzęsącego się Callasa. Starzec wprawdzie nieco się uspokoił, ale jakoś nie zamierzał na razie otwierać zakreślonych czarną obwódka ust.

Książę zdał sobie sprawę, że Callas się go boi. Miał zresztą wszelkie powody, by się go bać, w końcu jest najpotężniejszym czarownikiem, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi. Starzec jest wprawdzie idiotą, ale przecież nie aż tak głupim.

Książę stanął przy Callasie, górując nad nim. Po chwili podszedł jeszcze bliżej, by jeszcze bardziej go wystraszyć. Chciał, by starcowi ze strachu zaszczękały zęby, choć zważywszy na ich dźwięk raczej nie byłby imponujący. Dotknął lekko twarzy Callasa, muskając skórę i splątana brodę.

- Przyprowadziłeś ze sobą innych kapłanów, Callasie? Czekają na twój sygnał do ataku? Choćby ich było dziesięciu, a choćby i stu, wspieranych przez sto twoich duchów, poucynam im głowy i łapiąc za siwe brodziska porzrzucam psom. Albo zamienię w czarne skały, by przez wieki znosili roztrzaskujące się o ich grzbiety fale. Jak ci się wydaje, Callasie?

- Wydaje mi się, że dzieje się coś dziwnego, książę. Popatrz na siebie. Zgrywasz się i udajesz potężnego,

a w istocie dzieje się z tobą coś, czego nie rozumiem. Czy ty rozumiesz, mój książę? Nie strasz mnie, nie zamierzałem wyrządzić ci krzywdy. Zresztą wciąż wyglądasz groźniej niż twój ojciec, gdy jednym potężnym dmuchnięciem wywołał tornado, które spustoszyło nędzne miasteczko Londinium leżące na wschodzie.

- Ojciec mój rzadko daje się ponieść kaprysom. Motłoch kamienował staruszka, którego ktoś oskarżył o czarną magię. Ojciec zwyczajnie chciał ich powstrzymać.

- Dlaczego po prostu ich nie rozgromił?

Książę wzruszył ramionami.

- Starał się powściągnąć gniew i zaczął oddychać, by się uspokoić. Niestety, jego oddech stał się potężnym wichrem pędzącym potężne fale przez cały kraj.

- Zgadza się. I starzec, którego ocalił od kamienowania, po prostu utopił się wraz z atakującym go tłumem. I ty podobnie jak twój ojciec raczej chwycisz za miecz i rozrąbisz wroga na połowy, niż złożysz palce w tajemny znak i zamienisz go w błękitny dym czy tarantulę.

- Hm... - Książę podrapał się po brodzie. - Od dłuższego czasu nie myślałem o pająkach. Twierdzisz zatem, że przyszedłeś sam, Callasie.

- Jak widzisz, mój książę.

- Dlaczego?

Callas pokiwał głową, szarpnął za brodę, zmarszczył brwi i wreszcie wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. To bardzo, bardzo dziwne. Nie wydaje ci się to dziwniejsze niż duch, który pragnie współżyć ze śmiertelniczką?

- Owszem, wszystko to jest dziwne. - Zatem żaden z nich nie wiedział, skąd się tu wziął. - Nie za-

biję cię - stwierdził ksiązę. - Nie po to tu przybyłem. To dębowy gaj Breccii, nieprawdaż?

- Niestety, to nie ten las. Powinieneś stąd odejść, ksiązę. Młodzieniec ze zdumienia uniósł brwi.

- Odejść? Nie wydaje mi się. Powiem ci całą prawdę, Callasie. Szukałem i szukałem, lecz wciąż nie mogłem znaleźć miejsca, w którym ukryła się Bercia. Jest świetna w ukrywaniu się, muszę to przyznać. Jednak teraz znalazłem się tutaj. Nie wiem dokładnie w jaki sposób, lecz stoję na skraju dębowego lasu. Czuję to całym sobą. I wreszcie rozumiem, dlaczego również ty tu jesteś. Masz mnie zaprowadzić do fortecy. Bogowie zesłali cię tutaj, podobnie jak mnie. Nadszedł czas i Breccia doskonale o tym wie.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Niedługo ją zobaczy! Minęło już zdecydowanie zbyt dużo czasu od ich pierwszego spotkania pod ogromną poprzeczną belką rozległego kamiennego kręgu.

- Opowiadasz nedorzeczności, mój ksiązę. Dlaczego Breccia miałaby chcieć się z tobą spotkać? Jesteś czarownikiem. Chcesz ją posiadać i kontrolować.

- Czyżby?

- Wysłuchaj mnie, mroczny ksiązę Balanthu. Breccia jest wolnym duchem. Jeśli zechcesz ją uwięzić, przejąć nad nią kontrolę, umrze. Wszyscy umrzemy.

- Wierzysz w to, Callasie? Że tego właśnie pragnę?

Stary kapłan warknął jak osaczony wilk.

- Tak sądzi Breccia. Stwierdziła, że ją okłamałeś i że nie może ci ufać. Dowiedziała się, że niedługo po waszym spotkaniu w kamiennym kręgu, gdy powiedziałeś jej,

że pragniesz jej bardziej niż jakiegokolwiek innej, wzięłeś za żonę zamorską wiedźmę.

Książę wzruszył ramionami.

- Nie okłamałem jej. Nie miałem wyboru, musiałem poślubić Lillian. Nawet o tym nie wiedziałem, dopóki rodzice i rada starszych mi tego nie oznajmili. Spełniłem tylko swój obowiązek. - Zamilkł na chwilę, czując falę żalu. - Lillian umarł przy porodzie.

- Jak to w ogóle możliwe?

- Uparła się, by latać. Mówiłem jej, że za blisko już do rozwiązania, lecz zawsze musiała robić mi na złość. Na szczęście posłańcy hiszpańskiej Karelii zgodzili się pozostawić w mocy nasz traktat, widząc, że zmarła naturalną śmiercią i ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Powiedziałeś im to, co mnie? Że cię nie usłuchała?

- Nie.

Callas pokręcił głową.

- I tak musieliby powściągnąć swój gniew. Pewnie wiedzą, do czego zdolna jest twoja rodzina. Kilkoma czarami rozerwalibyście ich na strzępy.

- Być może - uśmiechnął się książę. - Jednak hiszpańska Karelia jest potężną drużyną i nie wolno ich lekceważyć. Traktat służy nam wszystkim, utrzymując namiętności na wodzy. Ale dość już gadania, starcze. Chcę zobaczyć się z Brecią. Pójdę z tobą lub też zabiję cię i pójdę sam. Wybieraj.

Nagle księcia ponownie opanowało dziwne uczucie, jakby ktoś czał się tuż za jego plecami. Błyskawicznie się odwrócił, lecz nikogo nie dostrzegł. Czyżby wciąż śnił? Stłumił zdumiewające wrażenie, wytrącony z równowagi

faktem, że w ogóle pozwolił im się opanować.

- Zaprowadzę cię, mój książę, choć wcale tego nie chcę. Zobaczymy, co Brechia postanowi z tobą zrobić.

Książę aż się zachłysnął ze zdumienia.

- Co ona postanowi zrobić ze mną? Nie żartuj, Callasie. Przecież właśnie po to się tu zjawileś, by mnie do niej zaprowadzić. A może jednak chciałeś zabić we śnie?

Starzec pokręcił głową. Nie, Callas nie byłby do tego zdolny. Mógł co najwyżej machnąć sękatym kijem nad jakimś wieśniakiem i zamienić go w karalucha. Wyglądał jak wszyscy jego bracia. Miał chudą, zapadniętą klatkę piersiową, był owinięty w brudnobiałe wełniane szmaty, które przewiązał cienkim sznurkiem, chyba równie starym jak on sam. Sandały przymocował do kościstych nóg cienkimi rzemieniami. Odkąd książę sięgał pamięcią, Callas nosił te same łachy lub też identyczne, równie wyświechtane. Wyglądało to, jakby umierający kapłan przekazywał swoje łachmany młodszemu adeptowi. Być może szata Callasa jest równie stara jak otaczający ich las.

- Wyglądasz jak jeden z tych pustelników, którzy umierają za życia w jaskiniach na pustkowiach Bułgarii - powiedział z niesmakiem książę.

- Bułgarii? - Callas spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Nie znam miejsca o takiej nazwie.

- Jesteś zaściankowy, Callasie. Bułgaria to surowy, brutalny kraj, z którego pochodzi wielu najznamienitszych na świecie czarodziejów.

- I mają tam pustelnie? W jaskiniach? Dlaczego nigdy o tym nie słyszałem?

- Bo w odróżnieniu ode mnie nie podróżujesz - roześmiał się książę. - Ale nie przybyłem tu, by opowiadać ci o Bułgarii. Dość już. Chcę już wejść do tego gaju. Chcę zobaczyć Brecię.

- Ona cię zabije, mój książę.

- Niech spróbuje - odparł młodzieniec, zacierając ręce. Na myśl o tym, że ujrzy jej twarz, że spotka się z jej gniewem i wściekłością, czuł prawdziwą rozkosz. - Śmierdzisz jeszcze gorzej niż zwykle, Callasie. Ruszajmy - stwierdził.

Callas uniósł kapłański kostur zwany keshą, długi niemal na metr. Rozmiar kostura wskazywał, że Callas jest jednym z najbardziej uczonych kapłanów i spędził na studiach co najmniej siedemdziesiąt lat. Laskę pokrywały rzeźbione głęboko symbole życia, zaś jej czubek jarzył się czarnym światłem.

- Skąd ją masz? - zapytał książę.

- Od mego zmarłego mentora - odparł Callas. - Pamiętający chyba początki świata kapłan jakieś cztery lata temu przeszedł do świata duchów. Teraz jego keshą należy do mnie, a gdy zbliży się mój czas, oddam ją wybranemu uczniowi. Tylko bogowie wiedzą, kiedy to nastąpi.

- Za pięćdziesiąt lat? Siedemdziesiąt?

Callas uśmiechnął się lekko.

- Widzę, że znasz moc i wartość keshy.

Książę pokiwał głową. Jarzący się czubek kostura zawsze przypominał mu świecę, która nigdy nie gaśnie. Rozświetlał najgłębsze ciemności i najmroczniejsze leśne ostępy. Słyszał wiele historii o keshy. Wiedział, że ludzkość otrzymała ją w darze od istot, które na początku czasu wzniosły ogromne kamienne kręgi. Obecnie czarodzieje używali pięćdziesięciu sześciu potężnych

głazów ustawionych w nierównym okręgu do przenoszenia się w inne światy, w inny czas. Wszystko było tam bezpieczne i piękne, świetliste i kolorowe. Znajdowali też odpowiedzi na dręczące ich pytania, a także na pytania, których nikt jeszcze nie zadał. Gdyby zamknął oczy, zobaczyłby wyraźnie kamienny krąg, usłyszałby wiatr gwiżdżący między głazami i rytmiczne pieśni kapłanów wysławiających istoty, których nikt nie widział ani nie znał.

- Nie rozumiem gry, w którą chcesz mnie wciągnąć, mój książę. Skoro znasz moc ukrytą w keshy, wiesz, że wystarczy, bym cię nią dotknął, a twoje serce stanie w piersi i padniesz u mych stóp.

Książę roześmiał się głośno.

- Spróbuj mnie nią dotknąć, a odeślę cię na jeden z lodowców na północnych morzach. – Beznamiętnie skrzyżował ramiona na piersi. Wyczuwał sztylet mocowany do nadgarstka i ukryty w długim rękawie.

Callas się nie poruszył

- Masz na sobie całkiem nowy wełniany strój. Jest przedziwnie biały. Wyglądasz jak błyskawica na czarnym niebie.

Książę wzruszył ramionami.

- Moja szata jest ciepła i czysta. Powinieneś się na taką skusić.

- Wyglądasz jakoś dziwnie - skrzywił się Callas.- Coś mnie niepokoi w twoim wyglądzie, mój książę...

W mgnieniu oka książę wyszarpnął sztylet z rękawa, ruchem tak wyćwiczonym, że niemal niezauważalnym. Callas odskoczył gwałtownie, głośno przełknął ślinę, nie spuszczał oka z wąskiego ostrza.

- Zawsze się mnie bałeś - powiedział książę. – To bardzo rozsądne z twojej strony. Widzę cię teraz

znacznie lepiej. Ciemność nieco zrzędła. - Po chwili potrząsnął głową i dodał: - Żyjemy w dziwnych czasach.

Gęsty mrok ustępował powoli. Tuż nad ich głowami wisiał sierp księżyca. Odwrócona filizanka bogów pełna była gwiazd świecących tak jasno, że ksiązę mógł dostrzec niewielką bliznę na swej prawej kostce.

- Masz rację, ksiązę - odezwał się Callas.

- Przynajmniej ciemność jest już zwykłą ciemnością.

Teraz zaś...

- Jestem teraz najwyższym kapłanem, ksiązę.

Młodzieniec parsknął donośnie i się roześmiał.

- Mam nadzieję, że to oznacza, iż dobrze znasz drogę.

Chodźmy już, Callasie. Zaprowadź mnie do Brecii.

Podniecał go sam dźwięk jej imienia. Wspaniałe uczucie! Uwielbiał tę wszechogarniająca żądzę, zwłaszcza że już niedługo ją zaspokoi. Nareszcie.

Callas pogłaskał się po brodzie, w milczeniu splatając i rozplatając warkoczyki z długich, siwych pasm. Ksiązę znał ten zwyczaj.

- Brecia nie weźmie cię, choć rzeczywiście cię pragnie.

Powiedziała, że jeśli się do niej zbliżysz zabije cię.

Ksiązę uśmiechnął się szeroko.

- Aż się trzęsę ze strachu. Chodźmy już, zanim poderżnę ci to twoje wiekowe gardło. Potem mógłbym zamienić cię w błękitny dym i posłać, byś przewrócił jeden z wiedźmich kotłów Brecii.

Callas zastawił się keshą, lecz ksiązę ze śmiechem odsunął kostur na bok.

- Starcze, nawet nie próbuj na mnie swojej nędznej magii. - Schował sztylet i wyciągnął piękną różdżkę.

- Ponieważ - ciągnął, gładząc z uśmiechem różdżkę - zrobię ci krzywdę.

Książę wysunął różdżkę w stronę Callasa. Nic więcej, tylko skierował ją ku niemu, a kapłan odskoczył jak oparzony, krzycząc:

- Nie, książę! Nie! Na bogów, nie!

Młodzieniec przez chwilę patrzył z ukontentowaniem, jak Callas miota się i usiłuje podrapać wszystkie miejsca, które naraz zaczęły go swędzieć.

- Odwołaj to. Proszę, odwołaj!

- A zabierzesz mnie do Brecii?

- Zbiorę! - krzyknął Callas. - Niech cię zniszczy swą mocą. Jest teraz potężna i... aaach! Odwołaj to!

Książę skinął różdżką. Callas otrząsnął się, podrapał jeszcze kolano i odetchnął z wielką ulgą.

- Chciałbym umieć to robić. Nauczysz mnie? To naprawdę głupie zaklęcie, ale bardzo efektowne.

- Jeśli zaprowadzisz mnie do Brecii, może cię nauczę.

Callas obrócił kostur w dłoniach, wpatrując się w rozżarzony czubek.

- Czarnoksiężnik nie powinien wchodzić do świętego gaju. Twoja czarna magia zbruka świętość naszych drzew.

- Przestań już, Callasie. Niczego nie zbrukam, obiecuję. Zaprowadź mnie do Brecii. Jestem pewien, że wiedźma chętnie mnie zobaczy. – Wreszcie ją odnalazł i jest już tak blisko. Roześmiał się. – Może rzucę na nią czar? Nieswędzący, oczywiście. Sprawię, że będzie mnie pragnęła najbardziej na świecie. Że będzie chciała zedrzeć ze mnie szaty i pieścić do nieprzytomności. Och, chciałbym mieć tę wiedźmę w swej mocy. Sądzisz, że jej by się to podobało?

Książę myślał, że Callas padnie jak rażony gromem.

- Brečia nie zrobiłaby tego nawet, gdybyś ją zauroczył. Jest nietknięta. Nie powinienes z nas żartować, książę.

- W porządku - zgodził się młodzieniec. - Skoro jednak jestem czarownikiem, wystarczy że pstryknę palcami... - Pstryknął palcami tuż przed nosem Callasa. Starzec pisnął i odskoczył. Książę się roześmiał. - O, tak. Wystarczy, że pstryknę palcami i w jednej chwili znajdziemy się tuż przed nią, w najświętszym sercu dębowego lasu. - Gdybym tylko rzeczywiście potrafił to zrobić, pomyślał. Na szczęście, Callas tego nie wie. - Czy tego właśnie pragniesz? Tylko bogowie wiedzą, jakie zmiany i fale mocy mogłoby to wywołać.

Callas jęknął głośno, lecz szybko się powściągnął. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że kapłan nie powinien okazywać słabości, a zwłaszcza przed obliczem mrocznego księcia.

- Nie, nie. Nie stosuj na mnie swej czarnej magii Nie, nie zbliżaj się do mnie! Idź za mną. To naprawdę niedaleko. Brečia sama wybrała schronienie, więc nie zaszyła się głęboko w lesie.

To brzmiało niedorzecznie, jednak musiał przyznać, że Brečia jest przebiegła. Ruszył za Callasem, który poruszał się zwinnie jak kozica. Poszycie lasu było miękkie, łagodnie ugięło się pod nogami. W mroku potknął się kilka razy.

Pragnął Brecii i miał zamiar pojąć ją tym razem. Nie powstrzymywały go żadne śluby, żadne obowiązki. Był wolny i mógł czynić, co tylko zechce. Zaczął pogwizdywać cicho. Callas wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć ze strachu.

Książę się uśmiechnął.

Rozdział 12

Obżenie

Bishop leżał bez ruchu, zaciskając pięści. Fale przenikliwego bólu przetaczały się przez jego głowę. Wyraźnie widział postać niechlujnego starca, a za nim młodzieńca. Ów młody człowiek był księciem, a poza tym czarownikiem! Trzymał w dłoni przeklętą różdżkę i w każdej chwili mógł jej użyć. Bishop wiedział, że to niemożliwe, a jednak miał dwie postaci wciąż przed oczami tak wyraźnie, jakby przed nim stały. Po chwili zaczęły znikać i rozwiewać się w gęstym dębowym lesie. Mógłby przysiąc, że słyszy śmiech księcia. Zamierza posiąść Brecię - pomyślał.

I nagle nastąpiła pustka. Nic już nie widział.

Przez chwilę Bishop bał się poruszyć. Śniło mi się, stwierdził. To tylko sen. Żywy, barwny, bardzo dziwny, lecz jednak sen, nic więcej. Odetchnął głęboko i potrząsnął głową. Obrazy zniknęły.

Jednego był pewien.

W pobliżu nie było żadnego dębowego gaju. Tylko on i Merryn w namiocie, pod bezlitosnym niebem wylewającym na nich potoki wody.

* * *

- Obudź się, Bishop. Hej, pobudka!

- Nie chcę.

- Ach, więc żyjesz. Każdego dnia, którego mam zaszczyt cię znać, dowiaduję się o tobie czegoś nowego. Teraz zaś widzę, że jesteś egoistą. Posłuchaj siebie... „Nie chcę”! - Musiał przyznać, że naśladuje go całkiem nieźle.

- Nie obchodzi mnie, czy chcesz, czy też nie. Wstawaj, zanim namiot się zawali.

Otworzył oczy. Merryn pochylała się tuż nad nim, jej ciepły oddech owiewał mu twarz. Co się dzieje? Przecież to ona uderzyła głową o skałę. Zmarszczył brwi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Pamiętam, że upadłaś i uderzyłaś się w głowę.

- Z pewnością czuję się lepiej niż ty. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że się nade mną pochylasz. Gdy ziemia zatrzęsła się od kolejnego gromu, podniosłeś głowę, a światło błyskawicy oświetliło ci twarz. Potem po prostu na mnie upadłeś.

- Piorun - powiedział Bishop.

- Owszem. Coś musiało się wydarzyć, choć nie masz żadnego guza na głowie. Mój guz jest okazały, a nie leżę plackiem, czyż nie? Jesteś wojownikiem czy starą babą?

- Wciąż pada.

- Pada? Nadrabia cały ten czas, gdy nad naszą ziemią wiał tylko suchy wiatr. Nie wiem, ile jeszcze ten namiot wytrzyma. Musisz wziąć się w garść, Bishopie.

Spojrzał ponad ramieniem Merryn i zobaczył, że płótno namiotu ugina się pod zwałami wody. Wytrzymał zdumiewająco długo, lecz ile jeszcze postoi?

- Miałeś rację. Ten deszcz jest niesamowity. Jesteś jednak czarodziejem, prawda?

- Tak, to prawda. Jestem czarodziejem - powiedział bez wahania. Czuł, że nagle napełnia go energia, ból zniknął. Miał chęć chwycić miecz, wyskoczyć z namiotu i przetrzepać skórę kilku bandytom. Niestety. Żaden szanujący się bandyta na pewno nie ważyła się w takiej ulewie.

- Nie możemy tu siedzieć. Jak się czujesz?

- Właśnie uzdrawiam sam siebie - powiedział, by sprawdzić, co powie Merryn.

Odchyliła się gwałtownie.

- Znowu żartujesz. Żartujesz, prawda?

- Oczywiście - odparł. - Zostaniemy tu, dopóki deszcz nie przestanie padać lub namiot nie zwali nam się na głowy. Przytul się do mnie, spróbujemy trochę się rozgrzać.

Zawahała się tylko chwilę i powoli położyła przy jego boku. Oboje byli przemoczeni, co nie wróżyło nic dobrego, jednak Merryn szybko przekonała się, że żar jego ciała może ją ogrzać.

- Gdy się obudziłam, nie wiedziałam, ile czasu minęło - powiedziała. - Wciąż jest ciemno. Kiedy upadłam na wzgórzu, nie było ciemno. Załedwie nastąpiło południe, prawda?

- Zgadza się, ale niebo szybko pociemniało, nie pamiętasz? - Bishop przypomniał sobie dziwną błyskawicę, której światło trwało i trwało, a potem nagle się urwało. Potem zaczął śnić ten niewiarygodny sen. On jednak również zniknął.

- Ach, istotnie. Tuż przed ulewą niebo pociemniało, lecz teraz nastąpiła noc. Czy to twoja sprawa, Bishopie?

- Na wszystkie moce, za kogo ty mnie uważasz? Za boga, który może zmienić dzień w noc?

Milczała. Czuł jej palce wędrujące po przemoczonym torsie.

- A mógłbyś?

Ledwie powstrzymał śmiech. Co za zbieg okoliczności! Miał rację co do deszczu, teraz zaś miałby zmieniać odwieczny bieg słońca?

- Niech tak będzie. Jestem bogiem, nie zaś czarodziejem.

Zachichotała.

- Znowu ze mnie żartujesz. Głowa trochę mnie boli, ale nie jest z nią aż tak źle. - Zamilkła na chwilę i dodała: - Naprawdę chciałeś mnie związać i zostawić na pastwę ulewy?

- Naprawdę.

Merryn nie powiedziała nic więcej, tylko przytuliła policzek do ramienia Bishopa. Wkrótce obydwójce usnęli.

Gdy się obudzili, stwierdzili, że nie przestało lać, jednak namiot wciąż stoi. Na zewnątrz dało się dostrzec słabe, zamglone światło. Jak długi spali? Czy naprawdę minęła już noc? Jak długi trwał tamten cudaczny sen?

Bishop nagle z absolutną pewnością zrozumiał że gdyby opuścił granice Penwyth, nie napotkałby ani kropli deszczu. Ulewa jest przeznaczona wyłącznie dla tego kraju. Jak to jednak możliwe?

* * *

Pięć godzin później Bishop i Merryn w pełnym słońcu jechali w stronę zamku St. Erth. W miarę jak zbliżali się do granic Penwyth, ulewa ustępowała, chmury rzedyły i rozplywały się w białe obłoki na błękitnym niebie.

Bishop krzyknął na powitanie odźwiernemu przy bramie, pomachał do Gorkela Szkaradnego i dowódcy straży, Eldwina. Nie chciał, by przypadkiem uznali go za wroga i przeszli mu gardło strzałą z łuku.

Gdy wjechał na wewnętrzny dziedziniec St. Erth, niemal ogłuchł od panującej tam wrzawy.

Harmider był jednak przyjemny, gdyż najzupełniej normalny. Nie krył w sobie żadnych tajemnic, sekretów ani groźnych zdarzeń. Dzieciaki wrzeszczały, zwierzęta biegały, bodły się nawzajem. Kury gdakały, dziobiąc gołe palce dziecięcych stóp. Nad ludzką wrzawą unosił się odgłos kowalskiego młota dźwięczącego na kutym żelazie, odbijając się echem od zamkowych murów.

Co więcej, wszystkie dźwięki wydawały się młode.

Bishop odetchnął mieszanką zapachów świeżo upieczonego chleba, końskich zagród, ludzkiego potu i świeżego rozmarynu. Ujrzał Philippę trzymającą koszyk, z którego wychylały się gałązki ziela.

- Bishop, witaj! Kim jest twoja towarzyszka? Na Boga, wyglądacie strasznie. Co się wam przydarzyło?

Merryn doskonale sobie wyobrażała, jak wyglądają. Wprawdzie ubrania niemal już wyschły, lecz jej suknia była podarta i pognieciona, a włosy wisiały w strąkach.

Spojrzała na Bishopa, widząc, że się uśmiecha.

- Jak dobrze jest znów znaleźć się w miejscu, które się zna i rozumie - powiedział. - W zupełnie normalnym miejscu. Merryn, ten oto mały człowieczek to błazen Krętacz, a przy nim stoi Gorkel Szkaradny. Właściwe imię, nie da się zaprzeczyć. To zaś jest Eldwin, dowódca

straży, zmachany od szybkiego zbiegania z zamkowych blanków.

Bishop spojrział na Dienwalda i Philippę.

- Przedstawiam wam zamężną cztery razy pannę z Penwyth. Oto Merryn de Gay, to zaś jest lord Dienwald de Fortenberry, hrabia St. Erth oraz jego żona, słodka królewska córka, Philippa.

Merryn nigdy wcześniej nie była w St. Erth. Słyszała opowieści o Biczu Kornwalii, lecz stwierdziła, że nie wygląda on wcale groźnie. Zaś Philippa, nieślubna córka króla, okazała się piękna. Jej gęste czarne włosy przeplatała żółta wstążka.

Dienwald roześmiał się, chwytając Merryn w ramiona i zsadzając z siodła.

- Jesteście trochę przemoczeni. Jak to się stało? Popatrzcie tylko na słońce na błękitnym niebie. Nie wpadliście przypadkiem do rzeki? Albo do stawu?

- Nie pożartujesz z nią sobie, Dienwaldzie. - Bishop również się roześmiał i zeskoczył z siodła rzucając wodze Gorkelowi. Sługa uśmiechnął się porażająco. - W Penwyth leje jak z cebra.

- A tu nie? - Dienwald uniósł brew. - Jak to możliwe, Bishopie?

Bishop mógł tylko wzruszyć ramionami.

- To rzeczywiście dość niespotykane. Nie umiem wyjaśnić tego zjawiska.

- To Bishop przywołał deszcz - oświadczyła Merryn.

Zapadła całkowita cisza.

- Nie - zaprzeczył spokojnie Bishop po chwili milczenia. - Nie przywołałem. Merryn żartuje.

Dienwald spojrział na niego z ukosa.

- Potem poszukamy wyjaśnienia - stwierdziła Philippa.

- Wejździe, wejździe. Po pierwsze, muszę dla was

wyszukać suche ubrania. Wspaniale się składa, że nasze stada owiec bardzo się powiększyły i mamy dość wełny na ciepłą odzież. Skoro jesteśmy podobnego wzrostu, Merryn, moje suknie powinny dobrze na tobie leżeć.

- Ha - westchnął Dienwald. - Ty jesteś olbrzymką, istną topolą. Merryn to zaledwie mała dziewczuszka, ty zaś...

Philippa wetknęła w usta męża garść rozmarynu. Wypluł zioła i roześmiał się donośnie.

- Chodźmy, Bishopie - powiedział. - Gorkel zajmuje się Nieustraszonym. W zasadzie jest jedynym sługą, któremu powierzyłbym twoją dziką bestię, bo tylko on się nie boi, że Nieustraszony go ugryzie.

- Owszem. To Nieustraszony boi się, że Gorkel go ugryzie.

Już po chwili Merryn szła u boku Philippy de Fortenberry w stronę Wielkiej Sali.

Panował w nim niesłychany gwar. Wszyscy mówili jednocześnie, chodzili w tę i z powrotem, zajmując się swoimi sprawami, ale jednym okiem zerkając ciekawie na Bishopa i Merryn. A ile było śmiechu, dziecięcych pisków, krzyków i sporów!

- W Penwyth nie ma tyle hałasu - powiedziała Merryn do Philippy.

Philippa uniosła brew w zdumieniu.

- Każdy zamek, jaki odwiedziłam, tętni gwarem, nawet królewski pałac w Windsorze.

- W Penwyth mieszkają sami starcy - wyjaśniła Merryn.

- Zwykle rozmawiają przyciszonymi głosem. Dziękuję za ubranie.

- Tę śliczną suknię dostałam kilka lat temu od Kassii de Moreton. Wyglądasz w niej bardzo dobrze. Co masz na myśli, mówiąc, że w Penwyth mieszkają sami starcy?

- Weszły do Wielkiej Sal - Och, nie! - jęknęła Philippa i przewróciła ocz ma.

Błazen Krętacz wskoczył na jeden ze stołów i śpiewał na całe gardło:

*Oto jest Bishop, królewski chwata!
Nie przybył do nas w szachy grać.
Jest także panna, z którą brać ma ślub
I w łóżu tarzać się z nią po sam grób.
I cały czas mieć nadzieję,
Że klątwa go nie dosięże
Chwalmy Bishopa - piątego męża!*

Merryn spojrzała na Philippę.

- Ta straszna pieśń nawet się zrymowała. No przynajmniej większość wersów. Ale jest nieprawdziwa. O co chodzi temu karłowi? Bishop nie przyjechał do Penwyth, żeby się ze mną ożenić. Przyjechał, by zdjąć z nas klątwę.

Dienwald ryknął, wskoczył na stół i trzasnął karła w plecy tak mocno, że błazen poleciał aż pod ścianę, tocząc się bezładnie i turlając. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał przymilnie na swego pana.

- Oszczędź mnie, panie, będę się bardziej starał. Zanim wieczór nadejdzie, będę bez wytchnienia szukał rymów, dopóki pieśń nie będzie się rymowała sama ze sobą. Może nawet znajdę jeszcze kilka rymów do słowa „mąż”? Jeszcze jeden wers? O, tak, dodam nawet jeszcze jeden wers. Co o tym myślisz, szlachetny mój panie?

- Dość już, bezmózgi łajdaku! - krzyknął Dienwald. - Bishop nie ma zamiaru się z nią żenić.

- Ależ ma! Przecież słyszałem, jak mówiliście... - Krętacz wyrócił oczami, chwycił się za gardło

i zaczął szarpać na wszystkie strony. - Ojej, o, rety i o, mamusku! Pan mnie zabije, bo mózg mi zgnił do reszty!

- Owszem, zgnił - stwierdził Dienwald. - Zamilknij wreszcie.

Hrabia St. Erth spojrzał na Bishopa, który siedział bez ruchu, ściskając w dłoni kufel przedniego piwa, wpatrując się w Merryn i rozmyślając, czy ten Krętacz nie wydał właśnie na niego wyroku śmierci.

Merryn odchrząknęła.

- Dlaczego zwiesz go Bishopem, piątym mężem, błaznie? Dlaczego sądzisz, iż przybył do Penwyth, by się ze mną ożenić? Powiedz.

- Nie! - wrzasnął głośno Bishop. - Wolałbym odciąć sobie stopy, niż się z tobą ożenić. Błazen myli Bishopów. To imię jest tu bardzo popularne.

- O, tak, panienko. To prawda. - Krętacz przestał szarpać się za szyję, zwinął się w kulkę i potoczył do stóp Merryn. Z gracją poderwał się na nogi. Sięgał Merryn do ramienia. Lekko musnął palcem śliczną, bladozieloną suknię. - Pamiętam, jak piękna księżna Kassia przywiozła tę suknię. Pani warczała, zagryzała zęby i krzyczała, że rzuci ją psom do rozszarpania, ale tego nie zrobiła. Przeciwnie...

Dienwald ruszył ku błaznowi, a Krętacz błyskawicznie wtoczył się pod jeden ze stołów.

- To błazen - powiedział hrabia de Fortenberry. - Ponieważ to mój błazen, toleruję go. Chodź, Merryn i spróbuj trochę wyśmienitego chleba i piwa mojej wiedzy. Swoją drogą, suknia ofiarowana jej przez piękną małą Kasię, słodką i drobną, wygląda o wiele lepiej na tobie. Hej, wiedzmo, nosiłaś ją w ogóle? Czy okazała się zbyt ciasna dla twoich okazałych wdzięków?

Philippa trzasnęła męża pięścią w ramię. Dienwald śmiał się długą chwilę, wreszcie odrzucił głowę i zakrzyknął:

- Gdzie są moje dzieci?

Margot podbiegła pośpiesznie, niosąc chłopców pod pachami. Mała dziewczynka, trzymająca się kurczowo jej sukni, ssła palce.

Dienwald zerknął z ukosa na Merryn i rzekł:

- Popatrz na moje dzieci, Bishopie. Urosły przez te kilka dni, nieprawdaż?

- Rosną na prawdziwych gigantów, Dienwaldzie - przytaknął Bishop.

- O, tak. Jeśli się kiedykolwiek ożenisz, co pewnie nie nastąpi przez najbliższe kilka lat, zwłaszcza jeśli nie zamierzasz poślubić Merryn z Penwyth, takie właśnie dzieci będziesz chciał mieć. Podaj m Edwarda, Margot.

Margot podała dziecko ojcu, nie spuściła jednak oka z brzdąca, mimo że Dienwald mocno go trzymał.

- Popatrz na Edwarda, Bishopie. I ty również, Merryn. Spójrzcie na to precudne dziecko, zupełnie identyczne jak jego brat, Mikołaj. Czy naprawdę trzymam teraz Edwarda?

- Tak, mój panie. To Edward.

Mikołaj zaczął płakać. Mała Eleanor wyjęła palce z buzi i zawtórowała braciom.

- Kiedy będziesz już miała własne dzieci, Merryn de Gay, a nie nastąpi to, zanim nie minie wiele lat, co więcej nie ma to nic wspólnego z Bishopem, będziesz chciała mieć takie dzieci jak moje małe skarby. Moja słodka Eleanor jest najgłośniejsza, czyż nie? Podobnie jak jej matka.

Dienwald tulił do siebie troje dzieci.

Philippa śmiała się tak serdecznie, że musiała się chwycić pod boki. Kątem oka jednak obserwowała Merryn, zastanawiając się, czy dziewczyna analizuje wypowiedziane nie w porę słowa błazna.

Merryn w ogóle o nich nie myślała. Rozglądała się po Wielkiej Sali, przyglądała się ludziom śmiejącym się i rozmawiającym. Wszyscy byli tacy młodzi! I tak wiele było wśród nich dzieci – czołgających się pod stołami, raczkujących, biegających. Czuła się oszołomiona. Nigdy w życiu nie widziała takiego zbiorowiska. Sama Philippa ma troje dzieci! Wciąż siedziały w ramionach ojca, śmiejąc się, piszcząc i podskakując.

Bishop ujął ją za rękę i posadził przy stole. Podał jej pajdę chleba i kawałek sera.

- Prawdopodobnie nie jest tak dobry jak ser Belzebuba, ale dość smaczny.

- Dziękuję. - Merryn usiadła i zabrała się do jedzenia, nie odrywając wzroku od krzątającej się panującej w Wielkiej Sali St. Erth.

Gdy zjadła, wstała i wspierając dłonie na biodrach, powiedziała:

- Dziękuję wam, lordzie i lady St. Erth. Powinnam była zrozumieć wcześniej, że ów sławny Bishop z Lythe...

- Sir Bishop. Sam pasowałem go na rycerza.

- ... jest zwykłym łgarzem. Taki więc był twój plan, sir Bishopie? Udawanie, że przyjechałeś zdjąć z nas klątwę, podczas gdy twoim jedynym celem było poślubienie dziedziczki. – Wycelowała w Bishopa oskarżycielski palec.

- Wierzysz w piosenki błazna? - Philippa uniosła brew ze zdumienia. - Śpiewanie piosenek i wymyślanie bajek to jego praca.

Merryn zatupała gniewnie.

- Mówił prawdę, choć rymy rzeczywiście były dość podłe.

Wielka Sala ucichła. Nawet dzieci Dienwalda umilkły, wpatrując się w Merryn i jej wyciągnięte ramię.

- ... zniszczy go.

- ... zabije go piorunem strzelającym z palca.

Bishop słyszał przerażone szepty. Wstał powoli i podszedł do niej, wpatrując się w wyciągnięty palec. Chwycił dłoń Merryn i odsunął ją na bok. Dyszała ciężko z wściekłości.

- Puść mnie, łajdaku!

- Posłuchaj mnie, Merryn. Jeszcze nie wiem o co chodzi z tą klątwą, ale odkryję to i pokonał ją. A wtedy, owszem, poślubię cię.

- Łajdak!

Wrzasnęła tak głośno, że prawie pękły mu bębenki. Wyrwała mu rękę, zamachnęła się i z całej siły trzasnęła go w szczękę. Bishop zachwiał się, chwytając brzeg stołu. Przez chwilę był tak wściekły, że krwawa plama zasnuła mu wzrok. Cała jego uwaga skupiła się na Merryn. Uderzyła go. Na litość boską, uderzyła go. Patrzył na nią długo, wiedząc, że jeśli podniesie na nią rękę w przypływie wściekłości, może ją zabić. Nie chciał przecież widzieć jej martwej.

- Słuchajcie wszyscy - krzyknął. - W mojej mocy, z dala od swego zamku i klątwy jest panna z Penwyth. Poślubię ją w ciągu godziny, przed obliczem ojca Cramdle'a, który nie ulęknie się żadnych przekleństw ani inkantacji padających z ust mej narzeczonej.

- Nie możesz mnie zmusić do małżeństwa, Bishopie. - Podbiegła ku niemu, stanęła na palcach i krzyknęła mu

prosto w twarz: - Nie wyjdę za ciebie, nieszczęsny łgarzu! Jesteś jeszcze gorszy niż wszyscy moi dotychczasowi mężowie. Tamci przynajmniej szczerze wyjawiali swą chciwość.

Bishop chwycił ją, obrócił, przycisnął plecami do siebie i przytrzymał jej ręce. Szepnął wprost do ucha Merryn:

- Król mi cię dał. To wystarczy.

Odparła bez wahania, bez najmniejszych wątpliwości:

- Nie pojmujesz tego, głupcze? Jak długo klątwa ma nade mną władzę, zginiesz, jeśli mnie poślubisz.

Do licha, wierzył jej.

- Doskonale - odparł. - Nie zmuszę cię do zamążpójścia.

- Świetnie. Puść mnie albo tak cię kopnę, że będziesz piszczał jak dziewczyna.

- Spróbuj tylko, a spuszczę ci tęgie lanie na goły tyłek. Tutaj. Na oczach wszystkich.

Przez chwilę milczeli.

- Puść mnie, łajdaku.

- O, nie. Wiesz, Merryn, myślę, że zrobię z tobą coś goła innego.

Poluzował chwyt na tyle, by mogła się obrócić i spojrzeć mu w twarz. Chciała go uderzyć, widział to wyraźnie w jej oczach. Jednak się powstrzymała.

- Wiele się wydarzyło, odkąd najechałeś Penwyth, Bishopie. Powiedz mi, że już rozumiesz. Jeśli się ze mną ożenisz, umrzesz. To proste. Nie pozwolę, by się to stało. Nie wyjdę za ciebie.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie.

- Rozumiem. Jak powiedziałem, myślę już o czymś innym.

Rozdział 13

Bishop zaciągnął Merryn w kąt Wielkiej Sali. Stały tam trzy służące i wpatrywały się w nich szeroko otwartymi oczami. Przy ścianie dwa nieduże psy ogryzały stary rzemień. Bishop przegoni wszystkich ruchem dłoni i szepnął jej do ucha:

- Wszystko już rozumiem. Musisz zrozumieć i mnie, Merryn. Król dał mi ciebie. Nie ma w tym kłamstwa, chciwości, nieuczciwości. Jestem tylko ja i chcę przeżyć do czasu, kiedy zdejmę z ciebie tę klątwę.

Uderzyła go pięścią w brzuch. Powietrze uleciało z niego z sykiem. Jeden ze stojących nieopodal służących jęknął ze zgrozy.

- Jesteś zwykłym mężczyzną, niech cię szlag trafi! - warknęła Merryn, potrząsając pięścią przed nosem Bishopa. - Jesteś taki sam jak wszyscy. Czyżby król pałał do ciebie nienawiścią, że wysłał cię na pewną śmierć?

- Nie - wykrztusił Bishop, gdy już zdołał złapać oddech. - Król chce tylko wreszcie to załatwić, bezpiecznie wydać cię za mąż i zapomnieć o klątwie.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Jeśli się ze mną ożenisz, umrzesz.

Spojrzał na nią z góry. Jest silna. Brzuch wciąż promieniował bólem. I ta odrażająca klątwa! Bishop nienawidził wszystkiego, czego nie mógł zobaczyć, zbadać i zrozumieć. *Czasami*, pomyślał nagle, *nie mogę znieść czarodziejskiej wiedzy, daru i płynących z niego obowiązków*.

Zamrugął i potrząsnął głową. Przez chwilę kręciło mu się w głowie, przed oczami zrobiło mu się ciemno. Zdołał jakoś utrzymać się na nogach, a po chwili odzyskał równowagę.

Skąd się wzięła ta dziwaczna myśl? To pewnie pierwsze oznaki skradającej się po niego klątwy. Zapewne duchy nie mogą się już doczekać, kiedy wciągną go do mogiły. Czy z ust popłynie mu piana? Czy cała krew wypłynie mu przez nos?

- Jestem już zmęczony twoimi wykrętami i sekretami, Merryn. Chcę prawdy. Przecież klątwa w jakiś sposób przez ciebie przepływa, czyż nie? I możesz nią w pewien sposób kierować, nieprawdaż?

W Wielkiej Sali zrobiło się cicho jak w kościele. W jaki sposób słyszeli go wszyscy, choć schował się w kącie, a przy jego nodze skamlały szczenięta? A jednak słyszeli. Zamilkli i pochyłili się w ich stronę. Nagle bliźnięta podniosły głośny lament. Bishop słyszał cichy głos Philippy:

- Wszystko w porządku, moje skarby, chodźcie do mamusi. Jeśli Bishop nie zdoła tego naprawić, tatuś się tym zajmie.

- To prawda, że mam rude włosy i zielone oczy - odezwała się Merryn. - Prawdą jest też, że w naszej rodzinie, od zarania jej dziejów, w każdym pokoleniu była rudowłosa, zielonooka dziewczynka. Ale klątwę rzucono całe wieki temu. Jak może mieć cokolwiek wspólnego właśnie ze mną? Z Merryn de Gay?

- Dlaczego w takim razie czterech mężczyzn nie żyje?
Pokręciła głową.

- Nie jestem ani czarownicą, ani trucicielką. Nie posiadam wiedzy ani umiejętności, które mogłyby mi to umożliwić.

Bishop delikatnie odwrócił ją do siebie. Przytrzymał za ramiona i spytał:

- Kiedy wreszcie przestaniesz kłamać?

Zdołał chwycić jej pięść na moment, zanim zderzyła się z jego brzuchem. Podniósł ją i przycisnął do siebie, lecz to Merryn odezwała się tuż przy jego wargach:

- Nie kłamię. I nie mam żadnych sekretów.

Bishop widział wyraźnie, że Merryn nie mówi prawdy. Jego wściekłość narastała. W uszach dudniła mu krew.

- Niech będzie, jak chcesz, Merryn. Wierzę, że gdybym ożenił się z tobą nawet tu, z dala od Penwyth, i tak bym zginął.

- Zawieszysz mnie do domu?

- Nie. - Uśmiechnął się do niej, lecz nie był to przyjemny uśmiech. - Jak już mówiłem, mam wobec ciebie inne plany.

Merryn spojrzała na niego uważnie, usiłując wyczytać z oczu Bishopa jego zamiary.

- Wiele się wydarzyło, odkąd przybyłeś do Penwyth, Bishopie.

- O, tak. Masz zupełną rację. Minęły właśnie dwa dni, odkąd krzyknąłem do starców na blankach, żeby mnie wpuścili. Na wszystkich świętych! Minęły zaledwie dwa dni. - Oczy mu pociemniały z gniewu, Spojrzenie miał równie mroczne jak otaczające ich cienie. - Może gdybyś chciała za mnie wyjść, gdybyś nie była pod przymusem, nie zginąłbym?

- Posłuchaj mnie, Bishopie - rzekła, przysunąwszy się tak blisko, że jej oddech omiatał mu twarz. - Obawiam się, że nawet gdybym wspięła się blanki Penwyth i na wszystkie strony świata wykrzyczała, że chcę cię za męża, i tak byś zginął.

- Skąd wiesz, że klątwa by mnie zniszczyła, nawet gdybyś chciała mnie poślubić?

- Nie wiem. Ale nie zamierzam ryzykować.

- A dlaczego? Nie chcesz, żebym padł trupem?

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, dopóki jeden ze szczeniaków nie trącił jej stopy końcem rzemienia. Uniósła dłoń, jakby chciała go dotknąć, lecz opuściła ją bezwładnie.

- Nie, nie chcę, żebyś padł trupem.

Bishop uśmiechnął się lekko.

- Chronisz mnie.

Wzruszyła ramionami.

Wiedział, że wszyscy zgromadzeni w Wielkiej Sali przysłuchują im się z uwagą, lecz nie dbał o to.

- W porządku. Nie ożenię się z tobą.

Krętaćz wskoczył na stół, wypiął dumnie pierś, wznosił dłoń ku powale i zaśpiewał:

*Dzisiaj panna wygrała,
Lecz niech nas to nie złości.
Umrze jako dziewica
W gorzkiej samotności.*

Pieśń karła rymuje się nawet nieźle, pomyślała Merryn, lecz nie może być prawdziwa. Coś się wydarzy, coś się zmieni, musi się zmienić. Przecież nie może umrzeć samotnie. Pomyślała o wszystkich starcach zamieszkujących Penwyth, których znała przez całe swe

życie. Czy kiedykolwiek byli tak młodzi jak ona? Pewnego dnia umrą, nie będą przecież żyli wiecznie i nie zostanie już nikt kto mógłby się z nią starzeć. Och, Boże, czyż naprawdę była skazana na umieranie w samotności? W goryczy i smutku? Niezbyt pocieszając wizja.

- Nie - powiedział głośno Bishop. - Nie umrze jako dziewica.

- Obawiałam się samotności - wtrąciła Merryn. - Nie rozważałam jeszcze części o dziewictwie.

Choć jeszcze przed chwilą Bishop wrzał z gniewu, teraz z trudem powściągnął uśmiech.

Krętacz wskazał na Gorkela Szkaradnego przezuwającego gałązkę rozmarynu i krzyknął:

- Stara Agnieszka powiedziała Gorkelowi, że po rozmarynie będzie miał tak rześki oddech, że wszystkie dziewczęta będą za nim chodzić, domagając się pocałunków. Powiedz, potworze, co sądzisz o całym tym wiedzim zamieszaniu w Penwyth? Niech z twych słodkich ust popłyną mądre słowa!

Gorkel przełknął rozmaryn i zrobił wstrętą minę w stronę karła, choć niewielu ją dostrzegło gdyż zwykle był szkaradny.

- Sądzę, że panna nie powinna bić młodego rycerza, za niedługo pana na Penwyth, tyle wam powiem.

- A cóż to ma wspólnego z czarownictwem, potworze?

- Nie ma tu żadnego czarownictwa - powiedział Gorkel, stając o krok od Krętacza i odchylając głowę. Nawet psy zaczęły mu się przyglądać. - Kobieta powinna przez cały dzień starać się, by męskość jej pana była sztywna i twarda jak marmur, jak to czyni nasza pani.

Philippa pogroziła mu pięścią, a Gorkel roześmiał się głębokim, dudniącym śmiechem. Był to odrażający dźwięk.

Krętacz złapał się za nos, zatoczył i spadł ze stołu na sitowie rozrzucone na posadzce. Leżąc na plecach, krzyknął:

- Najdroższa pani, daj tej bestii słodkiego całusa, gdyż jej oddech jest tak powalający, że aż mnie tyłek rozboleł.

Merryn nie mogła się powstrzymać. Wraz wszystkimi wybuchnęła śmiechem. Jednak Bishop wyczuł nagle, że coś jest nie w porządku, z co? Ktoś lub coś. Jest bardzo blisko. Bishop to czuł, widział czający się cień, ruch w powietrzu. Jednak gdy się odwrócił, nie dostrzegł nikogo. Tylko jeden z wilczurów Dienwalda drapał pazurami kamienną podłogę.

Na wszystkich świętych, co się dzieje?

Philippa, trzymając pod pachami bliźnięta, podeszła do Gorkela i wspięła się na palce. Zaczekała, aż chłopcy poklepią sługę po twarzy i pociągną za włosy, po czym ucałowała Gorkela w czoło.

- Masz bardzo przyjemny oddech, Gorkelu - powiedziała.

Twarz sługi wykrzywiła się przerażająco w szerokim uśmiechu.

- Słyszałeś, Krętaczu? Rozmaryn potrafi zdziałać cuda. Tak powiedziała pani!

- Hej, wszystkie piękne panny! Dalejże, chodźcie ucałować potwora!

Żadna z panien się nie ruszyła. Stara Agnieszka wysepleniła przez dwa ostatnie zęby:

- Ja cię pocałuję, Gorkelu.

Gorkel pisnął ze strachu i uskoczył w tył, zakrywając dłonią usta.

- Philippo, czy mogłabyś pożyczyć Merryn trochę cieplejszych ubrań? W ciągu godziny chciałbym wyjechać.

- Oczywiście - przytaknął Dienwald. - Ja także dam ci coś do ubrania. I zapasy. Eldwin! Zajmij się tym.

Merryn podniosła na niego oczy.

- Zabierasz mnie do domu?

Bishop pokręcił głową.

- Dokąd zatem jedziemy?

- Powiem ci tylko jedno, Merryn - odparł wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Nie umrzesz jako dziewica.

- Jak widzę, to dobra nowina - stwierdziła Merryn, gdy Wielka Sala wypełniła się gwarem, śmiechem i gromkimi radami, jak należy odebrać pannie wianek.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - odezwał się Dienwald.

Bishop patrzył na Merryn niosącą bliźnięta. Philippa tuliła do siebie Eleanor.

- I ja również mam taką nadzieję, Dienwaldzie.

- Dokąd zamierzasz jechać?

- Jakieś dwa dni drogi stąd na północny wschód.

- Wydaje się, że dokładnie wiesz, dokąd zamierzasz dotrzeć.

- Istotnie. Wiem, że to dziwne.

- W tamtych stronach mieszka mój przyjaciel, Roland de Tourney. Jeśli będziesz potrzebował jakiegokolwiek pomocy, zgłoś się do niego.

- Dziękuję. - Bishop przecesał włosy palcami. - Nic nie jest takie, jakie miało być. Wiem, dokąd muszę się udać, choć nie ma to najmniejszego sensu. Dienwaldzie, czy wierzysz, że mógłbym posiadać dar magii? - wymknęło mu się.

Dienwald nie roześmiał się. Spojrzał na swoją Wielką Salę. Margot szorowała jeden ze stołów. Gorkel zbierał z podłogi szpilki rozmarynu, pogwizdując donośnie przez szparę między zębami.

Dienwald nie lubił rozmów na temat magicznych mocy, które mogą bez trudu zniszczyć śmiertelnika.

Westchnął i położył rękę na ramieniu Bishopa.

- Owszem - powiedział. - Wierzę, że tak może być, ale wcale mi się to nie podoba.

Bishop zamknął na moment oczy. Ujrzał postaci utkane z cieni przedzierające się przez czerwoną mgłę. Dlaczego czerwoną?

- Czemu w to wierzysz?

- Gdy ocaliłeś Philippę - odparł Dienwald, wciąż wpatrując się w Wielką Salę - powiedziała mi, że nie mogłeś wiedzieć, że herszt bandy trzyma sztylet przy jej boku. Po prostu nie mogłeś. A jednak wiedziałeś.

Bishop zapomniał o tym zupełnie. To prawda, że często zwyczajnie wiedział różne rzeczy, jakby widział je wewnętrznym wzrokiem, lecz nie było to aż tak wyjątkowe. Wynikało wyłącznie z wielu lat treningów oraz wiedzy, w jaki sposób ludzie walczą, to wszystko.

- Może to wcale nie było tak, jak mówisz. Może po prostu zdałem sobie sprawę, że muszę być bardzo ostrożny. Że jeśli natychmiast nie poderżnę temu zbrojowi gardła... - Bishop wzruszył ramionami.

- Wiedziałeś, że wtedy stanie się coś złego, czyż nie?

- Owszem.

Dienwald spojrzał mu w oczy.

- To zdarzało ci się już wcześniej, prawda? Masz przeczucia. Wiesz, kiedy coś jest nie w porządku.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Wiesz przecież, że w czasie bitwy po prostu czujesz instynktownie, co masz robić. Nie przypisuj mi żadnych mistycznych zdolności. Jestem czarodziejem tylko na czas zdobywania Penwyth i dobrze wiesz, że to wyłącznie przebranie, które ma mnie chronić przed nagłą śmiercią. Jestem zwykłym człowiekiem, takim jak inni.

- Czasami rzeczywiście tak jest - z namysłem odpowiedział Dienwald i spojrzał na Bishop z uwagą. Nagle chwycił go za rękę i potrząsnął - Słuchaj! To ta klątwa! Wmieszałeś się w sprawy potęg, których ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie objąć rozumem. Będę z tobą szczery. Byłem przekonany, że w Penwyth mieszka ktoś, kto zna się na truciznach. Może nawet sam lord Vellan. Dlatego sądziłem, że udawanie czarodzieja jest dobrym pomysłem. Jeśli chodzi o lorda Vellana, ni uwierzyłyś, jakich rzeczy dokonywał w dawnych czasach. Nie to, żebym je widział, byłem na to zbyt młody. Lecz wciąż krążą o nich legendy. Lord Vellan jest bezwzględny, nie ma w nim krzty litości. Powiadają, że jedyną osobą na świecie, która była w stanie kiedykolwiek go powściągnąć, była jego teściowa. Nie rozumiem tego, ale tak mówią. Czy starzec otruł czterech mężów? Nie wiem. Jedną cokolwiek zamierzasz zrobić z tą dziewczyną, nie powinieneś jej ufać.

- Masz rację - powiedział Bishop. - To raczej nie była trucizna. To coś dziwnego, ale to samo właśnie pcha mnie do działania. Nie wiem, co z tym począć. Wiem tylko, że muszę ruszyć w drogę i zabrać Merryn ze sobą. Nie ufam jej, oczywiście. Nie jestem głupi. Nie znam nawet trzech kobiet, którym mógłbym zaufać.

- Nie wiem, czy chciałbym poznać ich imiona.

- W porządku. Wiedz tylko, że Philippa jest jedną z nich. Ma serce na dłoni. Ta dziewczyna jest skarbem.

- Serce na dłoni, to prawda - uśmiechnął się Dienwald. Po chwili roześmiał się wesoło. - Taka właśnie jest moja wiedźma.

Godzinę później nakarmieni, wykąpani i ubrani w ciepłą odzież gospodarzy Bishop i Merryn wyjechali na Nieustraszonym.

Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, wietrzyk stał się nieco chłodniejszy, lecz wciąż był orzeźwiający.

- Doszłam do wniosku, że Nieustraszony jest wspaniałym rumakiem. Pozwolę mu poznać moją Lockey.

- Będzie uszczęśliwiony.

- Dokąd jedziemy, Bishopie?

Nie odpowiedział. Zapatrzył się w horyzont, a po chwili zaczął gwizdać.

- Robi się późno. Dlaczego nie chciałeś zostać w St. Erth na noc?

Bishop gwizdał coraz głośniej.

Merryn oparła się o niego bezwładnie. Cisza okazała się nawet przyjemna. Słyszała ptaki buszujące w cisach. Niektóre wlatywały pod nieboskłon, kreśląc tajemnicze wzory. Widziała samotny głaz na środku pola.

- Jak długo będziemy jechać tam, dokąd zmierzamy?

- Dwa dni, a może więcej, gdyż jedziemy na jednym koniu.

- Co zamierzasz ze mną uczynić?

- Odwróć się do mnie.

Merryn zwróciła ku niemu twarz. Bishop przyjrzał jej się uważnie.

- Cieszę się, że uczesałaś włosy. Wyglądałaś jak wiedźma.

- Ciekawe, czy to był komplement, czy też nie? - Odwróciła się od niego ostentacyjnie.

Bishop się roześmiał.

- O, nie - szepnął jej do ucha. - Nie umrzesz jako dziewczica.

- Czy właśnie to zamierzasz ze mną zrobić? Przymusić mnie?

- Ależ skąd! Nigdy nie zmuszałbym kobiety - powiedział i znów zaczął głośno gwizdać.

Bishop wyszukał miejsce na postój, gdy słońce zaczęło się chować za horyzont. Nie musiał zatrzymywać się wcześniej, gdyż Dienwald zapakował im zapasy na co najmniej tydzień, zatem nie trzeba będzie polować.

Zaciszne, bezpieczne miejsce znajdowało się w zakolu klonowego lasu. Rozpalił ogień, zaś Merryn wyjechała jedzenie.

- Mam nadzieję, że nie będzie padało - odezwała się, spoglądając w niebo.

- Jeśli nawet będzie, mamy już pewność, że namiot się nie zawali - odparł. Wciągnął powietrze nosem i się uśmiechnął. - Nie będzie.

- Myślisz, że w Penwyth wciąż pada?

Zastanowił się przez chwilę, spojrział przez ramię - sam nie wiedział po co. Poczuł dziwne drgnienie powietrza i nagle już wiedział.

- Przestało padać.

- Mówiłeś, że nie przestanie. Że będzie potop i że zwiążesz mnie, bym utopiła się w strugach deszczu.

Uśmiechnął się, ogryzając wołowe żebro.

- Pomyślałem, że to będzie brzmiało groźnie i przerażająco.

- Zmyślałeś?

- Zmyślałem. Czy mówiłem ci już, że to bardzo miłe iż nie chcesz, bym zginął jak pozostali twoi czterej mężowie?

Odłamała kawałek chleba, wruszając ramionami.

- Nie chcę, byś zginął. To pewnie głupie. Czy będzie znów padało?

- O, tak. Susza się skończyła.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Zmarszczył brwi, spoglądając w ogień.

- Po prostu wiem.

Merryn siadła po turecku, podając mu kolejne pieczone zebro.

- Ciekawe, dlaczego susza odeszła – zastanowiła się. - Czy sądzisz, że ma to coś wspólnego z twoim przybyciem?

- Nie wydaje mi się - odparł bez zastanowienia. - Czuję pewne ruchy na odległych obrzeżach... - Zamilkł w pół zdania. Dziwaczne słowa wypłynęły z jego ust, zanim zdążył nad nimi pomyśleć.

Merryn pochyliła się ku niemu, zapominając o świeżym groszku z ogrodu Philippy.

- Na odległych obrzeżach czego?

Zapatrzył się w niewielkie ognisko i wsłuchał się w słowa, które tak gładko wypowiedział.

- Powietrze drży i faluje. Może jest to echo dawnych, zapomnianych już konfliktów, okrutnych sporów w dębowych lasach. Jakieś zmagania i niesnaski. - Zamilkł, zamykając oczy.

- O co chodzi, Bishopie? Jakie dębowe lasy? Jakie dawne konflikty? Jakie niesnaski? Co jeszcze czujesz?

- Nic nie czuję - mruknął, jednocześnie zakłopotany i zły. - Nie podoba mi się to. Naprawdę. – W głębi serca

czuł, że następują zmiany, wplątując go w tajemnice i dawno pogrzebane zagadki. Czuł, jak go oblepiają, niczym muł z dna stawu. Wstał, otrzepując spodnie. - Pójdę wyszczotkować Nieustraszonego.

Merryn spoglądała za nim przez długą chwilę. Zastanawiała się, co miał na myśli, mówiąc, że nie umrze jako dziewica. Życie zupełnie wymknęło jej się spod kontroli, lecz nie była ani trochę przestraszona. Czy Bishop naprawdę wie, że dni jej dziewictwa są policzone?

Rozdział 14

Merryn ułożyła się wygodnie za plecami Bishopa, muskając jego kark ciepłym oddechem.

- Cudowna noc - mruknął Bishop. - W taką noc mężczyzna nie myśli o tym, by naostrzyć miecz i rozplatać czaszki swoich wrogów.

Merryn nie wiedziała, co rycerz chce przez to powiedzieć. Odparła po chwili:

- Nigdy nie widziałam rozplątanej czaszki. Gdy urodziłam, dziadek i jego żołnierze byli już starzy. Nigdy nie zapomnę, jak tłumaczył mi, że widząc, jak opuszczają go siły, poszukał innych sposobów na przetrwanie. Wciąż knuje intrygi i kłóci się z resztą starców. I wszyscy świetnie się przy tym bawią. Kiedy zginął mój ojciec, nie zostawiwszy po sobie męskiego potomka, wszyscy wiedzieli, że będą kłopoty. Dopóki po świecie krążą chciwi, bezwzględni rycerze, będą kłopoty. Ale nie martwili się tym zbytnio, gdyż wiedzieli, że chroni nas klątwa.

- Ha. Mieliście wielkie szczęście.

Czekał, aż Merryn powie coś jeszcze, jednak milczała. Co przed nim ukrywa? Jej palce musnęły jego kark, przesunęły się wzdłuż ramienia, zatrzymały na chwilę

i lekko, delikatnie zsunęły się po ręce.

Bishop zastanawiał się, czy jest dla niej niczym wielki, ciepły pies, którego może pogłaskać i przy którym może się ogrzać. Czyż nie zdaje sobie sprawy, że jest także mężczyzną? Co więcej, młodym mężczyzną, który w mgnieniu oka staje się twardszy niż drązek podtrzymujący namiot? Najwyraźniej nie.

Wziął jej dłoń i położył sobie na brzuchu, głaszcząc łagodnie palce. Mięśnie napięły się odruchowo. Wyczuł nagłą ostrożność Merryn i uśmiechnął się w ciemności. Jeśli istotnie traktowała go jak przyjaznego psa, już o tym zapomniała.

Jej palce poruszyły się delikatnie.

- Niżej - powiedział.

- Niżej, co?

- Przesuń dłoń niżej.

- Tutaj?

Bishop zacisnął zęby i wstrzymał oddech, gdy powoli prześliznęła palcami po jego naprężonej męskości. Merryn pisnęła cicho. Zadrżała cała, marząc o jej palcach na swoim nagim ciele.

- Tak, tutaj. - Och, Boże, jakże pragnął poczuć więcej! Niemal poderwał się z postania, gdy znów delikatnie go dotknęła. Nie mógł się powstrzymać, chwycił jej dłoń i przycisnął mocno do męskości.

- Bishop? Dobrze się czujesz?

Na wszystkie świętości, nie! Był bliski spełnienia i zmożenia sobie ubrania, a to byłoby nad wyraz upokarzające. Ledwie mógł oddychać, a Merryn żąda, żeby jeszcze mówił? Czuł, jak jej palce powoli otaczają pulsującą męskością. Był w stanie myśleć tylko o nich.

- Co mówiłaś?

- Wydaje mi się, że sprawiam ci ból. Czy mam zabrać rękę?

Jęknął przez zęby.

- Nie. Czuję się świetnie - wycedził, niemal nie odgryzając sobie języka.

- Twoje ciało jest całkiem inne niż moje. Przynajmniej w dotyku.

- Wiem - odparł, niemal eksplodując, gdy zacisnęła na nim dłoń.

- Co się z tym robi?

Roześmiał się głośno. Przyniosło mu to chwilową ulgę.

- Wsunąłbym to w twoje ciało.

Poczuł, jak zacisnęła kolana. Och, tak, dokładnie wiedziała, co ma na myśli. Tylko gdyby wychowywała się w klasztorze, miałyby szansę nie orientować się, co mężczyźni robią z kobietami.

- Gdy babka była młodsza, czasami kąpała ważnych gości. Powiedziała mi kiedyś, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Niektórzy może nieco bardziej wyposażeni. Kiedy siedzą nago w wannie, trzeba zagwizdać albo chrząknąć znacząco i szybko wyszorować ich gąbką. Cała sztuka polega tym, by zbyt długo nie myć ich tam.

Bishop roześmiał się znowu. Nigdy nie był na tyle ważnym gościem, by dama kąpała go osobiście.

- Wyszorowałybyś mi plecy, Merryn?

- Nie wiem - odparła, głaszcząc go znów. - Musielibyśmy najpierw zostać mężem i żoną, ty zaś nie mógłbyś zginać od klątwy. Lub też musiałbyś odwiedzić mój gród ponownie, gdy król uczyniłby mnie baronową Penwyth. Wtedy zrobiłabym to, co radziła mi babka.

- Gwizdałabyś?

- Nie wiem - powtórzyła. Nawet w mroku zauważył, jak zmarszczyła brwi w zadumie. - Może zasługujesz na coś więcej niż gwizdnięcie. Może na rymowaną pieśń? Taką, jakie tworzy Krętać? - Przesunęła dłoń w górę, a Bishop miał chęć się rozplakać. Znow głąskała go jak ulubionego psa, monotonicznie, całymi dłońmi po brzuchu i torsie. Czuł, że potrzęsęła głową. - Nie chcę, żebyś zginął.

Po tych słowach coś drgnęło w głębi jego serca, Przeraziło go to nie do opisania. Nie, nie będzie o tym myślał!

- Jeśli tylko odbiorę ci wianek, nie zginę.

To zwróciło jej uwagę. Poderwała się, patrząc na niego uważnie.

- Mój wianek?

- Owszem. Przynajmniej tę część mielibyśmy już za sobą. Nie byłbym przecież twoim mężem. Czy to mnie uchroni od klątwy?

- Och, tak - wyrzekła bez tchu i zadrżała, zdając sobie sprawę z własnej odpowiedzi.

Bishop znow się roześmiał. Dlaczego nie? Leży w namiocie, Merryn wtula się w niego całym ciałem, a jego męskość jest twardsza niż stojące na polach menhiry. Dlaczego nie?

Nagle poczuł, że coś go pociąga, odsuwając na bok wszystkie sprawy, Merryn i jej dziewictwo. Jednak czyż dziewictwo nie wydawało mu się najśłodszym skarbem, od którego nigdy nie należy odciągać młodego mężczyzny. Tak było, a mimo to coś pociągało go z wielką siłą. Nie pojmował tego. Coś znajdowało się tuż obok niego, niemal dotykało jego twarzy, a może było w nim, a jego umysł skierował się do środka?

Usłyszał własne słowa:

- Nie odbiorę ci wianka. Śpij, Merryn, śpij.

Być może mówił to do siebie, gdyż już po chwili zapadł w sen tak głęboki, jak dziura po celnie wymierzonym mieczu.

* * *

W innym czasie

Książę szedł za Callasem w głąb dębowego gaju. Szli niestrudzenie, coraz bardziej zagłębiając się w mroczny okrąg drzew, który tłumiał odgłos kroków. Liście krążyły w powietrzu, spadały pod nogi, choć książę nie czuł wiatru. W lesie nie czały się cienie - nie było tu na nie miejsca. Tylko całe zastępy dębowych pni przypominających wartowników stojących na straży od zarania dziejów. Dęby rosły tak blisko siebie, że spadające liście natychmiast usychały i obracały się w pył.

Po wędrówce, która zdawała się trwać całe wieki dotarli do wielkiej polany. Na jej środku wznosił się pagórek. Nie było to naturalne wzniesienie. Wyglądało, jakby ludzie ustawili stos z kamieni i nanieśli na nie ziemię, a potem zasiali trawę.

Albo jakby stworzyła go magia. To nawet bardziej prawdopodobne. Po co marnować czas i siłę na mozolne wznoszenie pagórka, skoro wystarczy przewrócić oczami i pstryknąć palcami?

Wąski sierp księżycy świecił tak mocno, że na polanie było niemal tak jasno jak w dzień. Na niebie lśniły tysiące gwiazd. W ich świetle liście dębów jak gdyby błyszczały. Bardzo interesujący efekt. Ciekawe, czy wiedźma długo nad nim pracowała.

- Callas.

Starzec odwrócił się błyskawicznie. Książę ujrzał skurcz strachu na jego pomarszczonej twarzy.

Sprawiło mu to przyjemność. Wstrętny staruch miał głowę pełną wiedzy o sprawach, które ani trochę księcia nie interesowały. Zastanawiał się jedynie, jak stary jest w istocie.

- Czego sobie życzysz, mój księżę?

Strach gdzieś zniknął. Callas wyglądał na zadowolonego z siebie. Czyżby sądził, że księżę przestraszył się nienaturalnego światła wypełniającego polanę?

- Co to za miejsce? - zapytał młodzieniec, lekceważąco machając ręką.

Callas przechylił głowę. Brudne, skołtunione włosy spadły mu z ramienia.

- Czyżbyś był ślepy, mój księżę? Byłem ciekaw, a teraz już jestem pewien że twoja moc nie może przeniknąć w głąb naszego lasu. - Roześmiał się. - Jesteś teraz w naszej mocy. Choć nie widzisz tego, wielu cię teraz obserwuje i zastanawia się, co tu robisz. Są gotowi zabić cię, gdybyś choćby wyszeptał groźne słowo.

Księżę roześmiał się. Włosy spadły mu na twarz więc je odgarnął.

- Niech tylko się do mnie zbliżą, Callasie - powiedział bardzo cicho. - Sprawdźmy, czy są w stanie zrobić mi jakąkolwiek krzywdę. Powiem ci szczerze, nie widzę ich, jednak wiem, że twoi ludzie wzniesli ten pagórek. Dlaczego?

Callas podniósł keshę. Czubek kostura pulsował światłem i mocą. Starzec skierował go w stronę pagórka.

- Co robisz?

Kapłan nie odzywał się, tylko trzymał kostur wyciągnięty w stronę wzniesienia. Co ten staruch wyczynia? Księżę chwycił go za rękę, uważając, by nie dotknąć kostura. Starzec był tak zaskoczony, że pewnie by

upadł, gdyby księżę go nie podtrzymał. Bishop potrząsnął nim lekko. Nagle Callas wydał mu się bezcielesny jak szmaciana lalka wypchana puchem. Czyżby zabił go z taką łatwością?

- Zostaw go, podły łajdaku!

Brecia. Serce niemal wyskoczyło mu z piersi.

Nareszcie.

Wciąż się szeroko uśmiechał, gdy jego oczom ukazała się stojąca na szczycie pagórka forteca. Drewniane, ostro zakończone pnie powiązane były grubymi linami. Za ostrokołem stała drewniana wieża. Przeklęta wieża. Naprawdę okazała. Widać, że zbudowana dla potężnej wiedźmy. Gdzie Brecia?

Księżciu nie podobało się to wszystko. Zwykł kontrolować swoje życie i panować nad nim. Widział tylko pagórek wzniesiony albo ludzką dłońią, albo za pomocą magii.

Teraz zaś na jego szczycie pojawiła się forteca. Nagle poczuł falę dławiącego strachu.

Dlaczego wcześniej nie widział wieży? Czyżby Callas miał rację? Czyżby stracił moc, wchodząc do dębowego gaju?

Gdzie jest przeklęta wiedźma, która nazywa go łajdakiem? Gdzie jego wiedźma?

Puścił Callasa. Kapłan zachwiał się mocno. Nagle zobaczył tuzin albo więcej twarzy wpatrujących w niego spomiędzy drzew otaczających polanę. I znów usłyszał jej krzyk:

- Nie waż się go zabić!

Księżę nie mógł tego znieść. Skąd dobiega ten głos? Obrócił się dokoła, lecz forteca wciąż stała na swoim miejscu. Mogła być iluzją wywołaną mocą wiedźmy, co nie zmienia faktu, że nie chciała zniknąć.

Odetchnął głęboko. To jakiś nonsens. Przecież jest czarodziejem! Nikt nie dorównuje mu mocą. Co się tu dzieje?

Odchylił głowę i wrzasnął:

- Brecia! Chodź tu natychmiast, przekłeta wiedźmo, albo zmiażdżę tego starego głupcu - Uśmiechnął się dziko.
- Albo nie. Stworzę specjalnie dla niego niewielki staw. Śliczny, czysty i niezbyt głęboki, a potem zmuszę go, by się wykapał i wyprał swoje obrzydliwe łachy. Pokaż się!

Cisza.

Książę wysunął z rękawa różdżkę i wyciągnął ją w kierunku Callasa.

- Nie waż się go upokarzać, nędzna imitacja czarodzieja!

Książę z uśmiechem patrzył na Callasa, kto uciekał ze zwinnością nieprzystającą sędziwemu kapłanowi. Brama fortecy otworzyła się z wolna. Książę schował różdżkę do rękawa, czując jej kojące ciepło. Naprawdę stała się częścią jego samego. Ruszył ku bramie.

Gdy mijał szeroko otwarte skrzydła, wydały mu się większe niż z daleka. Za plecami słyszał głosy. Wiedział, że skryte w cieniu drzew duchy naradzają się, co z nim zrobić.

- Uspokój swoich ludzi, Callasie. Powiedz im, że jestem tu tylko po to, by spotkać się z wiedźmą. Jeśli zostawią mnie w spokoju, nie zrobię im krzywdy.

Wszedł do fortecy, a wielkie drewniane wrota zatrzasnęły się za nim głucho. Wokół dziedzińca paliło się tuzin niewielkich ognisk. Sam dziedziniec okazał się ogromny, o wiele większy niż cała forteca widziana z zewnątrz. Wiedział już, że to wiedźma tworzy tak urocze iluzje i w głębi ducha doceniał jej wysiłki.

Podziwiał też jej umiejętności. O, tak. Będą do siebie pasowali.

Przyjrzał się uważniej ogniskom i dostrzegł przynajmniej pięćdziesiąt duchów unoszących się tuż nad ziemią. Były tak blade, że niemal przezroczyste, jednak mógł dostrzec ich nagie stopy. Duchy nie wydawały najmniejszego dźwięku, po prostu unosiły się w wibrującym powietrzu. Co najdziwniejsze - nie czuł ich obecności, lecz widział wąskie nagie stopy z nienaturalnie długimi palcami.

Czyżby Brezia odgrodziła go od nich? Nie, był zbyt potężny, by mogła to uczynić. Wiedział, że to duchy, lecz ich nie czuł. Dlaczego? Może nie były duchami, a cieniami z innego wymiaru? Nieistniejącymi istotami, które Brezia zawezwała, by go przestraszyć? Rekwizytami, jakich używają mimowie do swoich sztuczek? Potrząsnął głową. To przecież nie ma znaczenia. Mogłaby stworzyć nawet stado dzikich psów, które z ujadaniem rzuciłyby mu się do gardła, a wcale by się tym nie przejął. Tak czy siak, duchy o wąskich stopach tworzyły przyjemny orszak powitalny.

Nigdy wcześniej nie był w świętym schronieniu Brecii. Skupił się na płynących z otoczenia doznaniach i wkrótce wyczuł pulsującą magię, choć nie wydała mu się znajoma. Przypominała usta chętnej kobiety, delikatne i pieszczotliwe. Moc otaczała go, podpływała, muskała jego ciało i cofała się jak wstydliva kochanka. Zdumiewało go, że nie potrafi rozpoznać owej magii. Co by się stało, gdyby obca moc nagle go dotknęła? Gdyby wpłynęła jak fala do jego oczu i ust, gdyby zaczął nią oddychać? Czuł, że różdżka ukryta w rękawie robi się coraz cieplejsza.

Zauważył, że leniwie pełgające pomarańczowo płomienie wielu ognisk co jakiś czas łączą się za sobą, splatają i tańczą, ogrzewając cały dziedziniec.

Z uśmiechem skierował różdżkę ku jednemu z ognisk. Wystrzeliło w górę językami płomieni i snopami iskier. Duchy odskoczyły na boki, stapiając się ze sobą i wpatrując w ogniki unoszące się nad ich głowami. Mógłby przysiąc, że ich stopy stały się bardziej widoczne. Cóż, zapowiedział swoje przybycie i ostrzegł Brecię. Uśmiechnął się pod nosem. Z całego serca pragnął ją zobaczyć.

Wsunął różdżkę do rękawa i ruszył ku wieży.

Przekłęta forteca znów okazała się większa niż jeszcze przed chwilą.

- Brecia! - krzyknął. - Gdzie jesteś?

- Jestem tutaj, księżę - powiedziała.

Był ogromnie ciekaw, jak to możliwe, że jej głos jest tak bliski i czysty, mimo że wiedźma siedzi, w wieży. Spryciula! Spojrzał na przypadkowo porozmieszczane niewielkie okna o rozmaitych kształtach. Kwadraty, trójkąty i okręgi zdawały się jarzyć w ciemności.

Świetne sztuczki bystrej wiedźmy, pomyślał, nic więcej. Nie mogły się równać z tym, co sam potrafił. Nie powinien o tym zapominać. Pchnął drzwi i wszedł do wieży. Podłoga ze szlifowanych desek ciągnęła się w nieskończoność. Czuł zapach lawendy i innych ziół, których nie rozpoznawał. Ich listki były porzrzucone na podłodze. Pośrodku przestronnej komnaty płonął ogromny ogień. Płomienie sięgały okrągłego otworu w suficie. Powietrze było lekko błękitne od dymu.

Wreszcie ją zobaczył.

Brecia. Minęły już trzy lata, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy w świętym miejscu, do którego pielgrzymowali przedstawiciele wszelkich plemion, by medytować w kręgu potężnych głazów i witać wschodzące słońce kołyszące się przez kilka chwil na szczycie monumentalnej budowli. Zdarzało się to wyłącznie w dniu letniego przesilenia.

Była tak urodziwa, że na jej widok zaschło mu w ustach. Teraz zaś wyglądała jeszcze piękniej, stojąc na niewielkim podwyższeniu i patrząc niego z góry. Zrozumiał, że jej wpływ jest znacznie potężniejszy. Przełknął ślinę. Przekłęta wiedźma uciekła mu i tylko cudem nie przekłęła, lecz wreszcie zwyciężył.

Zdołał ją znaleźć, choć wciąż nie wiedział, skąd wziął się na skraju jej lasu i dlaczego ocknął się ziemi, widząc nad sobą Callasa. Pamiętał, że Callas był z nią w wielkim kamiennym kręgu. Stał jedną z poprzecznych belek, a w oczach miał strach i nienawiść.

Podobnie jak kapłan i duchy z lasu, Brecia miała na sobie białą wełnianą szatę. Jednak jej suknia była tak biała, że jaśniała jak światło. Mógłby czytać starożytne pergaminy w blasku jej. W pasie przewiązała się cienkim złotym łańcuchem.

W komnacie poza nimi nie było nikogo.

Chyba że w kątach czaiły się duchy. Podszedł bliżej.

Wciąż miała te same, niespotykane włosy, może nieco dłuższe. Czerwone, wściekle czerwone jak magiczny płomień. Spływały jej po plecach aż do bioder. Książę widział też niewiarygodnie zielone oczy, pełne tajemnic i sekretów oraz wielkiej mocy zdolnej do czynów o znacznie większym znaczeniu niż przekleństwo rzucone

w akcie zemsty. Skóra Brecii była gładka i jasna. Uśmiechnęła się do niego, ukazując śnieżnobiałe zęby. Jej triumfalny uśmiech zdradził mu, że wyprowadziła go w pole i pławiła się właśnie w zadowoleniu. Miał ochotę wyjąć różdżkę i rzucić Brecię na kolana. Zmusić ją, by czołgała się przed nim i całowała jego zakurzone stopy. O, tak. Ta wizja bardzo mu przypadła do gustu. Potem mogłaby zrzucić tę białą suknię i pokazać mu swoje wdzięki, a potem...

- Więc jesteś, mój książę. Jak, na wszystkie demony piekieł, które cię stworzyły, zdołałeś tu dotrzeć? Jak mnie znalazłeś?

Rozdział 15

Serce głośno waliło mu w piersi. Nie czuł się tak od trzech lat, odkąd ją pierwszy raz zobaczył. Odkąd ukryła się przed nim, przekłeta wiedźma, gdyż dowiedziała się o jego rychłym ślubie z Lilian. Chciał ją zatrzymać, chciał jej wytłumaczyć, lecz zdołała się wymknąć. Wył z wściekłości, próbował tysiącokrotnie wymazać ją z pamięci, lecz nie udało mu się. Wpatrywał się w jej twarz.

- Callas mnie przyprowadził - odparł swobodnie.

- Callas nigdy nie pozwoliłby ci się do mnie zbliżyć, a zwłaszcza wejść do mojego świętego gaju.

Magiczna różdżka leżała spokojnie przy przedramieniu księcia. Czuł jej delikatne pulsowanie. Wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie i nie może pozwolić Brecii stłumić swojej mocy. Nie chciał znów ulec niskim żądom, nie zważając na nic. Nie chciał być jak zwykły śmiertelnik zniewolony przez namiętności, nieużywający rozumu, poddany kaprysom nabrzmiałej męskości, myślący wyłącznie o tym, by się z nią połączyć.

- A jednak to Callas mnie przyprowadził. Chyba wystarczającym dowodem na to jest fakt, że przed tobą stoję.

- Musiałeś zagrozić mu śmiercią.
- Nie. Zesłałem na niego świąd.

Patrzyła na księcia przez długą chwilę. Wiedział, że chce jej się śmiać, ale zdołała zachować powagę. Powoli zesza z podwyższenia i ruszyła ku niemu leniwym krokiem. Biała wełna omiatała jej kostki, jakby suknię szarpał wiatr. Spod rąbka szaty błyskały złote sandałki. Jednak powietrze było nieruchome. Gdzie są wszyscy kapłani? Gdzie służba? Gdzie się kryją bezkrwiste duchy o bladych stopach?

Stała o kilka kroków od księcia. Wydawał mu się wyższa, niż ją zapamiętał, bardziej wyprostowana i dumna, zaślepiona swoją mocą. Zamierzał to zmienić. A może Breca się go boi, skoro jednak zdołał ją odnaleźć i udowodnił, że nie jest w stanie się przed nim ukryć?

Ach, wspaniale było na nią patrzeć. Powoli uniosła lewą rękę. Falbaniasty rękaw zafurkota jak motyl. Delikatnie i łagodnie, zapewne pod wpływem magii. W dłoni Brecii znienacka pojawiła się różdżka. Bardziej przypominała jego własną magiczną różdżkę niż kostury kapłanów. Była niewielka, zgrabna, pięknie rzeźbiona, lśniąca klejnotami tak starymi, że zdawały się nosić odciski palców bogów przemierzających świat na początku czasu.

Gdzie są kapłani? Dlaczego Breca przyjmuje go sama?

- Zatem jesteś tutaj, książę. Czego chcesz?

Na twarzy Brecii wypatrywał najdrobniejszego choćby znaku, który powiedziałby mu, o czym ona myśli. Nie odezwał się, po prostu na nią patrzył. Jak zwykle zasłoniła się potężną tarczą. Nie mógł przejrzeć jej myśli i czuł się tym upokorzony.

Podeszła bliżej, wyciągając różdżkę w jego stronę.

- Nie wyciągaj ku mnie tego śmiesznego patyka, kobieto - odezwał się książę.

- Patyka? Ty arogancki, bezmózgi bękarcie!

- Nie jestem bękartem. Jestem owocem uświęconego związku. A ty? Wiesz cokolwiek o swych przodkach?

- Nie miałam początku i nie będę miała końca.

Roześmiał się.

- To nonsens i doskonale o tym wiesz. Pochodzisz z rodziny magów, choć innej niż moja. Ten święty gaj, wszystkie te dęby szumiące w ciemności, forteca wysnuta z twojej fantazji, to wszystko dla mnie nie znaczy. Nie więcej niż nedorzeczne duchy falujące przy ogniskach i majtające stopami ponad ziemią.

- Duchy? Dlaczego sądzisz, że to duchy?

- Nie kpij ze mnie, kobieto! Nie mają ciała, są niematerialne.

- Ach, masz na myśli to, że nie czujesz ich obecności.

Musiał kiwnąć głową, choć czuł się z tym fatalnie.

- Racja, są duchami. Komukolwiek spoza świętego gaju trudno jest je wyczuć. Pewnego dnia Callas stanie się jednym z nich. Te duchy żyją własnym życiem, oddychają, czczą mnie i zajmują się rzemiosłem. Z czasem stają się tak stare, że zaczynają znikać. Stopy znikają na końcu. W ostatniej chwili swojego istnienia stapiają się w jedno z dębem. To starożytny święty obrzęd.

- Słyszałem, że duchy istnieją we wszystkich czasach.

- Owszem. To moi ludzie, przeszli, terażniejsi i przyszli. Najbliżsi moi czciciele.

- Czy wszyscy twoi czciciele to starcy? Większość z nich prawie całkiem znikła.

- Och, nie. Większość z nich żyje w lesie. Duchy nie czują się dobrze wśród drzew. Czują się zagrożone i zawsze zmarznięte. Lubią być blisko mnie i magicznych ognii, które dla nich rozpalam. Są tak stare, że ich moc jest niewyobrażalna. Jeśli zaś chodzi o moich ludzi mieszkających w lesie, zostaną w ukryciu, póki nie powiem im, że są bezpieczni.

- Wygląda na to, że twoi czciciele są równie niematerialni jak ta iluzoryczna forteca.

- Nie kpij z czegoś, czego nie pojmujesz, książę. To głupota, której nawet czarodziej powinien się wystrzegać.

- Czy oni naprawdę cię czczą, Brecio?

- Oczywiście, że mnie czczą. Zapewniam im pożywienie, schronienie i ciepło. Daję harmonię, porządek i równowagę, by mogli się stać tym, czym pragną być.

- Czy ta forteca istnieje, czy jest tylko po to, by zamydlić mi oczy?

- Dla tych, którzy ją widzą, jest wystarczająco rzeczywista.

Były to jego własne słowa wypowiedane wiele razy. Przemilczał to.

- Kiedy Callas zacznie znikać?

- Może nawet za sto lat. Nie wiem dokładnie. Moi czciciele zwykle dożywają sędziwego wieku.

- A kogo będą czcili, kiedy umrzesz?

- Oczywiście, masz rację. Umrę, dotrę do końca mych dni. A wtedy będą czcić moją następczynię.

- A kimże ona jest?

- Jestem jeszcze bardzo młoda, mój książę. Jeszcze nie potrzebuję następczyni.

- Przekażesz jej swoją potężną wiedźmią krew, czyż nie?

Z gracją przechyliła głowę na bok, a włosy spłynęły jej na ramię. Na wszystkich antycznych bogów, miał ochotę chwycić pasmo tych włosów i zacząć nawijać je na dłoń. Nawijać tak długo, aż stałaby zaledwie pół kroku od niego, a potem jeszcze trochę, by znalazła się tuż przy nim. A potem chwyciłby ją i położył się na niej i... otrząsnął się marzeń.

- Dokładnie tak jak mówisz. Potężną, wiedźmią krew.

- Potrzebujesz zatem potężnego czarodzieja, który doda swoją moc do twojej i wzbudzi potomka z twych lędźwi.

- Jeszcze nie spotkałam czarodzieja, z którym mogłabym we właściwy sposób połączyć moc. Czarodzieje są zbyt pyszni i hardzi, by robić cokolwiek, co nie jest ich widzimisię. Być może wybiorę się do Hiszpanii. Słyszałam, że członkowie Karelii mają wiele tajemnych miejsc ukrytych przed oczami śmiertelników. Może znajdę tam hiszpańskiego czarodzieja, który nie będzie chciał uczynić ze mnie niewolnicy.

- Słyszałem, że członkowie Karelii chwytają ludzi i zamykają ich w drewnianych klatkach, które nocą podpalają, by się ogrzać.

- Nie wiedziałam o tym. Nie zniosłabym podobnych praktyk. Zadrzała. - I smród... Byłby zapewne potworny.

- Z tego wynika, że są okrutni i słabi - stwierdził książę.

- Któż chciałby palić śmiertelników, by się przy nich grzać, skoro wystarczy jeden ruch różdżką? - Wysunął ją błyskawicznie, skierował do góry. Z różdżki popłynął wąski strumyk błękitnego dymu. Książę z napięciem

wpatrywał się w Brecię. Obserwowała dym wijący się ciasną spiralą ku otworowi w suficie. - Nie pieką cię przypadkiem oczy?

- Ależ skąd. Sprytna sztuczka, mój książę, lecz teraz... - Szybko wyciągnęła własną różdżkę, uśmiechając się łagodnie. Czekał bez ruchu, patrząc, jak porusza bezgłośnie ustami. Nagle znalazł się w drewnianej klatce zwisającej z sufitu na długim żelaznym łańcuchu. Klatka kołysała się w przód i w tył.

Książę nie wyrzekł słowa. Lewą nogę miał bardzo wykręconą, bliską złamania. Gwizdnął cicho, lekko przebiegł palcami po drewnianych prętach klatki i już po chwili znikła, zaś książę stał znów przed Brecią.

Uśmiechnął się, kierując ku niej różdżkę. W jednej chwili leżała na plecach na kamiennym ołtarzu. Biała suknia opadła długimi kaskadami na boki postumentu.

- Menhir - odezwała się, siadając. - Ukradłeś menhir z któregoś ze świętych kamiennych kręgów,

- O, tak. To magiczny kamień. Piękny i potężny. Doskonale miejsce na ostatni spoczynek dla wiedźmy.

Szybkim, zwinnym gestem Brecia uniosła różdżkę. W tej samej chwili książę wypowiedział dziwne, bełkotliwe zaklęcie i nagle jej różdżka znalazła się w jego dłoni. Uśmiechając się, machnął własną różdżką. Brecię oplotły cienkie, mocne rzemienie. Nawet czarodziej nie byłby w stanie ich zerwać. Znalazła się w jego mocy. Wciąż się uśmiechał.

Wyciągnął ku wiedźmie jej piękną, delikatną różdżkę oraz własną, skromną, emanującą mocą.

- Widzisz to, Brecio? Jeśli je skrzyżuję, jest bardzo możliwe, że nastąpi koniec świata. Co o tym sądzisz? - Powoli zbliżył różdżki.

Szarpnęła się w więzach, lecz nie zdołała ich poluzować. Podniosła z wysiłkiem głowę, wpatrując się z natężeniem w obie różdżki.

- Nie rób tego, głupcze! Nie masz pojęcia, co się może wydarzyć!

Rzeczywiście, nie miał. Odsunął różdżki od siebie.

- Dysponujesz jakąkolwiek mocą bez różdżki?

- Oczywiście.

- W takim razie, uwolnij się, Brecio.

Brecia zaczęła inkantować zaklęcie. Księżę zamknął oczy, by zobaczyć słowa, które mruzczała, i odwrócić je.

Posyłała go do diabła. Nie, jednak nie. Stała przy nim w sercu dębowego lasu, on zaś był przywiązany do ogromnego dębu, który drżał i trząsał się, jakby wokół szalała wichura. A przecież w głębi lasu wichry nie szaleją.

Księżę podszedł do ołtarza, spojrział w zielone oczy i poczuł jej moc oraz grube powrozy przytwierdzające go do drzewa. Przez chwilę pochylał się nad nią, po czym delikatnie dotknął czubka jej nosa palcem. To ją zdekoncentrowało. Spojrzała na niego, a w jej spojrzeniu jarzył się gniew. Wiedział, że zabiłaby go, gdyby tylko mogła. Odesłałaby go hiszpańskiej Karelii, by upiekł się w drewnianej klatce którejś zimnej nocy. Jeszcze raz dotknął jej nosa i uśmiechnął się.

- A może zesać na ciebie świąd jak na Callasa?

- Czarnoksięski bękart.

- Już ci mówiłem, że nie jestem bękartem. Czy moja magia jest czarna? Mówisz tak wyłącznie dlatego,

że uważasz siebie za jakiegoś anioła obleczonego w biel.

- Jesteś głupcem. Uwolnij mnie.

- Nie, jeszcze nie. Zatem jestem głupcem. A jednak wyciągnąłem wnioski z naučky, którą mi dałaś trzy lata temu. Wtedy zdołałaś uciec. Nie chciałaś zrozumieć, że musiałem się ożenić. Nie miałem najmniejszego wyboru. Gdy obudziłem się z dusznego snu nad brzegiem morza, znałem już sposób, jak sprawować nad tobą kontrolę. Teraz zaś mam także i twoją różdżkę. Nie możesz mnie pokonać, Brecio. Cała moc należy do mnie.

Wargi Brecii się nie poruszały, lecz ksiączę widział, że przygotowuje kolejne zaklęcie, ułożone specjalnie dla niego.

Wysoko uniósł swą różdżkę i przesunął nią nad ciałem Brecii, od jej nagich stóp do czubek głowy.

Biała suknia nie zniknęła. Wiedźma nie stała naga. O co chodzi? Nie użył ponownie różdżki po prostu skupił się na wyobrażeniu jej nagiego ciała. Skoncentrował na nim całą siłę umysłu. Suknia wciąż opinała ciało Brecii. A więc wiedźma go nie przeklina, tylko odpiera jego zaklęcia! Pochylił się nad nią.

- Poddasz mi się, Brecio. Możesz się szarpać ile chcesz, lecz więzy cię utrzymają. Do końca świat a nawet dłużej.

Brecia ucichła, wpatrując się w jego twarz. I nagle przeklęła go w głos, wzywając wszelkie moce, począwszy od samego Szatana, poprzez pierwszych druidów żyjących w jaskiniach, farbujących włosy na zielono, aż po okrutnych Karelian, którzy spiłowują zęby w szpic, by sprawniej ogryzać kości swoich ofiar.

- Twoje przekleństwa wzbudzają wyłącznie mój śmiech
- stwierdził i śmiejąc się, pocałował ją w usta. Jednak nie poczuł pod wargami jej ust, tylko coś surowego i śliskiego. Poderwał się. Na ołtarzu nie było już Brecii, tylko splątane, zwinięte jak cielska węży rzemienie skapane we krwi. Czerwone krople kapały na brudną podłogę.

Brecia zniknęła.

Po chwili zniknął też ołtarz i tylko biała suknia pozostała na ziemi.

Książę ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa. Jednak zdjął jej suknię, lecz wiedźma zdołała wytworzyć iluzję, że wciąż jest ubrana. Jak to zrobiła? Odchylił głowę, rzucając jedyną groźbę, której nie mogła zignorować:

- Jeśli nie wrócisz, odejdę i zabiorę ze sobą twoją różdżkę!

Znów przed nim stała. Miała na sobie suknię, która wcześniej leżała na ziemi, ładnie ułożoną w fałdy i przewiązaną złotym łańcuchem. Stopy miała bose. Złote sandały zapewne przepadły w czasie kolejnych transformacji.

Należała już do niego, książę dobrze o tym wiedział. Miał nadzieję, że ona również to wie.

- Skoro jesteś tak potężna nawet bez różdżki - powiedział książę - rzucisz teraz pełne mocy zaklęcie, które zapewni wszystkim twoim duchom i starym kapłanom pożywienie, schronienie i ciepło na kolejne tysiąc lat.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo zabieram cię ze sobą. Spłodzimy syna, który będzie rządził wszystkimi czarodziejami chodzącymi po tej ziemi.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Okłamałeś mnie. Poślubiłeś inną. Mogłabym cię zabić, gdybym tylko zechciała.

- Moje małżeństwo jest już skończone. Jestem wolny i przyszedłem po ciebie. Mówisz, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego tylko dlatego, że jestem od ciebie potężniejszy. Mówisz tak, bo się mnie boisz. Bo czujesz, że jesteś w mojej mocy. Pójdiesz ze mną, Brecio. Również do łóżka.

Milczała. Książę wiedział, że rozważa jego słowa, że widzi siebie dającą życie ich dziedzicowi. Synowi czarodzieja i więdźmy.

- Pamiętam, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem przy kamiennym ołtarzu - powiedział miękkim, kuszącym głosem. - Położyłaś na nim obie dłonie. Szeptalaś do niego. Życzenie? Klątwe? A potem odwróciłaś się i ujrzałaś mnie.

- To prawda. Odwróciłam się i stałaś przed mną. Byłaś mroczny, pełen mocy, dziki. Wierzyłam, że z czasem będę mogła ci zaufać, ale myliłam się. Chcesz tylko mnie prześcignąć, podbić i pojąć.

Popatrzył na nią z namysłem.

- Naprawdę? Pamiętam, że wtedy pomyślałem że rozpoznałaś we mnie swojego kochanka, podobnie jak ja rozpoznałem w tobie moją kobietę. Nic nie jest w stanie odwlec naszego zespolenia.

Roześmiała się.

- Och, nie. Nie rozpoznawałam w tobie nikogo, książę. Prawdę mówiąc, patrzyłam na ciebie, myśląc o mej prababce, której włosy były tak czerwone, że niektórzy sądzili, że pęłgają w nich płomienie.

Machnął dłonią.

- Dość już. Czas, byśmy połączyli się w jedno. Dobrze wiesz, że możesz mi zaufać.

Wzruszyła ramionami, patrząc mu w oczy. Czyżby próbowała także zajrzeć do jego umysłu? Nie była w stanie. Zamknął się przed nią. Nagle strzeliła palcami tuż przed jego nosem i chuchnęła delikatnie.

I zniknęła. Po prostu zniknęła.

Nie zdołała zabrać ze sobą różdżki. Wciąż trzymał ją w dłoni. Stała się zimna jak kamień. Klejnoty nagle straciły blask, stały się matowe, puste, jakby wypełniająca różdżkę moc uleciała na zawsze.

Książę stał, bezradnie wpatrując się w różdżkę, która straciła wszelką moc. Dlaczego nic w życiu nie jest łatwe?

Rozdział 16

Obżenie

- Bishopie, obudź się. - Merryn potrząsnęła go za ramię. - Co ci się śniło? Prawie się udławiliś ze śmiechu. Hej, obudź się i powiedz mi, o czym śniłeś. Czyżbyś śnił o tym, jaka jestem sprytna? Czy to mój lotny umysł tak cię rozbawił?

Stał wewnątrz wielkiej wieży, przy dziwnym kamiennym ołtarzu. Nie widział i nie słyszał nikogo. Chciało mu się wyć. Chciał też zabić Brecię - gdyż to była Brečia o ognistych włosach. Naprawdę chciał chwycić ją za szyję, a jednocześnie czuć ją pod sobą, leżącą z szeroko rozłożonymi nogami. Nagle jednak wybuchnął śmiechem, kręcąc głową nad jej przebiegłością.

Obudził się, bo Merryn potrząsała go za ramię i klepała po twarzy. Wciąż się śmiał, lecz nie był to przyjemny śmiech. Śmiał się, bo nic innego nie mógł zrobić.

Otrząsnął się.

- Zaczynam myśleć, że nic w naszym dążącym ku nicości życiu nie jest łatwe dla śmiertelnika. - Zmarszczył brwi. - A może nawet i dla tych, którzy nie są śmiertelni, którzy nie należą do naszego czasu?

- Co nie jest łatwe dla śmiertelników - zapytała cicho. - Kim są ci, którzy nie są śmiertelni? Dlaczego śmiałeś się do rozpuku? Kim są ci, którzy należą do naszego czasu?

- Nie wiem... - odparł. Co się stało? Co się tu dzieje? Potrząsnął głową, podniósł się raptownie i uderzył czołem w kij podtrzymujący namiot. Wcale nie było mu do śmiechu. Czuł przejmujący strach ścinający krew w żyłach. W głowie wciąż miał wizje, które powoli gasły, rozwiewały się, aż śmiech stał się wyłącznie słabym echem. Brezia zniknęła.

Bishop miał ochotę natychmiast opuścić Kornwalię. Chciał uciec na najdalsze północne wyspy, na których mieszkają wikingowie. Ukryć się w niskiej kamiennej chacie, ogrzać się przy ogniu. Chciał się oddalić od tajemnic, sekretów, magii i wszystkiego, czego nie jest w stanie uchwycić dłońmi. Chciał spoglądać na zmrożone fale rozbijające się o brzegi wyspy, czuć lodowatą wodę obmywającą nagie stopy... Natychmiast ukazała mu się wizja mnóstwa nagich stóp majtających tuż ziemią. Nie! Odepchnął wspomnienie od siebie. Przekleństwo! Chce czuć wodę na stopach! Chce tego, co rzeczywiste, prawdziwe.

- Wyglądasz bardzo dziwnie. Co ci się śniło?

- Nie wiem, ale to w ogóle nie było śmieszne - odpowiedział.

- Cóż, to chyba dobrze, czyż nie?

Poczucie humoru o tej porze? Pokręcił głową, wyczołgując się z namiotu. Powietrze było rześkie i chłodne. Spojrzał na wschodzące słońce unoszące się tuż nad horyzontem. Stojąc tak, zastanawiał się, po co właściwie jedzie do Tintagelu. Przyszło mu to do głowy nagle, lecz był już pewien, że właśnie tam zmierza.

Co tam znajdzie? Otrząsnął się i odetchnął głęboko. Cokolwiek się dzieje, był przekonany, że prędzej czy później wszystko stanie się jasne.

Odwróciwszy się, ujrzał Merryn rozpalającą ognisko. Stał bez ruchu, obserwując ją w skupieniu. Ruchy jej dłoni były przemyślane i precyzyjne, gdy układała niewielkie gałązki i podtrzymywała wąty ogień. Przysiadła na piętach, wsparła dłonie o uda i pokiwała z zadowoleniem głową, gdy płomienie zajęły większe gałęzie. Suknię miała wymiętą, pasemka włosów wysunęły się z warkoczy. Płomiennorude loki muskały policzki Merryn i wiły się na jej karku. Nagle podniosła głowę i uśmiechnęła się słodkim uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niego. Dostrzegł, że Merryn zrozumiała, iż jest dojrzałym mężczyzną, pojęła, do czego zmierzali poprzedniej nocy, gdy go głaskała i dotykała. Dostrzegł też, że podobają jej się te wspomnienia. Chciał się odezwać, ale jedyne słowa, jakie przychodziły mu do głowy, brzmiały: Czy mógłbym podciągnąć ci suknię i całować twe nagie ciało?

- Martwię się o ciebie, Bishopie - powiedziała Merryn. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Pamiętasz jeszcze swój sen?

Kucnął przy ogniu i wziął kawałek sera z rąk Merryn. Oderwał pajdę chleba z bochenka, który Philippa zawinęła w gęsto tkaną wełnianą tkaninę i oczyma wyobraźni zobaczył białą wełnianą suknię... suknię Brecii. Wizja szybko znikła.

- Gdy się obudziłem - powiedział, wpatrując się w ogień - widziałem siebie samego, tylko że tak naprawdę to nie byłem ja. I śmiałem się, bo nie mogłem uwierzyć w to, co mi się przydarzyło.

- Co masz na myśli?

- Wyobraź sobie, że stoisz pośrodku Wielkiej Sali wypełnionej ludźmi. Nagle z niewyjaśnionych przyczyn znika twoje ubranie. Wszyscy przestają rozmawiać i gapią się na ciebie. - Wzruszył ramionami. - Czy nie roześmiałaś się wiedząc, że właściwie nic innego nie możesz zrobić?

Merryn spojrzała na niego ze zdumieniem.

Bishop wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, dobrze, może mężczyzna by się roześmiał. Wy, kobiety, macie znacznie więcej interesujących części ciała do ukrycia.

- Uważam, że części twojego ciała są znacznie bardziej interesujące, niż to, co kryje się pod moją suknią. Ja jestem po prostu sobą, zaś ty...

- Tak?...

Westchnęła ciężko, przeżuwając kawałek sera.

- Części twojego ciała są z pewnością bardziej interesujące niż ciało biednego starego Crispina, którego widziałam nagusieńkiego. Czułam cię w nocy. I to, czego dotykałam, wydaje mi się bardzo interesujące.

Przez dłuższą chwilę nie mógł się odezwać. Starał się zapanować nad żądzą.

- Zbiłaś mnie z tropu - stwierdził wreszcie, patrząc w ogień. Bał się spojrzeć na Merryn, gdyż mógłby się znieacka na nią rzucić i pozbawić ją dziewictwa.

- Mówiłeś o staniu nago w Wielkiej Sali pełnej ludzi.

- Co byś zrobiła, Merryn? Zakłęłabyś siarczyście na cały głos, mimo że to by ci w niczym nie pomogło?

Roześmiała się, kręcąc głową.

- Nie. Nie uciekałabym również, bo wtedy wyglądałabym jeszcze bardziej głupio.

- Racja. Tak właśnie zakończył się mój sen. Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko się roześmiać.

Merryn podała mu flaszkę piwa. Było świeże i mocne. Rozgrzało go od środka.

Merryn zrozumiała, że Bishop nie powie nic więcej na temat snu. Może już zapomniał. Spoglądała na jego silne, opalone dłonie i oczyma wyobraźni widziała, jak głaszczkami jej ramiona, długie nogi, delikatnie drapie po głowie. Kto wie, co mężczyźni robią z dłońmi? Pomyślała o wargach Bishopa podążających tuż za dłońmi. Ojej... Przełknęła ślinę i odchrząknęła.

- Dokąd jedziemy, Bishopie?

Wskazał dłonią na północ.

- Wiesz, co się tam znajduje?

- Nie, ale wiem, że muszę tam pojechać i zabrać cię ze sobą. Wiem też, że powinniśmy już ruszać... - Milczał przez chwilę. - To ma coś wspólnego z klątwą.

Pokręciła głową, wpatrując się w ogień.

- O co chodzi, Merryn?

Milczała.

- Nie rozumiem wielu rzeczy i dobrze o tym wiesz. Myślisz, że mogłabyś mi zaufać? - Patrzył na nią przenikliwie, czekając na odpowiedź.

Merryn pogrzebała patykiem w żarze, posyłając w górę snop iskier. Wreszcie, gdy był już gotów zakląć szpetnie, powiedziała:

- Tak. Ufam ci.

Z sykiem wypuścił z siebie powietrze. Poczł, jak zalewa go fala ulgi... I jeszcze czegoś. Może wdzięczności za to, że Merryn rusza u jego bok w nieznaną?

- Za to ty mi nie ufasz, prawda?

Spojrzał na jej wargi i marzył, by poczuć ich dotyk na skórze. *Przestań! Przestań natychmiast!* Popatrzył jej w oczy i aż się zachłysnął, widząc w nich ogromny ból.

- Zaufałbym ci, gdybyś wreszcie powiedziała mi co przede mną ukrywasz.

Merryn nie tylko mu ufała. W ciągu zaledwie dwóch dni zaczęła go uwielbiać - jego humor, wściekłość, uśmiech. Zaczęła patrzeć na niego, jak nie patrzyła nigdy dotąd na żadnego mężczyznę. Hm... To znacznie więcej niż zaufanie.

- Wydaje mi się, że babka otruła sir Arlana de Frome, mojego pierwszego męża - powiedziała bez wahania. - Nigdy tego nikomu nie mówiłam, a zwłaszcza tobie, bo nie chcę, byś ją ukarał. Nie chcę, byś powiesił ją za zamordowanie tego człowieka, a wiem, że król oczekiwałby tego od ciebie.

Jednak nie klątwa? Nie, nie mógł w to uwierzyć. Byłoby to wbrew wszystkim jego odczuciom.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Następnego ranka słyszałam, jak się śmiała z dziadkiem i mówiła, że nie chciała dać resztek z talerza sir Arlana świniom, bo mogłyby pozdychać.

- To wszystko?

- Tak. Ale to chyba wystarczy?

- A pozostali mężowie?

- Nie wiem. Każdy zginął inną śmiercią. I babka nigdy się do nich nie zbliżała. Niektórzy umierali szybciej, inni później. Babka nauczyła się zielarstwa od swojej matki, Meridian, która знаła każdą trującą roślinę rosnącą na świecie.

- Nie masz jednak żadnego dowodu na to, że otruła sir Arlana?

Merryn pokręciła głową. Bishop delikatnie pogłaskał opuszkami palców jej nos, wygładził brwi, dotknął ust.

- Dziękuję, Merryn. Ufam ci.

- Śniłeś o kobiecie, Bishopie?

- Tak - odparł bez zastanowienia. Zmarszczył brwi. - Ale nie do końca. To bardzo dziwne, Merryn.

- Dzieje się z tobą coś niezrozumiałego, prawda?

No proszę. Powiedziała to na głos.

- Masz rację. Ale nie mam pojęcia, co to wszystko ma znaczyć.

- Powiesz mi, kiedy będziesz już wiedział. - Miała ochotę podskoczyć, zatańczyć dokoła, a może nawet zaśpiewać krótką piosenkę. Bishop jej ufa! I potrzebuje jej! Tylko dlaczego? - Kłątwa - powiedziała cicho. - Zawsze wracamy do punktu wyjścia. Wszystkie te dziwne wydarzenia, ta wyprawa w nieznane... Może babka jednak nie otruła sir Arlana.

- Przestań się tym zamartwiać. Odkryjemy prawdę.

Kiwnęła głową. Nie wiedziała już, w co ma wierzyć. Była pewna tylko jednego - w ogóle się nie bała. Ani Bishopa, ani tego, co ich spotka. Wiedziała, że rycerz ją ochroni.

- Merryn, czy to twoi dziadkowie rzucili klątwę na Penwyth?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Po chwili dodała:

- Oczywiście, słyszałam plotki na ten temat. Zastanawiałam się nad tym, gdyż druga część klątwy mówi jakby dokładnie o mnie. Czerwone włosy, zielone oczy... Ale niczego nie wiem na pewno.

Pokiwał głową, podał jej rękę i pomógł wstać. Chciał ją pocałować, przytulić mocno do siebie, ale zdołał się powstrzymać. To nie był odpowiedni moment. Coś go ciągnęło na północ. Ruszyli więc skrajem plaży, rozkoszując się pięknym powiem. Morze było tego dnia wyjątkowo urocze, fale lśniły w promieniach słonecznych. Na twarzach osiadała delikatna słona mgiełka. Po południu znad wody zaczęła podnosić się gęsta mgła i otoczyła ich jak mleczny opar. Bishop skierował Nieustraszonego nieco dalej od klifów.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Bishop powiedział:

- Jeśli klątwa rzeczywiście istnieje i się jej nie pozbędziemy, to naprawdę umrzesz samotna i smutna, jak śpiewał Krętać. Żaden mężczyzna nie zaryzykuje małżeństwa z tobą.

- Wiem. Ale jest pewne rozwiązanie. Powinieneś poprosić króla, żeby mianował mnie dziedziczką dziadka, Bishopie. Mogę obronić zachodni kraniec Anglii przed każdym najeźdźcą. Naprawdę, Ojciec i dziadek od dziecka uczyli mnie strategii, władania łukiem i sztyletem. To prawda, że nie nadaję się do miecza i tarczy, bo są dla mnie zbyt ciężkie. Poza tym jestem sprytna. Bardzo sprytna. Jeśli Francuzi zapragnęliby zaatakować mój kawałek wybrzeża, potopiłabym ich jak kocięta.

- Jestem silny, Merryn, potrafię władać mieczem i tarczą, a jednak zawsze mam przy sobie jedenastu moich ludzi.

- Teraz nie.

- To prawda i ryzykuję nie tylko własnym życiem, ale także twoim. Kto będzie zasiliał twoją armię, Merryn? Kto będzie bronił ciebie i Penwyth? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ci starcy?

Milczała.

- Żołnierz musi napiąć cięciwę łuku i utrzymać ją nieruchomo. Musi walczyć konno. Musi z daleka dostrzec nadchodzących wrogów, a ze skrytobójcami czasem walczyć gołymi rękami. Musi umieć cisnąć toporem, a jak dobrze wiesz, są dość ciężkie. Twój starcy umrą pewnego dnia, Merryn, i kto ci wtedy zostanie?

- Odkąd się urodziłam, żaden nie umarł.

- Masz zaledwie osiemnaście lat.

- Żaden z nich nie umarł także od początku życia mojego ojca.

Zapadła długa cisza.

- Załóżmy, że odeprzesz wszelkich wrogów od swojego zamku i wybrzeży Anglii. Komu jednak oddasz władzę, gdy będziesz umierać? Co się wtedy stanie z Penwyth?

Merryn trwała w milczeniu. Po chwili wyszeptała:

- Czy powinnam się roześmiać, skoro nic innego mi nie pozostało?

Rozdział 17

Jakaś siła pchała go wciąż naprzód, na północny zachód, zaś najkrótsza droga wiodła wybrzeżem. Równie niewytłumaczalna siła nie pozwalała mu myśleć o odebraniu wianka Merryn.

Minęli wsie i kilka niedużych grodów o niezbyt wielkim znaczeniu. Bishop zastanawiał się właśnie, gdzie się podzieli wszyscy rabusie i bandyci, którzy bez wahania odebraliby mu życie, wtem Merryn pokazała palcem na chmurę pyłu na horyzoncie.

- Stado koni - powiedział Bishop.

Nie mógł sobie pozwolić na walkę, nie mógł pozwolić na to, by ktoś go zabił, gdyż Merryn, z dala od domu, byłaby zupełnie bezbronna. Wprowadził Nieustraszonego do niewielkiego zagajnika, zeskoczył z siodła i stanął tuż przy głowie konia, trzymając go za chrapy, by nie zdradził ich rżeniem. Zaczekali w ciszy, aż chmura pyłu zniknie na wschodzie.

Później jechali aż do wieczora, zatrzymując się tylko raz, by Nieustraszony mógł odpocząć. Zbliżali się do siebie coraz bardziej. Bishop czuł to w głębi serca.

- Rozpoznasz to miejsce, gdy już do niego dotrzemy?
- Rozpoznam - odparł, uśmiechając się ponad jej głową.
- Jak?
- Po prostu będę wiedział. - *To samo powiedziałby książe.* Bishop niemal spadł z konia. Co się z nim dzieje? Zaczął się obawiać, że niedługo znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania.

Przytulił mocniej Merryn.

Zaczynało się ściemniać.

- Niedaleko stąd jest jaskinia nad brzegiem morza.
- Skąd wiesz?
- Wiem. Nie wiem skąd. Wiem też, że niedługo będzie padać. W jaskini będziemy bezpieczni.
- Jeszcze parę chwil temu nie wiedziałeś, dokąd jedziemy, prawda?

Pokręcił głową.

- Czy twoja babka miała rude włosy?
- Przecież ją widziałeś. Nawet gdy byłam małym dzieckiem, jej włosy były białe. Jednak czy wcześniej, były rude? Nie mam pojęcia.

- A matka twojej matki? Czy była ruda?

- Matka mojej matki... Nigdy jej nie znałam, ale pamiętam, jak dziadek mówił, że Konstancja niedawno odeszła i że prawdopodobnie porwali ją czarci. Potem spojrział na mnie z ukosa, jakby się zastanawiał, czy i mnie porwą. Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

- A twoja matka?

- Włosy mej matki były czarniejsze niż serce grzesznika. Ojciec uwielbiał jej to powtarzać, potem zaś przypierał ją do ściany i całował. - Przez chwilę milczała, po czym obróciła się w siodle i spojrzała mu w oczy -

Właśnie sobie przypomniałam. Gdy byłam małą dziewczynką, matka mówiła mi, że wyglądam dokładnie jak babcia. Że jej włosy były czerwone jak płomień.

Bishop nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał uwierzyć. To zwykły zbieg okoliczności. Zapytał obojętnym tonem:

- Czy zdawało się, że w jej włosach pełgają płonie?

- Dziwne słowa, ale wiesz, pamiętam, jak mama mówiła, że babcia lubiła nosić włosy rozpuszczone, zwłaszcza gdy wiał silny wiatr, bo wyglądały wtedy jak ogień płonący wokół jej głowy. Nie pamiętam nic więcej, Bishopie. Matka umarła, gdy miałam zaledwie sześć lat. Nie zdążyła mi powiedzieć wielu rzeczy.

- Przykro mi.

- A moje włosy wcale nie są tak bardzo czerwone.

- Są rude. - Rude jak włosy Brecii.

Spojrzał na uśmiechniętą twarz Merryn i okalające ją płomienne kosmyki. *To Merryn*, pomyślał, *jest po prostu sobą i nikim więcej. To naprawdę wspaniałe.*

Jechali plażą wokół przylądka Tintagel należącego do księstwa Kornwalii. Droga okazała się zdradliwa. Czarne skały wystawały spod nadmorskiego piachu jak olbrzymie pięści. Spieniona woda była czarna od wodorostów. Na ciemniejszym niebie głośno krzyczały mewy. Bishop zatrzymał Nieustraszonego.

- Popatrz, tam jest celtycka kaplica.

Merryn zerknęła na ruiny stojące na samym końcu cypla.

- Musi być bardzo stara - powiedziała. - Wygląda na miejsce nawiedzane przez duchy.

- Wcale nie jest tak stara, na jaką wygląda - stwierdził Bishop, zastanawiając się, skąd to wie.

- Byłeś tu już wcześniej, nieprawdaż?

- Chyba tak - zgodził się Bishop. Zeskoczył z siodła i zdjął Merryn na ziemię.

- Czy to magiczne miejsce?

Roześmiał się.

- Z pewnością nie. Jednak jest ważne. Muszę się tylko dowiedzieć dlaczego.

Nieustraszony spokojnie wszedł za Bishopem do jaskini przez wysoką wąską szczelinę osłoniętą poskręcanyimi gałęziami starego dębu.

- Nie będziemy zapuszczać się zbyt daleko w głąb - rzucił przez ramię do Merryn.

Nieustraszony parsknął. Bishop pogłaskał go po szyi.

- Spokojnie - powiedział. - Zostaniesz tutaj.

Podał Merryn sakwę z jedzeniem.

Gdy rozejrzała się po jaskini, ku swemu zdumieniu dostrzegła pod ścianą stos porąbanego drewna. Co jeszcze bardziej zaskakujące, Bishop przyjął to zupełnie naturalnie.

Gdy po chwili zapadła noc, ognisko stało się jedynym źródłem światła. Jaskinia była sucha. Sięgając po drewno, Merryn oparła się o kamienną ścianę i zdumiała się, czując, że skała jest ciepła w dotyku. Bardzo dziwne.

- Wiesz, Bishopie, cała ta jaskinia jest dziwna. Dotknij tylko tych ścian. Zupełnie, jakby nas zapraszała do środka. Ale to przecież niemożliwe prawda?

Miała rację.

Bishop tylko pokręcił głową i się przeciągnął. Dotknął podłoża jaskini, czując pod palcami miękki piasek bez kamyków i kawałków drewna. Powietrze było suche

i czyste. Nieustraszony wszedł i od razu zabrał się do jedzenia owsa z worka. Co chwilę jednak patrzył w głąb jaskini, usiłując przebić wzrokiem ciemności, czujny i uważny, jakby ktoś go wołał.

Bishop i Merryn usiedli na zwiniętym namiocie.

- Możesz mi zdradzić, po co tu przybyliśmy?

- Mówiłem ci, że twoje włosy są bardziej rude niż były rano?

- Nie, nie mówiłeś. - Merryn dotknęła włosów. – To przecież niemożliwe.

Bishop nie odpowiedział. Oparł się o ścianę, układając głowę na ramionach, i zapatrzył się na sklepienie jaskini.

- To prawda - rzekł po chwili. Lecz nawet w półmroku dostrzegał płomienie tańczące wokół głowy. *Ogarnia mnie szaleństwo, pomyślał. Nic nie mogę na to poradzić.*

Ogień dogasał, lecz wciąż było bardzo ciepło. Powietrze w jaskini było przyjemne, balsamiczne. Bishop spojrzął na przeciwległą ścianę i drżące cienie rzucane przez płomienie ogniska. Po chwili jeden z nich zaczął gęstnieć i rosnąć. Merryn nie zauważyła dziwnego zjawiska. Rysowała patykiem piasku zarys zamku Penwyth. Nie zauważała niczego. Ale Nieustraszony widział wyraźnie ciemny cień. Kiwał głową w jego stronę.

Bishop nie mógł oderwać od niego wzroku. Cień skręcał się, ciemniał tu, jaśniał ówdzie, aż wreszcie stał się mężczyzną. Mężczyzna, pomyślał Bishop. Przecież to nie cień, tylko prawdziwy mężczyzna. Nagle postać zachwiała się, zadrżała i znów rozwiąła się w cień kłębiący się na ścianie.

To tylko cień! Bishop nie powiedział nic Merryn. Nie chciał, żeby się przestraszyła.

Po chwili zdał sobie sprawę, że rozpoznaje mężczyznę czającego się wśród cieni. Poczuł, jak serce zaczyna mu łomotać, choć wcale się nie bał. W duchu gorąco pragnął, by cień do niego podszedł. W myślach wzywał go i nęcił. Wreszcie ciemny zarys poruszył się i zaczął ku niemu płynąć. Otoczył go szczelnym kokonem. Bishop poczuł, jak słodko pachnące powietrze jaskini wypełnia jego ciało, jak zaczynają świerzbieć go czubki palców.

Z oddali usłyszał głos Merryn. Krzyczała do niego, lecz nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi ani kim jest. Powoli wstał, czując, jak cień go oplata,

- Różdzka. Gdzie moja różdzka?

Nagle poczuł ją w dłoni. Spojrzał na nią. Była piękna, misternie rzeźbiona, a mimo to surowa w formie i elegancka. Pasowała do jego dłoni, zupełnie jakby była częścią jego ciała. Pulsowali światłem i mocą; czuł, jak magiczna moc zaczyna go wypełniać i uśmiechnął się, patrząc na potężne płomienie płonące z hukiem, o wiele większe niż ognisko wcześniej rozpalone przez Merryn.

Poszedł kilka kroków w głąb jaskini. Powietrze było tu przesycone zapachem kadzidła, ciężkim i uderzającym do głowy. Nie, jednak to nie kadzidło. To woń prastarego dębowego lasu. Skąd dochodzi?

Nie wiedział i właściwie mało go to obchodziło. Szedł po prostu przed siebie. Jaskinia wydawał się nie mieć końca, choć był świadomy, że tak nie jest. Wiedział jednak, dokąd zmierza. Pewnym krokiem szedł pod wysokim sklepieniem. Ściany oddalały się od niego coraz bardziej i ginęły w mroku. Różdzka leżała w dłoni tak naturalnie jakby trzymał ją od zawsze.

Krzyknął do Merryn:

- Zostań tam! Nic mi nie jest!

Usłyszał jej głos, lecz z nazbyt daleka, by zrozumieć, co mówi.

Usłyszał niski, buczący dźwięk, jakby leciał ku niemu rój os. Dźwięk narastał, stawał się coraz głośniejszy, aż Bishop zakrył uszy dłońmi. Buczenie ustało.

Opuścił dłonie i dostrzegł, że nie ma różdżki. Nie! Musi mieć różdżkę. Gdzie ona jest? Rozejrzył się po podłodze jaskini, lecz nie mógł jej znaleźć.

Spostrzegł niewielki okrąg ułożony z kamieni otaczający dziurę w podłodze. Kamienny okrąg podobny do miejsc zgromadzeń na równinach Brytanii. Wiedział, do czego służą menhiry. Ukląkł przy kamiennym kręgu i zajął się w głąb dziury. Nie widział niczego poza ciemnością. Nie miał pojęcia, głęboki jest ten otwór. Pochylił się i włożył do środka rękę, jednak czuł tylko powietrze.

- Gdzie jesteś? - krzyknął w głąb dziury. - Przybywaj!

Nic, tylko ciemność.

- Czekam na ciebie! - zawołał, tym razem głośniej. - Przybywaj!

Na dnie ciemności rozjarzyło się światełko, chybocząc się i chwiejąc jak płomień świecy na wietrze. Z chwili na chwilę stawało się coraz jaśniejsze. Bishop nie poruszył się. Jak urzeczony wpatrywał się w światło, a gdy znalazło się niemal przed jego nosem, odskoczył nagle, jakby ukąsiła go osa z roju, który słyszał parę chwil wcześniej. Ale to nie była osa ani nagły skurcz...

Ktoś z całej siły uderzył go w twarz.

Odchylił się szybko, lecz nie zdołał uniknąć drugiego ciosu.

Dostał w twarz z drugiej strony. Aż echo poniosło.

Rozdział 18

Zamek Penwyth Obcenie

Zanurzony w kadzi lord Vellan odezwał się do Crispina:

- Co masz na myśli? Jak to, kolejna banda najeźdźców stoi u bram? Jeszcze jeden idiota chce poślubić Merryn? Przecież sam król przysłał do nas sir Bishopa z Lythe.

- Wygląda na to, że on o tym nie wie, mój panie. Ma ze sobą ze dwudziestu ludzi i żąda wpuszczenia go do grodu. Chce się żenić z Merryn.

- To mu się nie uda - stwierdziła lady Madelyn. Szorowała gąbką plecy męża, rozmyślając o tym, że strasznie jest już chudy i przygarbiony. Nawet przez gąbkę wyczuwała sterczące kości. Z drugiej strony, nie było to dla niej wielkie zaskoczenie, gdyż wyczuwała jego kości pod gąbką od tylu lat, że nie potrafiła ich zliczyć.

Lord Vellan przeczesał palcami mokre siwe włosy, wciąż długie i gęste.

- Na wszystkie strzały, które przeszyły świętego Sebastiana, to jakieś szaleństwo! Zaraz zejdem do tego wariata.

Dziesięć minut później lord Vellan wspinał się po drabinie, uważnie patrząc na Crispina. Był gotów go

chwycić, gdyby stary strażnik stracił równowagę. Obydwaj dyszeli ciężko, gdy wreszcie dotarli na blanki. Lord Vellan spojrział na łysego rycerza, który właśnie zdjął z głowy hełm i zadarłszy głowę, wpatrywał się w pana zamku. Starzec potrafił dostrzec, gdy ktoś jest zdeterminowany. Ten rycerz wyraźnie był. Był też młody i jak wszyscy młodzieńcy uważał się za niepokonanego.

- To nie wygląda dobrze - powiedział Vellan do Crispina, a potem krzyknął: - Kim jesteś i czego chcesz?

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Lord Vellan dawno nie widział tak imponującego uśmiechu ani w lustrze, ani wśród własnych starych rycerzy.

- Przybyłem, by zdobyć Penwyth, starcze. Przybyłem, by poślubić dziedziczkę tego zamku.

- Jeśli siłą weźmiesz mój zamek, zginiesz.

Młodzian roześmiał się tubalnie. Zgromadzeni za nim wojownicy przez chwilę rozglądali się niepewnie, po czym powoli zaczęli się śmiać razem z nim. Ależ to żałosne, pomyślał lord Vellan. Na pierwszy rzut oka widać, że nawet w połowie nie są tak przekonani o niezniszczalności swojego pana jak on sam. Młodzian pomachał ręką w czarnej rękawicy sięgającej mu do łokcia. Tunikę również miał czarną, podobnie jak resztę odzieży. Cóż bufon!

- Patrzcie tylko - wykrzyknął młodzieniec. - Wszystko jest tak, jak mi opowiadano. Spójrzcie na tych zgrzybiałych staruchów w kolczugach i hełmach skrywających siwe włosy. Nie byliby w stanie walczyć nawet z niewiastami. Słyszałem też o czterech mężach, którzy zginęli zaraz po tym, jak poślubili twoją cenną wnuczkę.

- Zgadza się, wszyscy zginęli. Czy w swoim szaleństwie zamierzasz zostać piątym mężem?

- Ja nie zginę. Zabiliście ich za pomocą trucizny. To jasne dla wszystkich, mimo fantastyczny opowieści, jakie snują żołnierze tamtych mężów. O, tak, słyszałem niektóre z tych bajek. Mówili o wiedźmach krążących nad ich głowami i ciskających im w oczy kłębami czarnego dymu, o dziwnych ubranych na biało kapłanach chwytających rycerzy za gardła i duszących na śmierć. Słyszałem nawet, że sam diabeł przybywał z głębin piekielnych, by dosięgnąć tych, którzy podnieśli rękę na Penwyth. Te bajki mogą przerazić chłopców, ale nie wywrą wrażenia na mężczyźnie. Wiem, że musiała tu działać trucizna, nie mogło to być nic innego. Ale nie zamierzam nawet tknąć jedzenia, które podacie na weselnej uczcie. Przyprawdź wnuczkę. Chcę ją zobaczyć.

- Czwartym mężem nie jadł u nas niczego - powiedział lord Vellan. - Mimo to umarł. Po prostu przewrócił się i już nie wstał.

- To tylko kłamstwo, nie wierzę ci.

- Moja wnuczka poślubi sir Bishopa z Lyth przysłanego tu przez samego króla.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- W to kłamstwo również nie wierzę. Pozwólcie nam wjechać do grodu, zanim zrównamy z ziemi te mury i zabijemy wszystkich staruchów, którzy ich bronią. Sądzisz, że byliby w stanie zrobić cokolwiek prócz ciskania na nas klątw?

Pewnie nie, pomyślał lord Vellan.

- Kim jesteś i skąd pochodzisz? - zapytał jeszcze

- Jestem Fioral z Grandere Glen.

- Nigdy o tobie nie słyszałem. Gdzie jest Grandere Glen?

- Leży w pobliżu wielkiego Loch Ness w Szkocji. Jestem drugim synem i muszę sam zadbać o siebie. Wpuść nas, starcze, inaczej zabiję każdego, kto kryje się w obrębie murów grodu.

Lord Vellan zaczynał tracić nadzieję. Krzyknął jeszcze:

- Sir Bishop z Lythe zabrał moją wnuczkę do... - Na Boga, dokąd on mógł ją zabrać? - do hrabiego St. Erth. Nie możesz jej poślubić, gdyż nie ma jej w zamku.

Fioral zaklął szpetnie. Starzec na pewno kłamie. Kim, do diabła, jest Bishop z Lythe? Przyjacielem Dienwalda de Fortenberry, zięcia królewskiego? Podobno jest z niego prawdziwy rozpustnik, lecz król zbywa wszelkie plotki na temat zięcia machnięciem ręki. Jeśli sir Bishop z Lythe zabrał ją do St. Erth, nigdy nie uda mu się jej zdobyć.

Jednak gdy sir Bishop wróci do Penwyth, a przecież kiedyś wrócić musi, Fioral najzwyczajniej go zabije i ożeni się z dziedziczką. Będzie szóstym mężem. Szóstka zawsze przynosiła mu szczęście. Uśmiechnął się. Bez wątpienia mieszkający na zamku ksiądz zna ceremonię ślubną już na pamięć. Roześmiał się cicho z własnego konceptu. Wszystko układa się po jego myśli. Przez chwilę rozmawiał ze swoimi ludźmi. Popatrzyli po sobie, kiwając głowami.

Dolan, dowódca zbrojnych, zbliżył się do Fiorala i powiedział półgłosem:

- Moglibyśmy zrobić zasadzkę przy drodze z St. Erth, zabić tego Bishopa i sprowadzić tu cenną wnuczkę.

Fioral myślał o tym przez chwilę, wreszcie pokręcił głową.

- Nie, powinniśmy wystąpić z pozycji siły. Gdy Bishop wróci tu z dziewczyną, będę sobie siedział w fotelu lorda Vellana i głośno się śmiał. Potem go zabiję, a niebawem zostanie piątym mężem.

- Raczej szóstym - stwierdził Dolan. - Jeśli klątwa nie wtrąci sir Bishopa do grobu.

- Albo szóstym - zgodził się Fioral - jeśli wywiózł ją stąd, poślubił i uszedł z życiem. - Znów zdjął z głowy hełm, który uciskał go w tył głowy. - Sądzę, że starzec jednak mówi prawdę. Gdybym ja był na miejscu Bishopa z Lythe, także wywiózłbym ją do St. Erth.

- Skoro tak zrobił - wtrącił z zadumą Dolan - to oznacza, iż wierzy w klątwę i chciał zabrać stąd pannę, by uciec od niechybnej śmierci.

- Głupiec. Przecież to trucizna. Zwykła trucizna. Nie czają się tu duchy żadnych kapłanów ani wiedźmy z Byrne nie przyglądają nam się z ukrycia.

Dolan w głębi duszy gorąco się modlił, by jego pan miał rację.

- Wjeżdżamy do Penwyth - krzyknął Fioral do lorda Vellana. - Opuśćcie most albo zabijemy was wszystkich. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Nikogo nie oszczędzę. Jeśli nas wpuścicie, nie stanie się wam żadna krzywda.

- Nie dotyczy to trzody – uśmiechnął się pod nosem Dolan. - Musimy przecież coś jeść.

- Ciekawe, czy druidzka klątwa podąży za dziedziczka Penwyth?

Dolan pokręcił głową.

- Trudno w to uwierzyć.

Fioral roześmiał się, gdy ciężki zwodzony most zaczął się z chrzęstem opuszczać nad fosę. Rycerz zauważył, że woda w niej ma niecały metr głębokości. Nie wyglądała na stojącą i pozieleniałą od gnijącej roślinności.

Wydawała się zupełnie świeża.

Słyszał pogłoski o suszy nękającej Penwyth i rzeczywiście drzewa i pola uprawne, które mijali, wyglądały na nieco przeschnięte, lecz powietrze było rześkie, a w fosie widział wodę. Nie, susza to bajka, podobnie jak wieści o druidzkiej klątwie. Zastanawiał się, czy nie powinien zabić jednego ze starych wojowników lorda Vellana, by pokazać, że nie żartuje, i że teraz gród należy do niego wraz ze wszystkimi ludźmi, zwierzętami i siwobrodymi żołnierzami. Miał szczerą nadzieję, że umysły starców nie zatrzymały się w czasach szalonego króla Jana.

Uśmiechał się wciąż, kierując bojowego ogiera na drewniany most. Może powinien zabić samego lorda Vellana? Wtedy jego ludzie mieliby już pewność, że nie powali ich żadna trucizna.

* * *

Jaskinia Tintagel

Bishop chciał chwycić dłoń, która go uderzyła, lecz trafił tylko na powietrze.

Uderzenie w twarz wytrąciło go z równowagi; upadł bezwładnie na ziemię. Po chwili usiadł, zły i bezbrzeżnie zdumiony.

Podczołgał się z powrotem, przechylił przez krawędź otworu i wyciągnął rękę w głąb. Dziura przecież nie może być aż tak głęboka.

- Wyłaż wreszcie, do diabła!

Usłyszał śmiech dobiegający z oddali i cichnący powoli, jakby ktoś oddalał się od niego. To oznacza, że musi tu być jakaś drabina lub schody. Powoli okrążył dziurę,

macając dłonią jej krawędź w poszukiwaniu drabiny czy sznura. Na chwilę zastygł, wsłuchał się w odgłosy jaskini. Nie słyszał ani nie czuł niczego. Nawet powietrze stało nieruchomo.

Nagle usłyszał czyjś oddech tuż przy prawym uchu. Obrócił się gwałtownie, lecz nikogo nie dostrzegł. Po chwili zrozumiał, że ów ktoś wychylił się ku niemu z czarnej głębi. Spojrzał w mroczną czeluść. Nie chciał tego, lecz spojrzął. Nawet pochylił się nad nią.

Nie był wcale zdziwiony, gdy dwie silne dłonie chwyciły go za ramiona i wciągnęły w otwór. Był przerażony. Dłonie zaraz puściły go, a Bishop spadał, spadał i spadał.

Nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

* * *

W innym czasie

Książę zbudził się i powoli przeciągnął. Natychmiast poczuł, że nie jest sam. Ktoś unosił się nad nim, przepływał przez niego, choć książę wciąż pozostawał sobą. Czuł głód owej istoty i ból kości po długim śnie na poszyciu dębowego gaju.

Książę Balanthu potrząsnął głową i odegnał od siebie szalone wrażenia. Wiedział, że wciąż jest w dębowym lesie i że jest sam. Znowu sam.

- Brecio! - krzyknął z rozpaczą. - Przybądź do mnie, przekłeta wiedźmo! Ukaż się!

Powietrze poruszyło się, zamigotało i po chwili Brecia stała przed nim z rękami założonymi na piersiach. Była wściekła.

- Brecio - powiedział miękko książę, wyciągając do niej rękę.

Spojrzała na jego opaloną, silną dłoń.

- Podajesz mi rękę, książę? Myślisz, że jestem na tyle głupia, by cię dotknąć? Przecież z łatwością mógłbyś mnie zmienić w ropuchę. Gdzie twoja różdżka?

- Ciebie w ropuchę? Byłabyś niezwykle groźną gadziną. Zebrałabyś wokół siebie wszystkie ropuchy, obaliła ich rząd i mianowała się ropuszą królową. Moja różdżka? To dobre pytanie. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Mam wrażenie, że mnie opuściła, czy to nie dziwne? Nie pamiętam. Nie wiem też, dlaczego spałem tu, w dębowym gaju. Dzieje coś dziwnego, czego zupełnie nie rozumiem, rzuciłaś na mnie czar, Brecio?

Wciąż nie wzięła go za rękę, więc opuścił dłoń.

- Coś się w tobie zmieniło, książę - rzekła cicho Brecia.
- Może nawiedzili cię bogowie i nakazali odrzucić arogancję i przemoc?

O dziwo, książę nie wybuchnął śmiechem.

- Och, raczej nie. Nie wydaje mi się. Rzeczywiście uważasz, że jestem zbyt arogancki? Zbyt władczy?

Dzieje się coś dziwnego, książę ma rację. Pokiwała głową.

- Niejednokrotnie widziałam cię w takim stanie.

- Dlaczego tu spałem, Brecio? W środku twojego lasu, z dala od twierdzy?

- Była noc. To dobrze, że spałeś.

-Ale tutaj? - Rozejrzał się dokoła. - Sam, w lesie? Zupełnie bezbronny?

- A przed czym miałbyś się bronić? Ach, rozumiem. Twoja różdżka zniknęła.

- Sam nie wiem - odrzekł książę. - Byłem w twojej wieży, związałem cię, lecz nawet bez różdżki zdołałaś zniknąć. Dokąd się udałaś, Brecio?

- Byłam całkiem niedaleko, tuż obok ciebie, skoro musisz to wiedzieć. Chciałam odzyskać moją różdżkę. Słyszałam twój śmiech.

Dlaczego powiedziała mu prawdę? Nigdy wcześniej się na to nie zdobyła. Ten książę, którego rozpaczliwie pragnęła zaledwie trzy lata temu, był zbyt niebezpieczny, zbyt potężny.

- Sądzę, że po prostu postanowiłeś odejść z mojego lasu, ale zmęczyłeś się i ułożyłeś do snu.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie? - spytała drwiąco. - Jesteś tak arogancki, tak wywyższasz się ponad śmiertelników i wszelkie inne istoty, że wierzyłybyś, iż żadne dzikie zwierzę nie odważy się do ciebie podejść. Twoi wrogowie są dla ciebie niczym. Wystarczyłoby, żebyś gwizdnął, a ziemia pod ich stopami zamieniłaby się w bagno.

Uśmiechnął się zagadkowo.

- Naprawdę sądzisz, że jestem aż tak dobry?

- Nie igraj ze mną, książę. Nie jestem jedną z twoich kobiet gotowych paść ci do stóp i wielbić twoje umiejętności.

- Oczyma duszy widzę cię klęczącą przede mną - powiedział książę. - Widzę, jak wsuwam palce w twoje włosy.

Widział też, jak Brezia unosi się na kolanach i dotyka go, a potem bierze do ust. Niemal eksplodował. Na wszystkich pradawnych bogów żywiących się ludzkim mięsem! Gdyby w ostatniej chwili nie odzyskał nad sobą kontroli, rozlałby nasienie na jej oczy. Skupił wzrok na jej ślicznej twarzy. Nie chciał patrzeć na nic innego. Pragnął jej od tak dawna, że wydawało mu się, iż trwa to od zawsze. Miała dzikie rude włosy spływające kaskadą w dół pleców, przewiązane białymi wstążkami. Zdawało

mu się, że w jej włosach pełgają płomienie. Uśmiechnął się.

- Chciałabyś?

- Czy co bym chciała?

- Paść przede mną na kolana i wielbić moje umiejętności? Może chciałabyś też obiecać mi wieczne oddanie? A także robić inne rzeczy?

- Dorównuję ci mocą, księżę. Robię tylko to, na co mam ochotę. Jednak ty nie chcesz się z tym pogodzić, nieprawdaż? Musiałabym stać się twoją niewolnicą i bić przed tobą pokłony. Musiałbyś wciąż trzymać stopę na moim karku.

- Dorównujesz mi mocą? Cóż, uciekłaś z ołtarza, który dla ciebie stworzyłem. Taki piękny kamienny blok! Wyglądałaś na nim niewiarygodnie pięknie. Miałem ochotę zdjąć z ciebie ubranie, rozciągnąć cię na ołtarzu i położyć się na tobie...

Brecia zamrugwała gwałtownie.

- Ty arogancki pomioście szalonej wiedzy! Wydaje ci się, że mogłabym kiedykolwiek z własnej woli ci się oddać?

- O, tak - zamruczał. - O, tak. Wiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni, Brecio. Dlaczego wciąż ze mną walczysz? Nie chcę, byś była moją niewolnicą. Wolałbym, by na moim karku spoczęła twoja stopa. Masz śliczne stopy, nie takie jak dyndające blade stopy duchów o zdecydowanie zbyt długich palcach.

Księżę nie zachowywał się jak zwykle. Był inny. Miała chęć parsknąć śmiechem, słysząc te idiotyzmy, lecz się powstrzymała. Pewnie urządza sobie jakieś gierki. Ponieważ wciąż nie ma swojej różdżki, ta rozmowa może się źle skończyć. Z drugiej strony, księżę także nie ma swojej. Czy rzeczywiście dorównuje mu mocą? Nie wiedziała.

- Nie lubię cię, księżę - wycedziła Brecia. - Życzę sobie, byś opuścił mój las. Nie wiem, jak zdołałeś mnie odnaleźć, ale to nie ma znaczenia. Odejdź. Nie chcę cię więcej widzieć.

Roześmiał się, wyciągając do niej rękę.

- Nigdy się tobą nie znudzę! Nigdy. Chodź do mnie, Brecio. Jesteśmy tylko we dwoje. Kobieta i mężczyzna. Zapomnijmy o naszej mocy, o zaklęciach, o wiedzy, czym jest ten świat, a czym nie jest. Chodź ze mną.

Zmienił się, pomyślała znów Brecia. Wpatrywała się w jego dłoń, nie wiedząc zupełnie, co ma robić. Wierzyła, że jest najpiękniejszym mężczyzną na całej ziemi, lecz prócz tego zdawała sobie sprawę, że jest także czarodziejem. Chciał posiadać ją w całości, chciał prócz tego mieć i żonę. Chciał, by powiła mu syna, najpotężniejszego czarodzieja, jakiego znał świat. Jeśli uzna to za konieczne, zniszczy ją, jej święty gaj i wszystkich wyznawców, byle tylko zaciągnąć ją do łóżka.

A jednak wydaje się inny. To ją wytrąciło z równowagi. Gdy znalazła go śpiącego głęboko i chrapiącego donośnie, jakby znajdował się wciąż w bezpiecznym łonie matki, wpatrywała się w jego twarz i nie miała siły odwrócić wzroku. Wtedy się obudził. Spodziewała się, że będzie chciał ją natychmiast spętać, obezwładnić, a jednak tego nie zrobił. Brecia stała wciąż bez ruchu.

- Dokąd mam z tobą pójść?

Zamyślił się na chwilę.

- Zdaje mi się, że najpierw powinniśmy odnaleźć nasze różdżki, potem zaś chciałbym zabrać cię do Balanthu, do mojego zamku.

- Nigdy wcześniej tam nie byłam. Słyszałam, że jest przerażający i tak wysoki, że jeśli śmiertelnik z niego spadnie, ginie na miejscu.

- Nie, to po prostu mój dom. To prawda, że nie tylko wznosi się pod chmury, lecz także drąży mroki ziemi, ale wyłącznie dla ochrony. Na zawsze byłabyś tam ze mną bezpieczna. Żaden śmiertelnik jeszcze nigdy nie wpadł do podziemnych sal. - Zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi. - Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek śmiertelnik widział Balanth. Nie został stworzony dla oczu śmiertelników.

- To prawda.

- Podobnie jak twoja forteca. Nie widziałem jej, dopóki nie odsłoniłaś przede mną wieży.

Machnęła ręką.

- Jak się tu znalazłeś?

Podrapał się w głowę. Ach, Brezia uwielbiała jego czarne, długie i gęste włosy. Łajdak...

- Wydaje mi się, że cię szukałem. Jak wiesz, gdy zniknęłaś, byłem więcej niż wściekły. - Podniósł rękę. - Wysłuchaj mnie tym razem. Wiesz, że nie usmażyłem żadnego z twoich duchów nad ogniskiem. Nie posłałem ich wszystkich w bezkresne przestworza, by tam zamazli i rozplynęli się, wciąż dyndając nagimi stopami.

- To prawda - odparła. - Nawet nie próbowałeś ich skrzywdzić. Widziałam, jak odwróciłeś się od ołtarza i krzyczałeś tak głośno, że błękitny dym kłębił się nad twoją głową jak chmury na niebie. Potem wyszedłeś z wieży. Patrzyliśmy, jak wychodzisz, promieniejąc wściekłością purpurową jak serce śmiertelnika.

- I sądzisz, że po prostu zmęczyłem się, położyłem tu i nie rozpaliwszy ognia, który by mnie ogrzewał, zasnąłem kamiennym snem?

- Tak to wyglądało. Lecz twoja różdżka zniknęła, książę. Żaden czarodziej nie jest bezpieczny bez swojej różdżki.

Rozdział 19

Wydawał się zaniepokojony zniknięciem różdżki. Ale dlaczego?

- Twoja różdżka również zniknęła, Breccio – odparł swobodnie. - Z pewnością czujesz, że jej nie mam.

Brecia zamysliła się głęboko. Książę domyślił się, że mocno niepokoi ją los obu różdżek. Musiał je zabrać wróg. Mógł być nim tylko Mawdoor.

- Wiem, że jej nie masz, i niech cię piekło pochłonie - wybuchnęła po chwili. - Spałeś sobie w najlepsze, gdy przyszedł Mawdoor i zabrał nasze różdżki. To świadczy o sile jego umysłu i wielkiej mocy.

Książę wzruszył ramionami.

- W pierwszej chwili myślałem, że sama zdołałaś mi ją odebrać. Lecz potem poczułem wyraźnie, że jest inaczej. Czy dlatego mnie szukałaś, Breccio? Chciałaś odzyskać różdżkę?

Lekko odwróciła głowę. Kiedy nią pokiwała, czerwona fala włosów opadła jej na policzek.

- Między innymi. Muszę odzyskać różdżkę, podobnie jak ty musisz odzyskać swoją. Wiesz, gdzie możemy je znaleźć?

Książę milczał.

- Czarodziej bez różdżki może wpaść w nic lada kłopoty.

- Podobnie wiedźma - odparł, lecz nie wyglądał na specjalnie zmartwionego.

- Zauważyłam, że wiedźmy mają znacznie więcej magicznych narzędzi niż czarodzieje.

- To nonsens, Breccio - wypalił bez zastanowienia.

Nic nie powiedziała, co go zdumiało. Mógłby przysiąc, że Breccio patrzy na niego inaczej, jakby nie był sobą i jakby ten inny on znajdował o wiele większe uznanie w jej oczach.

Pokręciła ze zdumienia głową. Nie rozumiał dlaczego zachowywał się tak dziwnie. Dlaczego nie przywiązał jej do drzewa i nie zmusił do bliskości? Dlaczego nie mówił jej, że ma robić to, co jej każe? Wiedziała, że on do tego wcale nie potrzebuje różdżki. Przychodzenie tu i przyglądanie mu się we śnie było nierozsądne. Była niedorzecznie przekonana, że wciąż ma jej różdżkę, teraz czuła, że nie ma nawet własnej.

- Mawdoor ma nasze różdżki - powiedziała.

- Ach, więc zadajesz się z tym czarodziejem - pokiwał głową książę.

- Mieszka nieopodal. Nie mogę go ignorować. Jest jeszcze coś...

- Co? Co jeszcze?

Breccio pogroziła pięścią staremu dębowi i książę mógłby przysiąc, że drzewo zadrżało ze zgrozy.

- Mów wreszcie! - zażądał.

- Mawdoor chce mnie poślubić.

Książę roześmiał się głośno. Po chwili spoważniał. Posłał jej tylko bezczelny uśmiezek.

- Wątpię, by miało to nastąpić.

Brecia znów pokręciła głową. Włosy tańczyły wokół jej głowy jak żywe płomienie. Książę ogromnie pragnął wtulić twarz w te włosy.

- Moja różdżka wróci do mnie, jeśli to tylko będzie możliwe - stwierdził spokojnie książę. - Ktoś, kto chciałby utrzymać ją z dala ode mnie, musiałby być niezwykle potężnym czarodziejem. Wierzysz, że Mawdoor nim jest? - Splunął i znów się roześmiał. Arogancja niemal z niego promieniowała. Nie uznawał żadnych granic własnej mocy, nie tolerował myśli, że ktokolwiek mógłby stać się potężniejszy od niego, nie uznawał własnych słabości. I większość ludzi wierzyła w to. Widziała go silnego, niezwyciężonego. Brecia zawsze wielbiła go za to, że nawet odpychające cechy, takie jak arogancja, buta i pycha, w nim stawały się pociągające. Musiałby ją bardzo zranić, by stał się dla niej bardziej odpychający niż przyciągający, była jednak głupia. Widziała, że książę jest o wiele potężniejszy niż kilka lat wcześniej i że musi postępować z nim niezwykle ostrożnie.

- Jestem przekonana, że nie masz różdżki, ponieważ Mawdoor zabrał ci ją, gdy spałeś. A wraz z nią zabrał także moją.

Ale dlaczego nie spróbował mnie zabić? Przecież zawsze pragnął mojej śmierci.

- Spałeś. Czyż pradawny zwyczaj nie głosi, że czarodzieje muszą walczyć twarzą w twarz?

- To prawda. Ów zwyczaj jest niemal równie stary jak sam czas. Chodzi o to, by czarodziej, który wygra pojedynek, posługiwał się wyłącznie magicznymi umiejętnościami, nie zaś podstępem czy zdradą.

- Czy Mawdoor postąpiłby zgodnie ze zwyczajem?

Książę wzruszył ramionami.

- Wątpię. Mawdoor zawsze chadzał własny drogami, a jeśli mnie nie zabił, to tylko dlatego, że chce ode mnie czegoś więcej. Bitwy na jego ziemi? Chce mnie zabić na twoich oczach, by zyskać twoje uznanie? - Brezia milczała. - Mawdoor wie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Musi się mnie pozbyć.

- Ale przy tym nie może mnie zbytnio zniechęcić - dodała.

Książę kiwnął głową. Oczyma duszy widział ciemną, dziką twarz Mawdoora, choć minął co najmniej rok od ich ostatniego spotkania w kamiennym kręgu. Mawdoor nie był przyjemnym czarodziejem. Był okrutny i podły, silniejszy niż powinien być z uwagi na swoją przeklętą krew. Był też najbardziej chciwym, żądnym władzy i zaszczytów czarodziejem na ziemi.

- Nigdy nie wyjdiesz za Mawdoora - powiedział książę.

- Nie - odparła, spoglądając na swoje sandały. Poprawiła złoty łańcuch w talii. - Oczywiście, że za niego nie wyjdę. I żaden z was nie ma na to najmniejszego wpływu. Wiem, że potrafisz korzystać z magii bez różdżki, książę, lecz czy jesteś bez niej bezpieczny?

- Nie wiem. - Książę zmarszczył brwi. - Nigdy wcześniej nie miałem powodu, by się nad tym zastanawiać.

Zanim zdążyła się pohamować, wyrzekła słowa które zaskoczyły ją samą nawet bardziej niż księcia:

- Mogę nauczyć cię magii, która ochroni cię nawet bez różdżki.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie chcesz, bym szczeł w męczarniach? Nie chcesz, by Mawdoor przygniótl mnie wielką czarodziejską skałą, pod którą miałbym siedzieć w ciemnościach do końca świata? Co się stało, Brecio? Dlaczego miałabyś chcieć nauczyć mnie magii? Dlaczego miałabyś mi pomagać?

Bo po raz pierwszy potrzebujesz mojej pomocy, pomyślała, lecz zachowała to dla siebie. Odwróciła się do niego plecami. Książę patrzył, jak długimi palcami bezwiednie gładzi wełnianą suknię.

- Mogłabyś mnie tak pogłaskać.

- Co takiego?

- Twoje palce. Głaszczą suknię.

Ku jego zdumieniu zarumieniła się jak przyłapany na gorącym uczynku podłotek, nie zaś jak wiedźma, która pstryknięciem palców mogłaby go rzucić na kolana i zmusić do jedzenia ziemi. Czy rzeczywiście mogła to zrobić, skoro nie miała różdżki? Nie był pewien.

- Zostaw w spokoju moje palce, książę. Zachowujesz się inaczej niż...

- Ale to ja, Brecio. Nikt inny. Co się z tobą dzieje?

- Powinieneś być wściekły, wykrzykiwać najgorsze klątwy i wzywać wszystkich bogów, miotać zaklęciami po całym moim gaju i zaprzęgać do pracy każdą cząstkę mocy, by znaleźć różdżkę. Dlaczego mówisz o moich palcach i głaskaniu, podczas gdy twoje życie jest w niebezpieczeństwie?

- Chyba dlatego, że nie sędzę, aby rzeczywiście było zagrożone - powiedział. - Czy to dziwne? Być może. Naprawdę pokażesz mi swą magię, Brecio?

- Nie ufasz mi, książę, czyż nie? Wydaje ci się, że chcę cię wciągnąć w zasadzkę?

Spojrzał na nią, a w jego oczach czaiła się wielka tęsknota. Nie groźba, nie chęć dominacji, tylko tęsknota.

- Pragnąłem cię od pierwszej chwili, gdy ujrzałem cię w kamiennym kręgu. Podziwiałem cię i uwielbiałem od pierwszego momentu. Bez wahania powierzyłbym ci me życie. Ufam ci bezgranicznie.

- Przestań wreszcie, słyszysz? Przestań. Zachowujesz się jak ktoś inny, zupełnie inaczej niż do tej pory. Nie mogę tego zdzierżyć!

Spojrzał z czułością na piegi na nosie Brecii i po raz setny pomyślał, że chciałby dotknąć jej włosów.

- Szukałaś mnie, Breccio?

- Chciałam się tylko upewnić, że poszedłeś sobie z mojego lasu. Owszem, gdy cię znalazłam, miałam nadzieję, że masz wciąż moją różdżkę, ale nie miałeś. Po prostu spałeś.

- Widziałaś, jak różdżki znikają z moich dłoni? Pokręciła głową.

- W pierwszej chwili pomyślałam, że Callas zdołał wykraść ci moją różdżkę, lecz zdałam sobie sprawę, że on nie ma wystarczającej mocy. Bardziej się ciebie boi, niż nienawidzi i obawia się, że zniszczysz mnie od wewnątrz, że zapomnę, kim jestem. Że zapomnę, co jestem winna moim ludziom i ile zawdzięczam temu świętemu gajowi.

Książę strzepnął liście z nóg.

- Może powinienem był jednak zabić tego starucha.

Roześmiała się. To był książę, którego znała i rozumiała, którego chciała wyrzucić ze swojego lasu, a najlepiej utopić w morzu.

Książę przypomniał sobie, że raz już słyszał jej śmiech. W świętym miejscu spotkań. Śmiała się i wykrzykiwała z radości, dopóki nie dowiedziała się, że książę musi poślubić Lillian. Wtedy zniknęła.

- Callas to mój kapłan. Jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba, sama się z nim rozprawię.

- Brecio, ja nie potrzebuję różdżki. Mogę nawet góry przенosić bez jej pomocy. Być może potrzebowałbym jej, gdybym chciał poruszyć ziemię.

- Tak, ale...

- Ale nawet mając różdżkę, nie mogę zmienić twojego zdania. - Uśmiechnął się i zatoczył lewą dłonią łuk. Nagły poryw wiatru zdmuchnął jej włosy na twarz. Książę machnął dłonią w drugą stronę i wiatr ustał.

- Sprytna sztuczka, książę, lecz wiatr nie jest twoim śmiertelnym wrogiem ani czarodziejem. Pojawia się, gdy mu rozkażesz, bo nie ma własnej woli. Jednak czarodziej, który prawdopodobnie ma twoją różdżkę, Mawdoor, jest w tej wili potężniejszy od ciebie, potrzebujesz mojej pomocy.

- Jakie to dziwne - powiedział książę, drapiąc się po brodzie. - Wydaje mi się, że lubisz mnie bardziej, gdy jestem słaby.

- Słaby? Ach, książę, droczysz się ze mną. To tylko...

Zrobił krok w jej stronę.

- Co, Brecio?

Z uśmiechem uniosła dłonie i machnęła palcami. Książę w mgnieniu oka stał się nagi.

Nie poruszył się. Stał spokojnie, uśmiechając się do niej. Nie podbiegł do Brecii. Zapewne uznała, że to dziwne.

- To było sprytne, Brecio. Czy podoba ci się ten widok? Przyglądała mu się przez chwilę. Książę wiedział, że w głębi serca zachwyca się jego ciałem. Mimo woli zaczął twardnieć pod jej wzrokiem.

Brecia machnęła palcami i znów znalazł się w ubraniu.

- A może jesteś teraz zdany na moją łaskę, książę? Czy to możliwe, że bez różdżki mam większą moc niż ty, potężny czarodziej?

- Och, nie - odparł. - Och, nie. - Uśmiechnął się do niej, złączył kciuki, zaś resztę palców rozpostarł szeroko. Nagle dłonie i stopy Brecii były skrępowane. Przewróciła się na ziemię.

- Teraz nie możesz już ruszać palcami, Brecio.

- Wydawało mi się, że jesteś rozsądny - odparła. - Myliłam się. - Miała ochotę zacząć tłuc głową o pień dębu. Książę z łatwością utrzymywał czar. Jak mogła uwierzyć, że nie musi się go obawiać? Że może nawet mu pomóc? - I co zamierzasz teraz zrobić, książę? Zniewolić mnie. Zmusić, bym oddała ci pokłon i całowała twe stopy?

Książę zaklął, zwinął dłonie w pięści, opuścił podbródek i w tej chwili Brecia znów była wolna. Wstała, otrzepała suknię z liści, ukrywając najwyższe zdumienie.

- Ha - odezwała się głosem równie bezbarwnym jak piwo, które musiał pić w świętym miejscu zgromadzeń. - W ogóle mnie nie potrzebujesz. Chciałeś tylko udowodnić mi, że jestem od ciebie o wiele słabsza. Że moja śmieszna magia nie może równać się twojej potędze. Nic więcej.

Roześmiał się wesoło.

- Spróbuj raz jeszcze pozbawić mnie ubrania, a przekonasz się, że między nami kryje się o wiele więcej niż rywalizacja.

- Prócz tego, że jesteś czarodziejem, jesteś też mężczyzną - rzekła tym samym bezbarwnym głosem. - Ciało mężczyzny reaguje na najdrobniejszą myśl, widok płątka kobiecego ucha lub dźwięk jej głosu. Na widok nagiej kobiety natychmiast wpada w obłąd.

- Ja nie wpadłbym w obłąd na widok twojego nagiego ciała.

- Być może. Za to zażądałbyś, bym oddała ci się całkowicie.

Księżę tylko się uśmiechnął, czując, jak w żyłach tętni mu gęsta, czarodziejska krew.

- Gdybyś zechciała mi pomóc, mielibyśmy o wiele większe szanse odzyskać nasze różdżki. Co o tym sądzisz, Brecio?

- Prosisz mnie o pomoc? - zapytała cicho. - Mielibyśmy razem pracować?

- Tak.

Las nagle zamarł, podobnie jak Brecia. Nie poruszała się nawet najmniejsza gałąź, żaden liść. Nie słychać było nawet bzyczenia owadów. Jeśli między drzewami kryły się jej duchy, były w tej chwili równie cicho. Księżę czuł się przytłoczony ciszą.

- Teraz znów ty nie ufasz mi, Brecio.

- Wiem, że jeśli ci zaufam, będziesz usiłował mnie do siebie przywiązać, a może wymienisz mnie na swoją różdżkę.

Księżę z trudem stłumił w sobie wybuch wściekłości. Tylko ziemia zadrżała pod ich stopami.

- Niech cię piekło pochłonie, przekłeta ślepa wiedźmo! Wolałbym umrzeć, niż komukolwiek pozwolić cię skrzywdzić!

Jego słowa zawisły w powietrzu, skrząc się i lśniąc jak sople lodu. Brezia przyglądała mu się długą chwilę, zanim powiedziała:

- Tak wiele nas łączy i tak wiele dzieli, książę. - Wiedział, że Brezia widzi lśniące kryształki lodu, wiedział, że własną mocą posyła w jego stronę swój ciepły oddech, by go uspokoić i rozgrzać. - Będę ci ufała, gdy znów staniesz się taki jak niegdyś.

- Co tylko zechcesz - powiedział, posyłając strumień ciepłego powietrza z powrotem w jej stronę.

- Mawdoor jest niebezpieczny - stwierdził Brezia. Jego forteca stała zbyt blisko jej gaju, by mogła o niej myśleć spokojnie. Kapłani drżeli na dźwięk jego imienia; nawet duchy tak stare, że równie łatwo spoglądały w przyszłość, jak wspominały przeszłość, bały się go tak bardzo, że mówiły o nim, ściszały głos.

- Mawdoor nigdy nie skrzywdził ani mnie, ani żadnego z moich czcicieli. Nigdy też nie wchodził do mojego gaju, o ile mi wiadomo. - Zamilkł na chwilę. Książę zauważył grymas lęku przebiegający jej twarz. - Pamiętam, że kilka lat temu późną nocą Mawdoor posłał kulę ognia, która rozbiła się u stóp mojej wieży, wzbijając kłęb dławiącego dymu. Zrobił to tylko po to, by mi przypomnieć o swojej potędze.

- Ostrzeżenie - wtrącił książę. - Co zrobiłaś?

- Ja? Nic. Słyszałam wiele opowieści o jego mocy i o zniszczeniach, jakie sieje, gdy jest niezadowolony.

Książę zmarszczył brwi.

- Mawdoor wie, gdzie mieszkasz. Wie, gdzie się znajduje twoja wieża.

- Oczywiście.

- W jakiś sposób dowiedział się również, że cię odnalazłem.

- I był tym zaskoczony - dodała Brezia. - A potem wpadł we wściekłość. Masz rację. Skoro nie zabił cię, gdy spałeś i byłeś w jego mocy, zapewne szykuje coś widowiskowego.

- Nie mógł sam przewidzieć, że cię odnalazłem. Nawet ja nie potrafię czegoś takiego. Może jeden z twoich duchów szpieguje dla niego?

Ziemia zatrzęsała się gwałtownie.

Księżę się uśmiechnął.

- Świetna sztuczka, Brezio. Chcesz mi pomóc odzyskać nasze różdżki?

Ziemia przestała drżeć. Księżę usłyszał ćwierkanie ptaka i ciche bzyczenie owadów.

- Owszem - powiedziała Brezia. - Pomogę ci. Musisz jednak coś wiedzieć, księżę.

- Sądzę, że raczej mi się to nie spodoba, nieprawdaż?

Wzruszyła ramionami.

- Trzy miesiące temu Mawdoor przysłał do mnie posłańca. Przybył w czasie pełni księżyca.

Księżę czekał w milczeniu.

- Przedstawił mi propozycję małżeństwa. I nie tylko. Również groźbę, że pożałuję, jeśli się nie zgodzę.

- Co zrobiłaś biednemu posłańcowi?

- Och, nic. Powiedziałam mu tylko, że zaprzysięgam zachować dziewictwo do trzeciego millenium.

- I co on na to?

- Zasugerował ponowne przemyślenie terminu wzięcia ślubu.

- Zamieniłaś go w ślimaka i rozdeptałaś?

- Przez chwilę miałam ochotę zamienić go w błękitny dym, aby wyleciał przez powałę, ale obawiałam się zemsty Mawdoora. Odesłałam go, obdarzając błogosławieństwem na drogę. Nie jestem głupia, książę.

- Nie - przyznał. - Nie jesteś. I nie, nie poślubisz Mawdoora.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście. Będziesz moja.

Rozdział 20

Twierdza Mawdoora była czarna i odpychająca. Ponura jak druidzki ołtarz oczekujący na kolejną ofiarę. Okrągła, strzelista wieża z czarnego drewna stała na niewielkim pagórku stworzonym przez Mawdoora. Wieżę otaczał trójkątny drewniany ostrokół z mniejszymi wieżami strażniczymi na każdym wierzchołku. Drewno, z którego wzniesiono twierdzę, było bardziej czarne niż w dniu, gdy Mawdoor je wyczarował. Powiadano, że za każdym razem, gdy twierdzę ujrzy śmiertelnik i strach wkradnie się w jego serce, wieża ciemnieje. Nikt nie wiedział, jak długo czerń może się stawać jeszcze czarniejsza.

Okoliczne plemiona unikały oglądania fortecy; gdy ktokolwiek musiał przejść niedaleko niej, wpatrywał się w ziemię, póki groźna, czarna sylwetka nie zniknęła za drzewami.

Mawdoor nazwał twierdzę i okoliczną ziemię Penwyth. Nazwa ta przysła do niego we śnie i, jak tłumaczył swoim wyznawcom, nic nie znaczyła, jednak miała łagodne, miękkie brzmienie. Śnił o dalekiej przyszłości, o tym, że jego wypieszczona twierdza wciąż trwa, niemal niezmieniona, może nieco mniej czarna. Sen sprawił mu

ogromną przyjemność.

Książę nigdy nie był w twierdzy Mawdoora. Zapisał się tak daleko na zachód tylko dlatego, że nie mógł zapomnieć o Breccii. Spojrzał na czarną wieżę i doszedł do wniosku, że właściwie wciąż nie ma wielkiej ochoty się do niej zbliżyć. Słyszał wiele o tym, że Mawdoor z roku na rok stawał się coraz bardziej szalony i zamknął się w odosobnieniu. Co jakiś czas wyłaniał się z mrocznej twierdzy i siał postrach wśród śmiertelników, zbierając krwawe żniwo. Szkoda, że w parze z szaleństwem i okrucieństwem szła także potężna moc. Mawdoor był niezwykle dumny ze swego lotnego umysłu i magicznych zdolności.

Mawdoor wierzył w różne rzeczy. Był na przykład przekonany, że sami bogowie poustawiali ogromne kamienne okręgi na równinach całej Brytanii. Wierzył także, że w jednym z potężnych kamiennych bloków ukryli wielki skarb, nagrodę dla czarodzieja, który będzie wystarczająco przebiegły, by odgadnąć, o który menhir chodzi.

Książę zgadzał się, że Mawdoor jest szalony. Wciąż powtarzano plotki o czarodziejskim skarbie, fantazjowano na jego temat, szeptem przekazywano sobie wieści, jednak naprawdę nikt w nie nie wierzył. Poza tym, jaki skarb mógłby być ukryty w kamiennym bloku?

- Mawdoor przeklął mnie już w kołysce - powiedział książę do Breccii. - Ojciec mi o tym powiedział. Prawdopodobnie od początku bał się, że będę potężniejszy od niego. Miał wtedy zaledwie siedem lat. Mam nadzieję, że rzeczywiście dysponuje niezwykłą mocą. Chciałbym, by zadziwił mnie swoim mistrzostwem.

Bercia myślała nad tym przez chwilę.

- To ciekawe. Może nie mógł cię skrzywdzić, dopóki pozostawałeś w moim gaju? Zawsze, gdy to możliwe, zapobiegam jakiegokolwiek przemocy w lesie.

- Chcesz powiedzieć, że roztaczasz opiekę nad całym lasem?

- Tak, to właśnie mam na myśli. Nie wiem tylko, czy moja ochrona jest wystarczająca, by powstrzymać czarodzieja. Być może.

Księżę nic nie powiedział. Nie wierzył, że Bercia ma rację. Był przekonany, że Mawdoor po prostu chciał ściągnąć go do swojej twierdzy. Bercia ukryła włosy pod kapturem.

Księżę naciągnął na głowę czapkę i mocno związał troczki. Nie chciał, by pierwszy podmuch wiatru zerwał mu ją z głowy. Czapka była równie czarna jak twierdza Mawdoora, ale miękka jak futro. Dzięki niej pozostanie niewidzialny, ale tylko przez godzinę, gdyż nie miał różdżki, by przedłużyć działanie zaklęcia. Godzina musi wystarczyć. Wiedział, że nikt go nie zobaczy. Nawet Bercia.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała wiedźma, patrząc w jego stronę. - Chciałabym potrafić rzucić zaklęcie, które stworzyłoby taką czapkę. Tylko moja byłaby biała. W najczystszych odcieniach bieli.

Księżę się uśmiechnął.

- Zniknęłabyś mi z oczu, ale nigdy nie odzyskałabyś, różdżki.

- Zgadza się. Poza tym i tak nie uciekłabym daleko. Gdybym oddaliła się zbyt daleko od różdżki, padłabym martwa na ziemię.

Właśnie zdradziłaś mi jeden ze swoich sekretów Brecio.

Naprawdę to zrobiła i dopiero w tej chwili się na tym złapała. Dlaczego mówi cokolwiek temu czarodziejowi, który jest w stanie zniszczyć ją i nie pozwolić jej w mglistej przyszłości osiągnąć tego co mogłaby?

- Może po prostu wierzę, że jestem tu sama i mówię na głos do siebie?

- Może - roześmiał się książę. Choć Brezia nie mogła go widzieć, odruchowo wyciągnął dłoń: - Widzę, że kucharz sieka jakąś zieleninę. Może Mawdoor jada teraz wyłącznie warzywa. Ciekawe, jak to by na niego wpłynęło?

Śmiech Brezii rozgrzał mu serce.

Książę spojrział na czarną fortecę, czując krew tętniącą w żyłach. Chciał dorwać Mawdoora, zgnieść jego szyję silnymi dłońmi. Odbieranie różdżek czarodziejom jest potworną zbrodnią.

- Ruszajmy - powiedział. - Czas ucieka.

Brezia wspięła się na nieprawdopodobnie strome kamienne schody do bram fortecy. Niewidzialny książę szedł cicho przy jej boku.

- Czego chcesz, kobieto? - dobiegł ich roztrzęsiony, starczy głos.

- Chcę się spotkać z lordem Mawdoorem.

- Po co?

- Nie przybyłam tu dyskutować ze starcem, który ma mniej zębów niż mój zgrzybiały kot. Jestem wiedźmą. Otwieraj albo zamienię cię w kwiatową wróżkę.

- Ha! Wróżki nie żyją w tej okolicy. Nie ma tu kwiatów.

- W takim razie będziesz kwiatową wróżką mieszkającą na kamieniu - odparła Brezia.

Strażnik wahał się przez chwilę.

- Czyś jest wiedźmą czy prostą niewiastą, skoro nie masz żadnego szacunku dla starszych, jesteś niewiele warta. Stój sobie pod bramą, aż obrócisz się w proch i stoczysz po zboczu wzgórze. Co o tym sądzisz?

- A może zamienię się w kamień i staczając się po zboczu, zmiążdżę małą kwiatową wróżkę, spieczoną na słońcu i trzęsącą się ze starości? Jak się zwiesz, starcze?

- Zwą mnie Debbin. Strzegę tych wrót w czwartki i wcale nie jestem starcem. Jestem w kwiecie wieku.

- A mówiłeś, że nie ma tu kwiatów.

Strażnik pogroził Breccii pięścią i zaklął plugawie. Wiedźma z politowaniem pokiwała głową. Gdy otworzył usta, by rzucić w nią bluźnierstwem, odkrył, że język stanął mu kołkiem w gardle. Chciał go wypluć, lecz zaczął się krztusić. Patrząc błagalnie na owiniętą w płaszcz kobietę, chciał zawyc głośno, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie dźwięku.

- Jeśli chcesz, by język znów był ci posłuszny, wpuść mnie.

Twarz strażnika była już purpurowa z wysiłku.

- Jeśli zaś nowy rozmiar języka ci się podoba, ześlę cię na dno piekieł, gdzie na wolnym ogniu smażą starców podobnych tobie. Słyszałam, że demony przepadają za ludzkimi językami.

Starzec usiłował zakląć, dławiąc się językiem. Pospieszenie otworzył bramę. Breccia uśmiechnęła się, pstryknęła palcami i zdjęła z niego czar.

- Dobra robota - szepnęła jej do ucha księżę. - Niezwykły pomysł na wykorzystanie części ciała. - Dotknął jej ucha wargami, polizał je i ugryzł delikatnie. Pisnęła głośno.

- Co się stało, więdźmo? - wybełkotał Debbin.

Machnęła dłonią lekceważąco i przeszła przez bramę. Mijając starca, zatrzymała się na chwilę. Słyszała, jak książę wstrzymuje oddech. Słyszała też tłumione klątwy Debbina, który zapewne życzył jej rychłej śmierci, lecz obawiał się powiedzieć to na głos.

Brecia odchrząknęła i podniosła dłoń.

- Mogłabyś dać sobie spokój z tymi sztuczkami - szepnął książę jej do ucha. - Czas już dostać się do twierdzy.

Brecia prychnęła.

- A może starsz się mi zaimponować i udowodnić, że świetnie do mnie pasujesz?

- Zastanawiam się, książę, jak ty byś wyglądał, gdybym powiększyła ci język.

- Nawet nie próbuj tych sztuczek ze mną, Brecio. Przyznaję jednak, że to był świetny ruch.

Weszli na obszerny dziedziniec. Nie było na nim koni, dzieci, psów. Po placu kręcili się wyłącznie starcy i staruszki z popuszczanymi głowami. Ni mówili ani słowa.

- Zdumiewające - westchnął książę. - W żadnej z tych osób nie wyczuwam magii. Tylko rozpacz.

- Masz rację - odparła. - Ja również niczego nie wyczuwam. To zwykli śmiertelnicy. Ale wszyscy są strasznie starzy. Dlaczego?

Książę nie odpowiedział. Czuła jego dłoń na ramieniu. Prowadził ją w stronę czarnej wieży.

- Nie mogą umrzeć, gdyż nieszczęście trzyma ich przy życiu. Pamiętam, jak ojciec mówił, że powinien był zabić matkę Mawdoora, zanim zległa z demonem i powiła tę czarną owcę wśród czarodziejów. Żałuję, że tego nie zrobił - wycedził ponurym głosem.

- Dlaczego się powstrzymał? - spytała Brecia.
- Sądzę, że matka Mawdoora odwiodła go od tego pomysłu. Pewnie przysięgła, że jej syn będzie prawy i honorowy.

- A twój ojciec jej uwierzył.

Książę pokiwał głową.

Brecia zatrzymała się nagle i spojrzała w górę.

- Wydawało mi się, że moja wieża jest dziełem sztuki magicznej, ale to...?

Książę się roześmiał.

- Czuję, że Mawdoor strawił wiele, wiele lat, konstruując tę budowlę. Ma ona przerażać nie tylko śmiertelników, ale i innych czarodziejów. On jeszcze nie czuje twojej obecności, Brecio, ani nie wie, że ja jestem tu z tobą.

- Skąd o tym wiesz, książę? Skąd wiesz, co on myśli? Właśnie w tej chwili Mawdoor może gapić się na nas przez okno i zacierać ręce, zastanawiając się, jak nas zabić.

- Gdyby Mawdoor wiedział, że tu jesteś, całą tę wieżę pokryłby klejnotami, by cię oszołomić - odparł książę. - Zappełniłby ten nieprzytulny dziedziniec kwitnącymi drzewami owocowymi i pięknymi kwiatami, by oczarować twe wiedźmie serce. Przecież cię pragnie, czyż nie?

Brecia nie odpowiedziała. Szła ku czarnym drzwiom.

- Gdyby zaś wiedział, że ja tu jestem, zapewne zmieniłby tę bramę we wrota prosto do piekieł.

- Wiesz przecież, że takie iluzje szybko się rozwiewają.

- Zwykle tak. Ale iluzje Mawdoora? Nie wiem. Krążą plotki o krwawych ofiarach, które składa na ołtarzach demonów...

Olbrzymie drzwi otworzyły się, zanim Brezia ich dotknęła.

Stał za nimi Mawdoor, wpatrując się w Brecię. Był wysoki, zbyt wysoki na człowieka czy nawet czarodzieja. To zaklęcie zapewne również szybko się rozwieje. Wiedźma zadarła głowę i rzekła swobodnie:

- Witaj, panie.

- Czy to ty, Brecio? Przybyłaś do Penwyth w samą porę. Czekałem na ciebie.

- Przyszłam odebrać moją różdżkę.

- Zatem to prawda, że nie możesz czarować bez różdżki. - Błyskawicznym ruchem wyciągnął jej różdżkę z rękawa. Lekko się uklonił i podał różdżkę Brecii. - Przechowałem ją dla ciebie. Skąd wiedziałaś, że ją mam?

- Pomyślałam, że tylko ty mógłbyś zrobić coś takiego, Mawdoorze.

- Masz na myśli coś równie sprytnego i błyskotliwego?

- Mniej więcej - odrzekła.

Mawdoor rozejrzał się po dziedzińcu.

- Gdzie się ukrywa ten przeklęty książę?

- Nie wiem. Kiedy go ostatnio widziałam, spał w moim gaju. Zesłałam na niego głęboki sen.

- Naprawdę domyśliłaś się, że to ja zabrałem twoją różdżkę?

- Oczywiście. Któż inny mógłby tego dokonać? - Wzruszyła ramionami. - Mogę wejść, mój panie?

Mawdoor odsunął się od drzwi. Gdy Brezia weszła do środka, zastygł nagle.

- Coś weszło razem z tobą, Brecio. Coś się skrada za tobą. Co to? Co przede mną ukrywasz?

Rozdział 21

Brecia odwróciła się gwałtownie.

- Czyżby wstrętny książę Balanthu zdołał się tu za mą wśliznąć? Ale jak?

- Och, nie, tylko... - Mawdoor przymknął oczy i znieruchomiał. Brecia czuła, jak bada przestrzeń wokół niej, jak węszy i szuka. Słyszała też cichy oddech księcia. Zastanawiała się, czy potrafi on wytworzyć także magiczną tarczę niewidzialności. Bez różdżki? To byłoby zaiste imponujące.

Gdy Mawdoor otworzył oczy, powietrze w sali znieruchomiło nagle i znów słodko zapachniało lawendą rozsypaną na posadzce prawdopodobnie w ostatniej chwili. Mawdoor się uśmiechnął.

- Nikogo tu nie ma. Musiałem wyczuć na tobie jego ślad, Brecio. Zdejmij pelerynę. Chciałbym cię zobaczyć.

Była wprawdzie czarownicą i odzyskała różdżkę, ale nie była głupia. Mądra wiedźma zawsze zachowuje ostrożność. W duszy Mawdoora czał się mroczny cień świadczący o tym, że jego marzenia są okrutne i jest żądny władzy. Obmierzłe pragnienia przepęłniały jego serce. Brecia wiedziała, że Mawdoor urodził się zaledwie kilka lat przed księciem, lecz wydawał się o wiele starszy.

Może przyczyniły się do tego mroczne myśli zasiedlające jego umysł i krwawe czyny, jakich się dopuszczał. Niezależnie od pierwszego wrażeni wciąż był mężczyzną w kwiecie wieku, wysoki silnym i krzepkim. Oczy miał tak soczyście zielone, że Brecii się zdawało, że to kolejna iluzja. N wyglądały naturalnie.

Zdjęła kaptur z głowy i zsunęła z ramion pelerynę. Podała ją Mawdoorowi, który wtulił twarz w wełniane okrycie.

- Jest przesycona twoim zapachem - powiedział. - Spraw, by zniknęła.

Brecia uniosła dłoń, poruszyła wargami i peleryna zniknęła.

- Przeniosłaś ją do otchłani czy zniszczyłaś?

- Jest w otchłani. To piękna peleryna, utkana wiele lat temu przez ducha odznaczającego się niezwykle talentem i zręcznością. Dlaczego miałabym ją zniszczyć?

Mawdoor wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że księżę jej dotknął? Lecz to nie miałyby dla ciebie znaczenia, czyż nie? Wyczarowałabyś sobie nową.

- Nie uczono mnie tego. Peleryna należała do mojej matki, a wcześniej do jej matki. Gdy jej dotykam, zdaje mi się, że dotykam ich ciepłych dłoni. Byłabym zdruzgotana, gdybym ją straciła.

- Gdyby księżę ją zobaczył, zapewne domyśliłby się, że jest dla ciebie cenna i rozdarł ją na strzępy.

Przechyliła głowę w niemym pytaniu.

- Och, przestań, Breccio. Przecież wszyscy wiedzą, że księżę ujrzał cię w cieniu świętych obelisków i zapragnął twego ciała. Nie chciał cię poślubić i czcić, jak ja pragnę,

lecz nagiąć do swej woli, uczynić z ciebie niewolnicę jego zachcianek.

- Nie słyszałam o tym, Mawdoorze.

- Masz rację - Mawdoor wzruszył ramionami. - Księżę cię pragnął, ale teraz nie ma to znaczenia skoro przyszedł do mojej fortecy. Jesteś moim gościem. Oddałem ci różdżkę, więc masz u mnie wielki dług, czyż nie?

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd ją wzięłaś. Odebrałaś ją księciu?

- O, tak. Jeden z moich przybocznych znalazł go na skraju twojego lasu, śpiącego słodko niczym niebieski anioł, którym wszak nie jest. Przeraził się, że księżę się obudzi i zetrze go w proch. Potem zaś doszedł do wniosku, że jeśli nie weźmie różdżek, ja zetrę w proch jego.

- Jak sądzę, to dodało mu odwagi.

- Zgadza się. Niestety, to go również zabiło, zanim zdołałem umieścić różdżkę księcia w bezpiecznym miejscu.

Mawdoor podszedł do pięknego malachitowego stolika, na którym stała złota skrzynka. Strzelił palcami i na jego dłoniach znalazły się czarne skórzane rękawiczki. Wsunął do dziwnego zamka niewielki klucz i przyglądał się, jak wieczko otwiera się powoli.

Brecia widziała światło pulsujące wewnątrz skrzynki.

Mawdoor włożył dłoń do środka, skrzywił się z bólu, lecz zacisnął zęby i wyciągnął różdżkę księcia. Smukła pałeczka wyrwała mu się z ręki, lecz był na to przygotowany. Z wielkim wysiłkiem utrzymywał różdżkę, unikając dotykania jej nagą skórą. Strach pomyśleć, czym mogłoby to się skończyć.

- Jak myślisz, czy księżę tu przybędzie, Brecio? - zapytał Mawdoor przez ramię.

Księżę stał bez ruchu. Gdyby tylko wyciągnął rękę, mógłby dotknąć ramienia Mawdoora. Czuł, jak różdżka szarpie się, by wrócić do jego dłoni, lecz Mawdoor trzymał ją mocno. Księżę skoncentrował się na różdżce, w myślach głaskał ją delikatnie i przemawiał do niej w starożytnym język Pałeczka zaczęła wibrować i promieniować ciepłem.

- Ta przeklęta różdżka jest bardzo silna - wystękał Mawdoor. - Jeszcze silniejsza niż była, gdy ją tu przyniesiono. Jednak skoro skrzynka mojej babki potrafiła ją utrzymać, to i ja mogę.

- Nie dbam o to, czy księżę się tu pojawi, skoro mnie już tu nie będzie - odezwała się spokojnie Brecia. - Dlaczego mnie o to pytasz? Przybyłam tylko po moją różdżkę. Skąd mam wiedzieć, gdzie jest księżę? - Ściszyła głos do szeptu i pochyliła się ku czarodziejowi: - Księżę jest niebezpieczny Mawdoorze. Widziałam kilka jego czarów. Jest najpotężniejszym czarodziejem, jakiego widziałam. Powiadają, że swego czasu jego ojciec i matka byli najsilniejszymi czarodziejami w Brytanii więc jako ich syn musi ich przewyższyć swą mocą,

- Nonsens - stęknął Mawdoor. - To tylko bajeczka, którą sam rozpowiada. Śmiać mi się chce, gdy słyszę, że jest najpotężniejszym czarodziejem na ziemi. - Splunął z pogardą na posadzkę. - Ja jestem najpotężniejszy! Udowodnię ci to. Mogę nawet przejąć władzę nad jego różdżką. - Jego oczy stały się jeszcze bardziej zielone. Mrok nad głową Mawdoora zgęstniał. Uśmiechnął się i skinął głową w stronę podłogi, na której po chwili pojawił się czerwony jak krew dywan. Brecia nie

wiedziała, czy jest prawdziwy. Mawdoor skierował w jej stronę różdżkę księcia. - Ach, Brecio, przybyłaś do mnie, tak jak tego pragnałem. Chcę, byś została ze mną już na zawsze. Zostaniesz w Penwyth, bym cię poślubił.

Przez chwilę Brecia czuła pokusę, by zmienić jego głowę w muchomora, lecz nie była pewna, czy jej się to uda. Na wszystkich bogów, czas wciąż ucieka! Za chwilę książę stanie się widoczny i Mawdoor rozsieję jego szczątki po całej ziemi użyciu jego własnej różdżki! Dlaczego czarownik nie wyczuwa jego obecności?

- Nie, Mawdoorze - odparła wreszcie. - Nie zostanę tu i nie wyjdę za ciebie.

Teraz! Musi to zrobić teraz. Poczowała oddech księcia na policzku. Wyciągnęła drżącą dłoń, wycelowwała w Mawdoora swoją różdżkę i zastygła, patrząc jak różdżka księcia rośnie gwałtownie w ręce Mawdoora.

Przecież miał ją w prawej dłoni! Och, nie! Kiedy przełożył ją do lewej? Nic już nie mogła zrobić. Zastygła jak głaz.

Czuła, jak książę zasłonił ją swoim ciałem. Roześmiał się głośno, widząc, jak różdżka szarpie się z Mawdoorem.

- Jeszcze troszkę - powiedział. - Chodź do mnie, dasz radę.

- Dlaczego nie czuję twojej obecności, wiedźmi pomociu? - zawył Mawdoor. - Wiem, że tu jesteś. Chcesz odzyskać różdżkę, ale ci na to nie pozwolę.

Książę roześmiał się znowu i w jednej chwili zrzucił z siebie czar niewidzialności. Stał tuż przed Mawdoorem w lśniącym złotym stroju i złotej koronie na głowie. Śmiejąc się swobodnie, dmuchnął mocno. Jego różdżka

poleciała w górę ciągnąc za sobą Mawdoora pod sklepienie czarnej wieży. Czarownik wykrzyczał jakieś niezrozumiałe wyrazy i różdżka przestała się wznosić. Mawdoor wisiał na niej, kołysząc się jak wahadło zegara.

- Puść ją, Mawdoorze, albo zostaniesz tam do końca świata.

- Nie! - wrzasnął Mawdoor, kołysząc się na różdżce. - Nie zostawię jej, podła kreaturo!

Brecia zdała sobie sprawę, że czarownik nie może sięgnąć po własną różdżkę, bo spadnie.

Książę znów się roześmiał i klasnął w dłonie. Różdżka zniknęła z ręki Mawdoora, który nadal wisiał u powały, rzucając obelżywe przekleństwa. Książę przestał mu całusa. Wokół czarownika pojawiły się nagle drewniane pręty klatki.

- Tylko szaleniec zabiera czarodziejowi jego różdżkę, Mawdoorze - powiedział książę, trzymając różdżkę. Machnął nią i w jednej chwili zniknął wraz z Brecią.

Mawdoor wycelował lewą dłoń w kraty. Klatka rozpadła się na kawałki. Czarownik wylądował na podłodze, oddychając ciężko i zastanawiając się, jak książę zdołał wyrwać mu różdżkę z ręki. Miał ją przecież w lewej dłoni, walczył z nią i zdołał ją utrzymać. Udało mu się ochronić ją też przed zakusami Brecii.

Jednak utrata różdżki była niewiele znaczącym upokorzeniem. Zawisnięcie u powały i zamknięcie w klatce były kolejnym upokorzeniem, równie mało znaczącym. Choć wcale mu się to nie podobało, uśmiechnął się szeroko.

Zatarł dłonie z zadowolenia.

- Sądzisz, że jestem głupcem, książę? Znalazłeś się w pułapce, wstrętny łajdaku. Mam was oboje w garści

i zostaniecie tam, dopóki was nie wyzwolę!

Spojrzał na wspaniałe więzienie, które stworzył z takim wysiłkiem. Przemyślał każdy detal, przewidział wszelkie ewentualności. Wyjął własną różdżkę, zamknął oczy i wyśpiewał pieśń dziękczynną na cześć swych przodków.

Rozdział 22

- Nie wydestaniemy się stąd - powiedział książę z niedowierzaniem. - Niech szlag trafi moją zarozumiałość i pychę! Spójrz, co się stało! Uwięził nas, Breccio! - Książę kłął długo na cały głos, miotając przekleństwa we wszystkich językach świata, wzbogacone bluźnierstwami z Bułgarii i Bizancjum. Po jakimś czasie powściągnął wściekłość. - Popatrz tylko, Breccio. Łajdak stworzył całą więzienną utkaną z powietrza! Wisimy ponad jego twierdzą. Chciałem, żeby mnie zaskoczył, i proszę! Jestem zaskoczony.

- Owszem, arogancja nie popłaca - pokiwała głową Breccio, przyglądając się powietrznej celi. Nie mogła zobaczyć ścian więzienia. Nie czuła ich również.

Nie jestem arogancki - powiedział książę. - Byłem zbyt pewny siebie i szczerze to wyznaję.

- Ha! Ujawniłeś się w złotogłowi i koronie! Chciałeś go rozzłościć, a sprowadziłeś na nas...

- Zrobiłby to samo, gdybym ukazał mu się w łachmanach.

- ...nieszczęście. A w dodatku zamknąłeś go w klatce!

- Zrobiłby to, nawet gdybym usadził go na złotym tronie.

- Och!

Książę miał ochotę odrzucić głowę i zawyć z wściekłości, ale wiedział, że nie może. Brecia wciąż go obserwowała. Musiał zachować twarz.

- No dobrze. Masz rację. Byłem arogancki. Chciałem go porazić swą mocą. Powinienem być wiedzieć, że wszystko idzie zbyt łatwo. Powinienem być przewidzieć, że szykuje jakiś podstęp.

- Wspaniale, że wreszcie to przyznajesz. Muszę się zgodzić, że ta złota korona wyglądała oszłamiająco. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że arogancja jest do tego stopnia częścią ciebie, że nie jesteś w stanie jej kontrolować?

- Wszystko mogę kontrolować, do diabła! Może byłem arogancki celowo?

- Cokolwiek miałeś na myśli, teraz nie ma to już znaczenia. Tkwimy w tym oboje.

- Przestań się ze mną kłócić. To niczego dobrego nie przyniesie. Razem się stąd wydostaniemy.

Brecia wiedziała, że nikt ich nie widzi, gdyż książę miał już swoją różdżkę i mógł rozciągnąć czar niewidzialności również na nią. A przynajmniej do momentu, gdy coś nie rozproszy jego uwagi.

- Książę, jesteśmy niewidzialni.

- Owszem.

- Ale nie widzę także tych starych śmiertelników. Nie widzę nikogo. Och, na bogów! Robi się gorąco! Co się dzieje?

Nagle zrozumiała. Chwyciła obie ręce księcia i ścisnęła je. Nagle stali się widzialni, ale nie miało to żadnego znaczenia. Musiała to zatrzymać.

Złota szata księcia migotała dziwnie, jakby tańczyły po niej miriady maleńkich płomyków ognia. Buchał z niej żar. Złota korona zniknęła z jego głowy podobnie jak czapka niewidka. Gdyby wciąż ją miał, zapewne stanęłaby w płomieniach.

- Dość! - krzyknęła mu prosto w twarz. - Musisz się uspokoić, książę. Inaczej obrócisz wszystko w popiół! - Z rozmachem trzasnęła go w twarz. Po chwili znowu. I jeszcze raz. - Zapanuj nad wściekłością! Posłuchaj mnie! Musisz się uspokoić albo oboje zginiemy! Przecież jakoś zdołamy się stąd wydostać!

Książę zadygotał. Kilka razy odetchnął głęboki i zaczął się powoli uspokajać. Zrobiło się nieco chłodniej.

- Przepraszam - wydukał książę. - Bardzo cię przepraszam. Straciłem nad sobą kontrolę.

- Gdybyś ty się nie zapomniał, pewnie mnie trafiłby szlag - wyznała Brezia, lekko muskając palcami jego rękaw. - Musimy się wydostać z tej bańki.

Ostrożnie obeszli swoją celę, badając ją dłońmi, szukając słabych miejsc. Nie znaleźli niczego. Książę szeptał zaklęcia tak stare, że ich ciała pokryły się gęsią skórą. Nic to nie dało. Zamilkł i spojrzał jej w oczy.

Nadeszła kolej Brecii. Wypowiedziała każde starożytne zaklęcie, jakie była w stanie sobie przypomnieć. Nawet przepisy na magiczne napoje i maści, lecz nic nie zadziało. Powietrzna cela nawet nie drgnęła. Wciąż byli w pułapce.

Złota szata księcia rozplynęła się na oczach Brecii. Znow był ubrany w prostą tunikę i obciste spodnie przystające zwykłemu śmiertelnikowi.

Czekała, lecz książę milczał. Dało się zauważyć, że nie jest zadowolony.

- Chcę coś jeszcze wypróbować - odezwała się Brecia. Uniosła różdżkę, wypowiedziała coś pod nosem i nagle jej piękna zielona peleryna znalazła się wraz z nimi w powietrznej bańce. – Udało się! Wezwałam pelerynę, choć nie byłam pewna, czy zdoła przeniknąć do wnętrza celi.

Książę raz jeszcze zbadał przestrzeń wokół nich, która wydawała się zupełnie przejrzysta, choć wcale taka nie była.

- Twoja peleryna jest przesycona starożytną magią. - Przez chwilę przeżuwał jakąś myśl. - Coś w tym jest, Brecio. Świetnie się spisałaś. Ta cela ma jednak słabą stronę i musimy wymyślić, jak ją wykorzystać, zanim Mawdoor zetrze nas na pył.

- Mnie nie chce zetrzeć na pył. Ze mną chce się ożenić.

- Najwyraźniej sprawia ci to przyjemność.

Pokręciła tylko głową, ignorując jego słowa. Książę nie przywykł do takiego traktowania. Najwyraźniej myślała o czymś ważniejszym niż rozmowa z nim. Zanim zdążył powiedzieć jej, co powinni zrobić, Brecia stwierdziła:

- Te jego oczy... Zrobił coś z oczami. Ta zieleń... Wyglądały jak ożywione szmaragdy.

- Rzeczywiście - przyznał książę. - Takich sztuczek nigdy nie próbowałem. Ojciec powiedział mi, że jeśli zmienisz swoje oczy, zmienia się również twój sposób widzenia. Nie zawsze wiesz, czy to, co widzisz, jest iluzją czy prawdą i możesz popełniać fatalne omyłki.

- Czy myślisz, że z tego powodu nie był w stanie cię wyczuć? Zmienił swoje oczy i teraz nie widzi już tego, co powinien widzieć?

- To ma sens. Chciałabyś mieszkać w tej czarnej wieży?

Brecia zadrżała.

- Nigdy nie przestałabym próbować się z niej wydostać.

Książę parsknął.

- Świetnie. Zatem masz tę odrobinę rozsądku. Nie zapominaj jednak, że jesteś tu ze mną. Wiesz, co to oznacza.

- O, tak. Obrócimy się w proch obydwójce.

- To mnie wcale nie śmieszy. Wróćmy do peleryny, którą przywołałaś. Chciałbym, żebyś odesłała ją z powrotem.

Brecia odetchnęła głęboko. Oczyszczyła umysł, jak uczyła ją matka, babka i wszystkie duchy, które otaczały ją od urodzenia.

Nagle zobaczyła celę jak na dłoni. Znajdowali się w bańce utworzonej w powietrzu, choć nie była ona okrągła. Wyciągała się w górę, a czubek wyraźnie skręcał w stronę szczytu wieży Mawdoora. Skoro ujrziała celę, zaczęła ją badać. Czas upływał. Nie znalazła słabego punktu.

- Widzę nasze więzienie - powiedziała.

- Odeślij pelerynę i zobacz, którędy się wydostanie.

Uniosła różdżkę, przymknęła oczy i po chwili peleryna zniknęła.

- Wezwij ją z powrotem - rzekł książę.

Wezwała. Peleryna wpadła prosto w jej dłonie.

- Ona się pojawia znikąd i znika niepostrzeżenie. Nie mogę znaleźć szczeliny w celi. Wydaje się nieprzepuszczalna.

Książę syknął cicho.

- To nie ma sensu. Wiem już, co powinniśmy zrobić, Brecio. Mawdoor może nas zniszczyć w każdej chwili, to kwestia jego kaprysu. Musimy zaryzykować. - Odetchnął

głęboko. - Dotkniesz mojej różdżki swoją.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona.

- Och, nie! Nie możemy tego zrobić! Słyszałam, że to może zniszczyć całą ziemię lub przywiązać mnie do ciebie na zawsze.

- Z pewnością są gorsze rzeczy niż przywiązanie do mnie.

- Oczywiście, szaleńcze! To tylko jedna z rzeczy, które mogą nam się przytrafić. Słyszałam także, że możemy stać się śmiertelni. Nie, nie możemy ryzykować.

- Stare bajeczki bezzębnych czarownic... Czarodzieje nigdy nie biorą ich na poważnie. Koniec świata? To jakiś absurd, Brecio. Śmiertelność? Jeszcze większy absurd.

- A przywiązanie mnie do ciebie?

- To z kolei nie wydaje się ani trochę naciągane. Dość już, Brecio. Nie wiem, ile jeszcze czasu nam zostało, wiem za to, że połączenie mocy dałoby siłę wystarczającą, by się wydostać z tego niedorzecznego bąbla!

Brecia zadumała się głęboko.

- Zacukałaś się jak wiedźma zaplątana we własne kłątwy.

- Przestań wreszcie obrażać wiedźmy! Gdyby nie wiedźma, nie byłoby cię na świecie, żałosny głupcze. To przez ciebie siedzimy teraz w tym wstrętnym bąblu!

- Myślę, że to raczej rodzaj kopuły. Spójrz tylko na ten kształt. Poza tym, gdybyś była sama, wzięłby cię przemocą. Dzięki temu, że jestem z tobą, masz szansę przed nim uciec. Zresztą wcale nie wiemy, co się stanie, gdy zetkniemy różdżki, jeśli tego nie zrobimy.

- Nie, nie ryzykujemy. Musi być jakieś inne wyjście.

Książę milczał. Starał się nie myśleć o łączeniu różdżek. Brezia ma rację, to za duże ryzyko. Musi być jakiś inny sposób. Jednak zakrzywiona kopuła ponad ich głowami wydawała się nieprzepuszczalna. Książę zaczął badać dłońmi powierzchnie przezroczystych ścian od samego dołu do zakrzywiającego się wierzchołka. Idealnie gładkie.

Wzniósłszy się w powietrze, dokładnie zbadał ostry wierzchołek bąbla. Wyczuł delikatne pulsowanie, choć przejrzysta ściana nie emitowała ciepła. Przycisnął dłoń do gładkiej powierzchni, która nagle stała się lodowato zimna. Nic tu nie ma pomyślał. Naprawdę nic tu nie ma. Nagle ujrzał pod sobą brodatych starców chodzących po dziedzińcu. Dlaczego nie widział ich wcześniej? Czy Mawdoor nie zdołał utrzymać jednocześnie celi i iluzji pustego dziedzińca?

Książę krzyknął głośno. Starcy go nie usłyszeli, czego zresztą się spodziewał.

Skoro książę i Brezia nie są w stanie wydostać się z bąbla, to tym bardziej starcy nie będą w stanie dostać się do jego wnętrza. Prawdopodobnie nawet nie zdają sobie sprawy, że tuż nad ich głowami wisi cela.

Opuścił się na dół i stanął przed Brezią.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Dlaczego nie ma tu młodych ludzi? Ani żadnych zwierząt?

- Powiedziałeś, że Mawdoor wysysa z nich nadzieję.

- To było tylko przypuszczenie. A co ty sądzisz?

- Może Mawdoor się ich boi?

- Dlaczego?

Brecia wzruszyła ramionami i wygładziła pelerynę.

- Młodzi są pełni życia. Uważają się za niepokonanych i zwykle to przekonanie chroni ich przed różnymi katastrofami. Może przy młodych Mawdoor nie jest w stanie korzystać z całej swojej mocy, gdyż w jakiś sposób ją osłabiają? Ale nie jestem wcale tego pewna, książę.

- Ciekawe, czy byłbym w stanie dokonać w Penwyth kilku drobnych zmian.

- Książę - odezwała się Brecia, widząc, jak czarodziej skupia się i zapada w sobie, szukając w otchłani pamięci odpowiednich zaklęć. - Książę, posłuchaj mnie - powtórzyła, ściągając na siebie jego uwagę. - Mam pewien pomysł. Skup swoją moc i potęgę różdżki w tym miejscu. Ja zrobię to samo i zobaczymy, czy uda nam się coś zdziałać.

Książę spojrzał na nią i nakazał sobie spokój.

- Może - odparł.

Nie żywił zbyt wielkich nadziei, lecz kto wie? Spojrzał na wskazany przez Brecię punkt, wycelował w niego różdżkę podobnie jak ona i zaczął w duchu przemawiać do różdżki w starożytnym języku.

Nic się nie wydarzyło. Brecia miała ochotę zawyć z rozczarowania, lecz nagle powietrze zaczęło drżeć. Różdżka zatrzęsała się w jej dłoni i musiała przytrzymać ją obiema rękami. Z każdą upływającą chwilą stawało się coraz zimniej, jakby w jakiś sposób otworzyli drzwi wychodzące na pustkowie mroźnej północy.

- Nie odwracajmy różdżek - wyjąkała Brecia. - Celujmy wciąż w to samo miejsce.

Wiatr zawył przeraźliwie i potargał im włosy. Bańka drżała od połączonych mocy. Niewidzialny punkt, w który

celowali, zaczął syczeć. Wydawało się, że oddycha coraz szybciej jak umykające zwierzę. Nagle zapadła cisza. Bańka wytrzymała atak.

Po chwili jednak rozległy się trzaski i huki, jak gdyby podziemny olbrzym wypychał pięścią nową górę z trzewi ziemi.

Usłyszeli łomot. Wokół czarodzieja i wiedźmy zaczęły tańczyć płomienie. Krąg ognia zacieśniał się niebezpiecznie.

- Trzymaj, Breccio. Nie odwracaj różdżki.

Różdżka Brecii stanęła w płomieniach. Stała się tak gorąca, że palce wiedźmy szczerniały.

- Na świętą matkę wszystkich dębów - wyszeptała Breccia, lecz nie puszczała różdżki. Nie miała wyboru. Trzymała ją, ignorując potworny ból i smród smażącego się ciała. Dłoń księcia się nie paliła. Kątem oka Breccia dostrzegła, że stoi on prosto, wpatrując się z uporem w jeden punkt. Zdołała się skoncentrować mimo bólu. Dlaczego jego palce nie płoną?

To nie potrwa już długo. Wiedziała, że ból zaraz ją zabije, że jej ciało spłonie i obróci się w popiół. Nie, nie! Musi się skoncentrować. Musi skupić całą wolę w różdżce i trzymać ją nieruchomo. Trzymać!

Nagle bańka rozprysła się, a płomienie wystrzeliły w niebo. Rozległ się głośny trzask pękającego szkła. Szklane odłamki posypały się dokoła. Ryczące słupy ognia strzelały tak wysoko, że dotykały chmur. Książę i Breccia czekali bez ruchu. Ani jeden odłamek szkła nie spadł na dziedziniec, nie prysnęła w jego stronę żadna iskra. Giętkie języki płomieni owijały się wokół obłoków. Breccia mogłaby przysiąc, że słyszy syk parującej wody. Ogień przygasał powoli.

Książę odwrócił się po chwili i ujrzał Brecię leżącą na ziemi. Była nieprzytomna. Jej dłonie wciąż płonęły! Nie namyślając się wiele dotknął swą różdżką różdżki Brecii.

W jednej chwili nie byli już na okropnym dziedzińcu. Leżeli na piasku, na opuszczonej plaży, jakby przenióś ich tam potężny podmuch wiatru. Książę nie wiedział, jak daleko przeniosły ich różdżki. Zresztą w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

Byli wolni.

Piękna peleryna Brecii leżała przy jej boku na ciepłym piasku. Jeszcze się tliła. Gęsto tkana ciepła szata wyglądała, jakby porozdzierały ją pazury dzikiego zwierza. Była kompletnie zniszczona.

Brecia obudziła się i na widok tłącej się peleryny poderwała się z piasku. Książę zdumiał się, że jej uwagę przyciągnęła szata, nie zaś poparzone dłonie. Wiedźma zaczęła sypać piasek na pelerynie, by zdusić płomień.

- Och, nie! Nie!

Książę nie mógł jej powstrzymać. Patrzył na pelerynę i żałował sobie, by znów była cała, lecz nic się nie wydarzyło. Wciąż się paliła, chociaż ogień na niej dogasał.

Nie potrafił tego pojąć. Cokolwiek wywołało ten ogień, znajdowało się poza jego mocą.

- Brecio, zostaw ją. Na litość bogów, popatrz na swoje dłonie.

Spojrzała na poczerniałe palce pokryte bąblami i krwawiącymi ranami. Nagle poczuła przejmujący ból, tak wielki, że nie była w stanie go znieść.

- Przestań się mazać - krzyknął ostro książę. - Nie dam ci umrzeć, głupia wiedźmo! Nie pozwolę, byś cierpiała.

Zamknij oczy i przestań na chwilę wierzcąc, do diabła!

Ujął jej dłonie. Palce miała zwęglone, zakrzywione jak szpony. Ucałował każdy z nich, muskając językiem spaloną skórę. Potem jeszcze raz ucałował wszystkie palce.

Ból ustąpił. Dłonie znów miała całe i zdrowe. Brezia aż do tej chwili płakała cicho z bólu. Łzy toczyły się po jej twarzy i kapały z podbródka. Książę zebrał łzy w dłoń i prysnął nimi na tłącą się pelerynę, szepcząc antyczne zaklęcie, jakiego nigdy wcześniej nie używał: *Blashen norna*.

Nic się nie wydarzyło. Wełniana szata nadal tliła się spokojnie. Książę spojrział na nią przenikliwie, uśmiechnął się i dotknął lewą dłonią tłących się resztek.

Peleryna leżała na piasku znów piękna i czysta. Nie było na niej śladu po płomieniach. Brezia westchnęła głęboko, promieniując radością i dozgonną wdzięcznością. Książę otoczył jej ramiona peleryną i włożył kaptur na głowę.

- Uratowałeś mnie. Jak tego dokonałeś?

Usłyszała jego ciche słowa, choć ich nie wypowiedział: „Mój ojciec jest wielkim czarodziejem, ja jestem od niego potężniejszy, a syn, którego mi urodzisz, stanie się najpotężniejszym czarodziejem na całej ziemi”.

Spojrzała znów na dłonie, rozprostowując palce. Nie czuła żadnego bólu, skórę miała gładką jak dawniej. Jakby nigdy jej dłonie nie uległy spaleni. Peleryna miękko otaczała jej ramiona.

- Jesteśmy na plaży - odezwała się wreszcie, smakując słone podmuchy morskiej bryzy.

Książę wstał i przeciągnął się. Brezia przez chwilę zastanawiała się, czy w ten sposób sprawdza, czy na

pewno jest wciąż tym samym mężczyzną. Czy nie zostawił części siebie w twierdzy Mawdoora.

- Zetknąłem nasze różdżki i to one nas tu przeniosły. Bardzo się cieszę, że jesteś cała, Breccio.

Nie miała innego wyjścia, jednak wcale się nie czuła dziwnie, mówiąc:

- Dziękuję ci, mój księżę.

- Uważam, że najwyższy już czas, byśmy opuścili ziemie Penwyth. Wciąż jesteśmy blisko fortecy. Nie chciałbym, by Mawdoor nas tu znalazł i wymyślił kolejną sztuczkę.

Podał jej rękę i pociągnął energicznie ku sobie. Poły jej peleryny otoczyły ich oboje, tak że stali się jak jedno ciało. Nagle zniknęli z plaży i ziemi Penwyth. Choć minęła zaledwie chwila, zdawało jej się, że czekała całe wieki, zanim jej stopy dotknęły ziemi. Od razu poczuła, że jest w domu.

Księżę przeniósł ją na skraj jej lasu. Breccia odetchnęła powietrzem pachnącym dębami. Od razu poczuła się bezpieczna.

Wciąż tulili się do siebie, owinięci peleryną.

- Jesteśmy w domu - powiedziała Breccia.

- Jesteśmy - przytaknął księżę, muskając wargami jej skroń. - Przeniosłem cię do domu.

Rozdział 23

Stali na skraju wiekowego dębowego boru i czuli na sobie promienie słońca w zenicie.

- Wydaje się, jakbyśmy wyruszyli dopiero przed chwilą
- zdumiała się Brecia.

- Nie, po prostu minął cały dzień i cała noc.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz umilkł, widząc zbliżających się ku nim podróżników. Czterech mężczyzn i trzy kobiety. Niektórzy pieszo, inni na mułach. Śmiertelnicy.

Grupę prowadził starzec wspierający się na sękatym kiju. Spostrzegł księcia i Brecię, zatrzymał się, oparł na kosturze i powiedział:

- Widzieliśmy, że przybywacie z ciemnego lasu. Wiecie, że kryje się w nim śmiertelne niebezpieczeństwo? Jesteście zdrowi i cali?

Brecia nagle zdała sobie sprawę, że oboje są ubrani jak zwykli ludzie. Księżę już wcześniej nosił szaty śmiertelników, teraz zaś i Brecia miała na sobie zieloną, prostą wełnianą suknię i miękkie skórzane trzewiki. Domyśliła się, że to sprawka czarodzieja. Delikatnie pogłaskała ciepłą tkaninę i dotknęła złotego łańcucha w talii. Księżę zostawił go na miejscu.

- Och, wszystko w porządku - powiedział książę do starca i kiwnął głową reszcie wędrowców. W tym lesie są tylko stare drzewa. Ich gałęzie i gęste liście nie wpuszczają zbyt wiele światła, poza tym nie ma w nim nic groźnego.

- Nazywam się Branneck - przedstawił się starzec. - Wybraliśmy się w podróż do świętego kamiennego kręgu.

- Jesteście pielgrzymami, *sir*? - zapytała Brecia. Czują na sobie uważne spojrzenia kobiet siedzących na mułach. Dlaczego tak na nią patrzą? Dotknęła złotego łańcucha w talii. Oczy kobiet śledziły ruch jej palców. Kobiety miały chrapkę na złoty pasek! Dlaczego książę nie owinął wokół jej talii skórzanego?

- Zgadza się - odparł starzec. - Przybywamy z Kaledonii, by opryskać święte kamienie łzami potwora z Loch Ness.

Głupota ludzka naprawdę nie zna granic, pomyślał książę.

- Właśnie wracam z żoną do domu - powiedział z uśmiechem. - Spędziliśmy cały tydzień w dębowym gaju, gdyż, jak powiadają, kobieta z pewnością poczne dziecko, jeśli w trakcie zbliżenia stoi, wspierając się o stary dąb.

- Ach - westchnął Branneck, wpatrując się w złoty łańcuch Brecii. - Interesujące. Wierzysz, że jesteś już brzemienna?

Brecia przytuliła się do księcia i uśmiechnęła.

- Zapewne byłabym już brzemienna, gdyby tylko mój mąż zdołał urosnąć do właściwego rozmiaru, by dokonać dzieła.

Siedmioro wędrowców gapiło się na nią ze zdumieniem. Potem spojrzeli na księcia, by ujrzeć, jak karze swawolną

małżonkę, lecz księżę roześmiał się głośno.

Branneck zacisnął dłonie na kosturze.

- Wygląda na to, że jesteście tu sami.

- Oczywiście. Żaden mężczyzna nie chce mieć widowni, gdy zapładnia żonę - parsknął księżę, po czym z fałdów tuniki wyciągnął dysk. Piękna ozdoba wyszła pewnie spod rąk rzymskiego złotnika. Lśniła w słońcu jak gwiazda. Brecia zastanawiała się, czy księżę stracił rozum. Mężczyźni chciwie wpatrywali się w złoty dysk.

Branneck z pewnym siebie uśmiechem skinął na swoich ludzi i wznosił kostur. Podbiegł do księcia i zamachnął się kijem, by rozbić mu głowę. Chwilę później na czarodzieja napadło trzech rzezimieszków. Brecia ze zdumieniem patrzyła, jak kobiety na mułach patrzą na walkę czterech mężczyzn przeciwko jednemu. Uśmiechały się cynicznie.

- Atakowanie bezbronnego człowieka tak was bawi? - krzyknęła w rozpacz.

- Zamknij się - wycodziła jedna z kobiet. - Jeśli nie będziesz cicho, każemy naszym chłopcom obracać cię tak długo, aż naprawdę staniesz się brzemienna.

Brečia spojrzała na księcia. Zablokował kostur i obalił starca na ziemię. Pozostali trzej najwyraźniej zamierzali go zabić i obrabować. Jego życie nic dla nich nie znaczyło. Liczyły się tylko monety w jego mieszk.

- Brecio droga - odezwał się księżę - masz ochotę policzyć się z tymi przyjemniaczkami, czy wolisz, bym ja to zrobił?

- Z przyjemnością popatrzę, jak sobie radzisz - odparła.

Spodziewała się, że książę zetrze ich w proch bądź zamieni w stos czarnych głazów, lecz nie uczynił nic podobnego. Rozejrzał się jak śmiertelnik przed atakiem, pochylił i powiedział:

- Chodźcie do mnie, moi dzielni przyjaciele. Pozwólcie, że wam pokażę, jak prawdziwy mężczyzna traktuje takie śmieci, jak wy.

Brecia zdała sobie sprawę, że książę stał się zwykłym śmiertelnikiem. Wygasił w sobie całą magiczną moc. Czyżby aż tak wierzył we własne siły? Chyba oszalał! Poczula nagłe ukłucie strachu. Dlaczego on to robi? Już chciała na niego wrzasnąć, lecz w porę się powstrzymała. Przecież jest silny, świetnie zbudowany. Może się obronić sam.

Jeden z rzezimieszków ryknął z wściekłości i rzucił się na księcia, wskazując pozostałym dwóm, by zaszli go od boków. Branneck podniósł się z ziemi i okrążył księcia od tyłu.

Któryś z napastników zaczął biec w stronę księcia, zamierzając się na niego kijem. Czarodziej roześmiał się wesoło, chwycił kij i z całej siły zakręcił nim, obracając wkoło uczezionym kostura zbójem i bezbłędnie trafiając jego nogami prosto w brzuchy pozostałych. Dał się słyszeć głośny trzask łamanych żeber, przekleństwa i głuche jęki.

Kobiety zaczęły się niepokoić. Jedna z nich krzyknęła ze zniecierpliwieniem:

- Branneck, powal go! Wbij mu sztylet w plecy! Chcę dostać ten złoty pasek! Rusz się!

Brecia podeszła do niej spokojnym krokiem, chwyciła za ramię i energicznie ściągnęła z siodła. Niewiasta krzyknęła dziko, spadając na ziemię, jednak się poderwała i rzuciła ku Breccii, mierząc długimi paznokciami w twarz.

Zanim Brezia zdążyła zareagować, księżę chwycił jednego z leżących napastników i rzucił nim prosto w atakującą kobietę. Padli razem ni ziemię.

Mężczyźni spojrzeli na Brannecka i pokiwali głowami. Każdy z nich wyciągnął zza pazuchy długi ostry sztylet. Widać było, że potrafią się nimi posługiwać, i że robili to niejednokrotnie. Księżę tylko się roześmiał.

- Co zamierzacie zrobić tymi kozikami, chłopcy? - zapytał drwiąco. - Chcecie koniecznie poczuć, jak wbijają się wam między żebra? Chodźcie do mnie. Pomogę wam skrócić drogę do nędznego piekła dla śmiertelników.

Branneck zrobił krok w tył, pozostali trzej szyli na księcia z wściekłym rykiem. Czarodziej wymierzył pierwszemu cios w skroń, drugiemu w żołądek, a trzeciemu kopniaka w podbrzusze. Odwrócił się do Brezii i uśmiechnął z zadowoleniem. Stał promieniejąc dumą, gdy Branneck zakradł się ku niemu cicho jak kot. Brezia nie zastanawiała się nad niczym. Krzyknęła rozzwierającą:

- Za tobą!

Księżę odwrócił się, ale za późno. Sztylet Brannecka ugodził go w pierś. Starzec wyszarpnął ostrze z rany i odskoczył na bezpieczną odległość.

- Zdychaj wreszcie, demonie!

Brezia nie mogła w to uwierzyć. Po prostu nie wierzyła własnym oczom. Pozwoliła księciu bawić się w gierki ze śmiertelnikami, gdyż widziała, że sprawia mu to przyjemność, ale wszystko poszło nie tak jak trzeba. A teraz już jest za późno! Biegły ku niej kobiety, mężczyźni gramolili się z ziemi.

- Dajcie nauczkę tej dziwce!

- Rozprujcie jej brzuch!

- Zabijcie ją!

- Ja wezmę złoty łańcuch – krzyknął Branneck.

Książę leżał na plecach. Oczy miał zamknięte.

- Nieszczęśni głupcy! - Brezia wysunęła różdżkę z rękawa i wykrzyczała słowa, których nie używała jeszcze nigdy w życiu. Napastnicy natychmiast legli skrzepowani na ziemi. Brannecka zaś zawiesiła wysoko w powietrzu. - I będziesz tam wisiał na przestrożę innym. Na zawsze!

Słyszała ich krzyki, gdy przyklękała nad księciem i okrywała go peleryną. Oddaliła od siebie strach, zamknęła oczy i przeniosła się w głąb dębowego gaju.

- Nie waż się umierać, do diabła! - powtarzała bez przerwy. Książę leżał cicho i nieruchomo na jej łóżku w drewnianej wieży. Krew zaplamiła całą tunikę.

Przy boku wiedźmy zjawił się Callas.

- Odsuń się, pani. Książę może próbować cię zabić.

- Zostaw, Callasie. On nie jest moim wrogiem. Na bogów, co mam teraz zrobić?

Książę otworzył nagle oczy i powiedział:

- Niezbyt dobrze udawałem śmiertelnika, prawda?

- Udawałeś wyśmienicie. Było ich czterech i uparli się, by cię zabić. Nie odzywaj się lepiej.

Przecież on nie jest śmiertelnikiem, powtarzała sobie w duchu Brezia. Kiwnęła głową i znów była ubrana w długą, białą suknię.

- Powiedz mi, co mam zrobić.

- Nic nie możesz zrobić - odparł. - Znów zachowałem się jak głupiec, wybac mi. Nie chcę cię opuszczać. Chciałem mieć z tobą syna.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz się uleczyć? Co z ciebie za czarodziej? Na litość bogów, zrób coś! Albo powiedz mi, co ja mam zrobić.

Książę zamknął oczy, a ironiczny uśmiech zniknął z jego warg. Brezia domyśliła się, że książę umiera. Umierał jak zwykły śmiertelnik ugodzony sztyltem prosto w serce.

- Nie!

Położyła się na nim i otuliła jego ciało. Czuła, jak krew czarodzieja wsiąka w jej suknię. Czuła też słabe, zamierające bicie jego serca.

Wyciągnęła się i wyprostowała tak, że jej nogi leżały równo na jego nogach, ręce na jego rękach, a serce tuż przy sercu czarodzieja.

Przywarła ustami do jego warg, oddychając tym samym oddechem.

- Nie umrzesz - wyszeptała. - Słyszysz mnie, żalony czarodzieju? Gdzie twoja moc? Zrzuć z siebie jarzmo śmiertelności i uzdrów się lub bądź przeklęty na wieki!

Czuła jego ból pulsujący w sercu, przenikający jej suknię. Zaczęła drżeć z cierpienia, które wciąż rośnie, wlewając się w jej ciało, raniąc jej serce. Przymknęła oczy, czując stalowe ostrze rozdzierające skórę, wbijające się w ciało. Po chwili czuła też wyciekającą wolno krew.

Zacisnęła zęby, zamknęła mocno powieki i starała się utrzymać w sobie ból. Wyszeptała z wysiłkiem:

- Nie umrzesz, mój książę. Oddaj mi ból. Oddaj całe cierpienie.

- Nie, Brezio - odparł. Głos zamierał mu na wargach. - Byłem głupcem. Chciałem się pobawić w śmiertelnika, więc teraz umrę, ale nie pozwolę ci umrzeć razem ze mną. Nie, Brezio.

Zebrał w sobie resztkę sił i zrzucił wiedźmę ze swojego ciała. Potoczyła się bezwładnie po podłodze, nie czując już ani bólu, ani cierpienia. Książę podniósł się na łokciu, by na nią spojrzeć.

- Nie chciałem, by to się stało - wyjąkał i opadł na poduszkę. - Chciałem cię tylko rozbawić, zbić zbirów i usłyszeć twój śmiech.

- Nie umrzesz teraz! Niech cię diabli! - Wykrzyczała jego imię, splatając je z każdym zaklęciem, jakie była w stanie sobie przypomnieć. Zerwała się z podłogi, wyskoczyła w powietrze i ponownie runęła na niego, dokładnie przykrywając jego ciało swoim.

Trzymała go w łóżku najsilniejszym z zaklęć, cisnęła jego czoło własnym. Ból narastał. Nie wiedziała, że istnieje tak wielkie cierpienie. Przewyższało ból płonących dłoni, przekraczało granice jej wyobraźni. Słyszała krzyki Callasa, który błagał ją, by zostawiła nędznego czarodzieja jego losowi.

Czuła, że książę znów usiłuje ją zrzucić, lecz siły go opuszczają. Zaklęcie trzymało go mocno. Brecia nagle zdała sobie sprawę, że ratując go w ten sposób, sama może umrzeć.

Trudno. To nie ma znaczenia.

Przycisnęła się do niego mocniej, jęcząc z bólu.

- Zejdź ze mnie, Breccio - wyszeptał niemal niedosłyszalnie. - To nie jest właściwa droga. Takie jest moje przeznaczenie. - Wiedział przecież, że nikt nie może zmienić przeznaczenia.

Brečia nie miała zamiaru tracić czasu na rozważania o losie. Zaczęła się modlić do matki, babki i całej linii poprzedzających je wiedźm, które ją uczyły, pielęgnowały i pieściły, a potem rozplakała się, a jej łzy spadły na zamknięte oczy księcia.

Ból rozdzierał jej serce. Był silniejszy niż cierpienie śmiertelnika, większy nawet niż ból wiedźmy. Dzielony, ostateczny ból przekraczał wszelkie granice.

Nie wiedziała, w jaki sposób, jednak udawało jej się wytrzymać. Czuła, jak reszta krwi wypływa z niej powoli. Nagle poczuła się pusta i lekka jak skorupka, która nie ma już znaczenia ni celu. Znalazła się ponad własnym ciałem, kołysząc się łagodnie i zastanawiając, co się stało.

Po chwili westchnęła miękko, opadła policzkiem na jego policzek. Miała wrażenie, że spada, czuła jednak przy sobie silne ramię księcia. Spadali razem w czarną czeluść bez dna. Brezia zastanawiała się przez chwilę, czy kiedykolwiek przestaną spadać, i co się wtedy wydarzy.

Rozdział 24

Obżenie

Wróciwszy do jaskini, Bishop ujrzał Merryn grzejącą dłonie przy niewielkim ognisku. Obserwował ją ukradkiem przez chwilę, zdumiewając się, jak bardzo przypomina Brecię.

Ale Merryn nie jest Brecią! Brecia żyła całe wieki temu.

Bishop nie wiedział, jak długo go nie było. Czuł jednak, że oddalił się bardzo od jaskini nad morzem.

- Merryn? - odezwał się głosem chropowatym i szorstkim, jakby nie mówił od bardzo dawna.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Znalazłeś coś ciekawego? Czego właściwie szukałeś?

Bishop potrząsnął głową.

- Jak długo mnie nie było?

- Zaledwie kilka minut. Wróciłeś już, bo zgłodniałeś, czy po prostu nie znalazłeś niczego interesującego?

Tylko kilka minut? Przecież to musiało trwać dłużej! Nie, sam już nie wiedział.

- Myślę, że i jedno, i drugie jest zgodne z prawdą - odparł Bishop, choć nie do końca wiedział, co mówi. Potarł policzek, w który trzasnęła go ręka.

- Mamy trochę czerstwego chleba, który chciałam upiec na patyku nad ogniem, co o tym sądzisz?

- Świetny pomysł - rzekł Bishop, przełykając ślinę. Niemal konał z głodu. Czuł też dziwny ból w klatce piersiowej, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią. Roztarł dłonią obolałe miejsce.

Merryn pokroiła chleb na grube pajdy i nadziała je na patyk. Powoli przesuwała nad płomieniami.

- Co tam robiłeś? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Och, nic takiego - prychnął, siadając przy niej po turecku. - Tam jest całkiem ciemno.

- Zniknąłeś na tak krótko, że na pewno nie obejrzałeś wszystkiego dokładnie.

- Pewnie nie - przyznał, zdejmując podpieczoną pajdę z patyka. - Przecież to tylko kilka min

- Nieustraszony wciąż rżał. Wyjrzałam na zewnątrz, ale nikogo tam nie ma.

- Sprawdzę jeszcze raz, gdy uporam się z tym przepysznym chlebem. Miałaś świetny pomysł Merryn. - Nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać jej, że ktoś go wciągnął do czarnej dziury, śmiał się z niego i spoliczkował. A potem... Przymknął oczy, by sobie lepiej przypomnieć. Potem Brezia leżała na nim, usiłując go uratować kosztem własnego życia. Bishop czuł to, co czuł księżę - wściekłość na własną głupotę, gorycz porażki i rozpacz, że musi umrzeć, nigdy nie dotknąwszy Brecii.

Ale to wszystko musiało się dziać w jego głowie. Nie był przecież śmiertelnie ranny. Nie było go zaledwie kilka minut. To musiał być sen, w którym Brezia i księżę chcieli raz jeszcze poczuć, że żyją. Dlaczego? By Bishop

uwierzył, że istnieli naprawdę? Dlaczego?

Klątwa. O czymkolwiek by myślał, zawsze wracał do klątwy.

Uspokajał się powoli. Brezia i księżę pokażą mu, co należy przedsięwziąć. Zjadł jeszcze jedną pajdę. Cokolwiek przeżył, cokolwiek mu się przyśniło, szybko ulatywało z jego pamięci.

Merryn oderwała przypalony kawałek skórki z pajdy.

- Mówiłeś, że musimy tu przyjechać. Że to ma coś wspólnego z klątwą. Nie rozumiem tego. Twierdzisz, że niczego nie znalazłeś. Co teraz zrobimy?

Bishop przez chwilę patrzył w ognisko.

- To miejsce jest źródłem klątwy - powiedział wreszcie.
- Albo tu właśnie musi się skończyć jej władza. Jeszcze nie jestem pewien.

- Nie wiesz, co powinieneś być tu znaleźć? Co my tu właściwie robimy?

Bishop pokręcił bezradnie głową.

- Czuję się jak ślepiec - wyznał. Jednak już się nie bał. Sny nie były wyłącznie snami, stały się częścią jego samego.

- Co dalej, Bishopie?

Spojrzał na włosy Merryn czerwone jak płomień w mrocznym wnętrzu jaskini. Splotła je ciasno wokół głowy.

- Nie wiem - przyznał. - Wiem tylko, że musimy tu pozostać. To wszystko stało się tak dawno temu.

- Co stało się dawno temu?

Bishop zdał sobie sprawę, że myśli na głos.

- Wiele rzeczy – wyjąkał.

Merryn wyjęła z sakwy ostatnią porcję solonych śledzi i podzieliła na dwie części. Bishop zauważył, że jego

porcja jest trzy razy większa. Dziewczyna mruczała coś pod nosem. Pasma skręconych włosów wysunęło się z koka i leniwie kołysało przy jej piersiach. Znienacka Bishop poczuł tak silną żądzę, że niemal nie mógł oddychać. Była obezwładniająca. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak potężnej mocy pożądania drążącego jego ciało, sprowadzającego szaleństwo. Musiał ją mieć! Musiał ją posiadać tu i teraz! Nagle oczyma wyobraźni zobaczył księcia i Brecię.

- Teraz. Pragnę cię teraz.

Merryn upuściła swoją porcję śledzi do ogniska. Jego wygląd ją przeraził.

- O, nie! - wykrzyknęła. - Zobacz, co przez ciebie zrobiłam! Przestań myśleć o głupotach i pomóż mi! - Pochyliła się nad ogniskiem i usiłowała wydobyć paski ryby spomiędzy płomieni i popiołu lecz nie szło jej dobrze.

- Możesz wziąć moje, Merryn, i tak nie będę jadł. Ale najpierw muszę cię posiadać. Natychmiast.

- Co się z tobą dzieje? Zjadasz pieczony chleb i natychmiast przepelnia cię żądza? Nie oszukuj, że mnie pragniesz. Pragnąłeś mnie już wcześniej a jakoś się powstrzymałeś. Przyznaj, że tak naprawdę to nie mnie pragniesz, lecz tego, co mogłabym przynieść ci w wianie. Co się nagle zmieniło?

Jakże mógłby jej nie pragnąć? Och, na bogów, myślał tylko o tym, by się w nią wdrzeć, a ona kazała mu snuć jakieś rozważania? Owszem, smakował mu chleb. Czy już raz tego nie mówił? Bishop potrząsnął głową, lecz nie znalazł w niej odpowiedzi na żadne z pytań. Czuł wyłącznie palące płomienie żądz, której nie był już w stanie opanować. Wyciągnął po nią rękę, lecz ku jego zdumieniu wetknęła mu w dłoń pasek opieczonogo

śledzia. Zjadł go i znów wyciągnął rękę tylko po to, by dostać kolejny pasek ryby.

- Chcę cię zobaczyć naga - wybełkotał z pełnymi ustami. - Chcę, byś szeroko rozłożyła nogi i objęła mnie ramionami. Teraz.

- Nie boisz się już, że klątwa cię zabije?

Klątwa? Co za nonsens!

- Chodź tu, Merryn. Ściągaj suknię i chodź tu.

Merryn podniosła się z klęczek, wsparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego z góry.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Zostaw mnie, Bishopie, i przestań mówić takie rzeczy. Nigdy nie słyszałam, byś zwracał się do kogokolwiek takim tonem. Choć twoja twarz ukryta jest w cieniu, widzę twoje oczy i one wyglądają bardzo dziwnie. Zostań tam! Idź precz!

- Nie mogę jednocześnie zostać i iść precz – odparł dowcipnie Bishop.

Merryn aż się zatchnęła ze zdumienia.

Bishop czuł, że krew burzy mu się w żyłach. Przecież jest wciąż taki sam, do diaska! To tylko żądza doprowadza go do szaleństwa. Merryn odetchnęła płytko i zniemacka wypadła pędem z jaskini.

- Merryn! Niech cię licho, kobieto, wracaj! Jest ciemno, mogą cię zaatakować zwierzęta i...

Oczywiście go nie słyszała. Co się z nim dzieje, na litość boską? Czuł, że jego męskość nabrzmiała i stwardniała jak marmurowa kolumna. Drżał z pożądania, tonął w nim, nie był w stanie się obronić. Wiedział tylko, że musi ją mieć. Tu i teraz. Wkrótce i tak będzie jego żoną, więc nie ma nawet znaczenia, czy uczyni ją brzemienną. Bóg mu z pewnością przebaczy.

Przeczesując okoliczne zarośla, wciąż wykrzykiwał jej imię. Wreszcie zobaczył ją biegnącą ku Nieustraszonemu. Chyba nie ukradnie mu konia?

Chwycił ją za nogę w momencie, gdy wskoczyła na koński grzbiet. Pociągnął z całej siły. Merryn ciężko spadła na Bishopa. Trzymał ją mocno. Och, przecież nie pierwszy już raz trzyma ją przy sobie, czując jej prężne piersi, lecz teraz czuł się zupełnie inaczej. Chciał je obnażyć, przywrzeć wargami do nagiej skóry. Chciał czuć na sobie każdy kawałek jej smukłego ciała. Oddychał tak ciężko, że nie był w stanie nic powiedzieć.

Uderzała go z wściekłością po ramionach i torsie, a po chwili wymierzyła mocny cios w szczękę. Nie była w stanie się dobrze zamachnąć, więc Bishop nie ucierpiał zbyt wiele. O wiele bardziej bolały go siarczyste policzki w głębi jaskini. Teraz ledwie dostrzegał wysiłki Merryn. Czuł tylko jej zapach i urywany oddech. Tego było już za wiele.

Nagle zdał sobie sprawę, że Merryn się go boi. Przestraszył ją dziwnymi słowami. Musi coś zrobić, przecież nie może rzucić jej na ziemię i pojąć. Chwyciwszy ją za ramiona, zaczął nią potrząsać, aż się uspokoiła. Chciał ją pocałować w usta, lecz zamiast tego wrzasnął:

- O co ci chodzi? Będziesz przecież moją żoną! Nie ma nic złego w tym, że mi się oddasz. To nie szkodzi, że ksiądz nas jeszcze nie pobłogosławił. Oddasz mi się, Merryn. Przestań ze mną walczyć, nie bój się. Silna i odważna z ciebie dziewczyna, niczego nie powinnaś się bać. Chcę cię tylko pojąć, a z pewnością ty również tego pragniesz czyż nie? Nie widzisz, że wszystko ku temu zmierza?

- Co ku temu zmierza? - wrzasnęła, tłukąc go pięściami.

Bishop nie zrozumiał pytania, ale nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Powiedział, co należało, a teraz chciał już tylko w nią wejść.

- Powiedz, że już się nie boisz. Powiedz, że mnie pragniesz.

Stwardniała męskość pulsowała wściekle. Bishop wiedział, że Merryn to czuje, czuje jego kształt i wielkość, wiedział też, że ją to przeraża. To nie miało dla niego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia, prócz wepchnięcia się wreszcie pomiędzy jej nogi.

- Powiedz!

Merryn chwyciła dłońmi jego głowę i ścisnęła ją mocno. Chciała, by choć przez chwilę jej wysłuchał.

- Posłuchaj mnie. Będiesz moim mężem, dopóki śmierć nas nie rozłączy, pod warunkiem że klątwa cię nie zabije. Ach, nienawidzę tej klątwy!

Pocałował ją. Merryn poczuła przyjemne łaskotanie w dole brzucha. Uniosła głowę i oddała mu pocałunek. Przyjemne ciepło zafalowało w łonie i rozlało się jak fala ku piersiom. Przedziwne. Teraz ona miała kłopoty z oddychaniem. Czy to dlatego, że męskość Bishopa tak silnie na nią napiera? Rycerz chwycił ją za biodra, uniósł i przycisnął do siebie, przesuwając dłonie na krągłe pośladki. Merryn chciała, by nigdy nie przestał jej całować. Język Bishopa wciskał się między jej wargi, więc je rozchyliła i niemal zemdląca, gdy wdarł się do wnętrza jej ust.

Krzyknęła i zacisnęła mocno usta. Na kości wszystkich świętych! To zdecydowanie za dużo. I za mało jednocześnie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, jednak

wcale nie chciała już uciekać. Małą częścią świadomości, która wciąż jeszcze potrafiła formułować myśli, zdała sobie sprawę, że przecież wie, co mężczyźni robią z kobietami, a do tej pory zawsze uważała to za niedorzeczne, zawstydzające i zapewne niezmiernie obrzydliwe dla kobiety. Tajemnicza część jego ciała zdawała się jeszcze twardsza niż przed chwilą. Bishop przytulił Merryn tak mocno, że stanowili niemal jedno. Jednak pragnęła znaleźć się jeszcze bliżej. Potrzeba dotykania go, wtulania się i ocierania stała się obezwładniająca. Chciała dotykać go całego, nawet tę tajemniczą część jego ciała, która tak mocno wpijała jej się w brzuch. Czuła łomotanie jego serca i wydawało jej się, że nawiązuje ono sekretną rozmowę z jej własnym sercem. Oddychał ciężko i pragnęła, pragnęła...

- To jest po prostu cudowne - powiedziała, zanim znów zamknął usta na jej wargach. Wspięła się na palce, wsunęła dłonie w jego włosy, by przyciągnąć go do siebie.
- Zapomnij o klątwie.

Bishop dyszał z pożądania. Na bogów! Jej usta, jej piersi! Posunął się za daleko i nie ma już odwrotu. Musi ją osiąść! Chwytał ją na ręce i zaniósł do jaskini, całując jej usta i oczy. Potknął się na kamieniu i niemal przewrócił. Merryn wczepiła się w niego kurczowo. Nie przestawał jej całować. Podobnie jak ona nie mogła przestać całować jego. Należała już do Bishopa. Będzie jego żoną.

Chwilę przed tym, jak się na niej położył, zdał sobie sprawę, że pomimo czterech mężów, których miała, wciąż jest dziewicą. Lecz w tej chwili to dla niego było bez znaczenia. Musi ją natychmiast osiąść. Merryn jęknęła cicho.

Położył ją na plecach i zadarł suknię. Zobaczył długie, smukłe nogi, rozsunął je na boki, odsłaniając rude loki na łonie. Na bogów. Niemal ugryzł się w język.

- Jesteś moja - wyjąkał. Zrzucił spodnie i ułożył się na niej.

- Bishop?

Głos Merryn drżał lekko. Bishop wyczuł jej lęk. Z trudem oderwał wzrok od jej brzucha i spojrział w zielone oczy.

- Nie bój się. Postaram się zrobić to delikatnie, ale nie wiem, czy zdołam. Już za późno, Merryn. Przykro mi.

Rozsunął szerzej jej nogi. Był już nabrzmiąły, gorący i gotowy wniknąć w jej ciało. Zdażył tylko cicho syknąć, gdy Merryn uderzyła obydwoma łokciami na boki, wytrącając go z równowagi. Opadł na nią bezwładnie. Był zbyt wstrząśnięty, by się poruszyć. Merryn chwyciła go za włosy i zaczęła obsypywać twarz Bishopa pocałunkami.

- Wcale się nie boję, rozumiesz?

Czuł jej nagie ciało i bijący z niego żar. Był bliski spełnienia. Och, nie! Najpierw musi w nią wejść. Potem może nawet umrzeć.

- Nie boisz się?

- Nie - wyszeptała mu do ucha.

- Jesteś naga - odszepnął. - Jesteś naga i bardzo cię pragnę, Merryn. Muszę.

Chciał się podnieść, by ułożyć się dobrze między jej nogami, lecz Merryn trzymała go kurczowo za szyję i wciąż obsypywała pocałunkami jego twarz.

Przez chwilę badał językiem wnętrze jej ust.

- Twoje włosy łonowe są tak samo czerwone, jak te, które masz na głowie. Czuję cię przy sobie i to sprawia,

że... muszę cię dotykać, muszę cię smakować...

Merryn drżała na całym ciele, w ogóle nie rozumiejąc, co Bishop do niej mówi. Wiedziała jednak, czego pragnie - chce czuć w ustach jego gorący język i żar jego nagiego ciała. Zdawało jej się, że dłonie Bishopa są wszędzie. Dotykał jej, rozpalając coraz mocniej. Nie puściłaby go za nic. Nie mogła nasycić się jego ustami i ciepłym oddechem, który rozgrzewał ją aż do stóp.

- Muszę w ciebie wejść, naprawdę muszę. Nie rozumiesz, Merryn? Jeśli w ciebie nie wejdę, rozleję nasienie na ziemię.

Czuła, jak całe jego ciało dygocze. Domyśliła się, że nie może w nią wejść, dopóki go nie puści. Nie mogła tego zrobić! Kurczowe trzymanie sprawiało jej wielką rozkosz.

- Całuj mnie, Bishopie. Nie przestawaj mnie całować. Tego właśnie pragnę. Nie przestawaj.

- Chcę pocałować twój brzuch - zadrżał Bishop, przygryzając lekko wargi Merryn. - Chcę całować twoje piersi i...

- Dobrze, ale pocałujesz mnie znów w usta, jeśli coś mi się nie spodoba?

- Przyrzekam, że wszystko ci się spodoba.

Merryn puściła szyję Bishopa. Podniósł się na dłoniach i kolanach. Spojrzał jej w twarz i zobaczył wszystkie dzikie żądze, które skrywała w sercu. Wiedział, że Merryn go pragnie.

Jeszcze szerzej rozsunął jej uda. Spojrzał na nią tylko raz i wiedział już, że dłużej nie wytrzyma. Nie miał już czasu na całowanie jej brzucha ani ocieranie się policzkiem o czerwone włosy na łonie.

- Merryn - wyjąkał cicho. - Postaraj się to polubić dobrze?

Chwycił ją za biodra, zaciskając palce na delikatnej skórze i wszedł w nią szybkim ruchem. Krzyknął głośno z rozkoszy. Słyszał też przeciągły krzyk Merryn, czuł, jak tłucze go pięściami po torsie, lecz już nie mógł się powstrzymać. Przedarł się przez dziewiczy wianek i wcisnął aż do samego końca. Wysunął na chwilę i znów się w nią zagłębił. I jeszcze raz. Słyszał z oddali jej krzyki i piski, nie mógł się na nich skupić. Ekspłodował nagle, niemal tracąc świadomość. Miał wrażenie, że rozpadł się na drobne kawałki i mógłby w tej chwili umrzeć bez odrobiny żalu. Czuł się wolny, lekki i odurzony. Serce tłukło mu się w piersi. Opuściły go wszystkie siły i opadł ciężko na jej ciało. Niezmierzony pokój wypełnił mu serce. Ze zmęczenia zamykały mu się oczy.

Nie sądził jednak, by Merryn czuła się podobnie. Szlag.

Następnym razem sprawi, że będzie krzyczała z rozkoszy tak długo, aż ochrypnie.

Następnym razem.

Po chwili zapadł w głęboki sen.

Rozdział 25

W innym czasie

Księżciu powoli rozjaśniało się w głowie. Ból zelżał, czuł tylko ucisk w piersi, jakby ktoś uderzył go pięścią, lecz Brecia leżała na nim bezwładnie, bez ruchu.

Ledwie powstrzymał okrzyk strachu. Nie, Brecii nie mogła stać się krzywda! Strach dławił go w gardle, serce zaczęło łomotać. Otoczył ją ramionami i przytulił. Nie poruszyła się.

- Brecio.

Zaczął lekko głaskać jej plecy, zastanawiając się, jak zdołała go ocalić. Pamiętał doskonale, że otrzymał śmiertelną ranę prosto w serce. Był arogancki i chciał pokazać Brecii, jaki jest silny, wspaniały i ilu wrogów może naraz pokonać. Zarówno śmiertelników, jak i czarodziejów. A jednak się pomylił. Na wszystkie moce! Powinien być martwy, a nie jest i to dzięki wiedźmie!

Breca go ocaliła.

Nie poruszała się. Nie, to niemożliwe. Nie mogła przecież oddać życia za życie księcia. Nigdy by się z tym nie pogodził. Przytrzymał ją ramionami i obrócił się powoli, aż spoczęli na bokach. Dotknął dłonią serca Brecii.

- Niech cię licho porwie, szalona wiedźmo! Pozwól sercu znów bić. Słyszysz mnie? Mam już dość tych zabaw. Niech twoje serce znów bije! - Zaczął rytmicznie przyciskać dłoń do jej serca, jednocześnie całując zastygłe wargi. - Otwórz oczy. Przecież tak łatwo się nie poddasz. Powinnaś walczyć o życie, bronić go. Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego? Nie mieści mi się to w głowie! Brecio, otwieraj oczy albo ci przyłożę!

Poczuł pod dłonią słabe bicie jej serca i uśmiechnął się.

- Wystarczy, że pogrozę ci palcem i już mnie grzecznie słuchasz.

Otworzyła oczy. Twarz księcia była tak blisko, że Brecia widziała tylko rozmazaną plamę.

- Zabieraj łapę z mojej piersi, obłąkany czarowniku!

- Dlaczego? Czyżbym naprawdę był obłąkany? Trudno byłoby mi zaprzeczyć. Ale dłoń zostaje tam, gdzie jest. Bardzo mi się to podoba. Chwileczkę... - Wsunął dłoń pod suknię, dotykając nagiej piersi Brecii.

Poczuł wilgoć na palcach.

Zmarszczył brwi, przetoczył Brecię na plecy i pochylił się nad nią.

- Co się stało? Dlaczego jesteś przemoczona? - Zsunął suknię z ramion wiedźmy i spostrzegł krew wypływającą z rany na jej jasnej piersi, tuż nad sercem. Och, Boże. Wzięła na siebie jego ranę! Wiedział to już wcześniej, lecz nie mógł ścierpieć widoku krwi - jego krwi i jej krwi zmieszanych, płamiących jej gładkie ciało. Nie mógł uwierzyć, że była gotowa umrzeć, by go ocalić, że przyjęła na siebie niewyobrażalny ból.

- Ocaliłaś mnie. - Książę przycisnął dłoń do piersi Brecii. Krew przestała wypływać z ram - Wciąż cię boli, Brecio?

- Już nie tak bardzo. Tylko trochę.

Książę usiadł. Krew zaschła na piersi wiedźmy i zaczęła znikać, rozwiewać się jak sen. Wkrótce ciało Brecii było znów czyste i jasne.

- Żyję - powiedział książę. - Krew krąży w moich żyłach. Jestem znów silny, niepokonany. Już nigdy więcej nie będę się bawił w śmiertelnika.

- Wreszcie powiedziałeś coś mądrego, książę.

Uśmiechnął się słabo.

- Nigdy nie słyszałem, by wiedźma uratowała czarodzieja.

- Ja również tego nie zrobiłam. - Złapała go delikatnie za rękę. - Jak się czujesz?

- Znów jestem silny. Jestem sobą. Dlaczego pytasz? Brecia westchnęła.

- Zawsze uważałam, że czarodziej albo śmiertelnik powinien zginąć, jeśli kogoś skrzywdzi, nie zaś wtedy, gdy wydaje mu się, że jest tak pełen mocy, że przezwycięży wszelkie przeciwności. To nie jest przecież takie złe. Twoja zaś arogancja, mój książę, jest po prostu częścią ciebie. Właściwie to nawet ją lubię.

- Co zrobiłaś tym zbrojcom?

- Związałam ich wszystkich razem, przeplatając ich ręce i nogi na wszystkie możliwe sposoby! Brannecka zaś zawiesiłam w powietrzu wyjącego wniebogłosy. Nie wiem, jak długo będzie działać to zaklęcie. Może gdy zbroje się uwolnią, zdołają go jakoś ściągnąć.

- Przyszli od Mawdoora.

- Oczywiście - odparła. - Myślę, że sprawdzał naszą moc. Nie zmartwiłby się wcale, gdybyśmy zabili ich

wszystkich. Jednak to, co zrobiłeś... Mawdoor może dowiedzieć się na twój temat czegoś nowego, odkryć twoją słabość.

Książę już chciał powiedzieć, że nie ma żadnych słabości, lecz westchnął tylko.

- Odkrył ją bez wątpienia. Jeśli Mawdoor obserwował całe zajście, wiedział, że głupotą jest stanąć przeciwko napastnikom w skórze śmiertelnika. Może nawet uważa, że zginąłem? To bardzo prawdopodobne. Czarodziej nie może cię tu śledzić, prawda? Nie może wędrować myślami po lesie?

Brecia pokręciła odmownie głową.

- Wiele ryzykowałeś, wchodząc do mojego gaju. Wydaje mi się, że święte dęby wygaszają magiczną moc czarodziejów. Wyśmienicie mnie chronią.

- W takim razie dobrze zrobiłem, biorąc Callasa na przewodnika.

- Owszem. - Brecia uśmiechnęła się do niego i pogłaskała lekko jego tors. - Przeżyliśmy.

- Zgadza się. I to nie dzięki mnie. Chciałem cię rozbawić, Brecio. Chciałem, byś mnie podziwiała, zaprzepaściłem jednak wszystko, do diabła. A ty mnie uratowałaś. Dotknij mnie znów - westchnęła Brecia.

- Dotknij mojej piersi.

Jeśli istniało niebo dla czarodziejów, mógłby przysiąc, że właśnie się w nim znalazł. Wprost nie mógł uwierzyć w to, co powiedziała. Spojrzał na jasną, pełną pierś, pocałował ją i objął brodawkę wargami. Była bardzo ciepła. To ciepło rozgrzało go. Odetchnął zapachem jej ciała.

- Nikt cię jeszcze nie całował, Brecio?

Brecia wiedziała, że książę coś do niej powiedział, lecz nie była w stanie skupić się na jego słowach.

Wstrząsały nią nieoczekiwane uczucia. Miała wrażenie, że mogłaby wzlecieć w niebo i zabrać go ze sobą. Chciała krzyczeć z rozkoszy i pragnęła, by całował ją aż do utraty przytomności.

Co się z nią dzieje?

Nigdy w życiu nie czuła się podobnie.

Od przebiegających jej ciało dreszczy niemal czuła ból w podbrzuszu i piersiach. Chciało jej się wzdychać, śmiać i jęczeć jednocześnie. Książę bez pośpiechu muskał ją tak delikatnie, jakby jego palce były skrzydłami kolibra. Czy coś z nim jest nie w porządku? Czyżby nie czuł zupełnie niczego? Czy jest nieczuły jak pień dębu?

Poderwała się i popchnęła go na łóżko.

- Książę... - szepnęła, zdzierając z niego ubrania. Czarodziej leżał bez ruchu, zastanawiając się co się dzieje z Brecią. Jednak cokolwiek się działo, nie miał najmniejszego zamiaru jej powstrzymać. Jej ciało aż drżało z żądy.

Po krótkiej chwili była już naga i ocierała się brzuchem o jego męskość. Z zapamiętaniem głaskała nagi tors i płaski brzuch, po czym wsunęła się między jego nogi.

- Breccio, zwolnij trochę. Musisz zwolnić. Nie potrafię tak jak ty...

- Cicho - ucięła i objęła jego męskość ustami.

Książę uniósł się pół metra nad łóżkiem, wraz z Brecią. Odetchnął błękitnym dymem, który miał zapach afrodyzjaku, i położył dłonie na głowie wiedźmy.

Nigdy nawet nie wyobrażał sobie czegoś podobnego. Teraz zaś nie był w stanie wyobrazić sobie niczego. Brecia ujęła w dłonie jego członek. Był już tak twardy, że mógłby się przebić choćby przez czas. Usiadła na nim okrakiem, delikatnie wsunęła główkę męskości w swoje

ciało, a po chwili jednym, silnym ruchem wzięła go całego.

Nie wiedziała, że zaboli. Krzyknęła z przestraczem lecz w jej krzyku, prócz bólu, słyhać było też dziką radość posiadania. Miała go wreszcie! Swojego czarodzieja, którego wybrała już dawno i którego krew płynęła teraz w jej żyłach.

Książę nigdy jeszcze nie widział tak wszechogarniającej żądy - ni u śmiertelniczki, ni u wiedźmy. Brezia pragnęła go i bez ceregieli brała to, na co miała ochotę. Jęknął głucho. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął, by pocałować w rozchylone usta. Poruszała się w szalonym tempie, mrużąc jaśniejące pożądaniami oczy.

- Brezio - szepnął książę. - Spróbuję dotrzymać ci kroku.

Wsunął palce między jej uda i odnalazł nabrzmiaty pączek. Zaczął go pieścić, czując, jak Brezia emanuje mocą. Chciało mu się płakać ze szczęścia, że wreszcie należy do niego i już na zawsze pozostanie przy jego boku.

Palce księcia głaskały ją, pocierały i z każdą chwilą zbliżały ku czemuś, czego jeszcze nie rozumiała, choć czuła, że jest blisko. Dłonią głaskał napiętą skórę uda, zaś jego męskość wbijała się głęboko w jej wnętrze. Widziała to wszystko oczyma wyobraźni, czuła każdy jego oddech. Zastygła na krótką chwilę i krzyknęła na cały głos. Na ten widok książę również osiągnął szczyt. Na bogów, czuł się spełniony! Trzymał ją mocno w ramionach, wiedząc, że wznieśli się wysoko w kłębach błękitnego dymu aż ponad dach fortecy.

Gdy Brezia doszła do siebie, nie wiedziała, gdzie się znajdują. Wiedziała tylko tyle, że nie leżą już w jej łóżku. Książę trzymał ją w ramionach, jego męskość wciąż

znajdowała się w niej i Brezia czuła się szczęśliwa.

Czarodziej całował jej ucho, delikatnie lizał i przygryzał płatek.

- To, co zwykle robimy, Brecio, to tylko sztuczki - powiedział głębokim, dudniącym głosem. - Jednak to, co robiliśmy przed chwilą... - ścisnął ją mocno - ...to prawdziwa magia.

- Gdzie jesteście?

- Nie wiem - powiedział zaskoczony. Jednak po chwili domyślił się i był dumny ze swojej intuicji. - To nie ma znaczenia. Możemy oddychać i rozmawiać, jest nam ciepło. Czuję ciepłą bryzę.

Wciąż leżała na nim, przytulona z całych sił, podobnie jak wtedy, gdy brała na siebie jego ból i krew. Pocałowała go w usta.

- Mogłaś umrzeć, głupia więdźmo!

Brezia ugryzła go w język.

- Ach, tak - powiedziała, muskając czubkiem nosa jego twarz. - Mam przez to rozumieć, że gdybym to ja była ranna, pozwolilibyś mi umrzeć? Nic byś nie zrobił?

- Znam mnóstwo zaklęć i potrafię robić mikstury. Stworzyłbym coś, co uratowałoby ci życie.

- Dobrze to wiedzieć.

Oplótł Brecię ramionami, przyciągając ją bardzo blisko siebie. Byli wciąż nadzy i czuł swoje nasienie na jej brzuchu i nogach.

- Poczęłaś mego syna - powiedział księżę i przytulił ją znowu. Ścisnął ją tak mocno, że pisnęła.

- Nie połam mi żeber, wariacie.

- Wariacie? To nie ja cię posiadałem na siłę, Brecio! Prawdę mówiąc, leżałem i zastanawiałem się, czy przeżyję, czy jednak umrę, bałem się poruszyć i miałem wielką ochotę spuścić ci lanie za to wszystko. Hm.

Nigdy nie słyszałem, by kobieta napadała na mężczyznę, by zaspokoić swą chęć.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - odparła, lecz w jej głosie pobrzmiwała duma i dzikość. Książę uśmiechnął się czule.

- Cokolwiek to było, może najść cię znowu. - Podniósł ją delikatnie, by ucałować jej nagie piersi. Odetchnął jej zapachem, polizał gładkie brodawki i znów przytulił mocno do siebie. - Napadaj na mnie, Brecio. Napadaj tak często, jak tylko masz ochotę.

- Dobrze - powiedziała wiedźma, uśmiechając się lekko.

- Tylko jedno mnie niepokoi, mój książę. Niedługo wszyscy dowiedzą się, że niezbyt dobrze sobie radzisz ze śmiertelnikami. Jeden z nich zdołał nawet wbić ci sztylet prosto w serce. Rzecz zupełnie nieprawdopodobna!

- I mnie również nie mieściło się to w głowie - rzekł książę z zadumą - dopóki nie zdałem sobie sprawy, że choć byli śmiertelni, nie byli zwykłymi ludźmi.

- Cóż to znaczy?

- Mawdoor udzielił im nieco mocy i znacznie zwiększył ich siły i spryt. Miał nadzieję, że to wystarczy, by mnie zabić.

- Dzięki bogom, że dał im tylko tyle mocy. Naprawdę wierzysz, że jestem brzemienna, mój książę?

Brecia uniosła się na łokciach, patrząc na wargi czarodzieja. Uśmiechnął się do niej i musnął palcami policzki.

- O, tak. Mój syn mieszka już w twym łonie. Nigdy już nie zachowam się równie głupio, Brecio. Jeśli kiedykolwiek ponownie znajdziemy się w pułapce, to ja będę chronił ciebie.

Brecia poczuła nagły chłód, a może to wiatr dmuchnął jej prosto we włosy.

- Nie podoba mi się to - powiedziała, wciągając powietrze nosem. - Chcę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Książę nie odpowiedział. Spojrzała na niego zdając sobie sprawę, że wciąż jest w niej i znów staje się twardy.

- Jesteśmy w jaskini - powiedział książę, ziewnął, przeciągnął się i stał się jeszcze twardszy niż przed chwilą. - Jesteśmy w mojej jaskini.

- W twojej jaskini? Masz własną jaskinię? Jak to możliwe? Która z jaskiń jest twoja? Nie ma jaskiń w moim gaju.

- Zgadza się. Nie ma jaskiń w twoim gaju. Tu zawsze czułem się bezpieczny. Jaskinia nie jest rozległa, więc nigdy nie bałem się czających się w niej potworów czy wrogów. - Westchnął głęboko. - W jakiś sposób przenieśliśmy nas do jaskini.

- Ciepło tu. I pachnie przyjemnie. Jak kielkująca trawa.

- Prawda. Powiałem w ciebie lekką bryzą. Czułaś ją?

- Osuszyła pot z mojego czoła. Widzę też koce, na których możemy się położyć.

- Czy zauważyłaś, że w ogóle nie dotykałem łóżka, gdy zaczęłaś ze mnie zdzierać ubranie? Podniosłaś mnie z niego swym pożądaniem.

- Gdy teraz o tym myślę, to rzeczywiście, pamiętam, że wyjątkowo łatwo było mi obejmować cię ramionami - powiedziała Brecia, muskając nosem jego brodę.

Książę jest czarodziejem. Nie dziwi go nawet to, co zrobi mimochodem, w ogóle o tym nie myśląc. Prawdę mówiąc, Brecia także nie myślała o niczym. Czuła, że z ich ciałami dzieje się coś cudownego, lecz nie

zastanawiała się nad tym ani przez chwilę. Nie wiedziała też, że nawet w chwili zapomnienia jego wola jest od niej silniejsza.

Nagle się przestraszyła. Księżę jest od niej o wiele potężniejszy. Przyznając to przed samą sobą, musiała w duchu zgodzić się, że jego pozycja jest mocniejsza. Zupełnie jej się to nie podobało i bała się tego. Poza tym... Czy naprawdę jest już brzemienna? Po jednym zbliżeniu? Nie, to przecież niemożliwe! Gdy tylko wróci do swojego gaju, zapyta najstarszego ducha, który jest wprawdzie ślepy, lecz potrafi zajrzeć w głąb starego dębu, w strumień ognia, w łono wiedzmy.

Księżę zaczął się poruszać. Wchodził w nią rytmicznie, długimi ruchami.

- Brecio - powiedział wprost do jej ust - zapomnij się ze mną jeszcze raz. Może tym razem znajdziemy się z powrotem w twojej fortecy? Jeśli chcesz, mogę tam wysłać moje myśli.

Jego wola zabierze ich z powrotem, choć jej wola nie zdołałaby tego dokonać. Pocałowała go i zapomniała o całym strachu. Żądza znów rozgrzała jej ciało, wzburzyła krew.

- Och, tak - szepnęła. - Och, tak.

* * *

Obęczenie

Gdy się obudził, Bishop zapragnął Merryn z taką siłą, że nie był w stanie znaleźć właściwych słów, które mogłyby przekonać ją, by ponownie mu się oddała,

Przetoczył się tylko, położył na Merryn, rozsunął jej nogi i wszedł w nią gwałtownie.

Otworzyła oczy. Czuła go w środku. Nic bała się, nie czuła trwogi. Wiedziała z całą pewnością, że tym razem będzie zupełnie inaczej. Już czuła coś zdumiewającego. Bishop stał się częścią niej samej. Był w niej głęboko i wysuwał się tylko po to, by wejść w nią ponownie.

Pocałowała go w ramię. Uniósł się na łokciach.

- Merryn? Obiecuję, że tym razem ci się spodoba.

- Wiem - odszepnęła. - Chyba już zaczyna mi się podobać.

Pocałował ją namiętnie i za każdym razem, gdy odrywał od niej wargi, opowiadał jej z najdokładniejszymi szczegółami, co zamierza z nią zrobić. Palce Bishopa przesuwają się powoli po jej brzuchu, ześlizgiwały się coraz niżej, wreszcie odnalazły punkt, którego szukały. Merryn spojrzała na niego ze zdumieniem. Rozkosz zalała ją tak nagle, że zdążyła pomyśleć. Krzyknęła tylko głośno.

Słyszała jego ciężki oddech, przyspieszający nagle i urywający się gwałtownie. Po chwili Bishop otoczył ją ramionami, przeturlał się i usadził ją na sobie. Wciąż był w niej. Merryn nie chciała krzyczeć. Raczej wołałaby wyszeptać, jak cudownie się czuje, pozwolić fali przyjemności toczyć się i płynąć.

Położyła się na jego torsie, czując ciepłe dłonie głaszczące jej plecy, biodra i pośladki.

- Jak się czujesz, Merryn? Podobało ci się?

- Och, tak - odpowiedziała. - Bardzo. - Była z siebie ogromnie zadowolona.

- A teraz musimy pokonać tę idiotyczną klątwę byśmy mogli się pobrać. Poczęłaś właśnie mojego syna.

Te słowa wstrząsnęły nią tak bardzo, że zastygła.

- To z pewnością niemożliwe. Skąd miałbyś to wiedzieć? Mężczyźni przecież nawet o tym nie myślą, gdy dyszą i przewracają oczami!

- Po prostu wiem. Jeśli chcesz rozmawiać o dyszeniu, to powinnaś też pomyśleć o przeraźliwych krzykach, jakie wydobywały się z twojego gardła. Prawie ogłuchłem.

Nie mogła zaprzeczyć.

- Wydaje ci się, że to twoja zasługa?

Przyciągnął ją ku sobie i całował tak długo, aż zaczęła cichutko jęczeć. Doprowadzało go to szaleństwa. Zaczęła się na nim poruszać i Bishop wiedział, że go pragnie.

- Tego z pewnością nie powinno się robić w ten sposób - wydyszała Merryn. Bishop miał wrażenie, że tonie w nieskończonym oceanie pożądania.

- Ależ skąd, robimy to właściwie. Zaufaj mi. Krzyknij jeszcze raz, Merryn.

Merryn krzyknęła. Bishop nie pozostawał w tyle. Zanim jeszcze opadła z sił, Merryn stwierdziła, że po tym wszystkim powinna nosić w łonie co najmniej trzech synów.

Zasypiając, usłyszała kobiecy śmiech. Czyżby sama się śmiała? Nie, przecież wiedziałyby, że się śmieje. Śmiech zamilkł po chwili i znów zapanowała cisza. Merryn odetchnęła zapachem ciała Bishopa, zlizwała kroplę potu z jego ramienia i uśmiechnęła się. Równe, spokojne bicie jego serca ukotłowało ją do snu.

Rozdział 26

Bishop pochylił się nad czarną dziurą, czekając na siarczasty policzek i śmiech.

Nic. Powietrze stało nieruchomo. Nic nie czało się w mroku, nic nie domagało się wyjaśnień.

Bishop miał ze sobą pochodnię. Podniósł ją i oświetlił wnętrze otworu. Zobaczył tylko ciemność. Poświecił głębiej - nic. Żadnej drabiny, schodów, niczego.

Był niemal gotów uwierzyć, że wszystko mu się śniło, gdy nagle pochodnia zgasła z głośnym trzaskiem, jakby ktoś zgniół ją między potężnymi dłońmi. Bishop stał w kompletnych ciemności. Cofnął się o krok, potknął na czymś i upadł na piaszczyste dno jaskini.

W tej chwili pochodnia zapaliła się znowu, mimo że leżała na piasku. Paliła się równie jasno jak przed chwilą, zanim zagasiły ją niewidzialne dłonie. Niewidzialne dłonie? Chyba opił się wiedźmich dekoktów! Odkąd pierwszy raz zobaczył zarysy zamku Penwyth, popadał w coraz wiek szaleństwo. Wstał powoli, podniósł pochodnię i sprawdził, o co się potknął.

Na dnie jaskini leżał do połowy zagrzebany w piasku patyk. Skąd się tu wziął? Bishop na pewno go wcześniej nie widział. Czyżby leżał ukryty pod piaskiem, a potykając się, Bishop sam wyciągnął go na powierzchnię? Z jednej strony miało to nawet sens, lecz z drugiej... Ignorując czający się na obrzeżach świadomości strach, rycerz kucnął i wetknął pochodnię w piasek. Zapadła się dobre kilkanaście centymetrów, choć pod piaskiem nie mogło być przecież nic poza litą skałą. Nieważne. Chciał się przyjrzeć patykowi. Delikatnie otrząpał reszty piasku i podniósł lewą ręką.

Dłoń zaczęła go natychmiast parzyć, jakby wsunął ją w płomień. Odrzucił patyk, roztarł palce i ból zniknął. Nie namyślając się wiele, sięgnął znów po patyk, tym razem prawą dłonią. Był ciepły. Przekłęty kawałek drewna był ciepły. Bishop nie czuł bólu, lecz równomierne pulsowanie ciepła. Wydawało mu się, że kijek układa się w jego dłoni, jakby pasował tylko do tej i do żadnej innej. W dotyku nie przypominał niczego, z czym Bishop miał do czynienia do tej pory. Na wszystkich świętych! Wystarczyło go dotknąć, by poczuć, jak bardzo jest stary. Gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że „stary” nie jest właściwym słowem. Wydawało się, jakby pochodził sprzed całych wieków, a może nawet z innego świata.

Nie był to zresztą pospolity kijek wycięty z drzewa. Bishop zbliżył go do pochodni. Na całej długości był pięknie rzeźbiony. Widać też było wgłębienia, jakby wcześniej był wysadzany kamieniami. Może drogocennymi klejnotami? Rycerz nie był nawet pewien, czy pałeczka rzeczywiście jest drewniana. Nie była jednak metalowa, więc jaka?

- Bishop?

Merryn stała trzy kroki od niego.

- Popatrz, co znalazłem, Merryn.

- Co znalazłeś?

- Potknąłem się o to, gdy zgasła mi pochodnia. Wygląda jak patyk, ale to chyba coś innego. Zobacz, tu chyba były klejnoty. - Podał jej tajemniczy przedmiot. - Powiedz mi, co czujesz, gdy tego dotykasz.

Merryn wyciągnęła dłoń.

- Bardzo dobrze. Musisz go wziąć prawą dłonią.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem. Za pierwszym razem podniosłem go lewą ręką i mnie poparzył. Czujesz coś?

- Ciepło. Drewno jest bardzo gładkie, wydaje się miękkie.

- To prawda. Właśnie tak.

Merryn usiadła przy nim, wciąż trzymając patyk. Ostrożnie dotknęła go lewą dłonią i pisnęła, jakby włożyła ją do wrzątku.

- Uważaj - powiedział Bishop. - Z jakiegoś powodu to coś nie akceptuje lewej dłoni.

- Ciekawe, co to jest? - zastanawiała się Merryn, trzymając patyczek delikatnie, jakby był czymś niewymownie kruchym i cennym.

- Myślę, że to właśnie po to musiałem tu przybyć - powiedział Bishop.

- Dzieje się tu coś dziwnego, prawda? Coś, czego w ogóle nie rozumiemy.

- Owszem, i ma to coś wspólnego z klątwą. Ale wkrótce rozwikłamy wszystkie zagadki. Po to tu przybyliśmy.

Merryn w zadumie obracała w dłoni patyk pulsujący ciepłem. Był taki dziwny.

- Gdy byłam małą dziewczynką - powiedziała - dziadek pokazał mi rysunek na jakimś starym pergaminie. Nigdy go nie zapomniałam. Kolory były tak jaskrawe i lśniące, że cały obrazek wydawał się jak żywy.

Serce Bishopa zaczęło bić mocniej. Pochylił się ku niej, patrząc, jak powoli obraca patyk w palcach.

- Opowiedz mi o nim - powiedział cicho.

- Było tam trzech starców o długich siwych brodach tak gładkich, jakby dopiero co je uczesali. Wszyscy mieli na sobie białe szaty do kostek spięte skórzanymi pasami wysadzonymi klejnotami. Jeden z nich trzymał właśnie taki patyk, choć tamten wyglądał, jakby był zupełnie nowy. Lśnił jasno i krzeszał iskry, jakby jego czubek płonął. Starzec wyciągał patyk w przód, jak gdyby w stronę osoby oglądającej obrazek. Dziadek pochylił się nade mną i powiedział z powagą: „To czarodzieje, Merryn. Czarodzieje sprzed wieków. Ten w środku trzyma różdżkę”.

- Czy trzymał ją w prawej dłoni?

Merryn zamknęła oczy, by sobie lepiej przypomnieć.

- Tak - stwierdziła po chwili. - Trzymał ją w prawej dłoni.

- To bardzo ciekawe. Sądziś, że jest czarodziejska? Taka jak na obrazku?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jakaś siła ściągnęła cię tutaj. Potem znalazłeś to. To musi mieć coś wspólnego z klątwą.

Jestem najzupełniej pewny, że kiedy szedłem tu wcześniej, nie było tego na ziemi.

Merryn zadrżała ze strachu.

- Jak możesz być tego pewien?

- Po prostu jestem. Pytanie tylko, co z nim zrobić.

Merryn wciąż obracała różdżkę w palcach, czując, jak bijące z niej ciepło wnika w rękaw jej sukni, rozgrzewa ramię. Czowała się świetnie. Po prostu wspaniale.

- Wiem, że Penwyth istnieje od wielu wieków - powiedział Bishop.

- Nie dłużej niż sto lat - sprostowała Merryn, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Och, nie. Penwyth było już o wiele wcześniej. Może nie ten sam zamek, nie ten gród, ale od wielu wieków to miejsce nosi nazwę Penwyth.

- Skąd o tym wiesz?

Już miał na końcu języka: „Byłem tam wcześniej”, ale zrozumiał, że wzięłaby go za szale leńca. Jednak oczyma duszy widział to miejsce. Widział siebie jako księcia i widział Brecię. Widział wszystko niezwykle wyraźnie. Spojrzał na różdżkę w dłoni Merryn i obraz stał się jeszcze wyraźniejszy. Teraz dostrzegał nawet złote błyski w oczach Brecii.

Zamrugął gwałtownie i potrząsnął głową. Dotknął różdżki i wszystko stało się tak jasne, jakby wydarzyło się zaledwie przed chwilą. Czy należała do księcia? A może do Brecii?

- Tak dawno temu - szepnął. - To wydarzyło tak dawno temu.

- Skąd to wiesz, Bishopie? Jesteś czarodziejem?

- Nie, nie jestem czarodziejem - odparł, czując, że naprawdę nim nie jest. - Ale w jakiś sposób przeszłość przepływa przeze mnie. Nie bój się Merryn. Już nie jestem czarodziejem.

Merryn przełknęła ślinę.

- Nie boję się.

Spojrzał na nią. Czerwone włosy splotła w ciasny węzeł, jej zielone oczy były zarazem czujne i rozmarzone.

Na widok różdżki w jej dłoni poczuł dziwny ucisk w sercu. Wyglądała jak Brezia, wiedźma żyjąca przed wiekami, towarzysza księcia. Tylko kim był książę?

W tej chwili zdał sobie sprawę, że cieszy się, iż Merryn naprawdę nie jest Brezią. Brezia żyła dawno temu. Merryn zaś jest tu, przy jego boku. Jego nasienie kiełkuje w jej łonie. Zadrżał na myśl o tym.

Bishop wziął różdżkę od Merryn i wstał. Musi dowiedzieć się więcej.

Stanął w ciemności, a światło bijące od pochodni oświetlało mu twarz. W tej chwili nie był sobą. Merryn wiedziała o tym, lecz nie bała się ani trochę. Siedząc bez ruchu, wpatrywała się w niego, gdy podniósł różdżkę nad głowę.

Sklepienie jaskini znajdowało się wcześniej tuż nad głową Bishopa. Teraz zaś wznosiło się gdzieś wysoko, poza zasięgiem wzroku. Bishop także wydawał się potężniejszy. W drgającym świetle pochodni przypominał demona z dna piekieł.

- Bishopie - powiedziała cichutko. - Wróc do mnie.

Magiczna chwila przeminęła.

Bishop był blady jak ściana. Powoli opadł na kolana i odłożył różdżkę na niewielką skalną półkę ciągnącą się wzdłuż ściany. Merryn wyciągnęła dłoń, by dotknąć różdżki, lecz cofnęła ją po chwili.

- Muszę to przemyśleć - wyjąkał Bishop.

Wyciągnął dłoń, a Merryn dostrzegła w jego oczach płomień pożądania. Patrzył na nią przenikliwie, choć zdawało się, że jej nie widzi. W jego oczach czaiła się ta sama żądza, którą widziała w nocy. Całkowicie pozbawiająca go kontroli. Merryn uniosła suknię i rzuciła się do ucieczki.

* * *

W innym czasie

Brecia rozmyślała intensywnie, przekładając w palcach ogniwa złotego łańcucha.

- Mawdoor posłał tych ludzi - powiedziała po chwili. - Były wśród nich kobiety, których zadaniem było cię ukoić w razie potrzeby.

- Masz rację. - Książę ogryzał udko kuropatwy upieczone nad jednym z ognisk. Wiedział, że ludzie Brecii kryją się w lesie, na wypadek gdyby ich potrzebowała. W obrębie fortecy przebywały tylko duchy. Siedziały wokół ognisk i uważnie wszystko obserwowały. Brecia podała mu drewnianą miskę z zupą, w której wypatrzył marchew, kapustę i brukiew.

- Zamierzasz jeść przez następny miesiąc?

Książę uśmiechnął się wesoło.

- Wykończyłaś mnie, Brecio. Jestem tylko czarodziejem. Muszę odzyskać siły.

Rzuciła w niego śliwką. Złapał ją zręcznie i wpakował do ust.

- Ach, co za zapach! Przepyszna śliwka.

- Musimy go pokonać, książę. Nie możemy pozwolić, by w dalszym ciągu prześladował całą okolicę. Prawie mu się udało cię zniszczyć. Pewnie później zdobyłby mnie siłą.

- Myślę o tym, Brecio.

- Nie, nie myślisz. Myślisz o moim nagim ciele. Wiem, bo widzę, z jaką pasją oblizujesz tę wstrętną śliwkę!

Książę rzucił w nią pestką.

- Ty także powinnaś coś zjeść - stwierdził.

Brecia spacerowała po komnacie. Przechodząc obok stołu, chwyciła garść jagód tarniny z przepięknej, bardzo starej szklanej miseczki i wrzuciła je do ust. Nagle zatrzymała się w pół kroku.

- Wiem, co musimy zrobić - powiedziała. Odetchnęła głęboko. - Wiem, co zrobimy.

Księżę usłyszał dziwny dźwięk dobiegający z dziedzińca. Wiele głosów mrucało jednocześnie i harmonijnie. Delikatny dźwięk lekko pulsował.

- To moje duchy - powiedziała Brecia, przechylając głowę. Jej niezwykle włosy opadły na bok. - Są bardzo zadowolone. Czy to nie dziwne? Myślałam, że chcą, bym pozostała nieskalana, lecz myliłam się. Cieszą się, że jesteś tu ze mną.

- Czy cieszą się także z tego, że mój syn rośnie w twoim łonie?

- O, tak - powiedziała. - Bardzo.

Księżę uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Powiesz mi, co wymyśliłaś w związku z Mawdoorem?

Zjadła jeszcze kilka jagód i powiedziała:

- Wyruszmy o zmroku.

- Powinienem zdjąć ubranie?

- Dlaczego miałbyś to robić?

- Skoro wiesz już, co musimy zrobić z Mawdoorem, to nie muszę więcej o tym myśleć i mogę się z tobą swobodnie kochać.

Brecia odwróciła się, zacisnęła dłonie i otworzyła je gwałtownym ruchem, uśmiechając się do niego zza rozpostartych palców.

Księżę był nagi.

Zaczęła się śmiać, gdy dotarło do niego, że siedzi otoczony talerzami pełnymi jedzenia, bez żadnego ubrania, tylko z nożem przypiętym do przedramienia.

- Najpierw skończ posiłek, mój książę. Widzę teraz jak dobrze wpływa na ciebie jedzenie – powiedziała i roześmiała się znów, gdy książę swobodnie usadowił się po turecku wśród talerzy. Przez kilka chwil zastanawiał się, co wybrać, wreszcie wziął kawałek pieczonego jeża. Jedząc, nie spuszczał z niej wzroku. Widząc piękne, silne ciało księcia, Brezia podeszła do niego. Czuła pożądanie tak silne, że nie była w stanie go ukrywać ani mu zaprzeczać. Uśmiechnął się do niej leniwie, mrugnął dwa razy i ubranie Brezii także zniknęło. Zrobił dla niej trochę miejsca między przepiórkami a zającem.

- Jestem wymagającym czarodziejem - powiedział. - Musisz dbać także o swoje siły.

Karmił ją i pieścił, tak jak i ona pieściła go między kęsami jedzenia. Powietrze wokół nich nasyciło się zapachem mięsa i błękitnym dymem.

Słodko pachnący dym wypłynął na dziedziniec, gdzie siedzące przy niewielkich ogniskach duchy wyśpiewywały swoje harmonijne pieśni. Ciche dźwięki unosiły się pomiędzy gałęziami starych dębów. Noc była spokojna i bezpieczna.

Rozdział 27

W innym czasie

Mawdoor nie śmiał się tak głośno od bardzo dawna. Ostatnim razem śmiał się piętnaście lat temu, gdy jego na wpół obłąkana babka oddała mu dwa życzenia w zamian za wyrwanie serca z piersi jej wroga. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy starej wiedźmy, gdy wypowiedział drugie życzenie. Życzył sobie, by z zawiązanymi oczami weszła w głąb tego dębowego gaju i została w nim na wieki.

Zdawało mu się, że jest niesłychanie przebiegły. Czekał, pękając z dumy, na to, co powie babka. Nie powiedziała ani słowa, lecz również nie poszła do dębowego gaju. Za karę na pełne trzy miesiące pokryła jego twarz ohydną purpurową wysypką. I choć na jego widok wszyscy z obrzydzenia odwracali wzrok, było warto.

Czarownik raz jeszcze spojrzał na ludzi, których wysłał za księciem. Leżeli powiązani wszyscy ze sobą, poprzeplatani ramionami i nogami, w bardzo niewygodnych, krępujących pozycjach. Nie mógł przestać się śmiać. A Branneck? Spójrzcie tylko na niego! Wisi w powietrzu i wrzeszczy jak opętany, wciąż ściskając w dłoni sztylet. Mawdoor miał nadzieję, że naprawdę zabił księcia Balanthu.

Jeszcze niedawno czarownik zarzekał się, że chce tylko spokojnie żyć i nie zawadzać innym. Nie zdecydował się na tę koncepcję z przekonania. Po prostu doszedł do wniosku, że wcale nie tak łatwo będzie zabić księcia Balanthu.

Jednak wszystko uległo zmianie, gdy ujrzał Brecię, wiedźmę z dębowego lasu, na której widok stawał się równie twardy jak magiczny diament w jego skarbcu, którego szlifowane ściany były pokryte niezrozumiałymi dla Mawdoora symbolami, Domyślił się też od razu, że księżę również jej pragnie.

Teraz musiał już chcieć jego śmierci.

Wiedział, że Brecia wzięła księcia - żywego bądź umarłego - do swojej fortecy w głębi dębowego lasu. On sam nigdy nie widział tego miejsca, Słyszał o nim tylko opowieści krążące w mrokach nocy.

Czarownik z westchnieniem przyznał, że powinien był dać swoim wysłannikom więcej mocy. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. To nie byłoby rozsądne. Śmiertelnicy szybko zmieniają się w bestie, gdy tylko mają możliwość. Przez całe lata obserwował, jak obdarzeni choćby maleńką iskrą magicznej mocy śmiertelnicy próbują od razu rozedrzeć ziemię na strzępy i przynieść zgubę całej ludzkości. Nie można ufać śmiertelnikom, ich słowa nic nie znaczą.

Branneck nie przestawał wrzeszczeć, jak to ugodził księcia w serce i zabił drania, aż Mawdoor wbił ten sam sztylet w szyję starca, by go wreszcie uciszyć. Jako że pozostawianie przy życiu świadków, którzy zawiedli i nie dopełnili misji, nie było rozsądne - po chwili zabił także pozostałych trzech mężczyzn.

Zanim Branneck wyzionął ducha, zaklinał się, że księżę nie mógł przeżyć rany zadanej prosto w serce, zwłaszcza że sztylet był zatruty. Zarzekał się, że to ta przeklęta kobieta związała trzech zbirów ze sobą, jego samego zaś zawiesiła w powietrzu, jakby był jakimś trzmiem albo czymś w tym rodzaju. A skoro już mowa o przeklętych kobietach, to trzy jego towarzyszki nie pomogły w niczym. Wręcz przeciwnie, stały tylko, gapiły się i chichotały. Jedna z nich nawet pomachała do Brecii, jakby w podziękowaniu. Gdyby Branneck mógł, zabiłby je wszystkie.

Czy Brecia mogła jakoś ocalić księcia? Mawdoor długo stał, pocierając podbródek i patrząc beznamiętnie na martwych śmiertelników. Widział jak na dłoni, że to wiedźmia robota i że księżę nie maczał palców w zaplątywaniu ciał ani w wieszaniu Brannecka w powietrzu.

Czarownik zabrał trzy niewiasty do Penwyth i podarował je swoim starcom, którzy niestety nie pamiętali, co się robi z tak wspaniałym darem, wiedzieli tylko, że powinni być uszczęśliwieni. Wzdychali smutno, szukając w pamięci wspomnień rozkoszy.

Zanim zapadła noc, starcy bili pokłony trzem kobietom i pieścili je na wszelkie możliwe sposoby. Starszki mieszkające w zamku patrzyły ze śmiechem, jak trzy młode niewiasty wciąż dopominają się coraz to nowych darów i karesów.

Mawdoor zaś doszedł do wniosku, że z czasem i tak się dowie, czy księżę zginął, czy przeżył. Nie mógł przecież wejść do dębowego gaju, by to sprawdzić. Domyślał się, że gdyby spróbował się wdrzeć do sanktuarium Brecii, mogłoby mu się przytrafić coś bardzo nieprzyjemnego. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że w lesie mieszkają

bardzo stare duchy. Przez chwilę zastanawiał się, czy duchy wiedzą, co by się z nimi stało, gdyby postanowiły opuścić gaj Brecii.

Ludzie mawiali, że większość duchów pozostaje w lesie, ponieważ swoją moc czerpią ze starych drzew, układając monotonne melodie przypominające szelest liści w lekkim nocnym wietrze. Przejrzyste ciała duchów wyglądały jak utkane z księżycowego światła przenikającego gęste gałęzie.

Mogły one ochronić Brecię nawet przed potężnym czarodziejem, który pragnął jej od... Mawdoor zdał sobie sprawę, że dopiero od zeszłej wiosny, gdy ujrzał ją w świętym kamiennym kręgu. Dziwne. Zdawało mu się, że to już tak długo. Wcześniej słyszał wiele historii o Brecii. Gdy była małą dziewczynką, niepewną jeszcze swej mocy, pilnie uczyła się od wszelkich duchów i od samych źródeł mocy - kamiennych kręgów. Podobno pewnego herszta zbójców zamieniła w dwugłową kozę cierpiącą na nadmiar mleka za to, że zabił dziecko, które przypadkiem stanęło mu na drodze. Mawdoor długo śmiał się z tej historii.

A potem ją zobaczył. Nie była już małą dziewczynką.

Zaklął szpetnie na cały głos i od razu poczuł się trochę lepiej. Książę. Ten drań powinien zginąć! Czarownik odkrył ze zdziwieniem, że nigdy nie słyszał imienia księcia. Wszyscy, którzy z nim rozmawiali, zwracali się do niego „książę” i mówili to z uwielbieniem, czcią, a nawet grozą. Gdy książę leżał jeszcze w kołysce, jego matka rzekła do Mawdoora:

- Przywitaj się z moim małym księciem. Czyż nie jest doskonały?

Mawdoor ledwie spojrział na ten strzęp czarodzieja i natychmiast znenawidził go z głębi serca. Teraz zaś traktuje się księcia z największym szacunkiem i to jest chyba najgorsze. Na samą myśl o tym ścisnął mu się żołądek.

Za to on ma wspaniałe imię, imię, które przetrwa wieki i będzie budziło grozę w przyszłych pokoleniach. Mawdoor z Penwyth. Imię nadała mu matka, potężna czarownica. Ojciec nie dał mu niczego, gdyż był straszliwym demonem. Nauczyciele często powtarzali mu, że ostre zęby ojca wciąż ociekają ludzką krwią. Prawdę mówiąc, czarownik nie dbał ani trochę o ludzką krew, choć musiał przyznać, że ojca spotkał straszliwy koniec. Sam czuł się bardziej podobny do matki - był potężny, uparty i cierpliwy.

Zaczeka. Prawdę mówiąc, nie może uczynić nic innego. Czy jeśli książę umrze, Breca domyśli się, że to Mawdoor opłacił zabójców? A jeśli tak, to co zrobi? Czy kochała księcia?

Nie, z tym nigdy by się nie pogodził! Breca była przeznaczona tylko i wyłącznie jemu. Przecież dla niej przygotował swoją fortecę. Penwyth tylko czeka, by otoczyć ją mrokiem, usidlić i uwięzić na wieki. Mawdoor będzie ją trzymał w ciemnościach, wychowywał swoje dzieci i wnuki, dopóki sam czas nie ugnie się pod ciężarem lat. Nikt inny nie może jej osiąść. Nikt.

Jeśli chodzi o magiczną moc, wiedział, że Breca może się z nim mierzyć. Jednak w modlitwach szeptanych do mrocznej siły, która wysłuchuje czarnoksiężników, upewniał się tylko, że Breca powinna należeć do niego.

A jednak uciekli mu. Na myśl o tym wciąż ogarniała go wściekłość. Nie miał pojęcia, jak zdołali roztrzaskać

bańkę, nie da się jednak ukryć, że znaleźli jakiś sposób.

Czy przeklęty ksiązę nie żyje?

* * *

Przeklęty ksiązę musnął wargami ucho Brecii. Jego oddech był jeszcze cieplejszy niż poprzedniej nocy, gdy lizał tę śliczną muszlę, aż zaczęła cicho śpiewać razem z duchami. Nawet nie patrząc na niego, wiedziała, że ksiązę doskonale zdaje sobie sprawę, że jednym dotknięciem, muśnięciem oddechu, drobnym ruchem dłoni, wzbudza w niej słodkie, pulsujące pożądanie. Zapewne uśmiecha się, pękając z dumy... Przeklęty czarodziej!

- Powiedz, co masz do powiedzenia, i przestań się bawić w te gierki - fuknęła Brecia, odsuwając się odrobinę, by zapanować nad narastającą żądzą. Co się z nią dzieje?

- Kochasz mnie, Brecio - powiedział ksiązę triumfalnie. Jego oddech wciąż omiatał ucho Brecii, zaczęła więc tupać delikatnie, by odwrócić uwagę od pieszczoty.

- Masz mózg niewiele większy niż ropucha. Nie wiesz nic.

- Wiem, że musiałaś ocalić mi życie, by zrozumieć, że mnie kochasz, by rozpoznać tę miłość w swoim sercu i poddać się jej. Kiedy moi rodzic się dowiedzą, że niemal oddałem życie, by cię zdobyć, będą przerażeni moją niefrasobliwością. Zapewne stwierdzą, że jestem wspaniały. - Zmarszczył brwi. - Cóż, od zawsze tak uważają.

- W ogóle nie masz racji, głupcze.

Książę tylko pokręcił głową i spojrzął na nią uważnie. Było to trudne, niemal bolesne, lecz nie odwracał wzroku.

- Jesteś wyjątkowo brzydka, Brecio. Prawdopodobnie brzydsza niż trzeba. Twoja głowa wygląda koszmarnie.

- Staralam się, jak mogłam. Mawdoor na pewno nas nie rozpozna, zobaczysz. Sądzisz, że to ja jestem brzydka? Gdyby w pobliżu był staw i uległbyś pokusie, by spojrzeć na własne odbicie, pewnie padłbyś martwy ze zgrozy.

Książę tylko się uśmiechnął i pogłaskał palcem ucho Brecii.

- Będę opowiadał tę historię naszym wnukom prawnukom. Historię o tym, jak wiedźma Brecia stała się tak brzydka, że tylko niezwykła siła woli pozwalała mi patrzeć na nią i nie uciekać z wrzaskiem.

- Stoimy u bram Penwyth, a ty opowiadasz o naszych wnukach. Skup się wreszcie, książę. Zapomnij o gierkach.

Przez moment wyglądał, jakby cierpiał, starając się zachować powagę. Po chwili uśmiechnął się do niej w milczeniu. Jej książę, którego pragnęła mimo niechlujnej siwej czupryny i gęstej sieci zmarszczek przecinających pospolitą twarz. Pragnienie okazało się czymś najzupełniej wyjątkowym, zwłaszcza że nikt jej nie ostrzegł ani nie wytłumaczył, co będzie czuła.

- W porządku - powiedział. - Powiedz mi, jakie mamy plany wobec Mawdoora. Bardzo krwawe? Tak bolesne i okrutne, że wystrzelą w niebo wszystkie ogniska twoich duchów? - Westchnął. - Nie, przecież wcale nie jesteś finezyjna. Pewnie chcesz, bym przybił jego czarnoksiężskie przyrodzenie do ziemi, czyż nie?

Brecia pokręciła głową.

- Zobaczysz. Najpierw najważniejsze. Spójrz na mnie, książę. Czy widzisz starą kobietę, równie pomarszczoną i kościstą jak twoje własne uschnięte dłonie?

- Niestety tak. Gdy na ciebie patrzę, włos jeży mi się na głowie. A jednak Kocham każdy szczerbony ząb w twoich ustach.

- Duchy zdradziły mi, że Mawdoor ma specjalną złotą skrzynkę, w której przechowuje wizje swojego demonicznego ojca. Podobno są tak straszliwe, że Mawdoor trzyma je w ukryciu.

- Zdaje mi się, że kiedyś o tym słyżałem. Co jeszcze powiedziały twoje duchy?

- Powiedziały, że jeśli otworzy się skrzynkę, Mawdoor zostanie zwabiony i wchłonięty przez starą okrutną wizję ojca, którą wyśnił wieki temu, i za jej pomocą miał zgładzić swojego wroga. Z takiej wizji nawet czarodziej nie jest w stanie się wydostać.

- Czy Mawdoor w niej zginie?

- Nie wiem. Duchy twierdzą, że jeśli zostanie wchłonięty, pozostanie tam już na zawsze.

- Dobra robota, Brecio - pochwalił książę, zacierając pomarszczone, pokryte starczymi plamami dłonie. - To będzie doskonała kara. Krew, którą przelewał, woła o pomstę. W najokrutniejszy sposób zabił wielu śmiertelników, a co najgorsze, uważa, że stoi ponad prawem natury, nad wszelkim stworzeniem. To, jak sądzę, jest najbardziej w nim niebezpieczne.

- Rozumiem. Musimy odnaleźć i otworzyć tę skrzynkę.

- Brecia spojrziała na starca gapiącego na nich ze szczytu muru.

- Wysłuchaj mnie, cny strażniku! - zawołała drżącym starczym głosem. - Wraz z tym oto moim mężem pragniemy pomówić z Mawdoorem.

- Nazywam się Supney i strzegę bramy w piątce. To ja decyduję, kto wejdzie do Penwyth, a kto nie przekroczy naszych murów. To ja wydaję rozkazy. Teraz zaś mówię: nie będzie żadnego gadania z panem i mistrzem. Odejdźcie. Spójrz tylko na siebie, starucho. Na widok twej twarzy cierpnie skóra na plecach. Mój pan Mawdoor nie ma czasu dla kogoś tak odrażającego jak ty.

- Mój mąż jest równie odrażający, dlaczego nie wskażesz na niego?

- Precz! - krzyknął Supney. - I zabierz ze sobą tego starego capa.

- Musimy porozmawiać z lordem Mawdoorem. Potrafimy wiele i jeszcze więcej. I o tym właśnie chcemy porozmawiać z panem.

- Zamknij się wreszcie, nie chcę cię więcej słyszeć. Precz! Nie macie tu czego szukać.

Rozdział 28

Spokojny, znudzony głos Mawdoora rozległ się nagle tuż obok nich:

- Cóż takiego potraficie, staruchy? Wiele i jeszcze więcej czego?

- Kto mówi? - Brečia wykonała pokraczny piruet.

- To pan i mistrz - podpowiedział Supney i również się rozejrzał. Już wiele razy był świadkiem tej sztuczki, wciąż jednak przerażała go bezgranicznie.

- Czy to naprawdę ty, panie Penwyth? Słynny czarodziej, który panuje nad okolicą?

- Owszem, to ja - odparł Mawdoor. Jego głos nie był już tak znudzony. Nagle pojawił się przy boku Supneya na szczycie murów. - Cóż takiego potrafisz, kobieto?

- Przewiduję, mój panie - odparła tak cicho, by musiał mocno nadstawić uszu. - Widzę rzeczy, których inni nie dostrzegają. Mogę też sprawić, że coś się wydarzy.

Mawdoor wstrzymał na chwilę oddech. Księża i Brečia usłyszeli to i wiedzieli, że złapał haczyk. Wiedźma powiedziała jeszcze ciszej:

- Służyłam wiedźmie z dębowego lasu. Słyszałam, że pragniesz jej, panie, lecz nikt nie może wejść do dąbrowy pod groźbą utraty życia. Widzę, gdzie się wiedźma ukrywa, widzę, co robi. Wiem też, jak ją wezwać - wyszeptwała na koniec tak cicho, że tylko Mawdoor mógł ją słyszeć.

- Jak to robisz?

- Ten oto starzec, mój mąż, trzyma mnie za głowę i lekko ściska. Im mocniej ściska, tym ostrzej widzę różne rzeczy i tym lepiej rozumiem, co muszę zrobić, by osiągnąć to, czego pragnę. Nie sądzisz, panie, że moja głowa jest już zbyt wąska i długa?

- Owszem. Jesteś okropnie brzydka, kobieto. Nos sterczy ci straszliwie.

- Spodziewam się, że zanim przeniosę się do lepszego świata, moja głowa będzie tak wąska, że na twarzy zmieści mi się tylko jedno oko.

Mawdoor roześmiał się. Starucha może wywabić Brecię z lasu? Do niego? Czarownik zaczął spacerować wzdłuż murów. Stary Supney odskoczył mu z drogi, choć Mawdoor chodził tak szybko, że sługa nie mógł go widzieć. Słyszał go jednak wystarczająco dobrze.

Po chwili Mawdoor ukazał się znowu, w pełni swojej przystojnej postaci.

- Powiedz, kobieto - krzyknął - dlaczego miałabyś to dla mnie zrobić?

- Matka Brecii chciała ją za ciebie wydać, lecz duchy sprzeciwiły się temu, śpiewając i mrużąc bez wytchnienia, że nie można na tobie polegać, że zniszczysz gaj, zamkniesz ich panią w czarnej wieży i będziesz ją w niej trzymał po kres czasów.

- Nie sięgałem myślą aż tak daleko w przyszłość - zachnął się Mawdoor.

- Duchy pragną, by księżę Balanthu ożenił się z Brecią - skrzekliwie zapewniła wiedźma. - Ufają mu, a ze względu na potężną moc jego rodziców sądzą, iż jest godny czci i szlachetny. Podbił je swymi fałszywymi uśmiechami. Kiedy widzę, jak się przechadza po dębowym gaju, jakby rzeczywiście czuł się jak jego odwieczny mieszkaniec, wywracają mi się wnętrzności.

- Księżę prawdopodobnie już nie żyje - wtrącił Mawdoor, mrużąc pod nosem modlitwy do wszystkich znanych mu bogów, by tak istotnie było.

- Ależ skąd! Wczoraj wieczorem napychał brzuch pieczonym jeżem i tańczył w rytm skocznej pieśni duchów. On mi się w ogóle nie podoba. Uważa, że błogosławiły go same święte kamienne kręgi, uważa się za czarodzieja przewyższającego mocą wszystkich innych. Powinien cierpieć za żądę, którą pała ku Brecii. Nie jest jej godzien. Matka Brecii miała rację - tylko ty, panie, możesz stanąć u jej boku.

- Wszystko, co mówisz o księciu to szczerą prawdą - westchnął teatralnie Mawdoor. - Słyszałem, że jest tak zadufany w sobie, że spędza większą część każdego dnia, wpatrując się we własne odbicie. I nie mylisz się co do mnie, starucho. Nie jestem taki, za jakiego uważają mnie duchy. To właśnie mnie można zaufać. To prawda, że moja babka zwykle zjadała baraninę, zanim jeszcze zdążyła się choćby podgrzać nad ogniem, lecz trzeba jej przyznać, że była czarownicą równie potężną jak Brecia. Z Brecią przy boku mógłbym dokonać wielkich rzeczy, władać światem i nagiąć go do mej woli. Powiedz jednak, czego żądasz w zamian za sprowadzenie do mnie Brecii.

- Przeniesiesz mnie i mego męża do świętego kamiennego kręgu. Chcę dostać się do środka potężnych głązów.

- Wiesz przecież, że kamienne kręgi otwierają swe podwoje tylko dla czarodziejów i wiem - odparł Mawdoor. - Nie wpuszczą zwykłych śmiertelników, nawet tych, którzy mają iskrę magii w swojej wąskiej głowie.

- Owszem, słyszałam, ale tego właśnie pragnę. Muszę się dowiedzieć, skąd one się wzięły. Musiało się wydarzyć coś przedziwnego i nawet najpotężniejsi czarodzieje nie potrafią tego wyjaśnić. Chcę rozwikłać tę zagadkę. Gdy stanę pośrodku tajemnego kręgu, otoczona prastarymi głązami, zaś mój mąż ścisnie mi głowę, wiem, że odpowiedź na to pytanie na pewno do mnie przyjdzie. Wiem to.

- Mylisz się - oburzył się Mawdoor. - Nikt nigdy nie pozna pochodzenia kamiennych kręgów. One powstały, jeszcze zanim uformowała się ziemia i zanim ruszyły tryby czasu. Jeśli jednak tego właśnie pragniesz, przeniosę was do kamiennego kręgu. To dla mnie pestka. Musisz jednak wiedzieć, że taka podróż może was zabić. Rozerwać strzępy.

- Czy byłeś tam, mój panie?

Mawdoor spojrział na odrażającą staruchę, i na jej długą, wąską głowę i zdecydowanie za długi nos. Jeśli rzeczywiście ściskanie głowy sprawiło, że stała się tak odrażająca, równie dobrze może sprawić, że Brezia pojawi się przed nim.

- Byłem tam. Właśnie w kamiennym kręgu po raz pierwszy ujrzałem Brecię i zapragnąłem jej.

- Tam również pierwszy raz ujrzał ją ksiądz Balanthu. Duchy twierdzą, że był nią tak zachwycony, że wyciągnął się na jednym z głązów, wsparł głowę na dłoni

i oświadczył, że mógłby tak do końca świata leżeć, podziwiać jej urodę i słuchać dźwięcznego głosu.

Mąż staruchy zacharczał głośno, zasłaniając usta rękami. Żona stęknęła i z całej siły walnęła go między łopatki, niemal obalając starca na ziemię.

- Nie wiem, czy leżał na głazie, czy też nie - burknął Mawdoor. - Książę nie żyje. Musiał umrzeć. Sztylet ugodził go prosto w serce, a ostrze wzmocnione było odrobiną magii i nasączone trucizną, zatem musiało przebić się przez jego czarodziejską tarczę.

Pod nogami starca nagle zatrzęsła się ziemia. Żona lekko ścisnęła go za ramię.

Mawdoor niczego nie zauważył.

- Ależ on żyje - upierała się starucha. - Moja pani uratowała go, niemal sama tracąc przy tym życie. Nie miała jednak wyboru. Narażając siebie i cały dębowy gaj, jednak go uratowała. Skoro nie oddała go śmierci, zamierza wyjść za niego. Będzie jego żoną, jeśli nie zdołasz zdobyć jej pierwszy.

Mawdoor przez chwilę się namyślał. Nie widział żadnego ryzyka. Bez trudu odeśle te dwa relikty przeszłości do kamiennego kręgu. Z pewnością zginą, lecz to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Wreszcie skinął głową.

- Supney wpuści was do twierdzy.

Starucha ukłoniła się nisko i szepnęła, wiedząc, że Mawdoor słyszy ją doskonale:

- Jesteś potężnym, wielkim czarodziejem, mój panie. Tylko ty jesteś godzien Breicii. Dostanie, wszystko, na co zasługujesz.

- Owszem - przytaknął Mawdoor. - Dostanę.

Ogromna brama otwarła się bezszelestnie. Książę szepnął do ucha Brecii:

- Wolałbym być niewidzialny. Mógłbym wtedy dotknąć twoich piersi i nikt by tego nie dostrzegł. Gdybyś jeszcze i ty była niewidzialna, pieścąc cię, nie musiałbym oglądać twej szkaradnej twarzy.

Oddech Brecii wyraźnie przyspieszył. Książę uśmiechnął się, spoglądając na Mawdoora. Czarownik stał na szczycie schodów do czarnej wieży. Dłonie wspierał na biodrach.

- Bądź ostrożna, Breccio - szepnął książę poważnie.

Obydwoje bądźmy ostrożni. On na pewno wyczuje naszą moc magiczną. Prawdopodobnie nie będzie zaskoczony, skoro go o tym poinformowałam, mimo to lepiej uważać. Jak myślisz, książę, czy Mawdoor będzie chciał samodzielnie ścisnąć moją głowę i całować długi nos?

Książę zaniósł się chrapliwym kaszlem, by ukryć wybuch śmiechu.

Brecia rozejrzała się po dziedzińcu i doszła do wniosku, że obydwójce pasują tu doskonale. Wokół twierdzy kręcili się sami starcy, zgarbieni i pomarszczeni tak, że zaczęła się zastanawiać, czy są starsi niż niektóre z jej duchów. Jak zdołali dożyć tak sędziwego wieku?

W Wielkiej Sali dostrzegła trzy niewiasty, które dwa dni wcześniej były w grupie fałszywych pielgrzymów. Siedziały na fotelach otoczone usługującymi im starcami. Jeden z nich podawał jedzenie na tacach, drugi podszedł z miską pachnącej wody w trzęsących się ze starości rękach, trzeci okrywał nogi kobiet ciepłymi kocami.

Mawdoor zniemacka pojawił się tuż przed Brecią i jej towarzyszem. Chciał ich zadziwić, a może nawet wystraszyć. Brecia uśmiechnęła się odrażająco, a na widok tego uśmiechu zdradzał.

- Ile czasu zajmie ci wywabienie Brecii z dębowego gaju?

- Nie potrafię tego określić, zanim spojrz w pełną tarczę księżycy, mój panie. Księżyc będzie w pełni już jutro, a wtedy mąż ściśnie mą głowę, zaś wszystkie sekrety potrzebne do sprowadzeni tu Brecii same popłyną z mych ust. Zjem trochę dzikich jagód, by mój oddech był równie słodki jak tajemnice, które ci zdradzę.

- Jeśli mnie zwodzisz, starucho, zginiesz, a wraz z tobą zginie twój mąż. Zaczekam do jutra, aż wzejdzie księżyc, ani chwili dłużej. Zanim to jednak nastąpi, powinniście się trochę rozruszać. Posprzątajcie fortecę.

Pstryknął palcami i zniknął.

- Mawdoor uwielbia sztuczki - powiedział ksiązę. Przeciągnął się i rozejrzał po Wielkiej Sali - Przynajmniej nie będzie próbował cię uwieść. Mówię zupełnie serio. Nie mógłbym cię okłamać Breccio, jesteś odrażająca.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Nie mów tak głośno. Jedna z tych kobiet mogła cię usłyszeć.

- Masz rację. - Ksiązę spojrział w oczy kobiety, ciekawskie i podłe, i powoli kiwnął głową. Niewiasta zamrugła gwałtownie, uśmiechnęła się po czym poklepała łeb leżącego u jej stóp wilczura

- Przynieś mi piwa! - krzyknęła.

Ksiązę przez chwilę się zastanawiał, czy przypadkiem nie jego miała na myśli, lecz zauważył innego starca z drewnianym kuflem w drżącej dłoni pędzącego ku nim

na miarę swych skromnych możliwości.

- Nikt nas nie rozpoznaje - powiedział ksiązę do Brecii.

- Rodzona matka by cię nie poznała - odparła wiedźma.

- Chodźmy posprzątać komnatę Mawdoora.

- Chętnie. Ciekaw jestem, jak ją urządził. Masz pomysł, gdzie może trzymać tę szkatułkę?

- Jeden stary duch powiedział mi, że kiedyś ją widział. W zamku tkwił klucz. Powiedział, że skrzynka jest bardzo stara, nieduża, prawdopodobnie złota i cała wysadzana klejnotami. Pewnie jest dobrze ukryta, więc spróbuj ją sobie wyobrazić, żebyś mógł ją odnaleźć.

- Przede mną nic się nie ukryje - prychnął ksiązę, idąc za Brecią po drewnianych schodach na piętro.

- Pamiętaj, że musisz chodzić powoli i powłóczyć nogami - szepnęła Brecia, patrząc na niego przez ramię. Poczwała bijący od księcia żar. Ach, więc wciąż jej pragnie? Dodała kolejną zmarszczkę do kolekcji, odwróciła się i uśmiechnęła szeroko, ukazując cztery poczerwiałe zęby.

Koniec z żądzą na dziś, pomyślała, chichocząc w duchu.

Nagle rozległ się głośny trzask, jakby ściany twierdzy zaczęły się kruszyć.

Brecia zamarła, czując, jak drewniane stopnie drżą pod jej stopami.

Rozdział 29

Obżenie

Przez chwilę Bishop z niedowierzaniem patrzył za uciekającą Merryn, po czym rzucił się za nią w pogoń. To niemożliwe, że dziewczyna wciąż się go boi! Wybiegł z jaskini i aż się przygiął, gdy Merryn zniecka wskoczyła mu na plecy.

Śmiała się. Śmiała do rozpuku, całując jego uszy i ciągnąc za włosy. Serce niemal wyskoczyło Bishopowi z piersi. Gdy Merryn zeskoczyła na ziemię, szybko chwycił ją w ramiona.

- Nieziemsko cię pragnę - wydyszał.

- Wiem - uśmiechnęła się Merryn. - Wiem, Bishopie. - Doskonale rozumiała jego pośpiech i przepelniającą go żądzę. Wiedziała, że jego czynami kieruje klątwa i że nie jest w stanie się przed nią obronić. W zasadzie jednak nie miała nic przeciwko temu. Wtuliła się w jego ciało.

- Bishopie - szepnęła, ujmując jego twarz w dłoń. - Ja także nieziemsko cię pragnę. Nie zniszcz mi ubrania.

Zdjęła mu tunikę przez głowę. Widząc, jak ciężko oddycha, domyśliła się, że ledwie panuje nad sobą. Trudno. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w nagi tors. Bishop zamarł.

- Wejdzmy do jaskini.

Wciąż w jego objęciach, idąc do jaskini, nie przestawała całować muskularnego torsu, wpijać palców w ramiona, wdychać zapachu jego ciała.

Powietrze wypełniające jaskinię wydawało się ciepłe i aromatyczne. Merryn ściągnęła Bishopowi spodnie, przyglądając się jego naprężonej męskości. Zauważyła, że jest już na granicy spełnienia, choć zaledwie kilka godzin wcześniej nie wiedziała niczego na ten temat. To zdumiewające. Nie rozumiała tak wielu spraw, lecz w tej chwili nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia.

Bishop odtrącił spodnie na bok.

- Merryn - powiedział miękko.

Położył ją na plecach i zaczął delikatnie głaskać jej smukłe nogi. Patrzył na szczupłe ciało, pieszcząc coraz wyżej jedwabiste uda. Od samego dotyku niemal osiągnął szczyt. Musiał zacisnąć zęby z całej siły, by się powstrzymać od brutalnego wtargnięcia w jej ciało. Merryn patrzyła na niego ufnie, poddając się pieszczotom. Wkrótce zaczęła unosić biodra i wzdychać z pożądania. Wydawało jej się, że wypełniająca ich ciała żądza pochodzi z zewnątrz, jakby kryła się w jaskini i czekała, by opanować niczego nieświadomych gości. Jakież to dziwne! Merryn zanurzyła się w falach namiętności. Bishop wsunął dłonie pod jej pośladki, a po chwili wszedł w nią głęboko.

Czując go w sobie, Merryn miała ochotę rozplakać się ze szczęścia. Przyjęła go chętnie i zaczęła się poruszać w szaleńczym rytmie. Owinęła nogi wokół bioder Bishopa, przyciągając go do siebie rękami.

Bishop coraz głębiej wdzierał się w jej ciało. Wreszcie odzyskał kontrolę nad sobą. Spojrzał jej w oczy i się uśmiechnął.

- To przekracza wszelkie moje wyobrażenia, Merryn. Jeszcze chwila. Daj mi jeszcze chwilę.

Wysunął się z niej, odchylił głowę i krzyknął przeciągle. Jego głos odbił się echem od ścian jaskini.

Gdzieś w głębi ciała, pod sercem, Merryn poczuła mruczenie. Miała wrażenie, że żyje ono własnym życiem i narasta. Po chwili czuła już tylko nic okiełznaną żądzę. Chciała się poderwać, ugryźć Bishopa w brodę, całować jego oczy. Sprężyła się nagle i popchnęła go na plecy.

- Nie ruszaj się - wycedziła głosem chrypiącym z podniecenia. Rozpostarła palce na jego torsie i usiadła na nim, przyjmując jego męskość do wilgotnej, spragnionej kobiecości. Bishop wypełnił ją całą, wsunął palce pomiędzy jej uda i zaczął głaskać pulsujący pączek. Merryn krzyknęła z rozkoszy, słysząc okrzyki Bishopa. Zadygotała, zaciskając palce na jego ciele.

Dziwne mruczenie pod sercem zaczęło cichnąć, Merryn opadła bezwładnie na tors Bishopa, wsłuchując się w echa ich krzyków.

Bishop czuł, jak ziemia pod nim zadrżała, Wstrząsy narastały przez chwilę, jakby dno jaskini miało pęknąć na dwoje. Rycerz przytulił do siebie Merryn i rozejrzał się przestraszony.

Co się dzieje?

Wstrząsy uspokoiły się równie nagle jak nadeszły. Mogłoby się zdawać, że były tylko złudzeniem. Delikatne mruczenie Merryn również ucichło. Odetchną zapachem jej ciała.

Gdy wreszcie i Merryn mogła swobodnie odetchnąć i zebrać myśli, zapytała:

- Nasza miłość jest inna, prawda, Bishopie? Nie powinna być... aż taka.

- Racja - wykrztusił Bishop, gdyż nie był w stanie wykrztusić nic więcej. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu, jednak Merryn miała rację. I wciąż może mówić! To go zdumiało. Sam zastanawiał się, czy zdoła jeszcze raz odetchnąć. Niezgrabnie pogłaskał ją po plecach, marząc o dotyku nagiej skóry Merryn. Chciał poczuć na sobie jej piersi, pocałować miękkie wargi.

Z ogromnym wysiłkiem zdołał zdjąć jej suknię. Wreszcie byli nadzy.

- Śpij, Merryn - szepnął cicho. - Śpij.

- Mruczenie - odszepnęła niezrozumiale. - Mruczenie.

Ach, mruczenie. Merryn mruczała mu do ucha.

- Mruczesaś cudownie - powiedział. Pocałował jej włosy i zasnął głęboko.

* * *

W innym czasie

Książę roześmiał się w głos.

- Jak ci się to podoba, Brecio? To moja żądza wstrząsa całą fortecą!

- Przestań się wygłupiać, wariacie. Zachowuj się przyzwoicie. Musimy znaleźć tę skrzynkę.

- Czy zdajesz sobie sprawę - ciągnął książę - że pragnę cię nawet teraz, gdy jesteś tak brzydka, że od patrzenia na ciebie bolą mnie oczy?

- Ty sam jesteś tak paskudny, że musiałabym nałożyć ci worek na głowę, zanim zdołałabym cię choćby pocałować.

- Jak zatem byś mnie całowała, skoro miałbym na głowie worek?

- Mogłabym udawać, że pod workiem kryje się przystojny czarodziej i jakoś bym się zmusiła.

Nagle na głowie księcia pojawił się lniany worek. Brezia usłyszała jego stłumiony śmiech.

- Pragnę cię ogromnie - wybełkotał. - Pocałuj mnie, wiedzmo.

To był tylko przelotny pocałunek, gdyż Brezia doskonale wiedziała, że nie mają zbyt dużo czasu. Księżę jednak nie poprzestał na tym, chwycił ją w ramiona i nie wypuścił.

Słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, gdy wreszcie weszli do komnaty Mawdoora. Obydwoje uśmiechali się szkaradnie. W ich żyłach wciąż tętniła krew, a wspomnienie rozkoszy rozgrzewało pokraczne ciała.

- Przez okna nie wpada tu zbyt wiele światła - zauważyła Brezia. - Ciekawe dlaczego?

- Mawdoor czuje się o wiele lepiej, gdy ukrywa się w cieniu, gdy czai się w mroku. - Księżę podrapał się po brodzie. - Myślę, że najlepiej by się czuł przygnieciony ogromnym głazem.

- Nie lubisz go, bo chce cię zabić i pojąć mnie za żonę.

- Ach, oczywiście. Od zawsze wiedziałem, że wreszcie będziemy musieli stoczyć ostateczną walkę. Jej czas się zbliża, czuję to każdym nerwem. Znajdźmy tę skrzynkę.

Nie znaleźli jej w ogromnej komnacie. W kątach zalegały tylko cienie chybotające się na wytartej drewnianej podłodze. Brezia obejrzała ogromne łóżko Mawdoora nakryte nieprawdopodobnie białą narzutą. Dotknęła jej. Narzuta przypominała jej własne wełniane suknie.

- Musimy się pospieszyć.

- Racja.

Ruszyli do drzwi. Brecia stanęła jeszcze w progu, wymówiła cicho zaklęcie i zatoczyła dłonią krąg. Komnata wciąż tonęła w mroku.

- Ach, jaka świetna robota - rzekła Brecia. - Komnata jest doskonale sprzątnięta, choć w istocie nie było tu zbyt wiele kurzu.

Trzy godziny później wciąż bezskutecznie szukali skrzynki.

- Może mityczna skrzynka w ogóle nie istnieje? - mruknął zniechęcony książę. - Może to tylko bajeczka dla niegrzecznych duchów?

- Ale przecież ty również słyszałeś o niej.

Niechętnie kiwnął głową.

- Duchy były pewne, że skrzynka istnieje. Ojciec wręczył ją Mawdoorowi, dając mu wolny wybór. Mógł ją przyjąć bądź odmówić. Miała mu zapewne wielką moc, lecz jeśli ją zgubi albo pozwoli sobie odebrać, wciągnie go i unicestwi.

- Może zatem nie podjął ryzyka? Może ją zniszczył? Może duchy się pomyliły, że zachował skrzynkę?

- Przecież mówimy o Mawdoorze. - Brecia tylko pokręciła głową. - Pomyśl, jaki on jest. Podjąłby każde ryzyko, gdyby miało mu zapewnić większą moc. Na pewno ma tę szkatułę, ale schował ją dobrze, bo od tego zależy jego istnienie.

- Cale jego istnienie? To nie ma sensu, Breccio - skrzywił się książę.

- Twój ojciec nie jest demonem, więc nie potrafisz tego zrozumieć, książę. Demony wciąż szukają zła w świecie, gdyż nim właśnie się żywią. Dlatego, aby przetrwać, muszą wszystko niszczyć i zsyłać na innych grozę i cierpienie. Wracając do skrzynki, duchy twierdzą, że mogłaby wchłonąć Mawdoora i trzymać go na zawsze w swym wnętrzu.

- Już o tym wspominałaś - powiedział książę. - Tylko jak mamy go tam wpakować?

Brecia zmarszczyła brwi i podrapała się po długim nosie.

- Może powinieneś ścisnąć moją głowę, żebym wpadła na jakiś pomysł?

Książę się roześmiał.

- Na wszystkich bogów, ależ jesteś szkaradna! Muszę wyznać, że tam, na schodach, musiałem mocno zamykać oczy, by odnaleźć rozkosz w twym ciele. Było to ogromnie trudne zadanie, ale chciałem ci pokazać moją wierność i stałość. Widziałaś, że miałem zamknięte oczy? Doceniasz to poświęcenie?

Brecia wybuchnęła śmiechem. W ciągu ostatnich dwóch dni śmiała się o wiele więcej niż w ciągu minionych trzech lat.

- Wierność i stałość u czarodzieja?

- Ach, Brecio. Ranisz me serce.

- Zauważyłam, że masz zamknięte oczy, bo niezbyt dobrze trzymałeś równowagę. Ja nie miałam z tym kłopotu. Przecież miałeś na głowie worek.

Choć tylko żartowali, Brecia czuła, jak w głębi jej serca topnieją zimne, oschłe uczucia i odradza się nadzieja. Z uśmiechem dotknęła jego odrażającej twarzy.

- Powinniśmy myśleć o szkatułce.

Późną nocą, gdy forteca pogrążyła się we śnie i wszyscy starcy spali głęboko wokół paleniska w Wielkiej Sali, Brecia wyobraziła sobie kuchnię, dostrzegła kawałek pieczonej dziczyzny i biały chleb, po czym jednym ruchem ręki przeniosła potrawy na swoje kolana.

- Jeśli nie znajdziemy tej skrzynki - powiedział książę, pogryzając chleb - będziemy musieli wymyślić inny plan.

- Ja już wymyśliłam - rzekła Brecia, rozkoszując się smakiem dziczyzny. Książę przewrócił oczami.

- Jesteś wiedźmą. Wiedźmy zawsze mają mnóstwo planów, ale zwykle niewiele z nich dochodzi do skutku. Wiesz, że szkatuła jest dobrze ukryta. Przeszukaliśmy już całą fortecę. Jaki masz plan?

- Musimy jej poszukać, używając magii.

- Ach, tak. A wtedy Mawdoor od razu poczuje, że coś jest nie tak. Nie mam zamiaru znowu wydostawać się z tego przeklętego bąbla. Nie chcę, byś znów cierpiała z powodu spalonych rąk. Nie mogę znieść, gdy cierpisz, Brecio.

- Posłuchaj, widziałam, jak zabiera na górę jedną z młodych niewiast. Jest teraz skupiony na czymś innym, a niedługo pewnie mocno zaśnie.

- Jak to dobrze, że nie zamierzasz za niego wychodzić. Nie jest ciebie wart. Udowodnił, że nie jest wierny i stały, skoro mając ciebie tak blisko, wziął sobie inną kobietę.

Brecia parsknęła śmiechem. Słyszając, że jeden ze starców poderwał się z posłania, stłumiła śmiech dłonią.

- Wlałam też trochę sennego wywaru do wina, które zaniósł mu kobieta. Będą spali do samego rana.

- Zaraz pęknieś z dumy. Chcesz, żebym przez całą noc przeszukiwał tę przeklętą fortecę?

- Jesteś czarodziejem. Możesz dążyć do celu bez wytchnienia.

Oderwał jeszcze kawałek mięsa i oparł się o ścianę.

- Dobrze. Połączymy nasze moce i przeszukamy fortecę jeszcze raz.

Zaczęło już świtać, gdy Brecia wyczuła jakieś drzenie. Stała blisko latryny, w której siedział starzec. Wytarte

spodnie naciągnął na chude kolana i rozmawiał z innym starcem czekającym na swą kolej.

- Och, tak - powiedział, kiwając głową. - To ja przyniosłem pannie ciepłego chleba z masłem i miodem. I co dostałem w zamian? Radośnie poszła za lordem Mawdoorem, niewierna!

- A co byś z nią zrobił, gdyby poszła z tobą?

- Coś bym wymyślił między wizytami w latrynie.

Drugi starzec wybuchnął śmiechem.

Brecia przesunęła dłoń lekko w prawo, wciąż wyczuwając drzenie. Gdy przesunęła ją w lewo, dłoń zadygotała tak mocno, że aż podskoczyła.

- Aha - mruknęła z uśmiechem.

Bardzo powoli badała drewnianą ścianę, aż znalazła maleńki przycisk. Nacisnęła go. Drewniane panele rozsunęły się na boki, odsłaniając niedużą wnękę, w której spoczywała szkatuła Mawdoora.

Brecia poczuła lęk. Telepatycznie przekazała księciu, co znalazła. W tej samej chwili stanął u jej boku,

- W życiu nie widziałem takich diamentów - wyznał książę ze zdumieniem. - Wyciszmy nasze moce, Brecio. Nie musimy już ryzykować, skoro odnaleźliśmy szkatułkę.

Książę przyjrzał się jej uważnie, bardzo powoli wyciągnął rękę i delikatnie dotknął wieczka.

Było zimne jak lód. Natychmiast zabrał dłoń.

Brecia także dotknęła złotej skrzynki i równie szybko zabrała rękę.

- Klucz tkwi w zamku.

- Widzę - odparł książę. - Wszystko jest tak, jak miało być. Jak mówiły duchy. Gdy ją otworzymy, pokonamy Mawdoora.

Nagle klucz wyskoczył z zamka i zniknął.

- Och, nie! - krzyknęła Brezia, odwracając się pośpiesznie. - Mawdoor nas odkrył! Za długo zwlekaliśmy.

Rozległ się potężny ryk. Wiedzieli, że to Mawdoor chwycił klucz od skrzynki. Ryk brzmiał, jakby stado dzikich, głodnych i wściekłych lwów pędziło w stronę latryny.

- On nie może wiedzieć, że to my - wyjąkała Brezia, chwytając księcia za rękaw.

- Musiałby być wyjątkowo głupi, by tego nie podejrzewać.

Szkatuła zaczęła lśnić i rosnąć, aż wyskoczyła z wnętrza.

- Na wszystkich bogów, Mawdoor obłożył ją potężnymi zaklęciami - krzyknął książę. Wzniósł różdżkę i krzyknął donośnie: - *Sostram Denesici avrat!*

Przeklęta szkatuła wciąż rosła.

Na twarzy księcia odbił się strach.

- Zostaw to - krzyknęła Brezia, szarpiąc go za rękaw. - Uciekajmy!

W następnej chwili leżeli wciśnięci między dwóch chrapiących głośno starców. Ułożyli się i zaczęli chrapać równie głośno. Gdy starcy poderwali się, słysząc okropny ryk, Brezia i książę leżeli wciąż, jakby zasnęli kamiennym snem.

Po chwili stanął nad nimi Mawdoor. W lewej dłoni trzymał uniesioną w górę różdżkę.

Rozdział 30

Obżenie

Bishop na chwilę zamknął oczy i znów poczuł na wargach usta Merryn. Po chwili delikatnie lizała jego tors, brzuch, wreszcie wzięła go do ust. Zdawało mu się, że ziemia ucieka mu spod pleców. Zadrżał, otworzył oczy i spostrzegł, że Merryn na niego patrzy.

- Gdy ode mnie uciekłaś, Merryn, czułem się, jakby mnie ktoś uderzył. Nie mogłem tego znieść. I nagle wskoczyłaś mi na plecy.

- Wskoczyłam ci na plecy, bo nie wierzyłam, że zdołasz mnie złapać, głuptasie - roześmiała się Merryn. Dotknęła opuszkami jego warg. - To było cudowne, Bishopie.

Uśmiechnął się do niej, szczęśliwy, że jest Bishopem, ona zaś Merryn. Że nie są żyjącymi przed wiekami czarodziejem i wiedźmą. Pobiorą się, zaś Merryn będzie nosiła w łonie jego dzieci. On z kolei będzie ich chronił i strzegł za cenę własnego życia. Jeśli będą mieli szczęście, ich życie potrwa jeszcze wiele lat i przyniesie im dużo radości. Bishop uśmiechnął się do własnych myśli.

Po chwili jednak spoważniał. Wiedział, że muszą zacząć działać i to w bardzo konkretny sposób, inaczej...

- Musimy znaleźć coś, co przełamię klątwę - powiedział.

Merryn wstała i otrzepała suknię z piasku. Patrzył na nią z zadowoleniem. Była bardzo młoda, bardzo brudna i bardzo zadowolona z bliskości z nim.

- Nosisz moje dziecko - powiedział Bishop.

Przez chwilę stała bez ruchu, wreszcie zapytała ostrożnie:

- Już raz mi to powiedziałaś, dlaczego mówisz to znowu?

- Ponieważ bardzo mnie to cieszy i lubię o tym mówić. Muszę teraz wrócić do tej czarnej dziury. Tam na pewno coś jest, choć na razie ukryte przed naszymi oczami.

Poszli razem w głąb jaskini.

Merryn spojrzała w nieprzeniknioną ciemność.

- Chcesz tam wejść? - zapytała z trwogą.

- Owszem, pod warunkiem że wymyślę, jak to zrobić. Nie mam liny, a nawet gdybym ją miał, to nie miałbym jej do czego przywiązać. Masz jakiś pomysł?

- W zasadzie mam - powiedziała, podając mu różdżkę. - Użyj tego, Bishopie.

Wziął różdżkę, wpatrując się w twarz Merryn.

- Nie wiem jak.

- Powiedz jej, czego pragniesz.

Ma powiedzieć głupiemu starymu patykowi, że chce się dostać na dno czarnej dziury? Różdżka stawała się coraz cieplejsza. Na pewno sobie tego nie wmawia. Pałeczka pulsowała, wysyłając fale ciepła wzdłuż ramienia Bishopa, który nagle zdał sobie sprawę, że trzyma coś, czego nie powinien potykać. Coś potężnego i przekraczającego wiedzę i wyobrażenie zwykłego śmiertelnika.

Na chwilę zamknął oczy. Ujrzał jaśniejącą różdżkę w dłoni księcia i delikatniejszą lśniąca różdżkę Breicii. Obie promieniowały tak wielką mocą, że zadrżał ze strachu.

Teraz zaś miał różdżkę we własnej dłoni.

Bishop w milczeniu podszedł do otworu i spojrzał w czarną czeluść. Skierował różdżkę w głąb dziury i powiedział, czując jednocześnie irytację i nadzieję:

- Sprowadź światło, bym mógł zobaczyć dno tej dziury.

Ku ich zdumieniu dziura wypełniła się nagle oślepiająco jasnym światłem. Bishop spojrzał w głąb, zamrugał gwałtownie i się roześmiał. Zwrócił się do Merryn, która bez ruchu wpatrywała się w białe światło:

- Wciąż nie widzę dna. To światło mnie oślepia.

Ktoś lub coś stroi sobie z nich żarty.

- Chcę widzieć dno, do diaska! - krzyknął Bishop, machając różdżką nad otworem. W jednej chwili światło złagodniało. Ukląkł na brzegu. Okazało się, że dziura wcale nie jest tak głęboka, jak mu się zdawało. Miała zaledwie sześć metrów głębokości, a na jej dnie majaczył jakiś złoty kształt.

- Nie, Bishopie! Nie schodź tam!

- Muszę - uciął, kierując różdżkę w głąb otworu. - Zabierz mnie tam.

W jednej chwili stał już na dnie, spoglądając w górę na Merryn.

- Nie spadnij!

- Sprowadź mnie do siebie.

Bishop machnął różdżką w stronę Merryn.

- Sprowadź ją do mnie.

Merryn natychmiast znalazła się obok niego. Oddychała ciężko z podniecenia i lęku.

- Na zmurszałe kości wszystkich świętych, co się tu dzieje, Bishopie? - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Znaleźliśmy coś, co mieliśmy znaleźć – odparł Bishop, przytulając do siebie drżącą dziewczynę. - Wreszcie. To różdżka nas tu przywiodła.

- To przerażające - wyjąkała Merryn, chowając głowę w jego tunikę. Tkanina pachniała Bishopem. - Nie ogarniam tego umysłem. Machnąłeś na mnie różdżką i nagle stanęłam na dnie tej dziury.

- Wiem - rzekł uspokajającym tonem Bishop. - Wiem, kochana. Wszystko będzie dobrze.

Nie mówiąc nic więcej, jednocześnie odwrócili się ku leżącej na ziemi złotej skrzynce. Wieczko pokryte było warstwą prastarego kurzu, choć boki lśniły czystym złotem, jakby ktoś wypolerował je tuż przed zesłaniem w to miejsce. Tylko kto to zrobił?

Bishop przyjrzał się szkatułce. Była dość długa i wąska, zdawała się wykuta ze szczerzego złota. Wieczko i boki miała wysadzone diamentami, rubinami, szmaragdami i innymi klejnotami, jakich Bishop nie znał, a wszystkie były większe niż jakiegokolwiek drogocenne kamienie, jakie widział w całym życiu.

Uklękli, by przyjrzeć się lepiej. Bishop delikatnie odłożył różdżkę na ziemię. Wyciągnął dłoń i lekko dotknął wieka skrzynki.

Błyskawicznie zabrał dłoń. Skrzynka była zimniejsza niż lód skuwający Tamizę każdej zimy.

Merryn zmarszczyła brwi i wyciągnęła dłoń. Wieczko okazało się tak lodowate, że podskoczyła z przestachu i upadła, ściskając zmrożone palce.

- To zdumiewające - powiedziała, gramoląc się z ziemi.
- Gdy tylko zabrałam palce, przestały boleć.

Bishop przyciągnął Merryn do siebie, owinał kilkakrotnie dłoń brzegiem jej sukni, odetchnął głęboko i znów dotknął skrzyńki. Czuł lodowaty chłód, ale był w stanie to wytrzymać. Obejrzał zamek i tkwiący w nim klucz. Próbował go przekręcić, lecz zdawało mu się, że z zimna zaraz odpadną mu palce. Owinał dłoń jeszcze kilka razy i ponownie spróbował przekręcić klucz. Bezskutecznie. Przysiadł na piętach, wpatrując się w przeklętą skrzyńkę.

Coś go tu przywiodło, dało różdżkę, pomogło odnaleźć skrzyńkę, lecz... Bishop chwycił różdżkę i wycelował ją w skrzyńkę.

- Otwórz to!

Klucz obrócił się, a wieczko odskoczyło gwałtownie. Rozległ się straszliwy ryk, jakby otoczyło ich stado dzikich, oszalałych zwierząt, zbliżających się, pragnących ich pożreć, rozedrzeć na strzępy.

Bishop próbował sprawdzić, co się kryje w skrzynce, lecz dostrzegł jedynie kłębiące się chmury lśniące złotem, skręcające się w wiry. Hałas stawał się nie do zniesienia. Bishop wyciągnął różdżkę i wrzasnął:

- Ucisz to!

Harmider umilkł natychmiast. Znów zrobiło się bardzo cicho. Śmiertelnie cicho. Jakby całe życie zostało wysane z ciemnej dziury.

Bishop położył dłoń na lewej piersi Merryn. Wyczuł bicie jej serca i odetchnął z ulgą.

- Wciąż żyję - powiedziała. - Czy twoje serce również bije?

- Biję, dzięki Bogu.

- Wcale mi się to nie podoba - mruknęła Merryn, przytulając się do niego. - Zajrzyj do tej skrzyńki,

Bishopie. Ja widzę tylko kłębiące się chmury. Nie dostrzegam żadnych zwierząt, które chciały nas pożreć. To mnie przeraża.

- Wiem. - Bishop otoczył ją ramieniem. - Co to wszystko ma wspólnego z kłątwą? - Spojrzał na różdżkę. Obrócił ją kilka razy w dłoni. - Skrzynka jest otwarta, lecz nie możemy niczego zobaczyć.

Nagle wieko skrzynki zatrzasnęło się z głośnym hukiem. Bishop i Merryn mogliby przysiąc, że klucz sam obrócił się w zamku. Merryn wstała i spojrzała z góry na piękne, złote puzderko. Czuła, jak życie znów wraca, jak powietrze napełnia jej płuca. Wszystko to było więcej niż dziwne.

- Pozwól mi spróbować, Bishopie.

Rycerz podał jej różdżkę. Merryn poczuła cudowne ciepło emanujące z drewnianej pałeczki.

- Otwórz skrzynkę - powiedziała, kierując różdżkę dokładnie na klucz.

Znów usłyszeli z oddali stado nadbiegających bestii. Zbliżały się powoli. Hałas narastał.

Merryn miała wielką ochotę zatrzymać ten ryk, gdyż zdawało jej się, że stado bestii jest tuż-tuż.

- Otwórz skrzynkę - zdołała powtórzyć.

Klucz obrócił się w zamku. Bishop i Merryn patrzyli, jak wieczko otwiera się powoli.

* * *

W innym czasie

Książę chrapnął głośno, z trzaskiem przeciągane stare kości. Długi nos żony wbijał się w jego łopatkę.

Mawdoor spojrział na żalostną parę i opuścił różdżkę. Jeszcze przed chwilą był pewien, że to oni dobrali się do skrzynki, którą dostał od ojca, lecz... Wystarczy na nich spojrzeć. Potwornie brzydzą, aż ciarki przechodzą po plecach. Na wszystkich żądnych krwi bogów, jak mógł mieć nadzieję, że ta wstrętna starucha będzie w stanie sprowadzić do niego Brecię? To jakiś absurd.

Westchnął. Da jej czas do północy. Potem zaś będzie już jasne, czy straszycie zginie w świętym kamiennym kręgu zgniecione starożytną magią czy raczej z jego ręki.

Mawdoor cofnął się powoli.

- Do północy - szepnął. - Jeśli jej tu nie sprowadzisz, oboje zginiecie. I nie będzie to przyjemna śmierć.

Czarownik wziął potężny haust powietrza i wypuścił je z sykiem. Odetchnął trzy razy. Wkrótce wszyscy starcy śpiący w komnacie zbudzili się i patrzyli, jak stoi pośrodku, dysząc coraz bardziej. Po chwili Mawdoor zaczął się obracać i wirować tak prędko, że stał się jedynie rozmazaną plamą, po czym wystrzelił ku sufitowi. Ku zaskoczeniu wszystkich wyleciał z nienacka przez niewielkie okienko, zdecydowanie za małe, by mógł się w nim zmieścić człowiek.

Brećci chciało się śmiać z tych jarmarcznych sztuczek dla pospólstwa, lecz nie chciała ściągać na siebie uwagi. Wtuliła się mocniej w ramię księcia i szepnęła:

- Co o tym sądzisz? Chciał nas zabić, ale zrezygnował. Mamy czas do północy i ani chwili dłużej. Jaki masz plan?

Księżę zachrapał. Przeklęty czarodziej wcale nie udawał, że śpi! Przespał cały występ Mawdoora!

Brecia spostrzegła jedną z młodych kobiet stojącą na środku komnaty i wpatrującą się usilnie okienko, przez które wyleciał Mawdoor.

- Jakże on zdołał precyzyjnie się przez tak mały otwór? - dziwiła się, kręcąc głową.

- Przecież to czarodziej, piękna pani - odpowiedział starczy głos. - Czy nie masz piątej klepki?

- Chyba nie mam także i pozostałych czterech - pokręciła głową kobieta.

Chór starczych głosów ponaglał:

- Idź już spać, młódko! Myślisz, że mistrz zrobi specjalnie dla ciebie jeszcze kilka sztuczek? O, nie. Nasz mistrz lubi sobie pospać.

Najwyraźniej wszyscy czarodzieje lubią sobie pospać. Brecia przytuliła się do księcia. Chrapał tak donośnie, że aż grzechotały jego stare kości.

Tuż po wschodzie słońca Mawdoor spojrział na parę odrażających starców i rzekł:

- Mam nadzieję, że dobrze wam się dziś spało.

- Och, wspaniale - powiedziała Brecia, ziewając. - Spaliśmy jak dzieci.

- Jeśli nie sprowadzicie do mnie Brecii, zginiecie w taki sposób, jaki się wam z pewnością nie spodoba. A potem rzucę wasze pogruchotane kości moim wilczurom.

Książę przełknął kęs chleba i powiedział:

- Lepiej nie dawaj psom kości mojej żony. Staną im w gardle i przyprawią je o śmierć. Rzuć im moje.

Mawdoor popatrzył z obrzydzeniem, po czym wstał i krzyknął:

- Maida! Chodź tu! Mam plany dla nas obojga.

Młoda kobieta o pięknych rudych włosach podeszła do Mawdoora, prowadząc dwa wilczury.

- Panie? - ukłoniła się niedbale.

- Ruszamy na polowanie - powiedział Mawdoor.
- Dokąd, mój panie?
- Może do Hiszpanii?

I w następnej chwili już ich nie było.

- Dlaczego miałyby polować w Hiszpanii? - zastanawiał się głośno książę, przeżuując bułkę. - W Hiszpanii nie ma na co polować.

Brecia roześmiała się tylko.

Muszą szybko odnaleźć skrzynkę. Wiedzieli jednak, że tym razem nie będzie to takie proste.

- Mawdoora nie ma - rzekł książę. - Nie może zatem wyczuć naszej magii.

- Sama nie wiem - odparła z zadumą Brecia. - Jak powiedziałeś: dlaczego miałyby polować akurat w Hiszpanii? I zabierać ze sobą śmiertelniczkę? To się nie trzyma kupy.

- Jeśli to pułapka, to będziemy musieli sobie z nią poradzić. Nie mamy wyjścia, Brecio, musimy odnaleźć tę przeklętą szkatułkę. Musimy się pozbyć Mawdoora. Och, gdybym tylko nie pragnął cię tak bardzo, przeklęta więdźmo!

- Nie jestem przeklętą więdźmą!

- Owszem, jesteś. Myślisz, że to pułapka? Z pewnością masz rację, ale nie mamy wyboru. Musimy działać.

- Myślisz, że zabrał szkatułę ze sobą? - zapytała.

- Sądzę, że za bardzo się jej boi. Woli nie mieć jej w pobliżu.

Przez cały dzień przeszukiwali fortecę Mawdoora. Przetrzęsli nawet obory i kurniki, przesiali mąkę w spichrzu. Nic.

Gdy dzwon na wieży wybił szóstą, Brecia wykrzyknęła:

- Znalazłam!

Książę, który przeszukiwał wszystkie otwory strzelnicze na blankach, w jednej chwili znalazł się przy niej.

- Patrz! - Brezia wskazała ręką.

Książę dostrzegł skrzynkę na dnie studni. Tylko czarodziej lub wiedźma mogli ją zobaczyć pod wodą.

- Wspaniała kryjówka - przyznała Brezia. Wiatr strącił mi czapkę do studni i wtedy ją zobaczyłam. Ale wciąż nie wyczuwam jej obecności. Tym razem Mawdoor dobrze ją zabezpieczył.

Książę wezwał skrzynkę, lecz ta nawet nie drgnęła.

Czarodziej westchnął, zniknął i pojawił się na dnie studni. Podniósł skrzynkę. W wodzie nie zdawała się wcale zimna.

Książę pomachał do Brezii.

Nagle na dziedzińcu rozległ się śmiech Mawdoora. Brezia nie zdążyła nawet mrugnąć i już spadała do studni głową w dół.

* * *

Obecnie

Ze skrzynki wystrzelił promień światła, oślepiając Bishopa i Merryn. Odskoczyli, zakrywając oczy dłońmi. Po chwili odsłonili je i ostrożnie, przez palce, spojrzeli na jasny promień.

- Co to może być?

Bishop pokręcił głową.

- Na pewno nie są to już skłębione chmury. Ale nie mogę spojrzeć wprost do skrzynki.

Merryn zmrużyła oczy, lecz również nie zdołała zajrzeć do wnętrza.

Nagle dostrzegli, że wewnątrz promienia coś wiruje. Obracało się tak szybko, że nie byli w stanie dostrzec, co to jest. Widzieli, jak wirujące coś raz po raz uderza o świetlne ściany, lecz nie może się wydostać.

- To więzienie stworzone ze światła - wyjąkała Merryn.

- Co jest w nim uwięzione?

- Nie mam pojęcia, ale chyba masz rację - powiedział Bishop, sięgając po różdżkę.

- Nie!!! - krzyknął nagle jakiś głos.

Rozdział 31

W innym czasie

- Niedobrze - powiedział książę, patrząc przez wodę w oczy Brecii.

- Bez paniki. Mamy szkatułę i na pewno uda nam się jakoś wydostać z tej studni.

Wyciągnęli różdżki z rękawów i skierowali je w górę.

- *Dranore narbus* - krzyknął książę.

Woda wzburzyła się wściekle ponad ich głowami, zabulgotała i uspokoiła już po chwili. Nic poza tym. Nie uwolnili się.

- Ciekaw jestem, czy wydostanie się stąd będzie trudniejsze niż rozbicie tamtej przeklętej bańki - mruknął książę.

Brecia przypomniała sobie płonące dłonie i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie. Musimy to przemyśleć, książę.

- Usiadła na dnie studni i wymruczała pod nosem kilka słów, przywracając sobie i księciu dawny wygląd. W tej samej chwili wpadła na pomysł i uśmiechnęła się. - Już wiem! Wiem, co zrobimy. Nie martw się!

Owinęła się peleryną, położyła policzek na podciągniętym kolanie i otoczyła ramionami nogi. Zaczęła

cichutko śpiewać. Tak cicho, że księżę prawie jej nie słyszał. Czas mijał. Brezia śpiewała, a woda zdawała się falować w rytm pieśni. Nagle zniknęła. Powiedziała mu, że ma się nie martwić, przekłeta wiedźma! Dokąd się udała? Nagle wszystko stało się jasne.

- To jednak ty, Breccio.

- Witaj, lordzie Mawdoorze. Dziękuję, że wydostałeś mnie z dna studni. Wiedziałam, że jeśli zwrócę się do ciebie, uwolnisz mnie.

- To była piekielnie trudna decyzja - wyznał Mawdoor, oglądając ją od stóp do głowy. - Na wszystkich nowych bogów, którymi pogardzam, zamieniłaś się w ohydną staruchę. Nawet czarodziej musi chylić czoło przed twą mocą.

- Podobała ci się moja wąska głowa?

- Ogromnie. To właśnie twoja brzydota przekonała mnie, by nie szperać i nie szukać w was więcej magii niż ta drobna iskra, którą sami chcieliście mi pokazać. Promieniowaliście słabą, wypaczoną mocą, niewartą uwagi. Ale teraz cię mam. Czyż nie stworzyłem świetnej pułapki?

- Owszem. Kryjówka na dnie studni. Bardzo sprytne, Mawdoorze. I klucz zniknął. Mam nadzieję, że ty go masz.

Mawdoor tylko zmarszczył brwi. Brezia widziała, że czarownik nie zdaje sobie sprawy, że to wcale nie on wyciągnął ją z dna studni. Podrzuciła mu tę myśl i chętnie ją wykorzystał. Miała tylko nadzieję, że Mawdoor ma klucz.

- Księżę zostanie na dnie studni aż do końca naszego świata. Magicznych więzów, które go tam trzymają, nie można zerwać i żaden czarodziej nie będzie w stanie mu pomóc. Spędzi całą wieczność, trzymając w ramionach tę

przeklętą szkatułę. Czyż to nie doskonała kara? Zapomnij o kluczu.

- Myślałam, że będziesz wolał trzymać ją przy sobie - wyznała Brecia. - Czyż nie jesteś za nią odpowiedzialny?

Mawdoor wzruszył ramionami.

- Pewnie duchy opowiedziały ci o mojej szkatuлке. Zdaje się, że uwielbiają historie o porzuconych magicznych skrzynkach i kluczach otwierających drzwi do wszystkich tajemnic świata. Jeśli zaś chodzi o mój skarb, to jeszcze zobaczymy. Jednak księżę zostanie tam aż do dnia sądu, jeśli taki kiedykolwiek nadejdzie.

Brecia zatupała cicho i podrapała się po brodzie.

- To nie ma sensu, Mawdoorze. Przecież już mnie masz. Po co miałbyś zabijać księcia?

Mawdoor nagle urósł i zawisł nad nią groźnie.

- Księżę musi umrzeć. Zawsze pragnąłem, by zniknął z tego świata. Posiadł cię, czyż nie? Był twoim pierwszym kochankiem, chyba nie zaprzeczysz?

Brecia pokiwała głową.

- Owszem, był pierwszy.

Mawdoor skurczył się do zwykłego wzrostu. Przez chwilę patrzył na czubki swoich butów, a potem powiedział:

- Słyszałem, że księżę zmusza swoje kobiety do nienaturalnych rzeczy.

Na chwilę Brecia zapomniała o lęku, planach i nabrała animuszu.

- Hm... Do jakich rzeczy?

- Wiesz, o co mi chodzi, Brecio...

- Ależ skąd? Byłam zupełnie niewinna. Wszystko, co robił, wydawało mi się zupełnie normalne, a nawet nudne.

Niemal zasnęłam z nudów, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Woda w studni zawrzała na moment.

Mawdoor spojrzał na nią z uwagą.

- Powiadasz, że to, co z tobą robił, było nudne? A co dokładnie?

- Och, na przykład pocierał moje palce u stóp własnymi tak długo, że niemal obdarł mi je ze skóry. To strasznie nudne, nie sądzisz?

- Pocierał twoje palce u stóp własnymi?

- Zgadza się. Przez niewytłumaczalnie długi czas. Myślałam, że jest to jakiś rytuał. Czarnoksiężski rytuał godowy. Sądzisz, że to nienaturalne?

Mawdoor pokręcił głową.

- Nie, masz rację. To nudne. Ja nie pocierałbym palców twoich stóp, Brecio. A jeśli nawet, to tylko przez chwilę.

- Co zatem jest nienaturalne?

Brecia wciąż ociekała wodą po pobycie na dnie studni. Mawdoor lekko dotknął jej rękawa i natychmiast wyschła. Jej włosy lśniły w popołudniowych promieniach słońca. Mawdoor spojrzał na błyszczące pukle.

- Powiedz mi, co jeszcze robił, a ja ci powiem czy to naturalne, czy też nie.

- Lizał i gryzł moją skórę pod kolanami.

- Hm...

- Czy to nienaturalne?

- Owszem, jeśli robi się to zbyt długo.

Woda w studni bulgotała wściekle, jakby miała zamiar przelać się przez cembrowinę.

Brecia pokręciła lekko głową.

- Och, nie. Robił to zaledwie dwadzieścia minut. - Zmarszczyła brwi. - Świeca całkiem się wypaliła, więc może jednak dłużej.

- On jest najwyraźniej szalony. Jakie to szczęście, że się go pozbyłaś.

- Ach, ale tak wiele jeszcze rzeczy ze mną robił, Mawdoorze. - Brecia zadrżała lekko.

- Jakich, do kata?

- Nie mogę ci powiedzieć. Wstydzę się.

- Powiadają, że zmusza kobiety, by przed nim klękały i zaspokajały jego żądze tak długo, aż mdleją ze zmęczenia.

Brecia pokiwała głową.

- To z pewnością byłoby męczące. I kolana pewnie by się pościerały. Na szczęście mnie do tego nie zmuszał. Czy musiałabym się modlić, klęcząc przed nim?

- Musiałabyś trzymać w ustach jego członek, głupia wiédźmo, i lizać go bez wytchnienia, aż zaczęłabyś się dławić!

Brecia przymknęła oczy i zrobiła rozczarowaną minę.

- Tego mi nie pokazał, choć właśnie to wcale nie wydaje się nudne. Mówisz, że to trwałoby godzinami?

- Tak powiadają, niech szlag go trafi! Ale teraz go uwięziłem i będzie się moczył w tej studni do końca świata.

- Ale to nadal nie ma sensu, Mawdoorze. Po co trzymać księcia w pułapce? Dlaczego nie miałby się włóczyć sam po świecie, rozpamiętując, że miał mnie przy swym boku? I cierpiąc z powodu porażki, jakiej doznał z twoich potężnych rąk? To z pewnością byłoby o wiele gorsze, niż pływanie w studni ze skrzynką twojego ojca w ramionach.

- Chcesz mnie wystrychnąć na dudka, Brecio. Widzę to w twoich oczach.

Chwycił ją za gardło. Brecia wciąż patrzyła na niego spokojnie, lekko przechylając głowę na bok.

- Niech cię piekło pochłonie, Breccio - krzyknął Mawdoor. - Poniżyłaś mnie! Chciałem tylko pojąć cię za żonę, mieć z tobą potężnych synów, a zobacz, co próbowaliście mi zrobić! Co ciągle chciałybyś zrobić!

Zacisnął palce na gardle Brecii.

- Zabij ją, Mawdoorze! Zabij tę wstrętną dziwkę!

- Nie zabiję jej - odrzyknął Mawdoor, nie spuszczać wzroku z twarzy wiedźmy.

- W takim razie puść ją, a ja ją zabiję!

Mawdoor odwrócił się powoli. Ujrzał Maidę stojącą nieopodal. Dwa wilczury siedziały przy jej bokach.

- To nie twoja sprawa, Maido! Wracaj do wieży! - wrzasnął Mawdoor.

- W nocy zapewniałeś mnie, że chcesz, bym przy tobie została. Jeśli to prawda, to dlaczego jednocześnie pragniesz tej kreatury?

- Nie widzisz, że ją duszę? - zawył czarownik.

- Ale robisz to z pożądaniem w oczach. Pozwól odejść tej kobiecie! Pozwól mi skopać jej tyłek!

Mawdoor zatrząsł wiszącą bezwładnie Brecią.

- To nie kobieta. To wiedźma!

- Wiedźma? Owszem, nawet wygląda jak wiedźma. Na jej widok cała drzę.

Brecia zmrużyła oczy.

- A cóż to niby oznacza? Cała drzę? Zaraz sprawię, że naprawdę zdrzysz!

- Ha, teraz widzę, że to wiedźma! - wrzasnęła Maida. - Dusisz ją, a ona nawet tego nie czuje. Wisi sobie i śmieje się z ciebie. Robi z ciebie głupca. Nie jest ciebie warta, mój panie!

Maida poleciała nagle w tył, trzasnęła plecami ścianę, zjechała bezwładnie na ziemię i upadła, siłując złapać oddech.

Mawdoor puścił Brecię. Wylądowała z gracją na ziemi.

- Ty to zrobiłaś, nieprawdaż?

- Oczywiście - odparła Brecia. - Jestem czarownicą.

- Brałem ją do łóżka - powiedział Mawdoor. - Cieszyłem się jej towarzystwem. I zamierzam nadal to robić, nawet gdy już będziemy małżeństwem.

- Obawiam się, że złamała nogę przy upadku, może nawet i kark? Czy ona właśnie umiera? Leży z tak dziwnie powykreczanymi rękami...

Mawdoor podbiegł do Maidy leżącej na ziemi.

- Co za wiedźma! - charczała dziewczyna. - Zabij ją!

- Zamilknij, kobieto - odparł Mawdoor. - Ta wiedźma będzie moją żoną. Jak się czujesz? Złamałaś coś?

Brecia z uśmiechem patrzyła, jak niewiasta szarpie go za rękaw. Mawdoor skupił na niej całą uwagę. Brecia spojrzała w niebo i zaczęła cicho śpiewać. Gdy po chwili ucichła, wszystko się zatrzymało, także Mawdoor. Czas zastygł.

Tylko wiatr wciąż wiał, dmuchając jej w twarz. Spojrzała na Mawdoora zastygłego w pół ruchu. Osłabił swoją moc, gdy pozwolił, by dotknęła go śmiertelniczka. Człowieczeństwo odebrało mu siłę i potęgę. Skupiał się tylko na niej, czując złość, a może nienawiść czy też miłość, nieważne. Zakłęcie podziałało także na niego.

Czas zastygł, a wraz z nim bardzo potężny czarodziej. Lecz nie na długo.

Podbiegła do studni i krzyknęła:

- Książę! Nie zechciałbyś zrobić ze mną jakichś nienaturalnych rzeczy?

Usłyszała jego śmiech, a po chwili pojawił się przy jej boku. Otrząsnął się z wody jak pies, pokręcił głową i był już całkiem suchy.

- Bardzo mądra ze mnie wiedźma.

Książę spojrział na Mawdoora i ucepioną jego ramienia kobietę.

- Stałaś się o wiele mądrzejsza, odkąd przy tobie jestem. Ale Mawdoor nie jest śmiertelnikiem Brecio. Nie mamy zbyt wiele czasu i dobrze o tym wiesz. Musimy się pospieszyć. - Delikatnie dotknął palcami jej policzka. - Masz ją?

- Mam - uśmiechnęła się i wyjęła spod sukni złotą szkatułę, która znów stała się przeraźliwie zimna.

- Spójrz na niego - powiedział książę, przygotowując się do zaklęcia. Wyjął różdżkę i pogłaskał ją delikatnie. - Już niedługo. Zaklęcie nie utrzyma go dłużej. Widzisz, Brecio, że miałem rację. Zdradził cię i w dodatku ze śmiertelniczką, która chciała ci skopać tyłek. Zmusiłby cię do małżeństwa, ją zaś wziął sobie jako kochankę. To haniebne.

Brecia miała ochotę się roześmiać, lecz za bardzo się bała.

- Mawdoor ma klucz.

- Wiem. Musimy go szybko znaleźć.

Wyciągnęła różdżkę w stronę Mawdoora.

Nagle zaklęcie przyszło i wszystko stało się niemal jednocześnie. Ziemia zadrżała. Maida wydała, przenikliwy okrzyk. Starcy rzucili się do ucieczki.

Potem zapadła cisza i przez dłuższą chwilę zdawało się, że zamarło wszelkie życie.

Mawdoor stał, trzymając różdżkę w prawej dłoni.
W lewej dzierżył złoty miecz.

- Zabiję cię nim, książę. Przez całe lata szukałem
miecza, który może przeszyć serce czarodzieja!

Rozdział 32

- To niesłychane, Mawdoorze - rzekł książę, wspierając dłonie na biodrach. - Zatem przygotowałeś dla mnie specjalny miecz?

- Zawsze nienawidziłem twojego poczucia humoru, książę. Jednak już niedługo zamilknieš na wieki. A gdy posiąde już Brecię, spalę jej dębowy gaj i będę tak długo ciskał głązy na pogorzelsko, aż wszystko zakryją. Niech po wsze czasy płacze za swoimi duchami. Wyjęłaš skrzynkę ze studni, Brecio. To było bardzo niemądre. Gdy książę wreszcie zginie, dam ci taką nauczke, że popamiętasz.

Brecia chuchnęła lekko na czarownika, szepcząc:

- Twoje stopy płoną, Mawdoorze. Płoną, płoną, płoną...

Mawdoor podskoczył wysoko, a złoty miecz wypadł mu z ręki.

Książę był przy nim w mgnieniu oka, lecz Mawdoor poruszał się tak szybko, że gdy rzucił się w kierunku miecza, widać było tylko rozmazaną plamę. Krzyknął głośno, celując prosto w pierś księcia.

Książę miał tylko nóż, z którym błyskawicznie skoczył do gardła czarownika, lecz w tej chwili niebo zasnuło się czernią. Beładny chór głosów zaczął skandować:

- Zabij go! Zabij go!

Po chwili głosy przybrały kształt tysięcy czarnych kruków, spadających z nieba wprost na księcia, okrywając go czarną masą łopoczących skrzydeł.

Mawdoor cofnął się, wbił czubek miecza w ziemię i zaczął się śmiać.

Nagle kruki wystrzeliły w powietrze i opadły martwe na ziemię. Po chwili kolejne martwe ciała ptaków zaczęły spadać u stóp Mawdoora. Książę zatoczył dłońmi ochronny krąg. Cokolwiek przekroczyło granicę sfery, padało martwe.

Mawdoor wznosił miecz i z rykiem ruszył na przeciwnika. Brecia dostrzegła, że ciało księcia spływa krwią z ran zadanych przez kruki. Krzyknęła ze złości i wymierzyła w Mawdoora różdżkę:

- Niech złoty miecz oplącze mu szyję!

Zaklęcie chybiło celu.

Z nieba sypnęły się kolejne skrzydlate stwory. Tym razem były to demony. Setki czarnych potworów pod wodzą ogromnego czerwonego upiora. Krewni Mawdoora!

- Niech krew demonów splami tę ziemię! - krzyknęła Brecia, machając różdżką.

Gdy czerwony upiór spojrzał na wiedźmę, aż zakręciło jej się w głowie ze strachu i odrazy. Nie zabił jej, lecz nagle poczuła się słaba jak śmiertelnik. Okropne uczucie. Książę wiedział, że ma już niewiele czasu. Demony były potężne, niemal niezniszczalne, a było ich tak wiele! Tym razem Mawdoor przewidział wszystko.

Jeden z demonów oderwał się od sfory i zatopił długie szpony w twarzy księcia, oślepiając go. Czarodziej szybko wyobraził sobie postać Mawdoora i zamierzył się sztyletem.

Usłyszał głośny krzyk, nie widział jednak, w co ugodził.

Kolejne trzy demony spadły mu na głowę. Nie mógł ich strząsnąć i wydawało mu się, że zaraz umrze z bólu. Kątem oka ujrzał gotującego się do skoku czerwonego upiora, który czekał, aż jego pobratymcy schwycą czarodzieja, by go zabić jednym potężnym ciosem.

Książę walczył dziko, łamiąc ręce i nogi wrogów, lecz było ich zbyt wielu. Używał całej swojej potęgi, ale nie działała ona na istoty z innego świata. Czuł, jak fale magii Brecii rozbijają się o ciała demonów, lecz nie zdało się to na nic.

Brecia wiedziała, że jeszcze chwila i demony rozerwą go na strzępy. Musiała się pospieszyć.

- Chcę klucz! - krzyknęła. W tej samej chwili poczuła w dłoni klucz i nie namyślając się wiele, wcisnęła go w zamek i otworzyła wieko skrzynki. - Niech cię pochłonie na wieki, Mawdoorze! Razem z twoimi demonami!

Zahuczało przeciągle. Mawdoor wraz ze zgrają demonów wpadł do przezroczyściego tunelu. Brecia widziała, jak złoty miecz owija się wokół ciała czarownika, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch. Przez chwilę kręcili się beładnie nad szkatułką i nagle wpadli do środka z głośnym gwizdem. Brecia szybko zatrzasnęła wieko i przekręciła klucz.

Książę klęczał ze zwieszoną głową, podpierając się ramionami. Był cały we krwi.

Brecia dotknęła go, pocałowała i zaczęła śpiewać uzdrawiającą pieśń, jednak rany zadane przez demony nie reagowały na magię.

- Nie mogę cię uzdrowić, księżę - powiedziała. - Musimy spróbować innych metod.

- Nie ma innych metod - odparł księżę, czując, że nadchodzi śmierć.

- Chyba jesteś szalony! Musi być jakiś sposób!

Księżę zdołał unieść głowę i spojrzeć na nią.

- Najdroższa, bardzo mi przykro, że tak się to kończy. Drań zwołał demony... Kto mógłby to przewidzieć? Mawdoor znów mnie zaskoczył. Ciekaw jestem, gdzie go ugodziłem.

- Odciąłeś mu ucho - odparła Brecia. Drżała z przerażenia.

- Wspaniale. Ach, jakie to ekscytujące. - Księżę zamknął oczy i opadł na bok. Gęsta, czerwona krew wsiąkała w ziemię.

- Nie! - krzyknęła Brecia. - Pomocy!

W powietrzu nagle zawirowały duchy, oplatając ciało księcia. Były niemal niewidoczne, nie licząc długich, wąskich stóp. Na oczach Breicii przykryły całe ciało księcia i zaczęły mruścić. Miękkie, harmonijne głosy rozbrzmiewały na pogrążonym w ciszy dziedzińcu, wznosiły się pod niebo.

Brecia opadła na kolana. Jeden z duchów delikatnie głaskał jej plecy. Klęcząc, modliła się gorąco. Nic więcej nie mogła zrobić.

Pieśń słabła powoli, w miarę jak duchy rozptyły się w powietrzu. Po chwili odeszły do dębowego gaju.

Księżę leżał bez ruchu na ziemi. Nie był już zboczony krwią, wciąż jednak nieruchomy i zimny. Brecia pochyliła się nad nim, dotknęła ukochanej twarzy, pogładziła

szeroki tors, ramiona i długie nogi.

- Już wystarczy, książę. Wróć do mnie.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Brezia chciała wykrzyknąć swój strach, gdy nagle książę zamrugał i otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej.

Brezia ucałowała go w usta.

- Moczysz mnie łzami, Brecio.

- Szalony, szalony książę - szeptała Brezia, całując go raz po raz. - Wszystko będzie dobrze.

Książę był tak wyczerpany, że nie mógł nawet oddać jej pocałunku. Czuł się z tym okropnie.

Stopniowo zaczęła wstępować w niego siła. Odetchnął głęboko i usiadł. Pokręcił lekko głową. Nie widział już krwi ani ogromnych ran po szponach demonów.

- Twoje duchy mnie ocaliły - powiedział.

- Nasze duchy, książę - poprawiła Brezia. - Nasze duchy.

- Zażądałaś klucza. To było bardzo sprytne, Brecio. Otworzyłaś skrzynkę?

Brezia wskazała głową złote pudełko stojące na ziemi, z kluczem tkwiącym w zamku.

- Mawdoor jest w środku razem ze swoimi demonami. Złoty miecz owinał się wokół jego ciała.

- Trzeba przyznać, że przygotował się wyśmienicie - stwierdził książę. Skinął głową w kierunku skrzynki i w tym momencie już ją trzymał na kolanach. - Co się stało?

- Demony chwyciły Mawdoora i zbiły się w bezładną chmurę. Wyglądały, jakby porwał je cyklon, który wsysał je wprost do szkatuły. Gdy wpadli do niej, nie mogłam już ich zobaczyć.

- Więc zamknęłaś ją i przekreśliłaś klucz.

Brezia pokiwała głową.

Książę zmarszczył brwi.

- To niezwykle. Jak mogą być tam w środku, skoro ich nie wyczuwam? Niczego nie czuję.

Brecia wpatrywała się w skrzynkę z obawą. Wciąż miała wrażenie, że za chwilę wieko odskoczy z trzaskiem, demony wysypią się ze środka i rozerwą księcia na strzępy, a Mawdoor zmusi ją, by na to patrzyła. Wciąż była spięta, gotowa w każdej chwili przenieść oboje do Hiszpanii, gdyby zaszła taka potrzeba. Szkatułka i uwięzione w jej wnętrzu stwory napawały ją grozą.

Książę podrapał się po brodzie.

- Musimy coś zrobić z tą szkatułą, Brecio.

Brecia wiedziała o tym doskonale. Spojrzała na leżącą nieopodal Maidę. Usta śmiertelniczki otwierały się w niemym krzyku. Wszyscy starcy wciąż stali nieruchomo jak głazy.

Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Brecia zamknęła oczy i wyszeptwała starożytnie zaklęcie. Ziemia lekko zadrżała. Starcy nie poruszyli się, choć nie więził ich już żaden czar. Byli zbyt przerażeni. Wpatrywali się tylko ze zgrozą w leżącego księcia i martwe kruki.

- Co zrobiłaś Mawdoorowi, podła wiedźmo? - krzyknęła Maida.

- Nie ma już Mawdoora - odparła Brecia. - Wróci porządek.

Maida wstała, otrzepała się z piasku i podeszła bliżej. Była przerażona, lecz starała się to ukryć.

- Macie magiczną moc tak jak mój pan - rzekła.

- Owszem - powiedział książę lekkim tonem. - Mamy magiczną moc, a Mawdoor nie będzie dłużej terroryzował tej ziemi.

Brecia zmierzyła spojrzeniem zgrabną figurę Maidy, jej gęste włosy i ciemnozielone oczy.

- Obraziłaś mnie, głupia kobieto. Podniosłaś na mnie rękę...

- A czy ty przypadkiem nie walnęłaś mną o ścianę? Cudem nie zламаłam nogi!

- ...ale zaczynam sądzić, że mogłabyś być świetną panią na Penwyth.

- Byłabym świetna we wszystkim - odwarknęła Maida.
- I powiem ci, nędzna więdźmo, że nie byłabym tylko utrzymanką Mawdoora. Zmusiłabym go, by wkrótce ciebie udusił, a za żonę wziął mnie

- Ach, głupia! Nie chodzi mi o to, że byłabyś świetną panią pod rządami męzczyzny. Moim zdaniem sama powinnaś tu rządzić.

Maida otworzyła usta ze zdumienia.

- Czyżby? A jak niby miałabym bronić tej ziemi, szkaradna więdźmo?

- Nie jestem szkaradna. Jestem piękna, każdy ci to powie. Poza tym, a więdz, że niechętnie to przyznaję, jesteśmy właściwie podobne z tymi rudymi włosami i zielonymi oczami.

- Hmm... Ale ja wyglądam z nimi o wiele korzystniej.

Książę odkaslnął.

- By ochronić tę ziemię, Maido, przede wszystkim musisz się pozbyć czarnej wieży. - Lekko stuknęła różdżką o rękaw i w jednej chwili na miejscu fortecy Mawdoora stanął normalny drewniany gród z glinianymi chatami krytymi strzechą. Nawet chlewy nie były już z czarnych, lecz ze zwykłych okorowanych bali powiązanych grubymi linami.

Starcy zamruczeli z ukontentowaniem.

- Hm... - mruknęła Maida. - A jak mam utrzymać Penwyth, skoro mieszkają w nim sami starcy?

Książę uśmiechnął się tylko i zatoczył dłonią krąg.

- Długie życie w Penwyth nigdy już nie będzie karą. Będzie nagrodą dla najwierniejszych poddanych. Oddaj młodość tym starcom, Brecio.

- Niech wróci tu młodość! - krzyknęła Brecia. W jednej chwili starcy stali się młodzi. Otrząsnęli się, rozmasowali łokcie i kolana, w których nie czuli już bólu, podrapali w głowy na nowo pokryte bujnymi czuprynymi. Trzy panny wykonały taniec radości, wysoko podnosząc nogi. Młodzieńcy na zmianę pokrzykiwali i przeklinali. Ożywione głosy wypełniły dziedziniec.

- Nie ma już Mawdoora. Znów możecie sami decydować o waszym życiu - krzyknęła Brecia.

Maida rozejrzała się dokoła i zatarła ręce.

- Spójrzcie tylko. Ten zaskoczony przystojny młodzieniec to chyba stary Dorom. No, no! Nie uważacie, że ma prześliczny uśmiech?

- W dodatku znowu wszystkie zęby - dodała Brecia.

- Chyba sprawdzę, czy poprawił mu się oddech - rzuciła Maida, oddalając się z gracją.

- Wiesz, Brecio, mam jakieś dziwne uczucie stwierdził ksiązę, drapiąc się po szczęce. Rzekłbym, że ścieżki moich myśli są bardziej pokrętne niż zwykle. Mam życzenie chronić Penwyth i wszystkich potomków Maidy...

- Zważywszy na jej charakter, przypuszczam, że potomkowie Maidy przez długie wieki zdołają sami utrzymać tę ziemię. Chcesz rzucić jakiś czar na Penwyth?

- Myślałem raczej o klątwie. - Podniósł skrzynkę w górę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. - Słuchajcie! Jeśli kiedykolwiek najeźdźca zdobędzie tę ziemię przemocą, zginie! - Uśmiechnął się do Brecii. - No, to by było na tyle.

- Jak na tak pokrętny umysł, niewiele miałeś do powiedzenia - prychnęła Maida, odrzucając rude włosy na ramię.

Książę miał ochotę cisnąć w nią skrzynką.

- Każda panna z Penwyth, która będzie miała rude włosy i zielone oczy, będzie strzeżona - wykrzyknęła Brečia.

Książę zarechotał rubasznie.

- I ta załosna jałmużna ma być lepsza niż moja szczerza, prosta klątwa? Przecież jedynie chroni kobiety podobne do ciebie i Maidy!

Brečia pogroziła mu pięścią.

- Zazdrościsz mi, bo sam o tym nie pomyślałeś. - Przez chwilę obserwowała, jak Maida rozkazuje młodym poddanym. - Wiesz, Maida byłaby świetną wiedźmą. Penwyth jest już bezpieczne. Mieszkają w nim ludzie, którzy pomogą Maidzie, a my... - Odetchnęła ciężko - ...my musimy się zająć szkatułą. Co z nią zrobimy?

- Musimy ją ukryć w mojej jaskini. Jednak zapewne zdajesz sobie sprawę, że pewnego dnia klątwa przestanie działać. Chyba nachodzi mnie kolejna zdumiewająca myśl.

Książę chwycił Brecię. Była tak zaskoczona, że upuściła szkatułę, jednak on złapał ją w locie.

- Tak - wykrzyknął, całując jej ucho. - Pewnego dnia, w dalekiej przyszłości, klątwa utraci swoją moc. To będzie straszne. Ktoś będzie musiał ją odnowić i nawet wiem już, jak to zrobić. Zwiążę Mawdoora z klątwą.

- Mawdoora? Oszalałeś?

- Posłuchaj, spleć klątwę z tą skrzynką, a skoro Mawdoor jest w środku, będzie z konieczności z nią związany. Zaufaj mi. Wiesz przecież, że nie zasłużył na to, by siedzieć w tej skrzynce na zawsze. To zbyt surowa

kara. - Książę zbliżył twarz skrzynki i powiedział: - Mawdoorze, odciąłem ci jedno ucho, więc słuchaj mnie bardzo uważnie. W przyszłości będziesz mógł się uwolnić, przełamując moją klątwę, pod warunkiem że zostawisz demony w ich świetle. Będziesz musiał przysiąc, że staniesz się godnym zaufania i szacunku czarodziejem. - Skrzynka zadrżała w jego rękach. Książę pokiwał głową i się uśmiechnął. - Mawdoor aż kipi z wściekłości, lecz jak długo może to trwać? Widzę to wyraźnie: przyjdzie czas, gdy klątwa zostanie złamana. Pojawi się pewien mężczyzna, sprytny i śmiały, muśnięty odrobiną magii. Pokieruję nim i wszystko dobrze się skończy. - Książę zamknął oczy, wymruczał zaklęcie i rzekł: - Stało się.

- Czy ten śmiałek straci swoją magię? – zapytała Brezia.

- Tego nie wiem - odparł książę i strzelił palcami. - Nie zapominaj, że to tylko odrobina magii. Ten mężczyzna odnajdzie szkatułę.

- Śmiertelnicy zawsze odnajdują ukryte rzeczy, niezależnie od tego, jak dobrze je schowasz. Muśnięty magią śmiałek będzie szedł do skrzynki jak po sznurku, póki na nią nie nadejrze. Czy będzie do ciebie podobny, mój książę?

- Czegóż więcej mógłby pragnąć? Przecież jestem porażająco przystojny.

Brezia dotknęła różdżką jego nosa.

- Musi być przy nim kobieta, która go poprowadzi, będzie go rozśmieszała, kochała i tysiąc razy ocali mu życie.

- Czy będzie podobna do ciebie, Brezio?

- Dlaczego nie? Wtedy będą do siebie naprawdę pasowali. Dam także naszemu śmiałkowi wielką siłę

i spryt. Mam nadzieję, że poradzi sobie z Mawdoorem.

- Przecież to będzie mężczyzna na mój wzór i podobieństwo, poradzi sobie ze wszystkim. Być może będzie miał drobne kłopoty z kobietą, jeśli będzie nazbyt do ciebie podobna. Ale i ją również podbije. Oczaruje ją, a ona będzie go wielbiła.

- Twoja arogancja mnie wzrusza - parsknęła Brecia, całując księcia w policzek.

Kątem oka spostrzegła, że mieszkańcy Penwyth obserwują ich uważnie, szepcząc cicho, lecz boją się podejść bliżej.

- Zostawmy ich, by mogli opowiadać o nas historie, siedząc przy kominku. - Ujęła księcia za rękę i krzyknęła:

- Dom!

W jednej chwili zniknęli. Rozglądający się ze zdumieniem ludzie usłyszeli kobiecy głos dobiegający jakby sponad ich głów:

- Pójdź, mój księżu. Pokaż mi jakieś nienaturalne rzeczy. Czy naprawdę będziesz chciał, bym klęczała przed tobą godzinami?

Wokół rozległ się tubalny śmiech.

Rozdział 33

Obecnie

Gdy potężny głos wykrzyknął: Nie! Merryn myślała, że serce pęknie jej w piersi, a ona umrze w tej wstrętnej dziurze.

Bishop zamarł, wpatrując się w szkatułę.

Rozdzierający ryk zaczął zamierać, aż stał się dźwiękiem, który dziwnie kołł zmysły, podobnie jak szum fal rozbijających się o piaszczysty brzeg.

- W tej skrzynce coś jest - powiedział Bishop.

Merryn schwyciła go za rękę.

- Nie! Zostaw to! Nie wiemy, czym się to może skończyć.

- To prawda, że nie wiemy. Ale musimy się dowiedzieć.

Merryn zacisnęła zęby z przerażenia. Wcale nie chciała patrzeć, jednak nie mogła się powstrzymać. Uważnie śledziła wzrokiem dłoń Bishopa zanurzającą się w złotej skrzynce. Z pozoru szkatułka nie była głęboka, lecz ręka Bishopa zanurzała się coraz głębiej i głębiej, aż do łokcia.

Uniósł się na kolanach i pochylił, wyciągając mocno palce. Rękę miał już do ramienia zanurzoną w skrzynce.

- Nie czuję niczego - powiedział. - Ani ciepła ani chłodu.

Nagle rozległ się czysty, wibrujący głos:

- Jestem Mawdoor, strażnik klątwy, więzień tej przeklętej szkatuły przez czas dłuższy, niż to można sobie wyobrazić. Uwolnij mnie, śmiertelniku.

- Czy przysięgniesz, że staniesz się najbardziej szlachetnym i godnym zaufania czarodziejem na całym świecie? - bez wahania zapytał Bishop

W ciasnej dziurze rozbrzmiał jakby grzmot.

- Przysięgam - po chwili odpowiedział Mawdoor.

- Czy odeślesz demony do ich świata?

- Odeślę.

- Kiedy?

- Natychmiast. Uwolnij mnie!

Bishop przysiadł na piętach, wpatrując się w skrzynkę. Powoli pokiwał głową.

- Dokonało się. - Wziął różdżkę i skierował ją w stronę szkatuły. - Zdejmuję z ciebie klątwę.

Zapadła głucha cisza. Po chwili rozbrzmiał śpiew wielu głosów zestrojonych w idealnej harmonii, a potem znów nastąpiła cisza.

Szkatuła zaczęła drżeć. Bishop i Merryn odsunęli się od niej, najdalej jak mogli.

Znienacka szkatuła wybuchła feerią barw. Czerwone, błękitne, pomarańczowe i zielone płomienie unosiły się w górę, strzelając i trzeszcząc coraz głośniejsze, aż Merryn i Bishop zasłonili sobie uszy rękami.

Nagle barwne płomienie i hałasy znikły. Po prostu znikły.

Znów byli w otworze tylko we dwoje.

Wiesz co, Merryn?

Dziewczyna pytająco przechyliła głowę na bok.

- Właśnie do mnie dotarło, że bardzo bym chciał zobaczyć, jak przede mną klęczysz.

- Dlaczego? Chciałbyś, bym cię czciła?

Bishopowi zakręciło się w głowie. Przecież widział ją, do diabła! Widział, jak klęczy, dotyka go i pieści, a potem bierze do ust. Zadrżał. Byli na dnie jakiejś przekłętej dziury, nie miał pojęcia, jak się z niej wydostać, za to nie mógł pozbyć się wizji pieszczącej go Merryn!

Najwyraźniej całkiem oszalał.

Wszystko, co się wydarzyło w tym miejscu, było kompletnym szaleństwem. Chciał to zignorować, skupić się wyłącznie na terażniejszości, na tym, czego mógł dotknąć. Terażniejszość, pomyślał, co za błogostawieństwo. Wiedział, że ani on sam, ani Merryn nie chce więcej rozmyślać o szkatułce, czarowniku Mawdoorze i wszystkich jego demonach. Tego było po prostu za wiele.

Nagle Bishop usłyszał śmiech. Ten sam, który słyszał, gdy za pierwszym razem pochylił się nad otworem. Ten sam, gdy ktoś uderzył go w twarz. Śmiech stawał się coraz głośniejszy.

Spojrzał na Merryn. Dziewczyna czekała, aż Bishop się odezwie, lecz on zwyczajnie nie mógł wykrztusić ani słowa.

Zdał sobie sprawę, że Merryn nie słyszy śmiechu.

Raptem się uśmiechnął.

- Nie, nie chcę, byś mnie czciła. Opowiem ci o tym później. Wydostanemy się stąd. Podaj mi rękę.

Bez zbędnych pytań podała mu dłoń.

Bishop przyciągnął ją do siebie i ciasno otoczył ramionami. Śmiech przycichł. Rycerz był pewien, że tym razem nikt go nie uderzy. *Czy to ty, księżę? Chcesz,*

żebym wyszedł wreszcie z tej dziury, czyż nie? Chcesz, żebyśmy zostawili w spokoju twoją jaskinię.

Bishop zamknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył sznurową drabinę zwieszającą się po ścianie.

- A to skąd się tu wzięło? - zapytała Merryn. W jej głosie nie słyszał lęku, tylko ciekawość. - Przecież nie było jej tu wcześniej, prawda, Bishopie?

- Masz rację, nie było jej.

Nic więcej nie powiedział. Zresztą, cóż mógłby powiedzieć? Że książkę przyczepił sznurową drabinę? Stwierdził, że obydwójce przekroczyli już granicę strachu i zrozumienia dla wszystkiego, co się działo.

- A może tu była, tylko jej nie zauważyliśmy? - Może była niewidzialna? Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że ją zobaczy, gdy otworzy oczy.

Wygramoliwszy się na dno jaskini, wiedział doskonale, że już nigdy więcej nie usłyszy tego śmiechu. Czy był to książkę, czy nawet Brecia, głos zniknął na dobre. Bishop raz jeszcze zerknął do otworu i wcale się nie zdziwił, że sznurowa drabina zniknęła również.

Cokolwiek się wydarzyło, czy sam to sobie wymyślił, czy był to wytwór jego szaleństwa, wiedział, że wszystko już się skończyło. Klątwa nie działa. Dokąd udał się Mawdoor ze swoją skrzynką? W przeszłość? W przyszłość? Nie miał pojęcia. Może nawet unosi się teraz tuż nad jego głową? Któż może to wiedzieć? Może czeka na kolejnego przypadkowego rycerza, który raz jeszcze odtworzy zamierzoną historię?

Merryn starała się otrząść i uporządkować suknię.

- Złamałem klątwę - powiedział do niej Bishop z pełnym przekonaniem. Wiedział, że obydwójce muszą w to uwierzyć.

- Aha - odparła lekkim tonem Merryn, uśmiechając się promiennie. - Chyba masz rację. Byłam w jakiś sposób przywiązana do tej szkatuły. Ciekawa jestem, jak to wszystko się zaczęło. Bardzo się bałam, gdy zanurzałeś w niej rękę, Bishopie. A kto ją ukrył w tej jaskini? - Zamilkła na chwilę, widząc jakąś zmianę na jego twarzy. Kolejne pytania zamarły jej w gardle. Pomyślała, że w zasadzie to wszystko nie ma znaczenia.

Zostaw to, powiedziała sobie. Zostaw wszystkie pytania w tej jaskini. Już po wszystkim, obydwójce żyjemy i nie wiąże nas już żadna klątwa. Już dość.

- Czy pojedziemy teraz do domu? Do Penwyth?

- Do domu?

- To teraz nasz wspólny dom. Nie będę się musiała obawiać, że na weselnej uczcie padniesz twarzą na pieczonego bażanta.

- Och, to nie była moja ulubiona wizja przyszłości. Powinniśmy pobrać się najszybciej, jak to możliwe, Merryn. Nosisz moje dziecko.

Instynktownym gestem położyła dłonie na brzuchu.

- Może masz rację. Nareszcie. Powiję syna mojemu piątemu mężowi.

Bishop roześmiał się głośno.

Gdy wyszli z jaskini, Nieustraszony zarżał rażno na ich widok. Merryn z radością odetchnęła morskim powietrzem.

Nie tylko klątwa odeszła w niepamięć - pomyślał Bishop. Wszyscy odeszli: księżę, Breca i Mawdoor. A co się stało z Maidą? A rudowłosa, zielonooka Merryn? Czy w jej żyłach płynie krew Maidy czy Brecii? Nie potrafił

ogarnąć wszelkiego, doszedł jednak do wniosku, że nie ma to już najmniejszego znaczenia.

Uśmiechnął się, wyciągając rękę.

- Jedźmy do domu, Merryn.

* * *

St. Erth, dwa dni później

Dienwald rzucił Bishopowi jabłko.

- Wiemy tylko, że młodzieniec zwączy się Fioralem z Grandere Glen zajął Penwyth – powiedział. - Stało się to jakieś pięć czy sześć dni temu. Powiadają, że ma ze sobą dwudziestu żołnierzy i zamierza czekać, aż wróci Merryn. Chce się z nią ożenić.

- Mieliśmy nadzieję, że klątwa go zabije, ale nic takiego się nie stało - dodała Philippa.

- Bo nie miał się z kim żenić, skoro mnie tan nie było - stwierdziła Merryn, gryząc jabłko.

- Co więcej, nie ma już klątwy - zaznaczył Bishop.

- Spodziewaliśmy się, że ją zdejmiesz - wyznał Dienwald. - Mój przeklęty teść, obmierzły król tej ziemi, przysłał list, w którym nakazuje, byśmy udzielili ci wszelkiej możliwej pomocy i oświadczą, że na pewno zdejmiesz tę klątwę. - Dienwald rzucił ogryzek psu. - Napisał, że jest w tobie coś takiego, co sprawia, że wszystko jakby samo się załatwia. Obawiam się, że gdy następnym razem wybierzemy się do Windsoru, wciąż będzie opowiadał o twoim sprycie, mądrości i przeklętej umiejętności bezbłędnego docierania do istoty rzeczy. - Dienwald westchnął głośno. - Potem będzie lamentował

w głos, że chciałby, iżbyś to właśnie ty był mężem mojej słodkiej Philippy, nie zaś ja, przeklęty dureń, który robi jej tyle dzieci, że wszyscy wieśniacy z okolicy uciekną, bo nie będą w stanie nas wyżywić.

Philippa pocałowała męża i poklepała go po ramieniu, uśmiechając się do Bishopa i Merryn.

- Dienwald trzęsie się ze strachu.

- Ależ skąd, Philippo, on żartuje - wtrąciła Merryn. - Nikt w St. Erth nie może się obawiać śmierci głodowej.

- Nie o to chodzi - rzekła Philippa, głaszcząc włosy męża. - Dienwald się irytuje, gdyż pojawiła się w okolicy niewielka banda rabusiów i chciał puścić się za nimi w pogoń, lecz nasi synowie wpadli w panikę, chwycili go za nogawki i błagali, by nie wyruszał, bo to zasmuci dziadka.

Bishop parsknął śmiechem.

- Edward i Mikołaj mają zaledwie po osiem miesięcy! Nie byliby w stanie zatrzymać ojca i błagać go, by został.

- Krętacz przemawiał w ich imieniu, czyż nie? - wyjaśniła Philippa.

Błazen wyprostował się i zawył przeciągle:

*Król przemówił, a jego woła jest święta
Pan nie będzie już zbójcom deptał po piętach
Ma spać spokojnie w grodzie swym,
A przed snem będzie...*

Krętacz przewrócił się na ziemię i zaczął okładać się pięściami po głowie.

- Och, nie! Zepsułem rym! Chciałem zaśpiewać o tym, jak pani krzyczy na cały dziedziniec, gdy pan sprawia jej rozkosz, ale zgubiłem rym! Skoro jednak już wiecie,

co zamierzałem zaśpiewać, to chyba przyznacie, że reszta była dość dobra?

- Tak, Krętaczu - roześmiała się Philippa. - Nie była najgorsza. Poza tym nie krzyczę na cały dziedziniec.

- Ha - zachnął się Dienwald - wrzeszczysz tak, że Prim, nieszczęsny strażnik bramy, wciąż myśli, że wróg atakuje St. Erth. Wyśpiewałeś tu całą prawdę, Krętaczu. Jednak mamy dziś zacnych gości i musisz się nieco wysilić, by pieśń była i prawdziwa, i piękna.

To rzekłszy, Dienwald podniósł się z fotela i kopnął błazna w wypięty zadek. Krętacz potoczył się bezładnie na sitowie.

Rozdział 34

- Moi ludzie nie mogą już usiedzieć w siodłach, tak są podekscytowani - oświadczył Dienwald. - Przez dobre dwa tygodnie nie mieli okazji zmierzyć się z żadnymi rzezimieszkami i na poważnie szykują się do walki o Penwyth. Mam nadzieję, że przygotowałeś jakiś dobry plan.

- Jasne - odparł Bishop, patrząc na majaczące w oddali mury Penwyth. - Oczywiście, że mam plan. - Zamilkł i uśmiechnął się.

Dienwald nie naciskał. Wiedział, że we właściwym czasie Bishop wszystko mu opowie.

Bishop nie mógł się nadziwić. Jego ziemia odżyła tak, że nie poznawał okolicy. Wszystko było zielone - i pola, i drzewa, i krzewy. Ciemna, wilgotna gleba lśniła w słońcu, polne kwiaty zdobiły krajobraz barwnymi kobiercami. Susza odeszła. Dlaczego jednak najpierw pokonał suszę? Książę nie wspominał nic na jej temat. Bishop zamrugał. Zapewne także susza była jakoś związana z klątwą bądź z jego przybyciem w te strony. Wciąż dobrze pamiętał gęstą zasłonę rozpaczliwej spowijającą tę ziemię. Na widok bujnej zieleni w jego serce wstąpiła otucha.

Dienwald i Bishop jechali na czele grupy. Tuż za nimi, przy boku Merryn, jechał Gorkel, który potrafił w jednej chwili rozbić głowy trzem mężczyznom. Dienwald obejrzał się przez ramię.

- Merryn nie powinna była jechać z nami, Bishopie - powiedział. - To może być bardzo niebezpieczne.

- Prawdę mówiąc, nie byłbym w stanie przeprowadzić planu, gdyby jej tu nie było. Jest niezbędna i nie mamy innego wyjścia. Zadbam o to, by nie stała jej się żadna krzywda. Jednak powiedz mi, Dienwaldzie, jak zdołałeś zmusić Philipkę do pozostania w domu.

Dienwald skrzywił się nieznacznie.

- Szczerze mówiąc, musiałem ją przekupić.

Bishop uniósł pytająco brew.

- Obiecałem jej, że porozmawiam z Graelamem o małżeńskim kontrakcie mojej małej Eleanor i młodego Harry'ego.

- Świetna byłaby z nich para, lecz wciąż nie wierzę, że Philippa zgodziła się zostać w domu dla takiej sprawy. Spodziewam się, że i tak zaproponowałbyś Eleanor synowi de Moretona.

- Oczywiście. Skoro jednak zamierzasz się żenić, Bishopie, pozwól, że udzielę ci rady. Nigdy nie wahaj się kłamać upartej żonie, jeśli chcesz osiągnąć swój cel. Strawiłem całe godziny na krzykach i groźbach, że nigdy nie zgodzę się na mariaż z rodziną de Moretonów. - Dienwald wyszczerzył się w uśmiechu. - Byłem naprawdę przekonujący. Pozwoliłem jej nawet, by tłuła mnie po głowie, krzyczała na mnie i oświadczyła mi, że jestem ostatnim idiotą. Och, moja najdroższa wiedźma siedzi teraz i puchnie z dumy, uważając, że odniosła wielkie zwycięstwo.

Zadowolony z siebie Dienwald zaczął cicho gwizdać.

Za plecami usłyszeli śmiech Gorkela. Był to przerażający dźwięk.

- Merryn rozśmieszyła Gorkela. To zdumiewające, jak bardzo się do niej przywiązał. Szczęściarz z ciebie, Bishopie. Ale dość już o małżeństwach, powiedz lepiej, jaki masz plan odbicia grodu.

* * *

Przekonany o własnej nieśmiertelności dwudziestodwuletni Fioral z Grandere Glen podniósł się powoli z fotela lorda Vellana, w którym siedział wygodnie od kilku dni, rozmyślając o tym, że jednak jest sprytniejszy od większości śmiertelników.

- To oczekiwanie zaczyna mnie nudzić - ziewnął rozdzierająco. - Przyda nam się jakaś rozrywka, Dolanie. Sprowadź tu jednego z tych zmurszałych reliktyw przeszłości.

Dolan sprowadził Crispina, który zgłosił się na ochotnika. Stary strażnik nie chciał, by szalony najeźdźca bez powodu torturował jego ludzi. Był ich dowódcą od tylu lat, że nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy objął to stanowisko. Dolan zaś był znużony i stroskany. Nie, właściwie to był przerażony. Czuł, że stanie się coś strasznego. Wiedział doskonale, że skoro młodego pana nie zabiła klątwa, to zdaje mu się, że już wygrał. To prawda, że Fioral tryskał humorem i energią. Ale po co to wszystko? Co Fioral zamierza uczynić z Crispinem, starym, bezbronnym człowiekiem, z którym Dolan niemal się już zaprzyjaźnił?

Było najzupełniej jasne, że klątwa nie zadziałała, dopóki Fioral nie poślubi wnuczki lorda Vellana, Merryn de Gay.

Dolan byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby zdołał ująć z tego przeklętego grodu cały i zdrowy. Gdyby zaś dane mu było również wyprowadzić swoich żołnierzy, do końca życia błogosławiłby wspomnienie tego dnia. Miał szczerą nadzieję, że Fioral poślubi Merryn de Gay. Wtedy klątwa się z nim rozprawi i będzie miał za swoje. W ostatnich dniach Dolan przekonał się, że młodzieniec nie jest nawet w połowie tak bystry, jak mu się wydaje.

Crispin widział wyraźnie, że Fioral jest śmiertelnie znudzony i prawdopodobnie będzie chciał go dla zabawy zniewazyć i umęczyć. Czy go zabije? Tego Crispin nie wiedział. Podobnie jak lord Vellan i lady Madelyn, stary Crispin bardzo martwił się o Merryn i sir Bishopa. Gdzie się podziewają? Co się z nimi dzieje? Och, na Boga, niczego już nie wiedział prócz tego, że jakiś młody łajdak rozparł się na fotelu jego pana i rządzi wszystkimi, teraz zaś szuka rozrywki i to właśnie Crispin ma mu jej dostarczyć. Przynajmniej dotrzymał słowa. Fioral nikogo nie zabił. Na razie.

Dolan delikatnie popchnął Crispina w stronę Fiorala. Obawiał się tego, co może zrobić jego pan. Znudzony wojownik może być o wiele gorszy niż starożytna klątwa. Ach, ta klątwa! Mimo wszystkich przerażających opowieści lorda Vellana, naszpikowanych krwawymi opisami, Fioral był przekonany, że została wymyślona.

Drapiąc się w otarcie na tyle głowy, Fioral myślał właśnie o śmierci trzeciego męża. Rana nad karkiem wciąż mu dokuczała i stawała się coraz większa. Z trudem oderwał dłoń od głowy i spojrzał z pogardą na starca stojącego przed Dolanem.

- Nazywasz się Crispin i jesteś dowódcą straży lorda Vellana?

- Zgadza się. Jestem dowódcą od wielu lat. Zacząłem nim być, zanim pojawiłeś się na świecie, złodzieju.

Fioral poderwał się z fotela, skoczył ku starcowi i z całej siły uderzył go w twarz. Crispin na pewno upadłby na podłogę, gdyby Dolan w porę go nie chwycił. Wiedząc jednak, że w ten sposób ułatwi Fioralowi dalsze bicie, delikatnie upuścił Crispina na podłogę i przytrzymał lekko, by starzec nie próbował się podnieść.

Fioral stał nad starcem, tupiąc gniewnie.

- Od ilu lat jesteś tu dowódcą, staruchu?

Crispin miał wrażenie, że od tego jednego uderzenia bolą go wszystkie kości. Dobrze mu się leżało na sitowiu i wcale nie zamierzał się podnosić.

- Zostałem nim jeszcze przed narodzinami twego ojca.

- Wierzysz w tę klątwę?

- Oczywiście. Tylko głupiec nie wierzyłby w nią po śmierci czterech mężów.

Fioral pochylił się, by ponownie uderzyć Crispina, lecz Dolan chwycił go za ramię.

- Nie, mój panie, powstrzymaj się. Zapomnij o zniewagach. Zauważ, że wszyscy mieszkańcy Penwyth są bardzo przesądni i wyglądają, jakby mieszkali tu od zarania dziejów. To przecież pewne, że z wiekiem stawali się coraz bardziej zastraszeni.

- Ach, więc jest to dla ciebie pewne, Dolanie?

Dolan kiwnął głową. W głosie swego pana słyszał dziwną miękkość, od której ścisnął mu się żołądek.

Fioral zastygł. Rana na karku swędziała i bolała coraz bardziej. Miał ochotę ją podrapać.

- Jak śmiałeś podnieść na mnie rękę, Dolanie?

Dolan pomyślał, że zachował się nieostrożnie. Poczul zaciskającą się wokół serca zimną dłoń strachu. Nie zdziwiłby się, gdyby następną rzeczą, jaką poczuje, był nóż Fiorala, wbijający się w jego pierś. Starł się nie poruszać.

- Nie chciałem cię obrazić, mój panie. Chodziło mi tylko o to, że wszyscy tu są tak starzy, że nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Nie ma powodu, by ich zabijać.

- On ma rację, głupcze! Zostaw Crispina w spokoju. To dobry żołnierz, można na nim polegać i nic złego ci nie zrobił.

Fioral obrócił się gwałtownie. Do Wielkiej Sali wpadł lord Vellan. Choć nie miał już pewnie tyle siły, co niegdyś, wciąż był imponującym, rosnym starcem, zwłaszcza w tunice wykończonej gronostajowym futrem, którą podobno uszyła dla niego lady Madelyn. Fioral wątpił, by starucha wciąż była w stanie szyć tak piękne szaty. Palce miała kościste i powykręcane. Pragnął gorąco tuniki lorda Vellana. Pasowałaby na króla, nie zaś na starucha, który już od lat powinien gnąć w piekle.

- Czy zamierzasz osobiście odpowiedzieć za podłość swego sługi, mój panie?

- Owszem, odpowiem osobiście. Powiedz, zatem, Fioralu, cóż takiego zrobił Crispin, że tak się wściekłeś? Czyżby cię zaatakował? Groził ci mieczem?

Fioral splunął tuż obok głowy Crispina.

- Wolalbym cię zabić, starcze i wreszcie wszystko byłoby skończone.

- Nic nie byłoby skończone, głupcze. Niedługo wróci sir Bishop i wyrwie ci wszystkie paznokcie, a ja będę się śmiał, gdy twoje wrzaski będą się odbijały echem od ścian naszego zamku.

Fioral nie mógł się powstrzymać. Spojrzał na swe paznokcie: brudne, połamane, lecz mocne.

- Ten słynny Bishop z Lythe z pewnością już nie żyje, mój panie, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zabrał z sobą lady Merryn i odjechał. Jak myślisz, dokąd się udał? Do Londynu na spotkanie z królem? Nie sądzę. Pewnie zabili ich bandyci. Gdybym to ja spotkał ich w drodze do Penwyth, na pewno bym ich zabił.

Nikt się nie odezwał, gdyż nikt nie chciał zginąć. Lord Vellan patrzył tylko na Fioralą, jakby ten był robakiem, którego niedługo zdepcze but rycerza.

- A może spróbujemy inaczej - ciągnął Fioral. - Założmy, że klątwa działa tylko tutaj, w Penwyth. Ten Bishop zabrał lady Merryn i zmusił ją, by za niego wyszła, licząc na to, że klątwa go nie dosięgnie. A jednak zginął. Co sądzisz o takiej wersji, mój panie? Bishop z Lythe nie żyje, gdyż twoja klątwa działa wszędzie i zawsze.

- Nic nie wiem na ten temat - odparł lord Vellan. - Jeśli jednak klątwa zabiła Bishopa, to gdzie się podziewa moja wnuczka?

- Pewnie wraca do Penwyth. Przybędzie do mnie i poślubię ją jako prawowity mąż.

- Nie masz tu żadnych praw, Fioralu - prychnął lord Vellan. - I zginiesz przez własną głupotę. Całe twoje gadanie nie ma krzty sensu.

Fioral podbiegł do lorda Vellana i zamierzył się pięścią, by go uderzyć, lecz w tym momencie poczuł przeszywający ból w ranie na tyle głowy. Zdawało mu się, że odrażająca ropa przepaliła mu skórę i rozlewa się w głąb ciała, pożerając go żywcem. Na wszystkich świętych! Fioral zmartwił z przerażenia. Chwycił się za ranę i wybiegł z Wielkiej Sali.

Crispin wstał powoli. Otrzeptał sitowie ze spodni i powiedział do Dolana.

- Coś bardzo złego dzieje się z twoim panem. Nie licząc, rzecz jasna, jego zwykłego szaleństwa,

- Masz rację. Chodzi o ranę na jego głowie. Pójdę to sprawdzić.

Lord Vellan roześmiał się głośno, a potem krzyknął za młodzieńcem:

- Teraz chyba widzisz, że klątwa Penwyth ma różne oblicza, czyż nie? Gnijesz od środka, Fioralu. Jak się czujesz, wiedząc, że niedługo zginiesz i nic tego nie powstrzyma?

Lord Vellan śmiał się tak donośnie, że dostał czkawki. Napił się nieco piwa i spytał Crispina:

- Jak myślisz, gdzie jest Bishop?

- Mam nadzieję, że niedaleko, mój panie.

- I ja również, Crispinie. I ja również.

Późnym popołudniem Fioral znów siedział w fotelu lorda Vellana. Na głowie miał świeży bandaż i zachowywał grobowe milczenie. Dolan podszedł do niego, zachowując bezpieczną odległość.

- Mamy gości, mój panie - powiedział. - Jakiś starzec ze staruszką proszą, byś raczył im udzielić audiencji. Twierdzą, że ledwie zdołali uciec przed zgrają bandytów. Błagają o schronienie.

- Powiedz im, żeby szukali go gdzie indziej albo poderżnę im stare gardła. Nie chcemy więcej starych kości w Penwyth.

- Twierdzą, że mogą ci powiedzieć, gdzie jest Merryn de Gay.

Fioral poskrobał się po brodzie. Im szybciej dostanie dziewczynę w swoje ręce, tym szybciej stanie się panem na Penwyth. To z pewnością uleczy ohydną ranę na głowie. Był o tym przekonany.

- Dobrze, wpuść ich - kiwnął głową z przyzwoleniem. - Na Boga, czy w tej okolicy wałęsają się same roztrzęsione staruszki i ich zgrzybiali mężowie?

Gdy para starców chyłkiem weszła do Wielkiej Sali, Fioral był pewien, że nigdy w życiu nie widział brzydszych ludzi. Chuda, obrzydliwa starucha miała na twarzy trzy wielkie brodawki, z których sterczały twarde jak szczecina włosy. Jej towarzysz nie wyglądał lepiej. Skrzywiony i garbaty, o siwych, splątanych włosach i czarnych pieńkach zębów.

- Pozwoliłem wam wejść do mego grodu - oznajmił Fioral. - Albo natychmiast powiecie mi, gdzie znajdę lady Merry de Gay, albo poderżnę wam leciwe gardła.

Rozdział 3 5

Starzec wykonał jeden drżący krok. Ukłonił się i trzymając się za plecy, wyprostował z trudem.

- Moja żona jest wieszczką, panie - odezwał się skrzeczącym głosem, w którym Fioral słyszał echa dawnych czasów. - W czasie pełni księżyca, która nadejdzie już jutro, będzie mogła określić dokładnie, gdzie znajdziesz panią.

- Ta starucha jest wieszczką? Skoro tak, to dlaczego musi czekać akurat do pełni?

Starzec wzruszył ramionami, stękając z bólu.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale to prawda. Nie zobaczy niczego, dopóki księżyc nie stanie w pełni, mój panie. Wtedy muszę ścisnąć jej głowę dłońmi, a światło księżyca pokaże jej wszystko, czego zapagnie.

- Właśnie tak - wtrąciła się starucha. - Czarownice z Byrne powiedziały mi, że jeśli zginie mój mąż, przepadną też moje magiczne moce, gdyż tylko on może ścisnąć mą głowę. Inaczej nic z tego nie będzie. Jest to zaklęcie, które nas na zawsze związało, lecz nie narzekamy na to. Czy udzielisz nam schronienia, panie?

Rana na głowie Fiorala pulsowała wściekle.

W tym momencie do Wielkiej Sali wszedł lord Vellan i zatrzymał się raptownie na widok pary starców.

- Starucha twierdzi, że jest wieszczką, lordzie Vellanie - wykrzyknął Fioral. - Uważa, że potrafi mi powiedzieć, gdzie chowa się twoja cenna wnuczka.

- Czyżby? - Lord Vellan podszedł do paskudnych przybyszów i przyjrzał im się uważnie. - Ach, rzeczywiście! Ona ma spojrzenie więdmy, teraz to dobrze widzę. Czy moja wnuczka żyje, starucho? Jak się miewa?

- Och, wszystko z nią w porządku, mój panie, jest z nią sir Bishop z Lythe. Powiem młodemu panu, gdzie dokładnie się ukrywają, byście mogli zabić porywacza i sprowadzić ją do domu.

Vellan zrobił krok w tył. Raptownie poczuł falę strachu.

- Skąd znasz jego imię? O co tu chodzi? Skąd przybyliście?

Nagle starucha zastygła i spojrzała przenikliwie na Fiorala.

- Jesteś chory, panie - rzekła. - Co ci dolega?

Fioral bezwiednie dotknął bandaża na głowie.

- Widzisz mój opatrunek, czyż nie? Jak na staruchę, masz całkiem bystry wzrok. To nic poważnego. Tylko niewielka rana, która mnie złości.

- Ależ to bardzo poważne, mój panie - powiedziała, czując w głębi serca, że ma rację. - Rana sączy w twoje ciało jad, który rozkłada cię od środka.

- Co mówisz, kobieto? Podejdz tu! Czy możesz uleczyć tę ranę?

Starucha zamrugła gwałtownie, odchyliła głowę i powiedziała głębokim, dudniącym głosem:

- W tej ranie kryje się zło, które pożera cię od środka! - Zgromadzeni w Wielkiej Sali mieszkańcy Penwyth zadrżeli ze strachu. - Wyraźnie widzę, że to kara. Cóż uczyniłeś, by na nią zasłużyć?

Fioralowi to wszystko przestało się podobać.

- Niech cię piekło pochłonie, starucho! Odpowiadaj! Czy masz moc uzdrawiania?

- Nie, ale mój mąż ma. Ja tylko widzę zło, on zaś potrafi je odczynić.

W jednej chwili Fioral poderwał się na nogi.

- Podejź tu, starcze!

Wezwany podszedł chwiejnym krokiem. Spojrzał na wełniany bandaż na głowie Fiorala.

- Zanim będę mógł ci pomóc, musisz wyznać mej żonie, jakie zło popełniłeś.

Fioral przygryzł dolną wargę i nic nie powiedział.

Lord Vellan podszedł do starca i powiedział donośnym głosem:

- Ten złodziej przybył do Penwyth i podobnie jak czterech poprzednich głupców zażądał mej wnuczki za żonę. Pragnął siłą przejąć władzę nad naszym grodem. Czy to wystarczająco złe, starcze? Czy ta rana go zabije? Powinna, gdyż nie zasługuje na lepszy los. Błagam, nie uzdrawiaj go! To mu się nie należy!

Rozwścieczony Fioral wyszarpnął sztylet, gotów ugodzić nim lorda Vellana.

- Jeśli go zabijesz, rana otworzy się i ropa zaleje ci mózg! - krzyknęła starucha.

Fioral zamarł. Ciężko oddychał.

- Co się tu dzieje? Ta rana nie jest przecież częścią klątwy Penwyth. Miałem ją już, zanim tu przybyłem, teraz się tylko pogorszyło. - Przyłożył dłoń do bandaża i jęknął. Rana stała się tak gorąca, że nie dało się już jej dotknąć.

- Och, na Boga, co się dzieje? Uzdrów mnie, starcze, albo zabiję i ciebie, i twą nieszczęsną żonę.

- Dobrze - zgodził się starzec. Odsunął dłoń Fiorala, delikatnie dotknął rany opuszkami palców, zamknął oczy i wypowiedział szeptem kilka łów. Przez moment mrucał coś pod nosem. W Wielkiej Sali zapanowała całkowita cisza, wszyscy wpatrywali się w starca trzymającego rękę nad karkiem Fiorala.

- Gotowe - rzekł wreszcie staruch, podnosząc głowę. Palcami wciąż dotykał bandaża. - Jeśli będziesz żałował wyrządzonych krzywd i powstrzymasz się od złych uczynków, rana się zagoi. Czy żałujesz zła, które wyrządzałeś, panie?

- Żałuję.

- A przyszło zło? Czy odstąpisz od swoich żądań i opuścisz Penwyth?

Młodzieniec nie odpowiedział. Starzec odsunął się od niego, a rana natychmiast zaczęła świerzbiec i pulsować bólem. Co robić? Fioral odrzucił głowę w tył i wrzasnął:

- Nie robię nic złego! Przyjechałem do Penwyth, by poślubić dziedziczkę i zostać spadkobiercą lorda Vellana. Cóż w tym złego? Jestem młody, silny i bystry. Wspaniały ze mnie wojownik i będę dobrze służył królowi Edwardowi. Sam by mnie tu przysłał, gdyby mnie znał!

- Lecz król ciebie nie zna, Fioralu z Grandere Glen - odparł starzec. - Przysłał tu sir Bishopa z Lythe, ty zaś chcesz mu wejść w drogę. Nie jesteś lepszy od pierwszego lepszego złodzieja, który sięga po cudzą własność i powinien okupić to własną śmiercią.

- Nie jestem złodziejem! Chcę tylko zapewnić sobie byt, jak musi to uczynić każdy kolejny syn. Penwyth to soczyste jabłko, które zamierzam zerwać. Przecież od każdego dzielnego rycerza tego by oczekiwano.

- Nie widzę tu żadnego dzielnego rycerza - wtrącił starzec. - Widzę tylko nierozważnego młodego łajdaka, który zginie od jadu zatrującego jego ciało.

- Ale ja nie zrobiłem nic złego!

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak właśnie twierdzą.

- Walcz ze mną, panie - rzekł starzec delikatnym, cichym głosem. - Jeśli zdołasz mnie zabić, rana natychmiast zniknie.

Fioral nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zdawało mu się, że ogarnia go szaleństwo.

- Czy staniesz do walki, złodzieju?

- Chcesz, bym z tobą walczył? - upewnił się zdumiony Fioral. - Jesteś tak stary, że ledwie stoisz na nogach. Spójrz na siebie! Nawet nie uniesiesz miecza. Przewrócisz się, gdy tylko na ciebie dmuchnę. Co to ma być? Kiepski żart? Uzdrów mnie, i tyle.

- Już ci powiedziałem, co musisz zrobić - odparł starzec. - Będziesz uzdrowiony, kiedy mnie pokonasz. Twoje gadanie na nic się nie zda. Staniesz do walki?

Fioral nie wiedział, co robić. Chciał poznać kryjówkę Merryn i obawiał się, że kiedy zabije starca, wiedźma niczego mu już nie powie. Co robić?

Lord Vellan podszedł do nich spokojnym krokiem.

- Fioral ma rację, starcze. Zabije cię w kilka sekund. - Podniósł głowę i oznajmił dumnie: - To ja stanę do walki ze złodziejem.

Fioral zaczął się śmiać tak gwałtownie, że opadł na fotel. Im bardziej się śmiał, tym bardziej piekła rana nad karkiem. Wreszcie pojął, że nie może dłużej czekać. Musi zabić starca, inaczej jad rozleje się po wszystkich jego członkach i padnie martwy na podłogę w Wielkiej Sali.

- To nie dotyczy ciebie, lordzie Vellanie. Będę z nim walczył. Starcze, Dolan da ci miecz. Będziemy walczyć na śmierć i życie. Na wewnętrznym dziedzińcu.

Staruch skinął głową, odtrącając dłoń żony.

- Gotuj się na śmierć, zdradziecki pomioście - wycedził do Fiorala.

Młodzieniec przewrócił oczami, roześmiał się i splunął.

- Za ile lat, mężu wieszczki?

- Za pół godziny nie będziesz już żył. Twoi żołnierze opuszczą Penwyth, zabierając twoje ciało. Czy zrobisz to, Dolanie, by zło nie kalało już tego miejsca?

Dolan zamrugnął ze zdumienia. Cała scena przekraczała granice jego rozumienia, jakby oglądał sztukę napisaną przez szaleńca. Jednak skinął głową:

- Zabiorę ciało mojego pana.

- Czy zapewnisz mu należyty pochówek?

Fioral łupnął pięścią w poręcz fotela.

- Dość tego! Zamilknij, starcze! Chcesz zasiać lęk w moim sercu!

- Czy ustawisz kamień nagrobny na miejscu jego spoczynku?

- Znajdę kogoś, kto wykuje w kamieniu imię mojego pana i ustawię ten głaz na mogile.

- Dość tego!!!

- Przyjmę miecz od Dolana, to dobry człowiek - powiedział do Fiorala starzec. - Spotkamy się na dziedzińcu.

Mąż wiedźmy odwrócił się z godnością i wyszedł z Wielkiej Sali, powłócząc nogami i nie zważając na tłum gapiących się na niego równie starych mieszkańców zamku.

Fioral czuł, że to wszystko jest absurdalne, lecz nie miał wyboru. Musi zabić tego nędznika. Przekleństwo, to wszystko prowadzi donikąd! Rana pulsowała wściekle. Och, na Boga, musi się jej pozbyć!

Zaklął i wybiegł z Wielkiej Sali, wyszarpując po drodze miecz z pochwy.

Stara wiedźma skinęła głową w stronę lorda Vellana, zatoczyła krąg dłońmi i rzekła:

- To wszystko jest niezmiernie dziwne, czyż nie, *sir*? - I roześmiała się chrapliwie.

Lord Vellan zbliżył się do niej i lekko dotknął palcem jej twarzy.

- Nos ci odpada.

Chwyciła nos, zanim upadł na ziemię, i przyczepiła na miejsce.

- Za to twój nos, *sir*, jest tak brzydki, że szkoda wielka, że jeszcze nie odpadł.

Lord Vellan chwycił się za nos, obmacał go dokładnie i się roześmiał.

- Wcale nie jest brzydki. To nos wojownika z niezwykle szlacheckiej rodziny. Za to twój nos... Nigdy w życiu nie widziałem brzydszego.

- Cieszę się, że nie zawsze tak wyglądam - westchnęła.

- I ja także się z tego cieszę, Merryn. Urządziliście tu świetne przedstawienie. Bardzo się cieszę, że ty i miody

Bishop tak się zbliżyliście do siebie. Gdzie się podziewaliście?

- W kilku miejscach, których nie zamierzam już nigdy odwiedzać, dziadku. Spieszmy na dziedziniec. Bishop może mnie potrzebować.

Vellan uniósł brew.

Usłyszeli straszny ryk.

Merryn uniosła suknię i zaczęła biec.

- Na litość boską, co też Bishop znowu wymyślił?

Rozdział 36

- Chodź tu, szczeniaku! - krzyknął Bishop. - Pokaż, co potrafisz.

Był ogromnie zadowolony z siebie. Wreszcie porządna, zwykła walka na miecze. Coś znajomego, w czym czuje się dobry, co sprawia, że krew krąży szybciej w żyłach.

Spojrzał za siebie i ujrzał Merryn zbiegającą ze schodów w towarzystwie lorda Vellana.

Starzec zapewne już się domyślił, kim są. Wspaniale. Po chwili u boku pana zamku pojawiła się lady Madelyn. Vellan szepnął jej coś na ucho i starsza dama uśmiechnęła się nieznacznie, ukradkiem kiwając dłonią Bishopowi.

Bishop przyjął miecz z rąk Dolana.

- Dziękuję. Dobry z ciebie człowiek. Czy nie zechciałbyś zamieszkać w Penwyth, gdy już pochowasz swojego pana?

- Z wielką chęcią. Moi ludzie również.

- Jak tam, Fioralu - krzyknął Bishop. - Szczękasz zębami ze strachu?

Raptem z kręgu gapiów otaczających dziedziniec wysunął się Crispin. Chwycił Bishopa za ramię.

- Nie mogę na to pozwolić, *sir* - stwierdził dobitnie. - To będzie krwawa rzeźnia. Nie będziesz w stanie się przed nim obronić. Nie, nie pozwolę to. Oddaj mi miecz i spocznij pod jabłonią. Zasużyłeś na długi odpoczynek. - Crispin odwrócił się i krzyknął: - Ja będę z tobą walczył, Fioralu! Ten starzec nigdy nie wyrządził ci nic złego.

Zdumiony Bishop nie miał czasu na zastanawianie się nad zwrotem sytuacji. Chwycił Crispina za ramię i szepnął:

- Nie musisz się obawiać, Crispinie. To ja, Bishop z Lythe! Przybyłem bronić mojej własności.

Pod Crispinem ugięły się kolana.

- Panie - wyjąkał - wprost nie mogę w to uwierzyć. Na wszystkich świętych, to było doskonałe przedstawienie. Zdumiewające. Wyglądasz nawet starzej niż ja!

Nie brzmiało to jak komplement, lecz Bishop wiedział, co Crispin ma na myśli.

- Dziękuję. Jednak wydaje mi się, że metamorfoza Merryn robi jeszcze większe wrażenie.

- Na litość boską, twierdzisz, panie, że ta stara wiedźma, na widok której ciarki chodzą mi po plecach, to nasza słodka Merryn?

- Zgadza się - uśmiechnął się Bishop. - A teraz ustąp pola, Crispinie, i pozwól mi rozprawić się z tym łajdakiem.

Fioral stał w otoczeniu swoich ludzi i ściszym głosem rozmawiał z najniższym, żyłastym żołnierzem. Co on knuje? Po chwili uśmiechnął się szeroko, wyszedł na środek dziedzińca i zaczął wymachiwać mieczem tak szybko, że powietrze furkotało wokół lśniącej klingi.

- Nie zechciałbyś położyć głowy na tym kamieniu, starcze? - zapytał Fioral, wskazując spory głaz przy

murze. - Odetnę ci ją tak szybko, że nawet tego nie poczujesz, co ty na to?

- Najpierw wrażę mój miecz w twoje wnętrze. Potem zaś roztrzaskam ci głowę kamieniem, co ty na to?

Fioral ryknął gromkim śmiechem i puścił się biegiem, trzymając miecz w uniesionych nad głową dłoniach. Bishop czekał na niego z uśmiechem. Fioral był silny, skupiony i zwinny, lecz z góry uznał, że wygra tę walkę. Dlatego w ogóle nie zamierzał poświęcać uwagi na obronę. Haniebny błąd. Bishop czekał z lekkim uśmiechem. W końcu to nie Mawdoor biegł na niego ze złotym magicznym mieczem.

- Będziesz tam trząśnięty ze strachu, aż moi ludzie wywleką cię na środek? - szydził Fioral. - Przeczuwasz nadchodzącą śmierć? Przestrasz mnie teraz, żałosna kupo gnatów!

- Jak sobie życzysz - odparł Bishop. Gdy Fioral wykonał ostatnie trzy kroki, wznosząc miecz jeszcze wyżej, by rozplatać Bishopa na dwoje, przebrany starzec uskoczył zwinnie na bok, podstawiając rozjuszonemu młodzieńcowi nogę. Fioral padł z łomotem na ziemię, lecz natychmiast się podniósł, oddychając chrapliwie z wściekłości i zaskoczenia. W tym momencie skupił całą uwagę na Bishopie. Zauważył, że jak na starca porusza się zdecydowanie zbyt szybko. Jednak stwierdził, że był to ślepy traf. Łut szczęścia, z pewnością ostatni w jego nędznym życiu. Fioral nie popełnił drugiego raz tego samego błędu. Zaczął podchodzić powoli, kreśląc półkola mieczem.

- O co chodzi, starcze? Stoisz jak słup soli. Nie jesteś w stanie nawet podnieść tego miecza, nieprawdaż?

Położ głowę na kamieniu. Obiecuję, że nie będzie bolało.

- Podejdz i sprawdź, jaki jestem słaby, słodki młodzieńcze - rzekł łagodnym głosem Bishop. - Taki jesteś pewny siebie, a zdaje mi się, że przed chwilą leżałeś na ziemi przechytzony przez starca. Wystarczyło, że wyciągnąłem nogę i padłeś na twarz.

Fioral przyspieszył. Wściekłość wzbierała w nim falami.

- Jednak nie umrzesz szybko, starcze. Będiesz umierał bardzo długo.

Bishop wiedział, że Merryn podeszła bliżej i stanęła w pierwszym rzędzie gapiów. Nie dlatego, że ją widział, lecz dlatego, że znał ją doskonale. I czuł jej obecność.

Skoncentrował całą uwagę na Fioralu. W ostatniej chwili uniósł miecz i dwa ostrza zderzyły się z trzaskiem. Zdumiony Fioral odskoczył błyskawicznie. Nie czekał jednak ani chwili, z rozmachu ciął ponownie. Bishop odparował cios, prawie wytrącając miecz z ręki Fiorala.

Młodzieniec nie mógł w to uwierzyć. Dyszał ze zmęczenia i zgrozy przez jakiegoś nędznego starca!

- O co tu chodzi, draniu? - wykrzyknął z rozpaczą. - Zapewne korzystasz z magii! Stosujesz czarnoksięskie sztuczki, by pokrzyżować moje plany, ale ja ci na to nie pozwolę! Zaczynij się już modlić! - Z rozmachu ciął mieczem, mijając ramię Bishopa zaledwie o cal.

Bishop wiedział, że wiele ryzykuje, pokazując wszystkim, ile ma sił. Arogancja zaślepiła go do tego stopnia, że przeciwnik zdołał go niemal dosięgnąć.

Wyprostował się i ruszył biegiem, unosząc miecz.

- Co, do diabła!?! - wykrztusił Fioral, zanim starzec dobiegł do niego, wcale nie tak stary, jak mu się zdawało. Nie, raczej był całkiem młody, silny i zwinny. Zupełnie jak on sam.

Miecze zderzyły się z głośnym brzękiem. Bishop zbliżył twarz do zdumionego oblicza Fiorala i uśmiechnął się do niego, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów.

- Zginiesz - wycedził. - Bo chciałeś ukraść moją własność.

W tej chwili Fioral domyślił się, że walczy z Bishopem z Lythe, że został haniebnie oszukany. Zapewne ktoś tu korzysta z czarnej magii mającej jakiś związek z tą zdradziecką klątwą. A okropna rana na karku na pewno jest efektem zaklęcia. Krzyknął rozpaczliwie i rzucił się w wir walki. Z krzykiem nacierał na Bishopa stojącego spokojnie na środku dziedzińca.

Bishop pozwolił mu podejść bardzo blisko i gdy Fioral wznosił ostrze do straszliwego ciosu, wykorzystał moment, wbijając swój miecz w jego pierś. Aż po rękojęść.

Fioral nie wydał żadnego dźwięku. Spojrzał rycerzowi prosto w oczy, po czym bardzo powoli odepchnął się i zaczął cofać, aż upadł na plecy. Czubek miecza wciąż tkwił w jego torsie.

Bishop usłyszał głośny krzyk. Mieszkańcy wiwatowali głośno, zaś żołnierze Fiorala klęli z wściekłości. Odwracał się właśnie do Merryn, by postać jej uśmiech pełen triumfu, gdy podbiegł ku niemu niski, żyłasty żołnierz i wbił mu sztylet w pierś. Przyskoczywszy błyskawicznie, Dolan chwycił żołnierza za ramię, odwrócił ku sobie

i jednym cięciem sztyletu poderżnął mu gardło, po czym odrzucił na ziemię.

- Merryn - wyjąkał Bishop, patrząc na rękojęść sztyletu tkwiącą w jego piersi. Przez chwilę kołysał się na boki, wreszcie osunął się na ziemię.

- Nie!!!

Czas się zatrzymał. Merryn nie widziała dziedzińca ani rozstępujących się przed nią ludzi. Podbiegła do Bishopa i padła na kolana. Krew płynęła spod rękojęści sterczącej złowieszczo. Merryn nie wahała się ani chwili. Wyszarpnęła sztylet i przycisnęła obie dłonie do rany. Krew strumieniem wyływała spomiędzy jej palców.

Naparła na ranę z wszystkich sił, lecz w głębi serca wiedziała, że jest bardzo źle. Po policzkach spływały jej łzy. Łkając głośno, dostrzegła, że krąg ludzi zacieśnia się powoli. Widziała ich zbliżające się cienie, słyszała ich głosy.

Och, Boże, musi koniecznie coś zrobić!!!

- Nie waż się umierać, draniu! - krzyknęła. - Słyszysz? Jak mogłeś dać się zasztyletować? Zabiję cię za to!

Głosy wokół zaczęły cichnąć. Ktoś próbował odciągnąć ją od Bishopa, lecz wrzasnęła tak przeraźliwie, że pozostawiono ją w spokoju.

Raptem stało się dla niej zupełnie jasne, co musi zrobić. Nie zastanawiając się nad tym, ułożyła się na jego ciele, kładąc nogi na nogach Bishopa, a ręce na jego rękach.

Przytuliła policzek do twarzy Bishopa.

Stary Sarno, patrząc na dziedziniec ze szczytu blanków, ujrzał leżącą na staruszku drobną, równie starą kobietę i rozlewającą się wokół nich wielką kałużę krwi. W następnej chwili, wcale nie byli już starzy. Sarno aż przetaił oczy ze zdumienia. Chyba od palącego słońca

dostał udaru! Później przysięgał, że widział nie tylko sir Bishopa i leżącą na nim lady Merryn, ale także dwa cienie pochylające się nad nimi, a potem wnikające w ich ciała. Ale to przecież niemożliwe! Musiało mu się przywidzieć.

Bishop otworzył oczy i ujrzał nad sobą twarz Merryn.

- Nie - wyjąkał z trudem. Wzrok zachodził mu mgłą. Czuł zaciskające się na sercu szpony śmierci. - Złaż ze mnie, głupia wiedźmo. Nie pozwolę ci za mnie umrzeć. Złaż, powiadam!

Merryn, rzecz jasna, nie zamierzała go słuchać. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Resztką sił Bishop zdołał ją podnieść i zrzucić z siebie. Przetoczyła się na plecy i spojrzała w niebo pokryte delikatnymi, białymi obłokami.

Bishop opadł z powrotem na plecy. Merryn zobaczyła zbliżających się do niej ludzi. Gdy ktoś dotknął jej ramienia, krzyknęła:

- Zostawcie mnie, głupcy! Precz!

Znów rzuciła się na ciało Bishopa, a po chwili poczuła, jak zalewa ją jego ból. W głębi duszy wiedziała dokładnie, co się dzieje. Z radością przyjęła cierpienie, zastanawiając się tylko, czy zdoła je przetrwać. Puls Bishopa wciąż słabł.

- Bishop - powiedziała stanowczo i ugryzła go w szyję.

- Nie waż się umierać. Słyszysz? Nie umrzesz. Nie umrzesz - powtarzała bez końca.

Bishop leżał bez ruchu.

Nagle ciałem Merryn wstrząsnął straszliwy ból. Nie miała wyboru, musiała znieść to wszystko. Zacisnęła zęby i pięści i zastygła. Och, na Boga, Bishop jest zbyt blady! W ogóle się nie porusza i nie sposób już wyczuć bicia jego serca. Ziemia wokół nich zrobiła się czerwona od krwi.

Nagle Bishop otworzył oczy.

- Będziesz musiała sama wychować nasze dziecko. Tak mi przykro, Merryn. A mieliśmy się pobrać. Przepraszam - wyszeptał.

Merryn przywarła ustami do jego warg.

- Nie umrzesz - powiedziała. - Słyszysz, śmiertelniku? Nie umrzesz, bo jesteś częścią mnie, nie czujesz tego?

Kolejna fala bólu wniknęła w jej serce. Merryn zamknęła oczy i zacisnęła wargi, by nie krzyknąć. Zaczęła drżeć i trząść się jak w febrze. Czowała wypływającą z rany krew Bishopa, a także własną krew. Nie była w stanie dłużej tego znieść.

Bishop znów chciał ją zepchnąć, lecz był zbyt wyczerpany. Zresztą Merryn nie pozwoliłaby na to tym razem.

Powoli ból zaczął słabnąć. Odpływał i rozwiewał się, jakby był zaledwie snem. Merryn westchnęła z ulgą, oparła policzek o policzek Bishopa i zamknęła oczy. Obydwoje wyglądali, jak martwi.

- Zróbcie trochę miejsca - krzyknął lord Vellan. - Odsuńcie się! Wszyscy precz!

Lady Madelyn załamała chude ręce.

- Co ona robi? Co się tu dzieje?

- Nie wiem - odparł jej mąż. - Ale czuję, że nie powinniśmy do nich podchodzić.

Crispin i Dolan stali z boku, wpatrując się bez słowa w dwoje ludzi, którzy zdawali się starsi niż najstarsze dęby w gaju niedaleko Penwyth.

Żadne z nich się nie poruszało.

Bishop czuł się bardzo dziwnie. Był tak zmęczony, że miał ochotę zapaść się pod ziemię i leżeć tak do końca świata. Miał wrażenie, że stracił wszystkie siły, energię i żywotność. Zdawało mu się, że mógłby swobodnie

unosić się w powietrzu. Co więcej, nie czuł już bólu. Merryn zabrała cierpienie; przyjęła na siebie śmiertelną ranę.

Nie. To niemożliwe. A jednak, już kiedyś się tak stało.

- Merryn?

Przez chwilę nie reagowała i Bishopowi wydawało się, że umrze ze strachu. Niebawem poczuł, że jej powieki zadrgały.

- Merryn?

Uniosła się nad nim, potrząsnęła głową i zapytała zdziwiona:

- Co się stało?

- Byłem ranny. Położyłaś się na mnie. Dlaczego?

Zdołała się tylko uśmiechnąć. Była wyczerpana i obolała.

- Nie wiem - wyznała, całując go w podbródek. - Wiedziałam, że muszę to zrobić. - Spojrzała na niego, widząc już nie starca, lecz Bishopa, którego kochała i któremu nie zamierzała pozwolić umrzeć. - Wiedziałam, że moje serce musi być blisko twojego. Strasznie mnie bolało, ale jakoś to wytrzymałam.

Lord Vellan zbliżył się ku nim, chcąc pomóc Merryn wstać, lecz ona chwyciła Bishopa za ramiona i nie zamierzała puścić. Spojrzała na dziadka przez ramię.

- Wszystko w porządku. Dajcie nam jeszcze chwilę. Przrzekam, że już w porządku.

- To niemożliwe, kochanie. Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Bishop został ugodzony prosto w pierś. Jest już martwy. Na pewno nie żyje.

- Ależ żyje, dziadku. Przed chwilą z nim rozmawiałam. Przysięgam.

- Nawet jeśli jeszcze nie umarł, zapewne skona za chwilę. Chodź już, Merryn. Zostaw go. Zajmiemy się jego ciałem.

Merryn spojrzała na sękaty palec dziadka i powoli pokręciła głową. Ucałowała usta Bishopa.

- Już czas, Bishopie. Czas już, byś wstał i powiedział wszystkim, że dziś mnie poślubisz.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy ze zdumieniem wpatrywali się w przemawiającą do martwego Bishopa z Lythe staruszkę, która wydawała się coraz młodsza. Rycerz otworzył oczy i się uśmiechnął.

- O, tak. Poślubię cię.

Merryn wzięła dziadka za rękę i z trudem wstała. Na sukni miała ogromną plamę krwi. Słyszała, jak ludzie szepczą między sobą: „Przecież to lady Merryn!”, „Dlaczego on nie skonał? Powinien był zginąć!”.

Szeptali i mamrotali bez wychnienia. Bishop wstał i otrząsnął się jak pies po deszczu.

Jego tors również był uwalany krwią, która zaczynała obsychać. Na dziedzińcu zapadła głucha cisza. Bishop czuł delikatny wiatr na czole. Był wciąż osłabiony, lecz żywy. Dotknął palcami piersi, wyczuwając dziurę w tunice.

- On żyje! On żyje! On żyje! - wiele głosów złało się w jeden zgodny chór.

Wszyscy wiedzieli, że to absolutnie niemożliwe, wreszcie któryś z żołnierzy powiedział:

- Już pojmuję. To było zaledwie draśnięcie. Jedno z tych, po których bardzo się krwawi, lecz nie wyrządzają ci większej szkody. Coś takiego nie mogło zabić sir Bishopa.

- Racja, racja - przytakiwały głosy.

Bishop widział, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Wreszcie rozumieli, co się wydarzyło, i uznali, że nie ma to nic

wspólnego z żadną magią czy czarnoksięstwem. Rycerz ujął dłoń Merryn i spojrzał w jej wstrętą twarz.

- Czy wyjdiesz za mnie za jakąś godzinę?
- Gdy tylko obmyję się z krwi i odkleję ten nos.

Nagle wybuchła wrzawa i rozległy się wiwaty. Dziadek chwycił Merryn na ręce i zakręcił nią dokoła.

Rozdział 3 7

Bishop nie znalazł rany na swojej piersi. Nie było na niej najmniejszego znaku po nożu. Trochę tylko bolało, jakby Merryn łupnęła go z całej siły pięścią, wskakując na niego z impetem. Uśmiechnął się.

Usadowiłszy się wygodnie w kadzi, przymknął oczy. Wkrótce pojawi się Merryn z gąbką w dłoni, by go wykapać. Sam chętnie by ją umył, wiedział jednak, że została już gruntownie wyszorowana przez służące.

Zastanawiał się, czy na jej piersi znajdzie choćby rysę czy siniaka na potwierdzenie, że jednak coś się wydarzyło.

Czuł, jak w jego żyłach wartko płynie krew. Przepęłniała go energia i radość.

Merryn weszła do komnaty z gąbką w dłoni. Nie miała już na sobie zakrwawionej sukni, lecz prostą domową szatę. Uśmiechnęła się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz?

Bishop tylko kiwnął głową.

- Pokaż mi piersi.

Merryn odłożyła gąbkę, zrobiła krok w tył i rozchyliła szatę. Pod lewą piersią, tuż nad bijącym równo sercem, Bishop dostrzegł jasną bliznę.

- Ja nie mam najmniejszego śladu - poskarżył się.

- Cieszy mnie to. To nic takiego. - Zawiązała szatę. - Przyszłam cię umyć, mężu. Połóż się i rozluźnij. To był dla ciebie bardzo ciężki dzień.

Bishop roześmiał się z ulgą.

- Masz rację. Kochasz mnie, Merryn?

- Kocham cię - odparła bez wahania. - Kocham cię bardziej niż jeszcze minutę temu. Niedługo moja miłość będzie tak wielka, że nie zdołam się podnieść z łóżka.

Bishop z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Doskonale wiem, o czym mówisz.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Merryn. - Kto śmie zakłócać kąpiel pana młodego?

- To ja, lady Merryn. Crispin.

- Wejdz, Crispinie - zawołał Bishop.

Crispin wszedł do komnaty. Nie patrzył wcale na dwoje młodych ludzi, którzy jeszcze niedawno wyglądali na starszych niż jego ojciec, lecz wpatrywał się w dziwny patek, który niósł w dłoni.

- Mój panie, jakiś dzieciak znalazł to na dziedzińcu i twierdzi, że wypadło ci z rękawa, gdy wstałeś. To tylko patek, choć dość niezwykły, jeśli dobrze się wyrażam.

Bishop wziął różdżkę od starego strażnika.

- Dziękuję, Crispinie. Myślałem, że zniknęła - mruknął Bishop, zastanawiając się, skąd się wzięła w jego rękawie. Choć w zasadzie wcale nie chciał tego wiedzieć.

Gdy Crispin wyszedł z komnaty, Merryn odetchnęła głęboko.

- Różdżka wypadła ci z rękawa? Myślałam, że zniknęła w jaskini przy Tintagelu.

- Bo tak było, lecz teraz wróciła.

Spojrzelili na siebie.

- Obydwoje żyjemy, Bishopie - szepnęła Merryn. - Coś niezwykłego się wydarzyło. Czy różdżka nam w tym pomogła?

Rycerz milczał, wpatrując się w różdżkę. Była ciepła i gładka. Gdy usiłował skupić się na tym, co się wydarzyło na dziedzińcu, czuł zawroty głowy.

- Czy to ta sama różdżka?

- Tak, na pewno. - Bishop usiadł, a Merryn zaczęła mu gąbką szorować plecy. Przyjrzał się dokładniej różdżce. Naraz podskoczył gwałtownie, rozchlapując wodę.

- Co się stało? - wykrzyknęła przestraszona Merryn. - Zabolało cię? Bishop! Powiedz coś!

- Popatrz, Merryn. Popatrz tylko.

Wyciągnął ku niej różdżkę, wskazując palcem na inskrypcję w drewnie. Merryn uklękła przy kadzi. Położyła palec tuż przy palcu Bishopa.

- Poczuj to - rzekł i przesunął palcem Merryn po inskrypcji.

- Muszę wziąć ją bliżej światła - stwierdziła. Wzięła różdżkę i podeszła z nią do okna. - *Ambrosius* - przeczytała na głos. - *Ambrosius*? Co to znaczy?

- Nie widzisz nic więcej? Przyjrzyj się dobrze.

Merryn obracała różdżkę w palcach, przyglądając się jej ze wszystkich stron.

- Mam! Jest jeszcze jedno słowo. *Merlin*. *Merlin Ambrosius*. Co to może oznaczać? Myślisz, że to czyjeś imię?

- Kilka lat temu byłem poważnie ranny - powiedział cicho Bishop. - Benedyktyni przyjęli mnie do siebie

i uleczyli. Jeden stary mnich uwielbiał czytać na głos legendy spisane przez Geoffreya z Monmouth. Jedna z nich opowiadała o doradcy Uthera Pendragona, który był ojcem króla Artura.

- Merlin - wtrąciła Merryn. - Teraz pamiętam. Był magikiem, prawda?

- Och, nie. Był czarodziejem - rzekł z namaszczeniem Bishop. - Czarodziejem - powtórzył po chwili.

- Nie rozumiem tego, Bishopie.

On sam także niczego już nie rozumiał. I nawet nie zamierzał starać się zrozumieć. Różdżka, która należała do Merlina? To nazbyt wiele dla zwykłego śmiertelnika.

Śmiertelnik. On sam i Merryn są śmiertelnikami, lecz Breca i księżę nimi nie byli. A księżę uczynił ją brzemienną w czasie pierwszej dzikiej bliskości, podobnie jak on sam uczynił brzemienną Merryn.

W tej chwili Bishop poczuł coś dziwnego. Miał wrażenie, że księżę stoi tuż przy nim, mówi coś i śmieje się cicho. Chwilę później zniknął. Została tylko Merryn.

- Podejdz do mnie, Merryn. Pocałuj mnie.

* * *

- Jestem twoim mężem od pięciu dni, a wciąż żyję.

- To prawda, mężu. Czy napisałeś już do króla Edwarda?

- Owszem. Posłaniec powinien niedługo do niego dotrzeć. A jutro przyjadą do nas Dienwald i Philippa z dziećmi. Vellan i Madelyn chcą ich poznać.

Bishop wstał i kilka razy zadzwonił nożem o kryształowy puchar znad Renu, ozdobę cennej kolekcji lorda Vellana. Gdy oczy wszystkich mieszkańców zamku zwróciły się ku niemu i zapadła cisza, powiedział:

- Nastął koniec klątwy Penwyth. Została zdjęta.

Rozległy się głośne wiwaty i toasty. Bishop uśmiechnął się do żony.

- Jestem piątym i ostatnim mężem waszej pani!

Głośny śmiech zatrzęsł murami zamku. Merryn stanęła u boku męża i zaczęła, aż poddani nieco ucichną.

- Nigdy więcej żadna klątwa nie będzie wisiała nad tą ziemią.

- Wszyscy się zastanawiają - ciągnął Bishop - dlaczego mieszkańcy Penwyth żyją tak długo. Powiem wam. Każdy, kto kocha ten gród i jest mu wierny, zasługuje na długie, dostatnie życie.

- Nie mogę unieść miecza, ale żyję! - zakrzyknął jeden ze strażników.

- Wszyscy zasługujemy na długi żywot!

Zgromadzeni w Wielkiej Sali mieszkańcy Penwyth krzyczeli, śmiali się i rozmawiali jeden przez drugiego.

- Precz z klątwami!

- Precz z klątwami!

- Będziemy jeszcze długo żyli!

- Ciekawe, czy kiedykolwiek działała tu jakaś klątwa - rzekła cicho lady Madelyn. - Czy rzucili ją druidzi? A może wiedźmy z Byrne? Szczerze w to wątpię.

- Oczywiście, że była klątwa, babciu - zachnęła się Merryn. - Bishop i ja przełamaliśmy ją.

Lady Madelyn potrząsnęła głową.

Lord Vellan znał swoją żonę od tylu lat, że nie potrafiłby ich chyba zliczyć. Spojrzał na nią z mieszaniną niedowierzania, grozy i upojenia.

- O czym ty mówisz, Madelyn?

- Mówię o tym, że otrułam Arlana de Frome, a niby o czym mam mówić? Potem modliłam się gorąco, żeby pozostałych trafił szlag, a moje modlitwy zostały wysłuchane.

Epilog

W innym czasie

Książę stał przy Brecii, lekko dotykając jej ramienia.

- Spójrz tam, ukochana, tam właśnie będziemy mieszkali, gdy nie będziemy spędzać czasu w twym lesie.

Wyszli właśnie z jaskini księcia i spoglądali na przylądek wcinający się w morze. Na jego końcu stała smukła biała wieża. Breccia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Zbudowali ją moi rodzice. Ojciec opowiadał mi, że w dawnych czasach żyli ludzie zwani Grekami, którzy budowali równie piękne budowle dla swoich bogów i bogiń.

- Jest przepiękna.

- Nasz syn będzie tu dorastał. W tych murach pozna prawdę o sobie i nauczy się korzystać z mocy.

Breccia oparła policzek na jego ramieniu.

- Jak damy mu na imię?

Książę ucałował jej piękne włosy.

- Zobaczymy - szepnął cicho. Jego oddech był ciepły i słodki jak zapach kwiatów, które zerwał wcześniej i wpiął jej we włosy. - Wiem jednak, że na zawsze

zostanie w ludzkiej pamięci. Wybierzemy imię, które będzie do niego pasowało.

- Dziękuję, że przyszedłeś do mojego gaju - westchnęła Brezia.

Przypomniał sobie chwilę, gdy nagle obudził się w pobliżu dębowego gaju i zobaczył pochylającego się nad nim Callasa. Nie wiedział, skąd się tam wziął, a może wiedział, tylko zapomniał, lecz nie miało to dla niego znaczenia. Uśmiechnął się, gładząc gładki policzek Brecii.

- Przyszedłem po ciebie, kochana. Dziękuję ci za uratowanie mojego nędznego żywota.

Dłoń księcia spoczywała delikatnie na jej brzuchu, lekko już zaokrąglonym. Brezia dotknęła jego palców. Patrzyli w stronę pięknej białej wieży, czując na sobie ciepło słonecznych promieni.

- Czuję, że wszystko wróciło do normy - powiedział książę i uśmiechnął się. - We wszystkich czasach. - Spojrzał przez ramię na jaskinię i uśmiechnął się szerzej. - Wiesz, że uwielbiam, gdy krzyczysz tak, że aż dostajesz chryпки? - Odgarnął włosy Brecii i pocałował ją w ucho.

Odwróciła się ze śmiechem.

- To jakieś szaleństwo, książę. Na pewno używasz jakichś magicznych sztuczek, bym czuła to wszystko.

- Ależ skąd! - Pocałował ją w usta. - To tylko my. Ty i ja.

Brezia roześmiała się i przytuliła do niego z całej siły.

* * *

Zamek Penwyth

Obęgnię

Bishop poczuł tak obezwładniający przyływ pożądania, że niemal spadł z krzesła. Nie rozumiał tego, ale nie zamierzał się w tej chwili zastanawiać. Obrócił krzesło Merryn i pogłaskał jej ucho. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Co się stało, mój panie?

W następnej chwili spojrzała na jego wargi i bez wahania poderwała się z krzesła, by wtulić się w jego ramiona i zasypać go gradem pocałunków.

Nie dbali o to, że Wielka Sala jest wypełniona ludźmi, którzy milkną powoli, cichną i gapią się na nich ze zdumieniem. Nic się nie liczyło. Po prostu musieli się kochać. Zaraz.

Bishop nie był w stanie tego znieść. Poderwał się z krzesła, chwycił żonę za rękę i robiąc wielkie kroki, wypadł z Wielkiej Sali. Merryn biegła u jego boku. Radosny śmiech, który gruchnął w Wielkiej Sali, w ogóle ich nie dogonił. Wszystko wróciło do normy, pomyślał Bishop, biegnąc po schodach do sypialni. Merryn oddychała ciężko. O, tak. Wszystko wróciło do normy.

We wszystkich czasach.

